

Benedykt

Cykl „Uroczą”

Nieznośna



Benedykt

Nieznośna

Cykl „Uroczą” – część pierwsza

Kochać to znaczy wyrzec się siły

Wydanie pierwsze poprawione

Copyright © by [Wind Forge Media](#) 2025

ISBN 978–1–7397703–5–8

ISBN 978–1–7397703–6–5 vol.1

Popołudnie robiło się nieciekawe.

Zostało mu już tylko jakieś dziesięć pestek w eFeLce. Ręka zaczynała odmawiać posłuszeństwa, już nie mówiąc, że chyba przeciekała poważniej, niż mu się wydawało. Oddychać było coraz trudniej, nie wiadomo, czy tylko z nadmiaru adrenaliny i upływu krwi, czy może kompozyt w kamizelce, który poszedł w drobny mak, jednak nie zatrzymał kuli i ma tam drugą dziurę a nie tylko obite żebra.

A tamtych nadal było co najmniej dwu, sądząc po tym, jak sypali do niego na przemian, na dwa głosy, z kałacha i z czegoś innego. „Był skuteczny w 80%”, oto co wykują mu na nagrobku, bo co z tego, że położył ich siedmiu czy ośmiu, kiedy nie ma jak wyrwać się z tego zaułka, w który sam się genialnie zapakował. Niby oni też nie mogą podejść, bo ich skosi, jak paru poprzedników, którzy leżeli na podniszczonym asfalcie – ale kiedy w końcu zmądrzeją, to któryś pójdzie po niego przy ścianie i z bliska zasypią ołowiem tę jego dziuplę. Albo zamiast walić z daleka pod kątem i tylko skuwać cegły, licząc chyba na jakiś rykoszet, albo że spanikuje i spróbuje wybiec, któryś w końcu pójdzie do tej rudery naprzeciwko i rozwali go z wyższego piętra jak na strzelnicy. Bo co im robi z eFeLki, za daleko, zresztą i tak zaraz skończy mu się amunicja.

Dobrze, że to tylko amatorzy. Ale i tak prawie go dorwali. Zresztą, zaraz mogą go tu wykończyć i tyle będzie z jego przewag profesjonalisty. Który taki zdolny, że wlaź w ślepy

zaułek bez wyjścia (no dobra, kiedy biegł jak szalony, pewny, że któraś kulka z latających wkoło rojów zaraz trafi go w potylicę, wydawało mu się, że to zaułek z wyjściem – metalowa sztaba przyspawana do zardzewiałych stalowych drzwi odpowiedziała „wydawało ci się”). Co z tego, że gdyby był na ich miejscu, już dawno by się odstrzelił; to nie egzaminy z taktyki MOUT, tylko prawdziwe kule i prawdziwe cegły się sypią, i prawdziwe kałachy, nawet jeśli w rękach niewyszkolonych młodocianych gangsterów.

Może im też się skończy amunicja i sobie pójdą? Ciekawe, jak mógłby to sprawdzić, nie miał ani kapelusza, ani patyka, żeby wystawić go zza rogu.

Kiedy rozważał, czy czekać aż zrezygnują, czy może wziąć się w międzyczasie za opatrywanie krwawiącego ramienia, czy próbować jakiegoś błyskotliwego manewru (ale jakiego?), czy wybiec z krzykiem pod ich lufy, nagle zobaczył postać przechodzącą zruinowaną ulicą od drugiej strony, nie od tej, z której gonił go pościg i szła coraz słabsza ulewa pocisków. W okamgnieniu złożył się do nowego celu, ale zanim na dobre uchwycił sylwetkę w kolimatorze, mózg mu się zlasował – to była kobieta w zielonej sukience, szła po prostu szeroką ulicą, nie zwracając uwagi na strzelaninę i leżące przed nią na zniszczonym asfalcie ciała pechowców, którzy próbowali go dorwać parę minut temu.

Naraz ślepa i głucha, łązi po tych pustkach? Niemożliwe. Czyli co, zaćpana po samo ciemiaczko?

Kiedy tak obserwował ją w zadziwieniu przez celownik eFeLki, kobieta zatrzymała się i popatrzyła wprost na niego. Nie spodobało mu się to – była trochę za daleko, a zaułek trochę za ciemny, żeby stojąca na zalewanej złotym jesiennym

słońcem ulicy miała prawo go w ogóle zobaczyć, skulonego nieruchomo za jakimiś resztkami pudeł i skrzyń. Ledwo widział jej twarz, po prostu stała sobie, brunetka o jasnej karnacji, w zielonej sukni; stała prosto, z gołymi rękami opuszczonymi luźno i patrzyła spokojnie wprost w jego łufę. Zanim zdecydował, co ma z tym faktem począć, kanonada z prawej uciła ją jak ucięta nożem. Pewnie też ją zobaczyli, czyli już po niej.

Zanim zdążył zdecydować, czy jest gotów do jakichś bohaterskich czynów, a przynajmniej jakiegoś ryzyka, żeby uratować kobietę; albo przynajmniej jakoś wykorzystać taktycznie jej niespodziewane pojawienie się, znajomi–nieznajomi z prawej otwarli ponownie ogień, ale nie do jego wnętrza...

Do zalewającego go strumienia adrenaliny doszedł dodatkowy strumyczek, choć wydawało mu się, że więcej nie pomieści – serce mu się skurczyło, zmrużył oczy, czekając na trafienia i kiedy kobieta padnie jak szmaciana lalka, zalana krwią i krzykiem.

Błysnęło tak, że stracił wzrok.

Zastanawiał się, czy właśnie umarł, a jeśli tak, to konkretnie z jakiego powodu? Zatoczył się na ścianę, przydzwonił rannym ramieniem i łokciem w mur, aż mu zęby zadzwoniły i chyba popuścił trochę. Czyli może jeszcze nie umarł, nikt nigdy nie wspominał, żeby umarli mieli kłopoty ze zwieraczami czy dziurami po kulkach.

Wzrok wracał powoli, jak po błysku silnego flesza prosto w oczy. Przez chwilę nie był pewien, czy stracił też słuch, czy po prostu zapadła cisza. A nie, w porządku, dyszał jak lokomotywa, więc to tylko cisza, nikt nie strzela. Zaraz, to nie

jest w porządku...

Zanim na dobre wrócił mu wzrok, o wiele więcej rzeczy zaczęło mu się wydawać nie w porządku. Karabinek FL leżał mu w rękach jakoś inaczej, ręce wydawały mu się jakieś takie... kamizelka kuloodporna leżała na nim źle, wszystko było źle.

Nieznajoma stała jak gdyby nigdy nic, promiennie słoneczna, przed samym wejściem do jego zaułka, patrzyła na niego uważnie. Błada twarz, zielonooka brunetka nieprzeciętnej urody, w niebieskiej prostej sukience z długimi rękawami. Ciała gnojków, którzy próbowali go dorwać, gdzieś zniknęły.

Podniósł wyżej broń, na poły zasłaniając się, na poły mierząc do niej.

To co miał w rękach, TO NIE BYŁA JEGO EFELKA.

Kobieta, która była kobietą w zielonej sukni, rzuciła beztroskim tonem

– A co tu się odpierdala?!

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Nieznajoma przechyliła głowę, przyjrzała mu się od głów do stóp i z powrotem.

– Jak się nazywasz? – rzuciła.

– Paul... – wydukał; w szoku podał prawdziwe imię, opuścił ręce z karabinkiem – Kim jesteś i co tu się stało?!

Obejrzał się na prawy róg, gdzie nikt nie strzelał, na zaniedbanej ulicy nadal była cisza, tylko powiewy wiatru

szumiały.

– Nina jestem – rozejrzała się, w prawo i w lewo – Co się stało... Twój świat trochę się zmienił.

– Też mi się tak wydaje... – obejrzał karabinek z oznaczeniem „FN Herstal” a nie „FL Heilbronn”, zapatrzył się na niebieską sukienkę kobiety; może miał omamy, ale pamiętał, że była zielona – Ale to niczego nie tłumaczy...

– Mhm, przepraszam, to niechący – odparła, przyglądała mu się bardzo uważnie zielonymi oczyskami – Jesteś dosyć twardy i... przypominasz mi przeszłość. Masz jakieś zobowiązania? Rodzina? Żony, kochanki?

„A co to za odpytywanie!” miał ochotę zawołać, ale coś w tej kobiecie, po jej „twój świat trochę się zmienił” powstrzymało go.

– Eee, nie mam...

– A chcesz mieć? – uśmiechnęła się promiennie.

Znowu mu mowę odjęło.

Pokiwała na niego długim palcem szczupłej dłoni i poszła na prawo, kontynuując powolny spacer, który przerwała strzelanina... i jej niewytłumaczalne zakończenie.

Wychylił się ostrożnie zza poszczerbionego przez kule węgła, nikogo nie było na opuszczonej ulicy, tylko rudery, spalony samochód i zardzewiałe kontenery; wszędzie walały się sterty śmieci, wiatr przesuwiał folie i papiery. Scenografia nie zmieniła się za bardzo. Nie pamiętał, ile i jakich kontenerów mijał, uciekając przed gówniarzami z kałachami, ale wszystko wyglądało podobnie.

Zabezpieczył broń, skrócił pas i przerzucił karabinek na

plecy, nieco dyskretniej. Postrzelona ręka go zabolą, żebra też, ale przycisnął mocno lewy triceps prawą dłonią, i podreptał za kobietą... za Niną.

Szła przed nim, nieco niższa od niego, luźna sukienka nieznacznie maskowała jej zgrabną figurę, proste plecy, piękne biodra. Miała jakieś dziwne czarne półbuty za kostkę i czarne włosy, rozwiewane przez podmuchy wiatru. Przez wszechobecny smród śmietniska i spalenizny, wypełniający meksykańską ulicę, poczuł nikły kwiatowy zapach, pewnie jej perfum.

– Co to za historia?! I czemu miałbym za tobą iść?? – zapytał, kiedy ją dogonił, szła wolno.

Obejrzała się na niego, z widocznym roztargnieniem.

– Nie musisz, ale przecież idziesz – odparła – Nieźle znosisz, nie tylko twardziel, ale pewnie niegłupi?

– Co to ma do rzeczy!?

Rozejrzała się przytomniej, po rozświetlonej ulicy, po pogodnym niebie, pełnym lekkich chmur.

– A może to przypadek, łatwa okolica ci się trafiła... – mruknęła na poły do siebie – Paul, jesteś wojownikiem? Nieżyłym?

– Powiedzmy, że tak – jego wpadka z zapakowaniem się w zaulek mówiła „akurat!”, ale najwyraźniej to już się nie liczyło, zostało anulowane... Razem z bojówką, która go prawie dopadła.

– Jak się nazywasz naprawdę? Nie kłam proszę, mogę wszystko magicznie sprawdzić, ale po co nam to – uśmiechnęła się nikle.

– Paul. Paul Fraser – pokręcił głową, chyba jej wierzył.

– Amerykanin?

– Nie, Wielka Brytania, Szkocja...

– Aha. Też fajnie – odparła, wyjęła z kieszeni sukienki (sukienka z kieszeniami??) najcieńszy i najbardziej elegancki telefon, jaki Paul w życiu widział – Zadzwoń do mnie.

Pomyślał, że to ma dobry sens, nie miał pojęcia o co tu chodzi, ale dobrze byłoby mieć ślad, czy kontakt, do tak dziwnej osoby.

Rozpiął kamizelkę i sięgnął do kieszeni na piersi, w szoku wyjął podobny telefon jak kobiety, może nieco bardziej toporny, ale bez wątplenia nie była to jego nokia.

Przyglądał się szklistemu kafelkowi w ręku, jak ostatni idiota.

– Nie umiem tego włączyć... – wydukał.

– Aha – pokiwała głową ze zrozumieniem – Może tak, jeśli chcesz się przy mnie zaczepić, to daj mi na chwilę telefon i paszport. I może opatrzyć się, bo przeciekasz...

Wskazała cienką strużkę krwi, wypływającą na jego lewą opuszczoną dłoń, spod mankietu koszuli.

Przeleciało mu przez głowę jakieś pół tysiąca myśli na sekundę, ale uznał, że najlepsze co może zrobić, wobec takiej nieznajomej a nawet Nieznajomej, ewentualnie takich halucynacji, to przystać na jej warunki. Nie warto kłócić się z przywidzeniami, może właśnie umiera w kącie zaułka za pudłami śmieci i wszystko to mu się zwiduje w agonii.

Dał jej telefon, z innej kieszeni wyjął swój prawdziwy

paszport i też jej podał.

Nina wzięła oba przedmioty i zaczęła przechadzać się po parę kroków na prawo i lewo, grzebiąc w jego telefonie i przeglądając paszport.

Zdjął karabinek i położył na jakiejś nadgniłej drewnianej skrzyni stojącej na zruinowanym chodniku, po czym rozpiął kamizelkę. Ściągając ją z trudem, żeby nie urazić lewego ramienia, zorientował się, że wszystkie cztery płyty ceramiczne, w kieszeniach na czole kamizelki, są całe. Jego żebra powiedziały na to „kurde, niemożliwe!”. Zorientował się też, że kamizelka jest nieco inaczej szyta i opisana, niż pamiętał...

Pokręcił głową i ściągnął koszulę z lewej strony, obejrzał triceps. Kula tylko go musnęła, nie miał dziury ale poszarpaną szramę, na mały palec. Wyciągnął z bocznej kabury taktycznej przy kamizelce mini-apteczkę, rozpakował ją, błyskawicznie zasypał ranę, rzucił jałowy „gazik” i mocno zawinął wszystko bandażem. Sprawnie zapiął opatrunek, a zanim poskładał apteczkę, pomyślał ze dwie sekundy, po czym strzelił sobie koło rany poważnym środkiem przeciwbólowym. Nie bolało go bardzo, ale przyda się na potem, i może na rozjaśnienie w łbie w temacie „co tu się dzieje?!”.

Kiedy wciągał pokrwawioną koszulę, zorientował się, że Nina przestała się przechadzać, stoi obok i przygląda mu się, a nawet – gapi się, na jego półnągą klatkę i może na blizny, miał małą kolekcję na plecach i z przodu. Lata praktyki.

Zapiął koszulę, oddała mu telefon i paszport, trzymał je w dwu garściach, jakby parzyły.

– Paul, jak mówiłam i jak widzisz, twój świat się zmienił –

powiedziała, mrużąc piękne zielonkawe oczy – Traktuj to jako magię, kiedy dotrzesz do... cywilizacji, zauważysz więcej zmian. Podobasz mi się. Chciałabym cię zatrzymać przy sobie. Potrzebuję towarzystwa.

– Jak to „magię”?!

– Taa, kiedyś ci wytłumaczę, ale teraz szkoda czasu i zachodu.

– Kim ty jesteś!?

– Dobre pytanie! – uśmiechnęła się – Aniołem. Upadłym aniołem? Półbogiem? Boginią! Coś takiego. Jak widziałeś, nie da się mnie odstrzelić. Automatycznie zaszła zmiana rzeczywistości, twój świat się zmienił. Przetrwałeś to fuksem, bo akurat zagapiłam się na ciebie, wyglądałeś znajomo... I jesteś dosyć twardy... Jak będzie? Chcesz pobujać się ze mną, odkryć nowy świat, a nawet jakieś nowe rzeczywistości?

– Może i tak – mózg pracował mu na tak wysokich obrotach, że groził eksplozją – Ale mam pracę, wrogów... – wskazał ranne ramię, karabinek.

– Raczej już nie masz – wzruszyła ramieniem – Nie wiem na pewno, ale stawiam kilo złota przeciwko kilo piachu, że trudno ci będzie znaleźć tamtych zleceniodawców i wrogów.

– Aha... – zapatrzył się na napis „FN Herstal” na karabinku – Chyba rozumiem, znaczy, nie rozumiem, ale zgoda...

– Świetnie – rozejrzała się po ulicy – Nie ruszaj się za bardzo przez chwilę.

Zamarł, kiedy Nina podeszła dwa kroki do przerdzewiałego na wylot kontenera i kopnęła jakieś pudełko po butach, które wałało się na zniszczonym chodniku. Leżały pod nim dwie

paczki banknotów 100\$, w bankowy banderolach, czyli 20 tysięcy dolarów...

– Możesz oddychać! – zaśmiała się podchodząc z powrotem do Paula, który zamarł z wrażenia jak zamrożony – Łap.

Podawała mu jeden plik. Otrzeźwiał i schował paszport i telefon do kieszeni, wziął od niej paczkę, przeciągnął kciukiem przez brzeg, 100 pachnących stówek. Nina schowała drugi plik do jakichś przepastnych kieszeni swojej zielonej sukienki. Czy nie była niebieska?

– Schowaj gdzieś ten mandżur – machnęła na broń i kamizelkę – Żeby jakieś dziecko tym się nie bawiło.

Pokręcił głową, też schował plik pieniędzy do kieszeni.

Sprawnie odpiął z kamizelki kilka kabur po magazynkach i apteczkę, wyciągnął jeden pas nośny, i zrobił sobie z tego pasek z kaburami, prawie jak cywilny. Po zastanowieniu przerzucił do kabur parę drobiazgów, po czym zawinął karabinek w kamizelkę, i upchnął spore zawiniątko w dziurze w rdzawym kontenerze.

– Gotowy, tylko nie wiem na co. I za co płacisz – obrócił się do Niny, zapinając pasek z kaburami.

– Kasa jest na drogę. Chodźmy.

Poszli po podniszczonym asfalcie w stronę miasta, Nina gdzieś dzwoniła.

– Cześć Sinna! Co tam słyszać? – nie słyszał osoby po drugiej stronie – Ależ nieprawda, wcale nie tylko kiedy coś potrzebuję!... No dobra, dobra. Czy mogę ci podesłać kolesia do kraftunku?... Czepiasz się, wcale nie jestem maniaczką, tylko potrzebuję towarzystwa... I co z tego... Tak, nagle mi

wpadł, przetrwał autoreakcję, pewnie zauważyłaś?... Zwykła strzelanina... Nie wiem jak bardzo rąbnęło, jesteśmy na jakimś meksykańskim zadupiu, które niewiele się zmieniło... Pewnie Lammia się wkurzy, jest najbliżej... To jak będzie, kochana?... Dzięki wielkie, no to wysłałam ci Paula, pa, kochana!

Skończyła rozmawiać i spojrzała na Frasera, który obserwował ją spod oka, maszerowali równo.

– Tu się włącza, potem wszystko masz na ekranie dotykowym – przypomniała sobie i pokazała mu telefon – Poczytaj „pomoc” albo znajdź jakiegoś dzieciaka, niech ci to objaśni.

– O co chodzi z „kraftunkiem”? A na „kolesia”, to jest awans, czy degradacja? – odparł.

– Zrównoważony, wyszczekany... – pokiwała głową – To jest awans. Zaraz wyślę ci namiary i dane na telefon, jak najszybciej masz się dostać do Tokio. Tego w Japonii. Odwiedzisz tam klinikę pani doktor Sinny – zaśmiała się do swoich myśli – Ona się tobą zajmie, poprawi ci tę ranę i inne chorobiska, mówimy na to „kraftunek”. Potem się z tobą skontaktuję. Nie zrób nic bardzo głupiego, i nie mam na myśli podróży, ale na miejscu, u pani... doktor.

– Czy ona jest prawdziwa, czy twojego rodzaju? – rzucił.

Nina zaśmiała się w głos, aż nikłe echo poszło po opuszczonej ulicy.

– Jest bardziej prawdziwa niż ty! – odparła – I jest mniej więcej mojego rodzaju...

Doszli do przecznicy, którą jeździły od czasu do czasu samochody. Nina machnęła na zdezelowaną taksówkę, która

zatrzymała się z piskiem hamulców.

Wsiadła do wozu, otworzyła okno.

– Jeśli się zgubisz, trudno. Ale naprawdę mi się podobasz, mam nadzieję, że się spotkamy, opłaci ci się to... – powiedziała, patrząc z dołu, była bardzo piękna – Ja jadę na pewno w inną stronę...

– Rozumiem – chociaż nic nie rozumiał. Do centrum w lewo, będzie dreptał, chyba, że też złapie taxi. A może kupić samochód? Zaśmiał się w duchu, miał dość gotówki. Ale lepiej nie, pewnie za tysiąka można kupić na tej dzielnicy jeżdżący wózek i to zatankowany pod korek, ale za dziesięć nowych banknotów 100\$ na pewno można było tutaj znacznie łatwiej kupić kulkę 9mm niż samochód.

Pomachała mu i pogadała z kierowcą, wóz zazgrzytał wrzucanym biegiem i ruszył.

– Przepraszam za brodę! – zawołała z okna Nina, i tyle ją widział.

W zdumieniu pomacał twarz – najwyraźniej miał średnio długą, zadbaną brodę. I wąsy.

Palącym tematem popołudnia stało się znalezienie jakiegoś lustra.

2

Obudził go komunikat pokładowy, dolatywali do Narita. Niby wyspał się w wygodnym fotelu klasy biznesowej, ale nadal był to tylko fotel, a zraniona ręka zesztywniała mu jak

kłoda. Za okienkiem był piękny poranek nad oceanem.

Poza ręką i żebrami trochę też bolało go wydawanie takich kwot na przelot, sześć kafli to było sporo forsy, normalnie latał ekonomiczną, chyba, że klient stawiał. Ale to właśnie był ten przypadek, przecież Nina płaciła. Skoro mieli jakąś umowę, w pewnym sensie... i przyjął jej warunki, odruchowo wykonywał zadanie jak zwykle, rozsądnie i profesjonalnie. Jeśli miał być w Tokio „jak najszybciej” jak kazała, to wziął pierwszy bezpośredni lot z Meksyku i biznes–klasę, żeby nieco odpocząć po robocie i całym tym pośpiechu.

Nadal niewiele rozumiał, ale po przejeździe pierwszą z brzegu taksówką na lotnisko, po kupieniu biletu ANA do Tokio, zakupach, zmianie ciuchów w kiblu, oraz po przejrzeniu gazet i nowego telefonu, uznał, że urocza Nina mówiła w jakimś sensie prawdę.

Świat się zmienił.

Myślał, że może jest w jakimś paradoksie podróży w czasie, jak w filmach i książkach, które mgliście pamiętał z dzieciństwa, ale to się nie zgadzało. A raczej, właśnie to się dokładnie zgadzało, data, godzina, wszystko było w porządku. Zmiany rzeczywistości były niezbyt oczywiste i jakby w szczegółach. To znaczy nadal był to bez wątpienia Meksyk, lotnisko, potem samolot ANA, dolary były dolarami, sklepy, samochody, języki – wszystko mniej więcej się zgadzało. Ale nie rozpoznawał niektórych marek, reklamowanych na mieście i na lotnisku, wyglądających na popularne czy znane. Wydawało mu się, że przy terminalu lotniska brakowało jednego biurowca, który pamiętał z przylotu. Widział kilka samochodów, których modeli jakoś nie kojarzył, i co najmniej jedną markę, której nie pamiętał... O ile pamiętał, nie istniał

model boeinga, którym właśnie leciał...

Newsy w gazetach dotyczyły mieszanki rzeczy, które kojarzył, ale też newsów absolutnie nowych – dla niego.

A co na pewno było jak z filmu SF, to ten telefon.

Przyjrzał mu się, czekając na samolot, udało mu się zidentyfikować gniazdko zasilania i dokupić kabelek i zasilacz. Okazało się, że kable do telefonów są zunifikowane i nie musi szukać według producenta, czy modelu. To była zdecydowana różnica tego „zmienionego świata”.

Przez cały wieczór nauczył się nieco obsługiwać telefon, zauważył, że wszyscy wkoło mieli mniej więcej takie same jak jego. Pamiętał, że są na rynku modele z dotykowym ekranem, czy z kamerami, ale na pewno nie takie, nie takiej jakości. I nie słyszał o telefonie ze zintegrowaną nawigacją i mapami. Względem jego niezłej nokii to było czyste SF.

Co najbardziej niezwykle, na karcie w telefonie był jego normalny zestaw numerów podręcznych. To znaczy większość – paru brakowało i było parę, których jakoś nie kojarzył...

Oparł głowę o zagłówek, nie miał pojęcia o co w tym wszystkim chodzi.

Ale zaczynał rozumieć, czemu Nina pytała go o rodzinę, o partnerki – jeśli CAŁY ŚWIAT tak się zmienił, to mogło się okazać, że takie „szczegóły” jak jego żona, czy dzieci, też się zmieniły.

A jeśli Nina była osią tej zmiany, to pewnie warto byłoby się zaczepić przy niej... jak to mówiła? Przy „aniele”, czy „bogini”. Lepiej przy niej niż przy tych zleceńodawcach, z jakimi miewał ostatnio do czynienia.

Dostrzegł swoje odbicie w oknie samolotu, na tle ciemnej chmury. Poglądził nową brodę, tak, to wszystko było porąbane...

Kiedy w końcu wylazł przez kontrole na lotnisko Narita, zatrzymał się na dłuższą chwilę. Plan: śniadanie i przemyśleć, co dalej.

Na śniadanie poszedł do pierwszej z brzegu restauracji lotniskowej, pustawej z rana. W trakcie posiłku przyjrzał się swoim emocjom, przemyślał wszystko jeszcze raz. Na pewno czuł się inaczej niż wczoraj w Meksyku, w szoku po prawie-zgonie, po adrenalinie, po akcji z Niną; wtedy niewiele kontaktował i działał na autopilocie. Dziś widział to wszystko chłodniej i z dystansem. Tylko, że przecież nic się od tego nie zmieniło. Postanowił kontynuować tę wyprawę, bo czemu nie, po zdradzie i wpadce w Meksyku nie miał nic lepszego do roboty, poza powrotem do Anglii.

Na deser do drugiej kawy spróbował użyć nowego telefonu i zadzwonił do Akity.

– Moshi–moshi... – odezwał się zaspany głos w słuchawce.

– Cześć Akita! Tu Iceprick Fraser, co słyszeć?! – zagaił z udawanym entuzjazmem.

– Paul, bandyto, czy ty wiesz, która u mnie jest godzina... – wymamrotał Akita.

– Pewnie, śpiochu! Akurat w Japonii jestem, na Narita jest piękny poranek!

– O! – głos na drugim końcu wyraźnie oprzytomniał – W robocie?!

– Trudno powiedzieć... – przyznał Paul – Nie jestem turystycznie, ale... mniejsza. Cieszę się, że cię dorwałem!

– Będiesz mnie potrzebował? Czy sprzęt? Czy jakąś epicką ekipę? – Akita najwyraźniej nie wierzył, że Paul pofatygował się aż do Japonii bez zlecenia. I wietrzył możliwości dorobienia sobie, jak nieraz poprzednio, przy orientalnych przygodach Paula „Icepricka” Frasera.

– Jeszcze nie wiem. Mam pilne spotkanie dzisiaj, potem się wyjaśni. Zdzwonimy się w ciągu dnia, dwu, może biznesowo, a może tylko towarzysko, okej?

– Pewnie! Daj znać i będziemy działać, tak czy owak! – Akita najwyraźniej rozbudził się.

– Trzymaj się mamusi, Misawa-san!

– Trzymaj się tatusia, Paul-sama!

Położył telefon na blacie, zastanawiał się długą chwilę. Skoro Akita najwyraźniej go pamiętał i wszystko się zgadzało, aż po ksywkę Paula i „epicką ekipę” (w ich żartobliwym „kodzie” – zespół uderzeniowy, pożyczony od którejś yakuzy), to Akita Misawa, jego umysł, pamięć i kontakty nie zmieniły się zbyt, pomimo zmian tego świata.

Ale Nina była przekonana, że mogły się zmienić fundamentalne dla Paula rzeczy i osoby, jak rodzina czy partnerki. Czyli musiał przy każdej próbie nawiązania kontaktu z kimś z przeszłości, jak teraz z Akitą, uważać, jakby wchodził na pole minowe.

Dobrze, że miał w razie czego lokalny punkt oparcia, a może i wsparcie. Nie żeby Akita miał u niego aż takie długi, by

ruszyć Paulowi z pomocą czy coś zorganizować zupełnie gratis, ale raczej nie zostawi go na japońskim łodzie zupełnie samego, w razie kłopotów.

Pogładził brodę, może zajrzeć do jakiegoś fryzjera i ściąć to diabelskie czy anielskie чудо... Ale szkoda mu było zachodu i podobno miał się spieszyć.

A propos pośpiechu, strasznie nie chciało mu się jechać przez Tokio i dalej. Adres który dostał, był gdzieś na pogórzu na północ od Fujiyama, nad jakimś jeziorem. Znał na tyle Tokio, żeby wiedzieć, że to będą minimum 3 pociągi i taksówka, albo i lepiej.

Wydłubał prochy przeciwbólowe z kabury na pasku, bo lewa ręka zaczynała mocniej dokuczać. Zapił je resztką kawy, sprawdził, czy opatrunek na ramieniu nie przecieka na nową niebieską koszulę. Zgarnął nową szarą bluzę i poszedł szukać usług transferowych śmigłowcami.

Prawie godzinę później pakował się do małego helikoptera. W leniwym poranku, w środku tygodnia, nie było problemu z wynajęciem przelotu, nawet poza normalny transfer do centrum Tokio, czy na Haneda.

Z trudem zniósł mini-szkolenie bezpieczeństwa przeprowadzone przez wyjątkowo brzydką hostessę, ale nadrabiającą uśmiechem i gracją. Pewnie to on mógłby ją szkolić, nie tylko z podstaw zachowania na pokładzie, czy ewakuacji ze śmigłowca, ale ze znacznie większego zakresu zagadnień taktycznych kawalerii powietrznej, ale musieli tracić na to czas. Był grzecznym cywilem – biznesmenem.

Starszy dystyngowany pilot miał podany punkt docelowy,

który Paul wynegocjował przy zamówieniu: lądowisko w jakimś Yamanashi, mieście–dzielnicy trochę na północ od Fuji i celu podróży. Znudzona obsługa recepcji helipadów Narita entuzjastycznie podeszła do nietypowego porannego klienta, który zamiast ładować się z wózkami ciężkich waliz (przeważnie niedopuszczalnych do wepchnięcia w małe śmigłowce) i nastawieniem amerykańskiego buca–milionera, ze zgubioną rezerwacją sprzed miesiąca, przyszedł z pustymi rękami, wróć, z gotówką w ręku i grzecznie szukał przelotu w okolicy Kawaguchiko.

Najpierw znaleźli mu jakiś zapomniany helipad w górach na północ od góry Fuji, rzeczywiście blisko celu, i już chcieli wydzwaniać i szukać jakiejś wiejsko–leśnej kontroli lotów, ale Paul ich powstrzymał. Aż tak się nie spieszył i wołał nie utknąć w prawdziwej ślicznej japońskiej wsi, w górach i lasach koło Fujiyama.

Stąd padło na następny helipad, w Yamanashi, który według obsługi też był na wsi, ale Paulowi na mapie wydawał się całkiem całkiem w mieście, z szansami na taksówkę i dojazd do celu. Ale to zapewne jak zwykle perspektywa tubylców w okolicy Tokio była spaczona, wszystko do pół miliona mieszkańców, poza ścisłą aglomeracją Tokio, było dla nich wiochą.

Kiedy Paul założył słuchawki, pilot zapytał, czy pasażer chce lecieć od północy, czy od południa Tokio, zastrzegając, że latania wycieczkowego nie ma w planie i w cenie, i nad Fuji nie polecą, ale wybór trasy jest.

Paul wybrał południe, powinno być ciekawiej, w stronę Haneda i Yokohama, niż przez nudne jak coś nudnego megapolis północnego Tokio. Pilot przytaknął mu, że na

pewno trasa południowa jest ciekawsza i zaraz wystartowali; polecieeli jak na transfer lotniska Haneda.

Paul oglądał panoramę centrum Tokio po prawej, z jej kilkoma „manhattanami” i wieżami, w pięknym słonecznym poranku. Kiedy skupił się na lewej stronie, wypatrując nabrzeży Kawasaki i Yokohamy, zorientował się, że jest tu pod nimi jakiś olbrzymi most przez Zatokę Tokijską, którego on nijak nie pamięta. A most nie wyglądał na taki, który można przeoczyć, czy zapomnieć... Taaak...

Minęli Haneda i polecieeli prosto na zachód, zaraz skończyło się miasto, a zaczęły góry i lasy, Fujiyama był coraz większy, śniegi na szczycie wulkanu błyszczały oślepiająco. Przesuwał się na lewo, mijali coraz wyższe pasma gór i szczyty.

Pilot znał adres docelowy Paula, wskazał jeziora po lewej, i że któreś z nich to Kawaguchi. Fraser wzruszył ramieniem, nie chciało mu się wnikać które to, i tak musiał polegać na miejscowym transporcie. Ale trzeba było przyznać, że okolica była przepiękna, szczególnie przy dobrej pogodzie. Kiedy jedyny raz był w okolicy Fujiyama, po wschodniej stronie góry, gówno zobaczył, bo zachmurzenie sięgało 100%.

Wylądowali na zaniedbanym helipadzie, jakby faktycznie na wsi, tylko nie leśno–górskiej a szuwarowo–bagiennej, nad małą rzeczką, w środku względnie luźnej zabudowy. Na skraju lądowiska czekał jakiś dziadek z obsługi, oczywiście, w uniformie i białych rękawiczkach.

Paul pożegnał się i podreptał do kłaniającego się nisko staruszka. Śmigłowiec natychmiast odleciał.

Dziadek nie mówił po angielsku, ale japoński Paula był wystarczający, żeby dogadali się i że pójdą do recepcji. Zaraz

za wysokimi krzakami okazało się, że lądowisko jest częścią jakiegoś kompleksu sportowo – rozrywkowego, staruszek doprowadził Frasera do głównej recepcji, gdzie bez problemu dogadał się z obsługą. Kobieta w uniformie zamówiła mu taksówkę „dalekobieżną”, na docelowy adres nad Kawaguchi.

Czekając na taxi, zadzwonił pod numer, jak wbiła mu w telefon Nina, pod „Sinna”. Czekał na połączenie bardzo długo, z pięć dzwonków.

– Przepraszam za oczekiwanie. Dziękujemy za telefon. Tu Anna z Kliniki Harada, czym mogę służyć? – miękki głos odezwał się po japońsku. Paul zrozumiał połowę, przeprosiny, i że to Anna z kliniki Harada.

– Przepraszam, czy możemy po angielsku?

– Oczywiście.

– Tu Paul Fraser, jestem umówiony. To znaczy, wyznaczono mi spotkanie u was, jak najszybciej.

– Zgadza się – Anna odparła bezzwłocznie – Gdzie pan jest?

– Jestem w... Yamanashi, czekam na taksówkę. Powinienem dotrzeć do was za około godzinę.

– Rozumiem. Zapraszamy.

– Do zobaczenia.

Rozłączył się i zastanawiał długą chwilę, jak może wyglądać posiadaczka tak pięknego głosu.

Niebawem przyjechał po niego porządny minibus, podziękował obsłudze ośrodka i pojechał dalej. Kierowca był równie tradycyjny, jak cała Japonia wkoło: pod krawatem, w

białych rękawiczkach, ledwo mówił po angielsku. Nie było z tym problemu, Paul dużo wcześniej przepisał adres z telefonu na kartkę, tubylcy nie mieli większych problemów z identyfikacją celu podróży.

Przebili się przez miasto, stłoczone między pasmami gór, zasłaniającymi Fuji. Oczywiście, nie była to żadna „wieś”, tylko spora aglomeracja, chwilę trwało przepychanie się przez codzienny ruch. Przecisnęli się w dolinę, trasą szybkiego ruchu; na końcu doliny droga zaczęła się zwężać i zaraz wyjechali w górę, do tunelu na południe. Który okazał się zaskakująco długi, przebito tu jakieś spore pasmo górskie.

Kiedy w końcu wyjechali po drugiej stronie tunelu i przejechali kawałek kolejnej doliny, widoki z paru serpentyn drogi odbierały mowę – na osi dolin, za jakimś miasteczkiem i jeziorem, nad wszystkim górował wielki ośnieżony Fuji-san.

Ale zaraz zjechali w dół, drzewa zasłoniły jezioro i wulkan, wjechali do miasteczka.

Szybko przejechali teren zabudowany, wyjechali na drogę na brzegu jeziora, u stóp gór. Widok po lewej znowu zapierał dech – olbrzymi Fujiyama w oddali, oświetlony do połowy, z zachodnimi zboczami w cieniu, był doskonale widoczny. Przed sobą mieli gładkie jezioro, za nim drugie miasteczko i pogórze podstawy wulkanu, stąd nic nie zasłaniało wielkiej góry, poza delikatnymi drzewami posadzonymi wzdłuż drogi.

Paul stwierdził, że cała podróż już mu się opłacała, nie myślał, że kiedykolwiek zobaczy Fujiyama w takich okolicznościach. Warto było.

Po chwili minibus zwolnił i skręcił w dolinkę zalesionego zbocza po prawej, w bramę jakiegoś ośrodka, podpisanego

przy wjeździe, na kosztownej spiżowej tablicy, po japońsku i po angielsku: „Klinika Harada”.

Drogę blokował wąty szlaban, ale nie uszło uwagi Paula, że jaskrawopomarańczowe pazury – rozrywacze opon były na miejscu, a obszerna budka strażników, dyskretnie schowana za pięknym klonem japońskim, wyglądała zbyt solidnie i miała za grube szyby, jak na zwykłe przeciwdeszczowe schronienie jakiegoś dziadka w białych rękawiczkach.

Krótki dialog kierowcy z interkomem przyniósł efekty. Szlaban uniósł się i pazury na drodze schowały się, wjechali nieco w górę, na podjazd przed eleganckim dużym budynkiem, z lustrzanie przeszkloną najwyższą kondygnacją i normalnym przeszklonym parterem, najwyraźniej z głównym wejściem. Wkoło było kilka innych dużych obiektów, jeden przypominał hotel, inny wydawał się być zapleczem ośrodka. Obok „oficjalnego” podjazdu pod główne wejście, po stronie budynku zaplecza był spory parking, stało tam kilka zwykłych samochodów. Między budynkami, na przedłużeniu parkingów, była jakaś droga wewnętrzna, prowadząca gdzieś w głąb doliny.

Kiedy zajeżdżali bliżej wejścia, uwagę Paula przykuły wozy wciśnięte po prawej, między „bunkrem” strażników a budynkiem przypominającym hotel, czy może właśnie klinikę – stały tam dwa bardzo porządne mercedesy, model bentleya, którego nie rozpoznawał, oraz toyota Century. Mniejsza czy to pacjentów, czy obsługi, z tej strony niósł się mocny zapach pieniędzy.

Kierowca zdalnie otworzył drzwi, Paul wysiadł bez pośpiechu, podziękował szoferowi i poprosił, żeby ten zaczekał chwilę. Rozejrzał się jeszcze raz, tak, zdecydowanie

pachniało tu pieniżkami i solidną ochroną. Szumiały wspaniałe drzewa, śpiewały ptaki, było rześko i ciepło, już prawie południe. Zapatrzył się na Fujiyama ponad jeziorem, już sam ten widok, to znaczy – tak wielka działka tutaj, musiał kosztować miliony, może dziesiątki milionów dolarów. A wszystko wkoło było piękne, czyste, idealne, Japonia jak z foldera.

W prawie–ciszy usłyszał za plecami poszum odsuwających się drzwi recepcji, obejrzał się.

Nagle widok Fuji–san ponad jeziorem Kawaguchi, w pięknej pogodzie, spadł w jego rankingu o jedno miejsce w dół.

Z szerokich podwójnych drzwi wyszła trójka najpiękniejszych ludzi, jakich w życiu kiedykolwiek widział, na żywo i na ekranie.

Przodem szli młodzi kobieta i mężczyzna, oboje w eleganckich letnich strojach biurowych, białe koszule z krótkim rękawem, ciemne spodnie. Oboje mieli oszałamiająco błękitne oczy i czarne falujące włosy, kobieta związane w koński ogon, mężczyzna krótko przycięte. Ich proporcje, figury, sposób poruszania się, to jak kobieta trzymała tablet a mężczyzna dłoń w kieszeni, zdumiało Paula. Byli po prostu idealni, jakby zeszli z klasycznych greckich postumentów, jak wzorce 25 letniej mężczyzny i kobiety. Ich rysy mieściły się dokładnie pośrodku pomiędzy Europą i Azją.

Za nimi wolno szła odrobinę starsza kobieta, to było niemożliwe, ale była jeszcze bardziej idealna, jej rysy były podobnie mieszane, azjatycko–europejskie. W nieco obcisłej bluzce i obcisłej spódnicy do kolan, płynęła przez podjazd. Paul zdumiał się ponownie, miała buty na niskim obcasie, a wydawało się, że jest wysoka niczym modelka, kiedy wcale

tak nie było. Falujące brązowe włosy, ciemne oczy a nie niebieskie, pełne usta, doskonała uroda, ręce za plecami.

Kiedy szła przez podjazd te dziesięć kroków, wszystko wkoło stawało się nieco bardziej jak ona. Asfalt podjazdu wydawał się jeszcze gładszy, powietrze cieplejsze i jeszcze bardziej pachnące, światło miłsze, świat stawał się jeszcze piękniejszy.

Paul zacisnął powieki, odetchnął głęboko, prawie upuścił bluzę, którą trzymał w ręku. Kiedy otworzył oczy, stali przed nim i uśmiechali się nikle.

– Czy pan Paul Fraser? – upewniła się piękna dziewczyna z przodu, po głosie poznał, że to chyba Anna.

– Tak... – próbował nie patrzeć na nich, skupić się na czymś w tle, ale nie potrafił. Przytłaczali urodą, do odsłoniętego ramienia dziewczyny trzymającego tablet można było pisać sonety. Zarys jej biustu oszałamiał, a chłopak obok niej, kiedy z gracją obrócił się i przeszedł do kierowcy minibusa, w każdej sekundzie mógł służyć za model do rzeźby.

– Jakieś bagaże? – młody mężczyzna obejrzał się na Paula.

Który zwątpił w swoją heteroseksualność.

– Nie...

Młodzieniec zajrzał do kierowcy i coś tam powiedział.

– Witam, jestem Anna – dziewczyna ukloniła się w stylu japońskim, nie podawała ręki.

– Witam, Paul, Paul Fraser – odklonił się. Nieopatrznie spojrzał w dół, na nagie łydki tej kobiety z tyłu, był gotowy paść na kolana i odbębnić improwizowaną litanię do żeńskiego *musculus gastrocnemius*.

Uciekł wzrokiem w bok, zauważył kątem oka, że mężczyzna sięgnął do kabiny, do kierowcy, poklepał go czy szturchnął, po czym szofer zeszywniał, uruchomił pojazd i wolno ruszył do wyjazdu.

Mężczyzna obrócił się do Paula i lekko zmarszczył boskie brwi.

– Czemu z Yamanashi? – zapytał spokojnie, jego baryton był taki głęboki.

Paul wyprostował się, zapatrzył w twarz młodzieńca, w jasne oczyska.

– Przyleciałem śmigłowcem z... Narita...

– Aha.

Młodzi obejrzelili się na kobietę z tyłu.

– Jesteście wolni – rzuciła półgłosem, od którego Paulowi zrobiło się jeszcze cieplej; próbował nie patrzeć jej w twarz, ale kiedy patrzył na jej ciało, było jeszcze gorzej – Przesuńcie mój kalendarz o... dwie godziny, i przygotujcie wszystko.

Młodzi skinęli głowami i poszli do wejścia, z niewysłowioną gracją.

– Jestem Sinna Harada – kobieta leciutko skinęła głową, cud jej głosu spowodował, że nieopatrznie spojrział w jej ciemne oczy, pod idealnymi brwiami i fantastycznymi rzęsami, utonął w nich zupełnie – Trzymasz się, Paul?

– Nie wiem... – Paul zdawał sobie sprawę, że kiepsko się trzyma, od uderzeń adrenaliny i ciśnienia krwi było mu słabo, jakby w strachu przed śmiertelną walką. Nie myślał, że można mieć taką reakcję wobec czyjegokolwiek piękna.

– Obejrzyj się na Fuji – odpowiedziała.

Udało mu się zamknąć oczy i odwrócić od kobiety. Ale czuł za sobą jej obecność niczym rozżarzony piec, niczym ciśnienie fali uderzeniowej, choć żadnej fizycznej akcji nie było. Jej sama obecność wyciskała piętno na nim i wszystkim wkoło.

Spojrzał na przepiękny widok Fuji, tak bardzo... nieadekwatny. Miał przemożną chęć obrócić się z powrotem do Sinny, choć sekundę dłużej napawać się jej pięknem i istnieniem, adorować jej urodę.

Powstrzymywał się nadludzkim wysiłkiem, nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu tak sam ze sobą walczył.

Ale nie obejrzał się.

Słyszał, że zrobiła trzy kroki, stała obok niego. Umierał co sekundę, z każdym uderzeniem serca, ale uparcie zapatrzył się na piękną górę, żeby nie obejrzeć się na przepiękną nieznajomą.

– Bardzo dobrze! – jej głos roztopiał mu rozum i serce – Jesteś twardy! Nina ma oko... jak zwykle. Zaraz będzie łatwiej, wytrzymaj trochę, przyzwyczaisz się.

– Kim ty... wy... jesteście? – wydukał.

– A co Nina ci powiedziała?

– Że jest aniołem, boginią... że to magia.

– I tej wersji się trzymajmy! – w jej cudownym głosie drgały iskierki śmiechu, od których drzewa przy drodze wydały się dwa razy bardziej żywe.

– Chciałbym poznać prawdę... – zamknął oczy – O co tu chodzi...

– Wiem – odparła – Kto by nie chciał! Chodźmy gdzieś usiąść. Niestety, musimy spędzić trochę czasu razem, dopiero potem dostaniesz lunch, mieszkanie, łazienkę.

Westchnęła, dałby się pokroić za to westchnienie.

– Nie zaryzykujemy, żebym szła przodem. Nie patrz na mnie, po lewej za mercedesami jest ścieżka i ogródek na zboczu, tam jest ławeczka. Będę zaraz za tobą, idź.

3

Usiadł na końcu ławki, w cieniu dużego drzewa na skraju dolinki. Ławka była przedziwnie wygodna, ponad ogródkiem i klonem przy wjeździe nadal widział Fujiyama, za lustrzaną taflą jeziora; w lustrze była tam druga góra, do góry nogami. Ale jego uwagę nieodwołalnie przykuwała Sinna, która starała się zachowywać dyskretnie, nie wchodziła w jego pole widzenia, usiadła na drugim końcu niedużej ławki.

Na skrzypnięcie ławki kiedy siadała, serce prawie wyskoczyło mu z piersi. Widok kątem oka, jej stopy w delikatnym sandałku z cieniutkich pasków, kiedy założyła nogę na nogę, spowodował, że Paul odkrył, że od zawsze musiał być fetyszystą w tym temacie, bo przecież niemożliwe, żeby został nim w 2 sekundy.

– Zamknij oczy i opowiedz, co ci się przytrafiło.

Zrobił jak mówiła. Nie tłumaczył zbyt wiele, skąd i po co znalazł się w tym cholernym Meksyku, i dlaczego prawie poległ w starciu z młodzieżowo–narkotykową bojówką. Ale całą resztę zreferował dokładnie. Także zaobserwowane

zmiany świata. Ale nie wspomniał o Akicie i swoich kontaktach w Japonii.

– Tak... – westchnęła – W zasadzie, wszystko jak zwykle. A brodę miałeś już wcześniej?

– Nie... – zapomniał o tym.

– Mhm. Z nią tak zawsze. To znaczy z Niną, nie z brodą! – słyszał, że Sinna się śmieje – Spróbuj na mnie spojrzeć, proszę.

Spróbował. Jej uśmiech olśniewał, jej oczy przepalały mu duszę, za pasmo jej włosów oddałby rękę. Ale jakby mniej dyszał, adrenalina opadała, czuł się minimalnie pewniej. Albo po prostu jego sponiewierane umysł i ciało nie pomieściły już więcej wrażeń.

– I jak? – uśmiechnęła się ciepło.

– Jakby... lepiej. Troszeczkę – westchnął.

– Tak jak mówiłam, przyzwyczajasz się – odparła, opierając się o ławkę i wystawiając twarz na promienie słońca, które jasną plamą przebiły się przez koronę kasztanowca. Gdzie są geniusze pędzla kiedy są potrzebni, ktoś to powinien natychmiast namalować! Paul pomyślał, że nie zapomni jej i tej sceny, do końca swych dni.

– Jesteśmy, tak jak Nina mówiła, co najmniej półbogami, aniołami, demonami, z twojego punktu widzenia – ciągnęła, nadal wystawiając twarz na drgającą plamę światła – Rzeczywistość zmieniała się na skutek reakcji automatycznej, kiedy... postaci... Wiesz, co to awatar?

Z radości, że spojrzała na niego, ledwo dał radę odpowiedzieć.

– Wiem... chyba wiem.

– Kiedy jej awatar został zagrożony w twoim świecie, jej... prawdziwe „ja” zareagowało automatycznie i uzgodniło taką wersję rzeczywistości, w której nic jej nie grozi i grozić nie może – ciągnęła, teraz nie patrzyła na niego, tylko na odległą górę, na Fujiyama. Spróbował odwrócić wzrok i spojrzeć na jezioro, bo kiedy na nią patrzył trudno było mu zrozumieć, co ona mówi. Niby było lżej, niż parę minut temu, ale nie było łatwo znieść jej obecność – W skrócie, awatara Niny nie da się zabić, zniszczyć, i tak dalej, w żaden znany ci sposób. Ani nożem, ani bombą atomową.

Pomyślał, że „znany ci sposób” sugeruje sposoby nieznane, ale nic nie powiedział.

– I ja przetrwałem tę zmianę świata? Inni chyba też, o ile rozumiem? Tylko część rzeczywistości się zmieniła?

– Tak. Choć zasięg tej zmiany był... znaczny – cudownie westchnęła – Bo Nina jest... znacząca.

– Czyli gdybym rzucił się na ciebie z nożem, też byłaby taka zmiana, tylko mniejsza? – chyba wracała mu zdolność myślenia, chociaż nadal jej uroda zanurzała jego myśli w syropie miłości i adoracji – A po mnie ślad by nie został?

– Mhm. Może jakiś ślad by został, ale na pewno nie w wersji „Paul z nożem nad Kawaguchi”. A zmiana rzeczywistości... Byłaby jakieś cztery razy mniejsza... w pewnych miarach – przyznała Sinna – Nina jest starsza. I mocniejsza. ZNACZNIE starsza i mocniejsza, niż moje pokolenie.

– A dużo jest tych waszych pokoleń? I takich jak wy? – zapytał. Na ogół był racjonalny do szpiku kości, ale trudno mu było zachować sceptycyzm, wierzył jej.

– Wraca ci racjonalność? Humorek? – zapytała ciepło, pochylając się do niego.

Pokiwał głową, nie był w stanie wydobyć słowa, bo od jej bezpośredniości gwałtownie mu się pogorszyło w temacie „jak dostać udar mózgu, od piękna kobiety”.

– Pokoleń jest ze cztery, ale najpierwsze jest w zasadzie nieosiągalne – odchyliła się na oparcie ławki i kontynuowała – Nina jest drugim, ja trzecim. Anna i Adrian, ci młodzi, to czwarte. A ilu nas w sumie jest... trudno powiedzieć, pewnie w sumie kilkadziesiąt... osób. Z czego część nieosiągalna z twojej rzeczywistości, a część nawet dla nas nieosiągalna. I nie wszyscy bawią się w... takie awatary.

Wolnym wystudiowanym ruchem lewej dłoni podniosła nieco lewą pełną pierś, w obcisłej bluzce, z jego strony. O mały figiel a dostałby orgazmu.

Zacisnął oczy i opanował się z najwyższym trudem.

– Wytrzymałeś? – zainteresowała się.

– Chyba tak... – ale nie otwierał oczu, próbował wygonić z pamięci powidok jej ruchu i piersi, nie było łatwo.

– Jesteś dzielny! – zaśmiała się.

– Kim my dla was jesteście? Kim... ja... – zaciął się w sobie. Jeśli to, co mu się zdarzyło, naprawdę się zdarzyło, a nie było tylko halucynacją na niezłych dragach, czy jakąś wielopiętrową znową (ale skąd ten telefon!) i jeśli jej wierzył, to przecież nie miało sensu Sinnę o to pytać.

– Naprawdę jesteś dzielny – westchnęła – I niezwykły. Tak normalnie, jesteście... nikim. Niestety. Niektórzy z nas lubią was, indywidualnie, tak jak Nina ciebie, albo jako zbiorowość,

czy nawet ludzkość. Inni mają was gdzieś. Domyślasz się, że nie macie praktycznie wpływu na nas. To znaczy, jako awatary żyjemy w tym samym czasie i w waszej rzeczywistości, ale nasz wpływ na was jest milion razy większy, niż wasz na nas...

– Czyli jestem dla Niny jak kotek, piesek?

– No nie – uśmiechnęła się promiennie, znowu zrobiło mu się cieplej – Jesteś dla niej niezwykłym mężczyzną, a nie żadnym tam zwierzątkiem. Skoro jej... prawdziwe „ja” zachowało cię w tak spójnym stanie... i dodało tę brodę! – roześmiała się – To znaczy, że podobasz jej się. Że potrzebuje cię. Na ile bogini potrzebuje człowieka... Co nie znaczy, że inni z nas nie traktują ludzi nie to, że jak pieski i kotki, ale jak paprotki. Albo karaluchy – zmarszczyła śliczne brwi.

Zapadła długa cisza, zapatrzili się oboje na górę za jeziorem.

– Jak tam ramię? – nagle zmieniła temat.

Poruszył ostrożnie lewym ramieniem, w zamieszaniu, przytłoczony ich pięknem, zupełnie zapomniał o ranie i bólu.

Nic tam nie czuł.

Powoli pomacał triceps przez rękaw koszuli, opatrunek nadal tam był, ale nie wydawał się potrzebny; nie czuł żadnego bólu czy dyskomfortu.

– Wydaje się w porządku – sprawdził ruchy przedramienia, obroty nadgarstka, wszystko wydawało się okej, jakby nigdy nie zarobił kulki w triceps – To ty??...

– Mhm – uśmiechnęła się – Z grubsza załatane. Ale popracujemy jeszcze na tym... nad wszystkim. Po to tu jesteś.

– Właśnie miałem zapytać, co ja tak naprawdę tu robię... –

nadał patrzył na górę za jeziorem.

– Odpoczywasz. Podleczy my cię... wielostronnie. Utrwalimy cię, w sensie odporności na zmiany rzeczywistości, na zagrożenia, o których ci się nie śniło – jednak spojrzał na nią, ukradkiem, bawiła się pasmem swoich ciemnokasztanowych włosów – Żebyś mógł wytrzymać z Niną dłużej...

– „Wytrzymać”? Służyć jej? – zmarszczył czoło – Do czego??

– Służyć? Nie... – Sinna leciutko wydeła śliczne usta – Raczej „dotrzymać Ninie towarzystwa dłużej”, a nie „wytrzymać”. Nina jest w porządku...

– Brzmi jak wygrana na loterii – odpowiedział wolno.

– Pewnie tak, z punktu widzenia miliardów ludzi – przyznała mu rację – Co jeszcze... Odpoczywasz, mieszkasz tu, nie dajesz mi się uwieść, Annie i Adrianowi też lepiej nie...

Parsknął.

– O proszę, jaki twardzielek! – słyszał rozbawienie w jej głosie – Popatrz na mnie.

Zebrał całą siłę woli i popatrzył na Sinnę. Jej piękno i seksapil uderzyły go jak młotem, ale teraz zaledwie 5 kilogramowym, a nie z siłą 5 tonowego kafara, jak na parkingu.

– Lepiej? – zapytała.

– Tak... Ale i tak jesteś nieziemsko piękna... – wydukał.

– Dobrze powiedziane – błysnęły jej zębki i ciemne oczyska – Spróbujmy... podaj mi dłoń.

Wolno podał jej prawą dłoń, równie wolno położyła swoją

lewą prześliczną dłoń, na jego kanciastej prawicy, nienawykłej do kobiecego dotyku.

Kiedy ciepłe opuszki jej palców dotknęły wnętrza jego dłoni, załała go fala gorąca i szczęścia, nie mógł oderwać wzroku od jej oczu.

Cienie w ogródku i na podjeździe przeskoczyły o parę metrów, na pogodnym niebie z nicości wyskoczyły chmurki, a z leciutko sfalowanego jeziora zniknęło odbicie Fujiyama.

Zabrała dłoń, poczuł się tak porzucony, że chciało mu się płakać z rozpaczy i błagać, żeby jeszcze pottrzymała go za rękę.

– Minęła prawie godzina... – przeciągnęła długimi palcami przez kasztanowe włosy – Na razie musi wystarczyć.

– Dziękuję...

– Jesteś niezwykle! – pokiwała głową w umiarkowanym zdumieniu.

– Dlaczego? – dochodził do siebie.

– Wydaje mi się, że jeszcze nikt mi nie podziękował, za pierwszy Dotyk... – zmarszczyła leciutko śliczne brwi.

– A wielu nas było? – jakby wynurzał się z syropu, odzyskiwał myślenie i rezon. Oraz bardzo wyraźnie czuł, że siedział tu bez ruchu przez godzinę.

– Bardzo wielu... – nagle wyraźnie posmutniała i usta jej zadrgały, zdumiała go jej reakcja.

– Jesteście... wieczni? – pomyślał o ich samotności.

– Nie, raczej „tylko” bardzo bardzo długowieczni – przyglądała mu się z nową uwagą, a jemu łatwiej było znieść

jej urodę, nadal oszałamiającą.

Zaczęła pochylać się w jego stronę, wyciągać lewe ramię, ale zatrzymała się w pół ruchu.

– Nie... – wyprostowała się – Cholera, Nina ma jednak zupełną rację...

Westchnęła głęboko, mógłby adorować to westchnienie do końca życia.

– Odpoczywać! Nie dawać się wciągać we flirty! Sesje raz, dwa razy dziennie! – odzyskała nonszalancką postawę, uczenie wystawiła do niego wskazujący palec – To są zalecenia twojego lekarza! To znaczy, moje. Idziemy coś zjeść.

Wstała i wygładziła spódniczkę na biodrach. Znowu zrobiło mu się gorąco.

– Pani doktor, chyba powinienem dać znać Ninie, że dotarłem i że wszystko w porządku – wstał i sięgnął do kieszeni, po telefon.

– Nie trzeba – pokręciła głową, włosy ślicznie zafalowały – Nina jest... poza zasięgiem, i już wie, że dotarłeś. Chodźmy. Ty przodem.

4

Sinna przekazała go w pięknym hallu recepcji Annie, pożegnała się zdawkowo i gdzieś sobie poszła. Paul wyraźnie łatwiej znosił urodę niebieskookiej młodszej piękności niż doktor Harada, poczuł się okropnie głodny.

– Usiądźmy na sekundę, muszę cię wprowadzić, zanim

dostaniesz lunch – chyba wiedziała, jak bardzo był wyczerpany i głodny.

Usiedli na sofie hallu, po jej przeciwnych końcach, przy niskim eleganckim stoliczku. Kącik – poczekalnia był ustawiony frontem do wielkich szyb przy wejściu, nadal widzieli odległą Fujiyama za jeziorem.

– Po pierwsze, większość obsługi kliniki i jej kilku pozostałych pacjentów nie jest... z nami. Nie są jak ty, nie są wtajemniczeni. I niech tak zostanie – Anna uśmiechała się spokojnie.

– Rozumiem – Paul wracał do siebie, jego umysł wracał do normy, pomimo jej uśmiechu i krzywizny jej biodra – Mogę z nimi rozmawiać, pod jakąś legendą, czy odcinać jakiekolwiek kontakty?

– Możesz rozmawiać... – uniosła prześliczną brew – Ty wyjątkowo szybko adaptujesz się. To wrodzone, czy zawodowe?

– Byłem zawodowym żołnierzem... A ostatnie lata: prywatnym najemnikiem i w okolicy różnych wywiadów – przyznał niechętnie – Kto nie adaptuje się szybko w tej branży, ten zaraz ląduje na dnie najbliższego zbiornika wodnego...

– Aha – uśmiechnęła się promiennie i przeczesła czarne włosy, identycznym gestem jak Sinna kasztanowe – Możesz rozmawiać, ale nie opowiadaj im za wiele o nas, o Ninie, o sobie. Nie uwierzą ci i tylko będzie niepotrzebne zamieszanie.

– Rozumiem.

– Dostaniesz apartament w skrzydle hotelowym, odległy od innych gości. Klinika zajmuje ten budynek, restauracja jest

tam – machnęła piękną dłońią ponad barkiem, na lewo od wejścia – Na samej górze są nasze biura i mieszkania, nie zwiedzaj bez zaproszenia. Prywatność innych gości też szanuj.

– Oczywiście. Ale po terenie mogę się poruszać? – zapytał.

– Tak, możesz się poruszać, od drogi nad jeziorem w górę doliny to wszystko nasz prywatny teren, jeśli chcesz spacerować kawałek w góry – odparła – Obsługa po stronie technicznej i kuchni nie jest przyzwyczajona, żeby goście tam zaglądali, ale nie ma restrykcji.

– A poza terenem?

– Też możesz się poruszać, jeśli chcesz. To znaczy, lepiej nie opuszczaj... zabiegów i posiłków, ale nikt cię tu nie trzyma siłą – pokręciła głowę – Jeśli chcesz ryzykować spotkania z tubylcami i... obcymi, możesz łązić wzdłuż jeziora. Aha, recepcja przeważnie jest pusta. Możesz próbować kogoś przywołać przyciskiem albo zwracaj się do ochrony przy wjeździe, przez telefon albo wprost, tam zawsze ktoś jest. Jeśli zechcesz skoczyć do miasteczka, strażnicy wezwą ci jakąś „znajomą” taksówkę. Albo zawiezie cię szofer, jeśli któraś Century będzie wolna.

Paul skinął głową, zanotował, że w takim razie muszą tu mieć co najmniej dwie toyoty Century. Ciekawe, czy któraś ambasada w Tokio miała więcej niż jedną, na pewno Pałac Cesarski miał kilka.

– Ile mnie to wszystko będzie kosztować? – zapytał.

– Ciebie nic, Nina stawia – Anna zaśmiała się sucho – Dzisiaj odpoczywasz, następne spotkanie z Sinną masz jutro.

– Muszę coś zjeść – przyznał, było mu słabo z głodu – I

pewnie muszę dokupić ciuchy i drobiazgi.

– Możemy ściągnąć krawca i tak dalej, ale wykonanie potrwa... – odparła.

– Nie, skoczę gdzieś do sklepu, to wystarczy.

– Dobrze. Chodźmy po klucze, pokażę ci restaurację.

Dostał stoliczek przy samym panoramicznym oknie, nadal z widokiem na jezioro i odległą Fujiyamę, teraz góra leżała w cieniu, pod podwójną warstwą chmur. Po tej stronie jeziora nadal było dosyć słonecznie.

Restauracja była mała, pustawa, bardzo prosta i piękna, w tle sączyła się cichutka muzyka instrumentalna. W głębi był elegancki bar i mini-kuchnia; Paul zorientował się, że właściwa kuchnia musi być po drugiej stronie drogi wewnętrznej, w tym budynku zaplecza po zachodniej stronie terenu.

Pewnie należało się tam spodziewać też pralni, kotłowni i tak dalej, ośrodek wyglądał na zupełnie samowystarczalny. A skrzydło hotelowe nie było małe, miało minimum kilkanaście pokoi, albo i dwa razy tyle, jeśli były nie tylko od frontu, ale też „od tyłu”, od strony gór ponad dolinką.

Jedynym poza nim gościem restauracji był Japończyk w średnim wieku, wyglądający jak wzorcowy salaryman. Siedział przy odległym stoliku, po przekątnej pomieszczenia, i siorbał supę miso z miski, z krawatem przełożonym na plecy. Paul nie potrafił zgadnąć, czy to ktoś z obsługi, czy z pacjentów kliniki.

Obsługiwała starsza dystygnowana Japonka w tradycyjnym

stroju roboczym, a raczej w jego ekskluzywnej nowoczesnej wersji, mówiła bardzo dobrze po angielsku. Chciała zarzucić Paula paroma stronami menu, ale przerwał jej i zapytał, czy mają jakieś duże bento. Krygowała się, że kuchnia może dostarczyć coś znacznie bardziej efektownego, ale zaraz dogadali się, że Paulowi nie zależy i że duże bento wystarczy, a jeśli dorzucą mu miskę ryżu, plus tradycyjne dodatki i herbatę, to będzie zupełnie zadowolony.

Zamówienie zostało dostarczone w parę minut; Paul zdumiał się, bo nie było to marne bento z lodówki, ale wszystko było zupełnie świeże. O ile świeży ryż i dodatki, czy herbata, to jasne, nie pojmował jak można tak szybko zrobić tyle różnych mini-dań, w 12 przegródkach pudełka. Zatrzymał Japonkę i dopytywał, nie bardzo chciała to wytłumaczyć ale kiedy przeszedł na jego słaby japoński, przyznała, że szef kuchni oddał mu własny lunch.

Już chciał się obruszyć i zwrócić to do szefa, no nie mógł objadać miejscowych, ale że jego burczący brzuch mówił „NIE!”, rozpląnął się tylko w ukłonach i setce „arigato gozaimashita”. Oraz zapewnił, że wspomni o postawie szefa menadżerom, i żeby przekazać mu najszczerze podziękowania. Najwyraźniej ujął tym Japonkę, zdradziła imię szefa – Daisuke.

Spałaszował bento i miskę ryżu szybko i nieelegancko, zastanawiał się, jak bardzo to nienormalne i skutki kontaktu z... nimi, z Sinną. Normalnie, po tak dużym śniadaniu jakie zjadł na Narita, niekoniecznie rozglądałby się za lunchem; mając wiadro kawy czy innego napitku spokojnie dotrwałby do obiadu, około 18. Teraz był wygłodniały, jakby nic nie jadł od wczoraj rano, a nie od śniadania.

Skończył posiłek, nad bardzo dobrą herbatą kontemplował widok Fuji, który znowu był w słońcu, śnieg migotał na szczycie wulkanu.

Dyskretnie podeszła Japonka, zapytała, czy wszystko dobrze i czy chce więcej herbaty, deser, cokolwiek. Podziękował i stwierdził, że wszystko było doskonałe, i że będzie się zbierał. Poprosiła o numer pokoju, musiał wyjąć klucz – 101. Wszystko było tak bardzo normalne, nie różniło się od setki hoteli i restauracji, które odwiedził w podróżach; zapisała sobie w notesie numer.

Wstał, dopił herbatę, uklonił się głęboko Japonce i przedstawił się jej jako Paul, i że będzie tu gościem przez jakiś czas. Oczywiście natychmiast został „Paul-sama”, po wielu ukłonach i formułkach Japonka przedstawiła mu się, nazywała się Tomoko.

Przeszedł przez pustą recepcję i korytarz o paru zakrętach, aż do króciutkiego łącznika do skrzydła hotelowego. Znalazł klatkę schodową i windę, przy oddzielnych wejściach do budynku, od frontu i od tyłu. Sprawdził, czy jego klucz otwiera i zamyka drzwi zewnętrzne, jak Anna mówiła.

Wszystko działało, podreptał na górę i odszukał swój pokój 101, na piętrze. Sądząc po układzie korytarza i ciągu okien, wychodzących na skwer za budynkiem i las w górze dolinki, hotelik miał pokoje gościnne tylko od frontu, od strony jeziora i Fuji.

Okazało się, że dostał apartament, a nie byle pokój hotelowy. Od frontu budynku miał pokój dzienny i obszerną sypialnię z podwójnym łóżem, oczywiście, oba pokoje z fenomenalnym

widokiem z panoramicznych okien, na południe, na Fujiyamę.

Miał też sporą garderobę, piękną dużą łazienkę i mały kącik kuchenny; nie typowy, gdzieś na biurku czy w przedpokoju, ale dyskretnie zamaskowany jako małe pomieszczenie – wnęka, koło łazienki.

Wszystko, całe wyposażenie, meble i wystrój, było bardzo piękne i bardzo nowe.

Ciekawe ile takie coś kosztowało za dobę, komercyjnie, w tej okolicy, z takim widokiem, i z taką restauracją. Stawiał, że w sezonie byłaby to kwota czterocyfrowa w dolarach, może po sezonie spadała poniżej tysiąca, ale niewiele spadała... A może w tej nowej wersji świata były inne ceny, musiał sprawdzić takie szczegóły.

Kiedy rozglądał się z okien pokoju dziennego, po jeziorze i ogródku przed frontem budynku (gdzie widział ławeczkę, na której z takim trudem znosił „przeżycia mistyczne” z przepiękną doktor Harada), para ludzi wyszła prawie pod jego oknami. W skrócie z góry widział wątego staruszka o lasce i podtrzymującego go dużego faceta. Obaj byli w porządnym garniturach, wolno zmierzali do mercedesa na parkingu. Staruszek musiał być naprawdę stary, albo chory, albo jedno i drugie. Poruszał się z trudem, wolniutko zapakował się na kanapę przedłużonego wozu, z pomocą służącego czy szofera. Po chwili wielkie auto wypłynęło przez wyjazd, na drogę nad jeziorem.

Też powinien wyskoczyć na zakupy.

Ale najpierw zdjął koszulę i zdjął opatrunek z ramienia, miał świeżą bliznę, zamiast postrzału... jakby oberwał z miesiąc temu.

Ochlapał łapy i twarz, pozbierał się do wyjścia. Przypomniawszy sobie coś – przejrzał papiery w szufladzie biurka, pod eleganckim telefonem. Tak jak mówiła Anna, miał tam wszelkie informacje o ośrodku, posiłkach i tak dalej. Jedyne co różniło te kupkę papierów od normalnej, w luksusowym hotelu, to jedna szczególna kartka bez nagłówka – harmonogram jego spotkań z Sinną, rozpisany na następne pięć dni.

Pomaszerował do budy strażników, żeby sprawdzić to, co Anna mówiła i organizację ośrodka.

Tylne drzwi budynek były bardzo solidne, z szybą ewidentnie pancerną. Kiedy zadzwonił, natychmiast ktoś odpowiedział w głośniku po angielsku, z silnym akcentem japońskim, że zaraz będzie. Na pewno widzieli go w kamerach, były na każdym rogu tego „bunkra”.

Wyszedł do niego strażnik w uniformie, z naszywką „K.KAGAMI” na piersi, giął się w ukłonach i w średnim angielskim dopytywał, czym może służyć Paul-sama.

Uwadze Paula nie uszło, że drzwi otwarły się nie na wewnątrz budynek, gdzie na pewno był ktoś jeszcze, ale na mini-służbę, z kolejnymi pancernymi drzwiami. Taaak, najwyższa klasa zabezpieczeń... ciekawe czemu. Albo może po prostu „a czemu nie?”, przy takiej klasie i kosztach całego ośrodka.

Zapytał, czy mogą zorganizować mu taksówkę, bo musi pojechać do najbliższego mallu albo dużego supermarketu. Strażnik, nadal gnąc się w ukłonach, wyciągnął radio i prędko zagadał do kogoś. Paul nie rozumiał praktycznie nic, z tak szybkiego japońskiego i jeszcze z jakimś lokalnym akcentem,

poza „Paul–sama” i „century”.

Strażnik stwierdził po angielsku, że jest wolny wóz ośrodka i nie trzeba zamawiać czy czekać na taksówkę, jeśli Paul–sama sobie nie życzy.

Nie życzył sobie. Kagami kontynuował dialog przez radio, wskazał mu, z ukłonem, toyotę Century za plecami i ławeczkę obok „budy”, identyczną jak ta wyżej w ogródku. Paul machnął ręką na ławeczkę, a kiedy strażnik skończył rozmawiać, podziękował mu wymieniając z dziesięć ukłonów, po czym wolno poszedł do wozu.

Drzwi „bunkra” strażników zaraz zatrzasnęły się ciężko, a od strony gospodarczej ośrodka szybkim krokiem wymaszerował przez parking dziarski, nieco starszy Japończyk, w porządnym garniturze, ale bez białych rękawiczek. Już z daleka kłaniał się i zdalnie uruchomił tylne drzwi toyoty, które otwarły się szeroko i zapraszająco.

Paul wtłoczył się do super–komfortowego wnętrza, na szarą wełnianą kanapę. Na śnieżnobiałych pokrowcach zagłówków był wyhaftowany taki sam mon, jaki widniał na tablicy z nazwą ośrodka, przy wjeździe.

Szofer wszedł szybko, prawie skrzył sobie kark w ukłonach przez ramię, przedstawił się jako Takao. W końcu zapytał w porządnym angielskim, dokąd Paul–sama życzy sobie przejażdżkę.

Paul odpowiedział paroma skinieniami głowy i poprosił o zawieszenie do jakiegoś większego mallu czy supermarketu, najlepiej z wyborem ubrań na kogoś jego wielkości – tak normalnie nie był bardzo wysoki, ale w Japonii zapewne potrzebował ciuchów w rozmiarach z dużą ilością literek X.

Szofer stwierdził, że po tej stronie jeziora nie ma odpowiednich sklepów, ale w Kawaguchiko po drugiej stronie coś się znajdzie, to góra kwadrans jazdy.

Paul przytaknął i zaraz popłynęli, w ciszy i komforcie cesarskiej toyoty, w stronę miasteczka za wodą.

Przejechali wkoło jeziora i pięknym smukłym mostem, ścinającym zatokę, wjechali prosto w centrum miasta, niedużego jak na Japonię; ale znacznie większego, niż osiedla na północ od jeziora, gdzie była Klinika.

Paul dopytał szofera, czy mu się dobrze wydaje, że gdzieś tutaj kończy się linia kolejowa i jest dworzec autobusowy, co pamiętał z map na Narita. Takao potwierdził, że to najbliższe miasteczko z sensownym transportem, po północnej stronie Fuji; przedwieczny wulkan górował nad miejscowością. Następną większym miastem, z transportem, sklepami i przemysłem, była aglomeracja Kofu, Yamanashi i kilku innych „dzielnic”, tam, gdzie Paul doleciał śmigłowcem. Według Takao, Kawaguchiko było raczej kurortem pod Fuji-san, niż normalnym miastem.

Szofer sprawnie wjechał na parking podziemny między jakimiś niedużymi centrami handlowymi, bez wahania zaparkował Century w sekcji VIPów. Zanim otworzył zdalnie drzwi, zapytał Paula, czy ma mu towarzyszyć.

Paul potrząsnął głową, na co Takao wręczył mu wizytówkę z numerami telefonów, „w razie czego”. Fraser podziękował i pomaszerował na zakupy.

Rozejrzał się po centrum handlowym, po układzie sklepów, było spokojne wczesne popołudnie. Zaczął od kupienia największej i najsolidniejszej walizy, jaka miała wymiary zgodne ze standardem bagażu lotniczego, przynajmniej tak zapewniała ulotka i sprzedawca sklepu walizkowo – torebkowego.

Miał wrażenie, że firma Samsonite zbankrutowała i zniknęła z rynku kiedy był młody, ale nie był na sto procent pewien, stąd nie wiedział czy walizka, którą właśnie kupił, wynika ze „zmiany świata”, czy z reaktywacji tej marki przez kogoś.

Nie spiesząc się zwiedzał mall, a w zasadzie dwa połączone malle. Dokupował osobiste drobiazgi, bieliznę, największe letnie koszule jakie znalazł, udało mu się trafić dostatecznie duże spodnie–bojówki i jakieś buty sportowe. Upychał wszystko w walizce i szedł dalej.

Największym wyzwaniem był garnitur, wymyślił, że przydałby mu się normalny strój biznesowy, bo w Japonii jego bluza i koszula były wybaczone tylko dlatego, że był turystą – gaijinem. Byle szofer czy biznesmen chodził tu w niezłym garniturze, dobrze byłoby się mniej wyróżniać. Może nie mógł ukryć ostrych rysów białego człowieka, czy ciemnoblonde włosów, czy niebieskich oczu, czy wzrostu, ale strojem mógł się lepiej dostosować.

Był z tym pewien problem, bo w żaden gotowy garnitur w sklepach odzieżowych nie zmieścił się sensownie. Nawet jeśli obwód garniturów uszytych na japońskich grubasów wystarczał, to nogawki czy rękawy były komicznie za krótkie.

Już miał poddać się i ewentualnie poprosić o krawca w ośrodku, albo zapytać Takao o lepsze sklepy, czy krawców w okolicy, kiedy w zakamarkach drugiego mallu trafił na sklep

„dla dżentelmenów”. Na witrynie poza męską odzieżą królowały eleganckie drobiazgi, paski, etui na cygara i podobne gadżety.

Stary japoński sprzedawca przyskoczył do niego z entuzjazmem, pewnie nudził się w leniwe popołudnie, bo nikt tu nie zaglądał. Prawie nie mówił po angielsku, ale japoński Paula wsparty uniwersalnym językiem machania rękami wystarczył, żeby dziadek wyszukał mu garnitur.

Jedyny, który pasował, był nieco zbyt ekstrawagancki, stalowoszary; ze względów „kamuflażu” Paul wolałby czarny, czy granatowy, czy navy, i bardziej klasyczny krój, ale nie było innego, w który by się sensownie zmieścił. Kiedy nieco marudził o to sprzedawcy, dostał w odpowiedzi spory upust z całkiem znacznej ceny, bo sklep nie był tani.

Paul machnął ręką, tak naprawdę garnitur mu się podobał, pal diabli „wcieranie się w Japonię” w żałobnych uniformach. A co do pieniążków, nadal płaciła Nina, miał jeszcze nieco ponad trzy tysiące, z dziesięciu które dostał na drogę. Nie myślał, że będzie musiał się z tego rozliczać, ale siłą nawyku brał na droższe zakupy paragony.

Pewnie mało klasyczny duży trzyczęściowy garnitur zalegał dziadkowi w sklepie od dawna... W odpowiedzi na miły upust Paul wziął jeszcze dwie porządne białe koszule. I dwa krawaty, pozwolił je dobrać sprzedawcy, który z rozkoszą kręcił wielkim stojakiem z krawatami; mamrotał do siebie po japońsku dobierając je, najwyraźniej pod kolor garnituru i włosów Paula. Wybrał jeden stonowany, granatowy, ładnie współgrający z szarostalową marynarką i granatem satynowego tyłu kamizelki, oraz drugi bardziej ekstrawagancki, burgund żyłkowany fioletem czy purpurą.

Paul próbował dopytać o jakieś pantofle do garnituru, ale sprzedawca potrząsał głową i kłaniał się, z tego co Fraser zrozumiał, sklep nie prowadził obuwia, a znane dziadkowi sklepy obuwnicze raczej nie miały aż takich rozmiarów. Musiał pomyśleć o tym, ale na razie jego skórzane buty mogły wystarczyć, gryzłyby się z czarnym garniturem, ale ujdą jakoś z tą szarą egzotyką.

Wszystko zostało spakowane, garnitur w tej cenie był razem z klasycznym wieszakiem i pokrowcem; Paul żałował, że nie wziął ze sobą Takao jako tragarza. Zapłacił i wyniósł się, ciągnąc za sobą walizę i niosąc pokrowiec z garniturem.

Kiedy dotarł do zejścia na parking podziemny (nie gubił się łatwo, od dziecka miał niezłą orientację przestrzenną; odruchowo starał się zapamiętywać trasy w obcych miejscach), przed samym travelatorem dopadł go Takao-san, który wystartował z jakiejś kafejki obok. Przeprosił i zatrzymał Paula, dopytując, czy już skończył zakupy i czy będą wyjeżdżać.

Fraser myślał, że to normalna praktyka tutaj, ale kiedy potwierdził, że skończył i że wracają do ośrodka, Takao wyrwał z kieszeni marynarki małe płaskie radio taktyczne i bardzo szybko wydał jakieś rozkazy po japońsku. Ton głosu i intonacja nieodmiennie to wskazywały, nie był to normalny dialog.

Zdziwił się, zapytał szofera po japońsku, czy coś się stało. Zaskoczony Japończyk z ukłonem odparł, że nic wartego uwagi Paula-sama. Taaak...

Ktoś coś odpowiedział w radio i Takao zaprosił go gestem na

chodnik ruchomy, na parking.

Zjechali w milczeniu, przeszli do sekcji VIP, gdzie stała ich wielka toyota, tak jak ją zaparkowali poprzednio.

Nie uszło uwagi Paula, że w odległym ciemnym kącie parkingu dwu rosyjskich ludzi w garniturach właśnie zakuwało w kajdanki leżącego na ziemi trzeciego krawaciarza.

Zapakowali zakupy do bagażnika Century. Paul spojrzął w oczy Takao, uniósł brew i wskazał plecy trójki, znikającej w dalszej, ciemniejszej części parkingu; dwu gości bez większego wysiłku wynosiło trzeciego.

Japończyk odpowiedział najłżejszym przeczącym kręceniem głową, i dziesięcioma ukłonami. W milczeniu otworzył drzwi, wsiedli i wypłynęli z parkingu, niczym na latającym dywanie.

Takao upewnił się, że wracają do Kliniki; pojechali przez miasteczko, w nieco większym popołudniowym ruchu. Znowu przemknęli przez smukły most na drugą stronę jeziora i śliczną drogą nad wodą zaraz dojechali do ośrodka.

Z parkingu pod częścią hotelową zniknęły poprzednie wozy, pojawiła się druga identyczna toyota Century.

Takao zaparkował obok bliźniaka, i otworzył drzwi i bagażnik. Pomógł Paulowi wyjąć zakupy, proponował pomoc w zanieśieniu ich na górę.

Paul potrząsnął głową i przez chwilę odruchowo myślał o napiwku, ale zreflektował się, że w Japonii, przynajmniej tej którą znał z poprzedniego świata, to jednak byłby nietakt.

– Takao-san, czy mam się martwić tym, co tam zaszło, na parkingu? Czy następnym razem powinienem pozwolić komuś, żeby mi towarzyszył? – Paul rozumiał jak działa

ochrona na tym poziomie i o ile trudniej chronić kogoś, kto nie chce ochrony, albo nie wie, że powinien być chroniony. Znał to nie tylko z teorii, ale też z praktyki.

Japończyk przyjrzał mu się uważnie, w milczeniu, wykonał kilka standardowych ukłonów.

– Paul–sama, nie powinien się pan niczym martwić – odparł, pozostając w lekkim ukłonie, wyprostował się – Jesteśmy tu po to, żebyście nie musieli przejmować się takimi drobiazgami...

Paul odklonił mu się głęboko i pomaszerował do drzwi hoteliku, z toczącą się walizą i pokrowcem z garniturem na ramieniu. Rozwazał tę liczbę mnogą „żebyście”, i w jakiej to grupie nagle się znalazł, w oczach takiego Takao.

5

Rozpakował zakupy, powiesił i rozłożył rzeczy w przepastnej garderobie, po czym wziął długą gorącą kąpiel, wyprał z siebie zmęczenie i stresy. Na otrzeźwienie wziął po niej szokujący zimny prysznic; nie przepadał za tą metodą, ale bez wątpienia działała.

Z doświadczenia wiedział, że jetlag go dopadnie, zawsze było gorzej po długodystansowych lotach na zachód. Zastanawiał się, co ma ze sobą zrobić, było wczesne popołudnie, po 16. Obiady jadał koło 18, sprawdził, że restaurację otwierają o 17. Nie miał ochoty na głupią japońską telewizję na wielkim płaskim ekranie, jaki miał zainstalowany w pokoju; postanowił przejść się w dolinę i po okolicy.

Ubrał się w nowe komfortowe ciuchy, spodnie–bojówki były w porządku, sportowe buty nie były za ciasne. Jak zwykle zdumiewało, że w Japonii zwykły towar w zwykłym sklepie przypominał jakością wyższe półki ze Stanów czy Europy, a zwykle wyższe półki japońskie mogły konkurować z produktami na zamówienie i zupełnie specjalnymi, tak zwanego „bogatego Zachodu”. Wiedział, czemu tak jest, doświadczał tego wcześniej, w różnych zakresach i dziedzinach, ale zawsze nieco zdumiewało, jak bardzo biali ludzie godzą się na niską jakość... wszystkiego.

Kiedy otworzył drzwi, korytarzem nadchodziła dziwna japońska para – facet pokroju ochroniarza, w służbowym garniturze i ze służbowym wyrazem zakazanej mordy, w wielkich ciemnych okularach; i młoda Japonka pokroju „eskorty”, w efektownej kusej sukience, z efektownym przesadnym sztucznym makijażem i takim też biustem. Szli gdzieś z głębi budynku, na jego widok zatrzymali się grzecznie, ukłonili nieznacznie i chcieli go przepuścić, a raczej wypuścić z apartamentu. Odkłonił się im i cofnął do przedpokoju, przymknął drzwi. Po chwili przeszli oboje. Cofnął się do ciemnego pokoju, dyskretnie wyrżał przez okno przed front budynku, na parking tonący w cieniu, bo słońce już zaszło za garb wzgórza po zachodniej stronie ośrodka.

Zwalisty facet odprowadzał dziewczynę w niebieskiej metalicznej obcisłej sukience do jakiegoś kosztownego płaskiego samochodu, który w międzyczasie pojawił się na parkingu, obok dwu toyot Century. Paul nie rozpoznawał modelu dużego sportowego auta, w efektownie krwistym kolorze, przypominającego może nie aż lamborghini, ale któregoś bardziej kanciaste ferrari.

Ktoś zdalnie otworzył wóz, duży otwarł i przytrzymał kobiecie drzwi; wsiadła za kierownicę niskiego auta z niejakim trudem, choć wcale nie krępowała się wysoko podwiniętej sukienki. Ochroniarz zamknął za nią delikatnie drzwi, po chwili wóz bezszmerowo ruszył i wolno potoczył się do wyjazdu.

Paul doznał lekkiego szoku, kiedy zauważył znaczek pod spojlerem dużego efektownego coupe – w jego świecie NA PEWNO nie było takich modeli lexusa.

Kiedy auto dotoczyło się do drogi nad jeziorem, stanęło na chwilę, pewnie dziewczyna rozglądała się w obie strony, po czym wóz wykatapultował się w lewo z absurdalnym przyspieszeniem. W pokoju, przez solidne okna, usłyszał tylko cichutki gwizd i nieco dymu rozwiało się z szerokich opon, nie było żadnego ryku wydechu. Lexus zniknął jak zdmuchnięty.

Paul kręcił głową w zdumieniu, obserwował, jak zwalisty Japończyk odprowadzał wzrokiem pojazd, po czym wyjął papierosy i zapalił jednego. Stał tam sobie spokojnie i palił.

Fraser westchnął, jak wiele musi się nauczyć o tym świecie! I jego mieszkańcach. I o potencjalnych zmianach tego świata. Lubił wyzwania i poszerzać swoją wiedzę, ale nagle zatęsknił za nudnym życiem sprzed tygodnia.

Kręcąc głową wyszedł z pokoju i pomaszerował na tyły budynku.

Za skrzydłem hotelowym odkrył nie tyle skwer, co ogród zen. Pod ścianą, przy oknach korytarza parteru, biegł szeroki chodnik, z paroma ławkami, plecami do budynku, ale dalej przed nimi to nie był beton, tylko szary żwir, udrapowany w

fale i proste, z rozrzuconymi na płaszczyźnie efektownymi głazami, prawie czarnymi.

Ogród zen przechodził w tle w skałki i zadbane rośliny skalne, a dalej zaczynał się las, którym były porośnięte wzgórza i góry wkoło. Wszystko było bardzo czyste i zadbane, bardzo piękne, zapewne jeszcze piękniejsze zanim słońce nie zaszło za garb wzgórza.

Przeszedł powoli do drogi wewnętrznej i pomaszerował w górę doliny.

Po parudziesięciu metrach równiutka droga skończyła się, zaczął się znacznie węższy i podniszczony asfalt, wznoszący się sporymi zakosami w górę. Odkrył jakiś zapomniany parking, na 8 czy 10 miejsc, jakąś na poły zruinowaną wiatę po przeciwnej stronie drogi. Na kolejnym zakręcie był wyraźny zarys fundamentu, podmurówki jakiegoś dawno rozebranego domu, czy czegoś podobnego.

Obejrzał się, po trzech zakrętach i paruset metrach stracił z oczu ośrodek, szumiący las wszystko zasłaniał. Ale chyba widział, gdzie przez korony drzew prześwitują śniegi odległego Fuji-san, bo był też coraz wyżej na zboczu doliny.

Po następnym zakręcie asfalt zniknął, zostały dwie koleiny w trawie i żwirze, ktoś tu musiał jeździć, ale niezbyt często. Drzewa wkoło były starsze, większe, szumiały znacznie bardziej, pod ich ciężkimi koronami zapadał zielonkawy zmierzch.

Doszedł do parometrowej kapliczki shinto, z niedużą bramą tori od strony zanikającej drogi, która biegła jeszcze dalej. Wszystko tu było podniszczone, stare, szerniałe i omszałe, w głębokim cieniu lasu. Lina shimenawa, „przepasująca” front

drewnianej budy, wyglądała jakby zaraz miała rozpaść się ze starości i spaść na ziemię.

Ale białe shide, tradycyjne papierowe „zygzaki” przyćepione do liny, były w miarę nowe. Nie wyglądało, że wytrzymałyby tu więcej niż tygodnie, w tym stanie.

Nieznane mu błękitne kwiaty, wstawione w kamienny flakon pod wygiętym dachem, też były świeże i piękne. Obejrzał wszystko dokładnie, niczego nie dotykał. Wypatrzył ładny kamyczek w mchu, obok ścieżki przed kapliczką, podniósł go i otrzepał z ziemi. Ważył go w dłoni, długo rozważając, co tak naprawdę tutaj robi, i nie miał na myśli tylko „tutaj” starej kapliczki shinto przy drodze, znikającej w górach.

Wsadził kamień do kieszeni, na pamiątkę; obrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem, w dół, na obiad.

Kiedy wyszedł z lasu, zrobiło się niewiele jaśniej, zapadał zmierzch. W budynkach paliły się światła, przy chodnikach zapaliły się niziutkie latarnie nad krawężnikami, od jeziora ciągnęło wilgotnym chłodem.

Wypatrzył jakieś małe tylne wejście w głównym budynku, pewnie mógł nim przejść do restauracji czy recepcji, ale wołał nie sprawdzać, czy niespodziewanie nie włada się na zaplecze kliniki, czy w jakąś infrastrukturę techniczną.

Poszedł do drzwi skrzydła hotelowego, którymi wyszedł na tyły; kiedy przechodził obok klatki schodowej, ze schodów wyszedł na niego posagowy Adrian.

Paul zatrzymał się jak wryty na jego widok.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał uprzejmie

młodzieniec, przyglądając się Fraserowi uważnie.

– Tak... Wszystko w najlepszym porządku... – Paul opanował się z trudem, sylwetka młodego mężczyzny, jego uroda, były po prostu nie z tej ziemi.

– Idziesz na obiad?

– Taki miałem zamiar.

Młodzieniec zmarszczył boskie brwi.

– Czy... mogę ci towarzyszyć? – zapytał niespodziewanie.

Paul pomyślał, że to kiepski pomysł, ale po ułamku sekundy – że musi się do nich przyzwyczaić, tak czy owak.

– Oczywiście – odparł, prawie bez wahania.

– Zapraszam – Adrian wskazał drogę do restauracji, poszli korytarzem, młodzieniec pół kroku z tyłu.

Koło recepcji wpadli na Sinnę.

Paulowi odebrało mowę, jej obecność i uroda ponownie uderzyły go jak potrącenie przez samochód, tak jakby odzwyczaił się od niej znowu. Nie mógł spuścić z niej wzroku, była w tradycyjnym kimonie, wyglądającym kosztownie, ale Paul nie potrafił ocenić na ile formalnym, nie znał się aż tak na japońskich strojach.

Sinna skinęła mu zdawkowo głową w koronie kunsztownie upiętych kasztanowych włosów, i zwróciła się do Adriana w jakimś obcym języku, którego Paul w ogóle nie potrafił zidentyfikować. Zdziwienie ocuciło go nieco, wydawało mu się, że potrafi z grubsza rozpoznać kilkadziesiąt języków. A teraz jedyne, co mu wpadło w ucho, to że Sinna wymawiała Anna i Adrian jako Hannah i Hadrian.

Po szybkiej wymianie zdań, Sinna machnęła ręką, kręcąc głową z dezaprobatą, i poszła, a raczej popłynęła do głównego wyjścia, przed którym czekał na nią Takao-san.

Paul odetchnął, jej obecność i piękno przytłaczało, a jednocześnie już żałował, że sobie poszła.

Adrian obserwował spod oka jego napięcie i westchnienie, po czym rzucił – Taa, chodźmy.

Młody człowiek pomaszerował prosto do czteroosobowego stolika pod panoramicznym oknem, oznaczonego „rezerwacja”, złożył tabliczkę i rozsiadł się jak u siebie. Bo zapewne tak było.

Stolik był od frontu budynku, po stronie głównego wejścia; siadając naprzeciw Adriana Paul widział, jak elegancka Sinna z gracją wsiada do toyoty, Takao niepotrzebnie przytrzymał jej zautomatyzowane tylne drzwi.

Zaraz podeszły do nich dwie miłe młode kelnerki, w strojach „roboczych”, takich samych, jaki nosiła Tomoko w dzień. W restauracji było pustawo, zajęte były trzy stoliki, przez dwu dziadków i parę w średnim wieku, sami Japończycy. Było względnie cicho, jeśli tamta para zdawkowo rozmawiała, to zagłuszała ich cichutka muzyka.

Dziewczyny gięły się w ukłonach, głównie przed Adrian-samą, ale wiedziały już, kim jest Paul-sama.

Zamówili natychmiast, Paul ramen dnia i duży zestaw tempura, nadal był głodny. Adrian też wziął ramen i omlet japoński. Obaj wzięli też piwo.

– Co o tym wszystkim myślisz, Paul? – zagaił Adrian,

odchylając się na oparcie wygodnego krzesła, wyciągnął długie nogi. Jego ramię poniżej krótkiego rękawa białej koszuli mogło służyć za model dla rzeźbiarzy, na parę lat studiów. Zarys szerokiej klatki i pleców, pod cienką koszulą, jak pływaka–zawodowca, też był idealny przy jego wzroście.

– Próbuję nie zwariować... – mruknął Paul, zapatrzył się w stolik i zestaw przypraw, żeby zachować resztki zdrowego rozsądku i nie utonąć w uroku młodego mężczyzny.

– Tak, musi ci być trudno, to wiem – odparł Adrian – Ale one obie mówią, że jesteś niezwykły, inny... Masz jakieś oryginalne myśli?

– Na wasz temat? – Paul zmarszczył czoło, ale nie podnosił wzroku – Skąd mogę wiedzieć, czy są oryginalne. Skoro podobno takich jak ja było bardzo wielu... A miliardy ludzi są dla was tylko... czym właściwie??

Adrian milczał długą chwilę.

– Dobre pytanie – odpowiedział cicho, jego głos był jeszcze piękniejszy.

Kelnerka przyniosła pokryte rosą szklanki piwa.

– Twoje zdrowie! – Adrian przepił do niego, pociągnęli pysznego piwka.

– Miliardy ludzi na pewno są tłem... przynajmniej dla nas, tutaj – młodzieniec kontynuował – Czasem coś, ktoś, wpada nam w oko...

– Jak ja... – rzucił Paul.

– Jak ty. Przypadkiem albo z jakiegoś powodu... różnie bywa.

Paul spojrział na Adriana, nie było łatwo, ale musiał się do nich jakoś przyzwyczaić.

– Czy bardzo dokucza ci samotność? – zapytał półboga.

Adrian zeszytywniał i zmarszczył idealne brwi, Michał Anioł mógłby spędzić dekadę na studiowaniu tego modelu, tego czoła i oprawy oczu.

Młodzieniec leciutko pokręcił głową – Zaprawdę, jesteś inny...

Paul nic nie mówił, obserwował piękną dłoń, gładzącą przystojny podbródek, Adrian zamyślił się.

– Tak, dokucza mi... nam, samotność. Czasem – wolno odpowiedział – Ale rozumiesz, że trudno szukać nam towarzystwa... u was.

– O ile rozumiem, Nina próbuje, ze mną – stwierdził Paul.

– Tak... ale Nina to Nina – Adrian uśmiechnął się nagle, ale zaraz spowaźniał – Może inaczej: nie jest tak, że nie macie nic ciekawego do powiedzenia, czy że wasze... życia, osiągnięcia, świat nie są interesujące. Bardzo często jest to wszystko ciekawe. Ale jest tak... nietrwałe, nieporządne... że trudno...

– Wiem, wiem, próbowałem, strasznie ciężko kumplować się z jętką jednodniówką! – Paul bardzo wolno wyrywał się spod uroku Adriana.

Który roześmiał się szczerze.

– No może nie z jętką, ale z najfajniejszą mrówką, z wielkiej farmy mrówek! – odparł z uśmiechem.

– O, nietypowa leniwa mrówka, to właśnie ja! – rzucił Paul, na co Adrian znowu się roześmiał.

Przerwali rozmowę, bo dziewczyny przyniosły ramen, zupę w bardzo sutej wersji; Paul zaczął martwić się gdzie zmieści tempurę.

Starał się jeść elegancko, ale jego najlepsza wersja „dżentelmena jedzącego zupę pałeczkami i chochelką” do pełnego naturalnej gracji Adriana miała się tak, jak świnia ryjąca w korycie do uważnej zabawy Paula z ramenem.

Kiedy skończyli i czekali na drugie danie, młodzieniec wydawał się bardziej nieobecny; Paul chciał wrócić do rozmowy, ale zaraz wjechała dalsza część posiłku.

Adrian szybko wykończył deserowy omlet, kiedy Paul zwalniał i przegrywał nierówną walkę z tempurą.

– Pomóc ci? – chłopak sięgnął piękną dłonią, o szczupłych palcach i idealnych paznokciach, do jego dużego półmiska z głęboko smażonymi rybkami i owocami morza.

– Bardzo proszę – wydukał Paul, zapatrzone, jak młodzieniec delikatnie podnosi krewetkę w tempurze, i z gracją bierze ją do ust. No nie, ustalmy coś, Paul był heteroseksualny i nie może się to tak łatwo zmienić!

Potrząsnął lekko głową i zaczął mówić, między kęsami pysznego jedzenia, żeby odwrócić swoją uwagę od przepięknego młodzieńca.

– Pytałeś co myślę... – zagaił – Myślę, że wierzę, że jesteście nadludźmi. Myślę, że bardzo trudno oprzeć się waszej urodzie. Myślę, że nie rozumiem, czemu wy jesteście tak piękni, nieziemsko piękni, a Nina nie aż tak...

Adrian przyglądał mu się uważnie, popił piwa.

– Myślę, że jesteście dziećmi Sinny, ty i Anna – Paul

kontynuował miarowo, przerwał na chwilę – Myślę, że to wszystko jest diabelnie ciekawą... przygodą...

– Faktycznie, niezły jesteś – przyznał młodzieniec, nadal przyglądający się uważnie, jak Paul wykańcza resztki tempury, wziął jeszcze jedną rybkę.

– Malutkie sprostowanie: w kwestii bycia matkami, ojcami, dziećmi... czy wspominały ci o pokoleniach? – Adrian mówił, a Paul kiwał głową, zatkany jedzeniem, próbował przepłukać się piwem – Sugeruję, żebyś nie brał tego zbyt dosłownie. Tak, Nina jest poprzedniej generacji, względem Sinny. Tak, Sinna w pewnym sensie jest naszą matką. Więc Nina jakąś tam ciotką, czy raczej babką cioteczną. Ale rozumiesz, że mrówka nie może mieć właściwej wizji i pojęcia, kiedy nagle spróbujesz jej wytłumaczyć rozmnażanie się ludzi? Ta analogia jest nadal na miejscu, taki dystans nas dzieli...

Adrian przeciągnął dłonią po sfalowanych ciemnych włosach.

– Co do naszej urody i odkształcania rzeczywistości w tym kierunku... to akurat mamy „po mamusi” – skrzywił się uroczo – Jak może zauważyłeś, Sinna jest awatarem wszech–piękna i idealnego porządku, w tym świecie.

– Trudno nie zauważyć! – parsknął Paul.

– Mhm. To wyobraź sobie, jeśli taki jest jej avatar, jakie jest jej „prawdziwe ja”? – pogodnie ciągnął Adrian, dopijając piwko – I dlaczego Japonia wygląda tak, jak wygląda...

Paulowi mowę odjęło.

– A ciotka Nina NA PEWNO nie jest studium porządku – Adrian prześlicznie uśmiechnął się, łobuzersko, ale nagle

spoważniał – Ona ma znacznie dłuższe... dłuższą historię. Cięższą historię. Jest o wiele starsza, bardziej niezależna, także w sensie: nie zależy jej na mnóstwie rzeczy, na których Sinnie, czy nam, zależy. I nie mam na myśli „rzeczy” w tej rzeczywistości, ale w znacznie większych...

Paul zapatrzył się w resztkę swojego piwa, kręcił głową, marszcząc brwi w zadumie.

– Ale co do jednego zgadzam się, to pewnie jest największa możliwa przygoda, dla człowieka w tym świecie... podróże z moją ciotką! – młodzieniec uśmiechnął się i nagle położył szczupłą dłoń na kanciastej lewicy Paula, leżącej na stoliku – Aż czasem chciałoby się wam towarzyszyć...

Paula przeszył prąd od tego dotyku, przez głowę przeleciało mu sto wizji, a najbardziej ta, w której wyglądający przepięknie 25 letni Adrian tak naprawdę jest opuszczonym przez ojca półbogiem–nastolatkiem, szukającym kogoś, kogokolwiek bliskiego, w koszmarnej samotności wiecznych nadludzi. Czy właśnie tego szukała Nina?

Z najwyższym wysiłkiem woli oczyścił umysł z karuzeli myśli.

Powolutku położył swoją drugą dłoń na dłoni chłopaka, poklepał ją leciutko i zabrał swoje obie ręce ze stolika. Młodzieniec, wyraźnie rozzarowany, też zabrał ramię. Siedzieli naprzeciw siebie, długą chwilę.

– Adrian, ja nie jestem partnerem dla twoich pragnień, czy potrzeb, czy materiałem do łatania dziur w... twojej rzeczywistości – Paul zapatrzył się w stolik.

– Skoro Nina... – wyszeptał Adrian.

– Wiem – Paul zdołał mu przerwać – Ale proszę cię, pozostajmy przyjaciółmi... na ile to możliwe.

– Serio, jesteś inny – Adrian westchnął głęboko, erotycznie, Paul wiedział, że jeśli spojrzy na chłopaka, to wszystko skończy się co najmniej dziwnie, albo wręcz: źle.

Udało mu się przeczekać najgorsze, odetchnął.

Ich milczenie fortunnie przerwała kelnerka, uniżenie pytająca, czy może posprzątać stół i czy chcą deser.

Obaj podziękowali, Adrian jakby się poddał, poprosił o jeszcze jedno piwo; Paul chciał uciec.

– Nie obrazisz się, jeśli się pożegnam? – powiedział wolno, zdołał spojrzeć w twarz półboga – Ten dzień był pełen wrażeń...

– Nie, zmykaj – Adrian przyglądał mu się w zadumie, kelnerka doniosła piwo.

Paul wstał, uklonił się po japońsku, i czmychnął do swojego pokoju, biorąc po trzy stopnie na schodach.

W apartamencie zakatował się pompkami i skłonami z leżenia tak, że ledwo się ruszał. Rozebrał się i tak jak stał, padł na łóżko, zasnął natychmiast.

6

Obudził się późno, w oknach było zupełnie jasno, nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak zasnął. Ba, nie pamiętał, kiedy ostatni raz wstawał bez budzika, czy bez budzenia przez kogoś.

Sprawdził telefon, była już prawie dziewiąta, czyżby przespał absurdalne 13 godzin?? Wyskoczył z łóżka, wydawało mu się prawie niemożliwe, żeby tak długo spał, ale godzina na zegarze ściennym zgadzała się z telefonem.

To tyle w temacie jetlagu, którego tym razem jakoś nie wykryto. I skutków kontaktów z... nimi.

Dobrze, że spotkanie z Sinną miał wyznaczone po lunchu, głęboko nienawidził spóźniać się, czy nie docierać na umówione spotkania. A jeszcze przez byle zaspanie!

Sprawdził, czy dobrze pamięta, że śniadania wydawano do dziesiątej. Pewnie nie daliby mu umrzeć z głodu, ale wołał nie zwracać na siebie uwagi.

Wskoczył pod prysznic, przebrał się, wywiesił na kłamce zawieszkę „nie przeszkadzać” i pomaszerował do restauracji.

Budynki były jak bezludne, ciche i puste, ale w hallu recepcji spotkał Annę. Siedziała na wygodnej sofie w „poczekalni” przy głównym wejściu, przed panoramicznym oknem parteru, naprzeciw niej Fujiyama był na swoim miejscu. Było pogodnie, ale znacznie więcej chmur, niż wczoraj rano.

Miała na stoliczku jakiś spory plik papierów, przekładała je, czasem coś zaznaczała.

Na odgłos jego kroków obejrzała się i uśmiechnęła, dla Paula jakby wzeszło słońce, ale udało mu się nie zatrzymać jak wryty, pomału podszedł do niej.

– Dopiero na śniadanie? Siądź na chwilę – obróciła się do niego i poklepała sofę.

Usiadł ostrożnie, miała dziś rozpuszczone czarne włosy, była taka piękna! Po sekundzie zrobiło mu się gorąco, miała ciemne spodnie biznesowe jak wczoraj, ale zamiast eleganckiej białej koszuli urzędniczej nosiła ekskluzywną bluzkę wieczorową, czarno-srebrną, plisowaną „z jednego kawałka” od pasa, wkoło szyi, do pasa, praktycznie bez pleców. Nie mogła mieć stanika. Plisowany materiał nieco maskował jej boski biust, ale było to bardzo niewystarczające „nieco”, szczególnie, że lewe ramię trzymała wyciągnięte w jego stronę, na oparciu sofy.

Do tego zrzuciła czarne pantofle przed sofą, siedziała na podwiniętych nogach, jej stopa była idealna.

Paul pomyślał, że tylko jedna rzecz na tym świecie może, MOŻE, byłaby piękniejsza od Anny tu i teraz – Sinna, prawdopodobnie. Chyba. Może. Ale teraz nie widział nic, poza młodą kobietą.

Na sofie między nimi leżała druga kupka papierów.

Anna patrzyła mu w oczy, jakby nieco nieobecna. W przedłużającym się milczeniu, bezmyślnie przekładała kartki między nimi.

Po dłuższej chwili udało mu się oderwać wzrok od jej ciemnych oczu, rozchylonych warg, zamrugał gwałtownie. Skupił się na jej pięknej dłoni, z niewymowną gracją miarowo przekładającej drobno zadrukowane kartki, żeby nie gapić się na jej cudowne ciało i nie utonąć ponownie w jej oczach.

Jakby ocknęła się, sięgnęła po pióro ze stolika, coś zaznaczyła na karcie. Czyżby ona jakoś to czytała, kątem oka??

– Jak się spało? – zapytała.

– Doskonale – odparł całkiem pewnym głosem – Spodziewałem się jetlagu, jak zwykle, a tu nic...

– Tak, są pewne zalety spotkania z mamuszką – odparła leniwym tonem, wracając do przekładania sterty kartek.

– Przepraszam, czy ty to czytasz?? – zdumienie pomagało mu wyrwać się spod ich uroku, zauważył to po raz kolejny.

– Owszem – odpowiedziała – Dlaczego nie cieszysz się moim ciałem?

Pytanie tak bardzo go zaskoczyło, że nieopatrznie spojrzał jej w oczy. Ale zaskoczenie nieco zaimpregnowało go przeciw jej urokowi, a wzrok kobiety był rozkojarzony, jakby była w lekkim letargu. Jednak nadal przekładała stronice!

– Anno, dobrze się czujesz?! – zmarszczył brwi, nie był przeszkolony z udzielania pierwszej pomocy teologicznej, dowolnym półbogom.

– Tak – znowu coś zaznaczyła, jakby ocknęła się – Wybacz to pytanie. Jestem... w nienormalnym stanie. Trudno wytłumaczyć... ale może ci się to przydać. Z Niną, z matką.

Słuchał z najwyższą uwagą, Anna przestała przekładać stronice, opuściła śliczne oczy, zagapiła się na jego pierś.

– Powiedzmy, jestem w stanie niskoenergetycznym, z różnych względów... – ciągnęła monotonnym głosem, nadal ciepłym i przepięknym – Nasze awatary są agregatami nieźle udającymi ludzi, sprzężonymi z zupełnie innymi... bytami. Może Hadrian ci wytłumaczy... A kiedy nieco się rozprzegają, czasem gadamy i robimy głupoty. Tutaj. Na przykład zastanawiamy się, jakim cudem ktoś jak ty, tak bardzo opiera się komuś takiemu jak ja. Czy jak matka.

Lekko przeciągnęła się, jak kotka, wszystkie kawałeczki jej cudownego ciała zafalowały erotycznie.

Paul zacisnął oczy, przypomniał sobie, co mówiła Nina: „nie zrób nic głupiego”.

– Anka! Weź się w garść! – udało mu się jakimś cudem huknąć na nią, otworzył oczy. Nie był to jego firmowy ryk sierżanta Royal Marines, daleko było do tego, ale jakby zadziało.

– Przepraszam – wyraźnie ocknęła się, jej długie rzęsy zatrzepotały. Po sekundzie uśmiechnęła się promiennie do niego, teraz nie byłby w stanie na nią podnieść głosu – Ale ty jesteś, Paul! Mało kto odważa się na mnie krzyczeć! Nawet mamuśka!

– To była drobniotka przysługa – na wszelki wypadek wrócił do kontemplowania jej nagiego ramienia na oparciu sofy – I co ty wiesz o darciu mordy, mój aniele, ja jestem byłym żołnierzem...

– No tak! – śmiała się do niego, jakby zupełnie wróciła duchem – Przepraszam. A może nawet dziękuję. Matka zawsze mówi, żebyśmy nie szlajali się w takim stanie między ludźmi, ale...

Zapadła długa cisza.

– Adrian mówił, że z „matką”, z waszymi „rodzinami”, to jest raczej umowne – spróbował czegoś się dowiedzieć, ciekawość też była jakimś antidotum na jej urok, na ich urok – Jak to w końcu jest, że jednak mówisz o Sinnie „matka”?

– I tak też myślę. Ja uważam, że „matka” to najlepsze słowo, i nasze... stosunki najlepiej oddaje to pojęcie waszego świata –

wzruszyła prześlicznym ramieniem na które się gapił, aż prąd go przeszedł; zaczęła znowu przekładać kartki drugą ręką – Adrian pewnie ma rację, że to mocno naciągane i niezbyt adekwatne, ale JAKOŚ musimy to sobie... czy takim jak ty, tłumaczyć. W tym języku.

Zamyśliła się przez chwilę.

– Skądinąd, znacznie bardziej adekwatne, kiedy mówimy, że jesteśmy z Adrianem rodzeństwem, niż o Sinnie, że jest naszą matką – ciągnęła z namysłem, przerwała, żeby coś zaznaczyć na kolejnej kartce – A propos braciszka, mówił, że jemu też nie dałeś się... wciągnąć?

– Uwieść – poprawił ją – Staram się... nie poddawać wpływowi innych. Zawsze. Nawet tak boskim i... cudownym, jak wasze.

Popatrzył w końcu znowu w jej piękną twarz, przyglądała mu się uważnie, skupiona, leciutko zmarszczyła śliczne brwi. Przestała przekładać stronicę.

– Niech ci się nie wydaje, że zdołałbyś mnie, czy matce, czy nawet braciszkowi, oprzeć się – powiedziała poważnie – To co się dzieje, to jest poziom zero, prawie odruchowe reakcje naszych awatarów, nie skupiamy na tobie naszych atrybutów...

– Wiem – odpowiedział po chwili, z równie poważnym namysłem – Ale mam wrażenie, że jeśli wszystkich zacząć miażdżyć swoją... dowolną przewagą i traktować jak bezwolne lalki, prędko zostaje się co najwyżej bogiem–lalkarzem. W domku dla lalek. To chyba niezdrowe.

– W punkt! – pokiwała głową zadziwiona, aż jej długie czarne włosy zafalowały.

Odwróciła głowę i spojrzała na odległą górę za jeziorem. Siedzieli długą chwilę w milczeniu, podziwiał jej boski profil i ciało, ale było mu jakoś lżej.

– Leć na śniadanie, bo ci restaurację zamkną – rzuciła, nie patrząc na niego.

Uklonił się głęboko, po japońsku, i poszedł na śniadanie.

Obsługiwała go znowu dystyngowana Tomoko, starsza pani w niby–roboczym stroju; nie wiedział, jak nazywają się jej tradycyjne „spodnie” i dodatki, ale na pewno nie były to typowe ciuchy chłopca z pola ryżowego, tylko udawały podobne. Jej bluza samue też była z innej bajki.

Restauracja była zupełnie pusta o tak późnym ranku. Po pysznym śniadaniu zaczął Tomoko–san o jakieś możliwości spędzania czasu w ośrodku, poza łażeniem w dolinę, czy wkoło jeziora.

Japonka z przyjemnością zaprezentowała mu zaskakujące zaplecze kliniki – w piwnicy pod budynkiem była spora sala ćwiczeń, z pełnym wyposażeniem, bardzo mu się spodobała. Obok była mini sala kinowa, która dla odmiany wcale do niego nie przemawiała, skoro w pokoju miał olbrzymi telewizor; może nie miał aż tak wielkich i komfortowych foteli, ale jednak to małe kino wydało mu się pełnym przerostem formy na treścią.

Tomoko pokazała mu też, gdzie znajdzie bieżące gazety – we właściwej gustownej sali–poczekalni kliniki, obok recepcji. Co mu jeszcze bardziej spodobało się, to dwa podręczne regaliki książek w poczekalni, jeden wydań japońskich, drugi angielskich, ta biblioteczka to było niespodziewane i miłe

znalezisko.

Uniżenie podziękował Tomoko-san i wziął do pokoju książkę „Isoroku Yamamoto – Admirał”, niby mniej więcej znał biografię Yamamoto, ale dla zabicia czasu będzie jak znalazł.

Idąc do pokoju przez puste korytarze pomyślał, że powinien kupić tablet albo laptop, albo może pożyczyć jakiś, żeby nie męczyć się na telefonie.

Po lunchu przeszedł się do ogródka zen, posiedział chwilę na ławeczce, odetchnął przed spotkaniem z Sinną.

Poszedł do pustej poczekalni za recepcją, podobno tu miał zaczekać. Przepiękna doktor Harada zaraz wyszła z jednych z trojga solidnych drzwi, uśmiechnęła się i zaprosiła go gestem do wnętrza.

Zniósł jej widok i obecność znacznie lepiej, niż przy pierwszym spotkaniu, ale nadal nie było łatwo. Kiedy szedł za nią do wnętrza jakiegoś gabinetu, nie mógł oderwać od niej oczu, nie była w jakimś fartuchu czy lekarskiej bieli, ale w zwykłych granatowych spodniach i turkusowej bluzce. Szedł za nią jak zombie, jak wierny pies, żeby jeszcze przez chwilę widzieć jej ciało, pełne gracji.

Usiadła w wygodnym fotelu, za lekkim funkcjonalnym biurkiem, wskazała mu podobny fotel naprzeciwko. Potrząsnął głową, usiadł i rozejrzał się; gabinet był obszerny, w tonacji bieli i szarości, bez żadnych okien, były tu dwie szafki, jedna jak na dokumenty.

Nie spodobało mu się, że gabinet może i miał elegancki

wystrój, ale najwyraźniej był nieźle wytłumiony. Bez oglądania się zwizualizował sobie drzwi, które zatrzasnęły się za nim przed chwilą, były bardzo solidne i też wytłumione. Taaak...

Sinna oparła łokcie o biurko, a śliczną twarz, otoczoną kasztanowymi włosami, na dłoniach.

– Jesteś tu ogólnie w celu tak zwanego „kraftunku”, może Nina ci wspomniała?

– Padło to słowo, ale nic mi nie wyjaśniła – skinął głową.

– Na kraftunek składają się trzy elementy. Chodzi, po pierwsze, o doprowadzenie ciebie do... idealnego stanu, w sensie biologicznym. Zdrowia, fizjologii, potencjału, jak zwał, tak zwał...

– Czyli ty naprawdę jesteś lekarką? – zdziwił się nieco.

– Tytułów doktorskich mam niedużą kolekcję – wydeła piękne usta, nad pięknymi dłońmi – Ale oczywiście, nie ma to znaczenia. Ta klinika to też raczej przykrywka, rzecz jasna.

Wyprostowała się i oparła na fotelu, uroczo przechyliła głowę.

– Moimi atrybutami są witalność, uzdrawianie, ale połączone z porządkowaniem, doprowadzaniem do ideału, do najlepszego możliwego stanu. Rzeczy, ludzi... bogów. Dlatego wszyscy mi o to zawracają tyłek, jak Nina z tobą – uśmiechnęła się z przekąsem.

– I dlatego Japonia wygląda tak, jak wygląda... – na poły zapytał, na poły stwierdził; przypomniał sobie, co mówił Adrian.

– Owszem – odparła, przyglądając mu się uważnie.

– Ale w takim razie, dlaczego Japonia starzeje się i wymiera?

– Bo jestem bardziej... boginią porządku, niż witalności. Witalność mam po mamusi – uśmiechnęła się olśniewająco – Więc po czystą chaotyczną witalność, zapraszamy do babci Bau! Ale przeważnie nie o to nam chodzi w tej rzeczywistości, dlatego Nina wysyła swoje znaleziska do mnie, a nie do siostry w sercu Afryki... Są różne rodzaje anty-entropii...

Paul próbował nadążyć i zapamiętać wszelkie szczegóły.

– Chyba rozumiem... Stąd błyskawiczne wyleczenie mojego zranienia?

– Tak – z gracją przegarnęła śliczne włosy – Po drugie, moja aura i działania utrwala, czy zabezpiecza, twoje... istnienie, w obecnym stanie. To akurat nie tyle mój atrybut, co po prostu jestem w tym ekspertem.

– Nie bardzo rozumiem...

– Nie mam zamiaru ci tłumaczyć szczegóły – lekceważąco skrzywiła przepiękne usta – Rozumiesz, że jeśli dojdzie do kolejnej niespodziewanej udarowej zmiany rzeczywistości, jaka cię spotkała przy Ninie, nie ma żadnej gwarancji, że ją przetrwasz i w jakim stanie umysłu, pamięci, twojego wewnętrznego świata?

– No tak...

– Właśnie – pokiwała głową, cudownie zabujała się w fotelu – Więc odpowiednimi działaniami, na... innych poziomach rzeczywistości, zaimpregnujemy, zamrozimy twoją ścieżkę przyczynowo-skutkową, w stanie jak „na dziś”. Żebyś pamiętał Ninę, mnie, ten świat, jaki jest i przetrwał ewentualne

zmiany rzeczywistości. Umiarkowane zmiany.

– Myślałem, że skoro „wpadłem w oko” Ninie, to jestem częścią jej świata... w miarę trwale? – wolno powiedział.

– Jesteś naprawdę niezły – Sinna zmarszczyła piękne brwi – Dzieciaki mi mówiły, że dajesz sobie radę... Ale nieco się mylisz, to działa inaczej, niż myślisz. To znaczy, nawet przy Ninie nie masz zupełnie gwarancji, że przetrwasz, w stanie jak tu i teraz. Przetrwałeś wtedy fuksem, bo akurat się na tobie skupiła... i pewnie wydałeś się jej znajomy... na wielu poziomach – wskazała na swoją brodę, uśmiechnęła się.

– Ale przy następnej autoreakcji, szczególnie, jeśli będzie blisko Niny – a przecież masz jej dotrzymać towarzystwa – może cię zmienić w zupełnie dowolny sposób, aż po wymazanie z rzeczywistości. Czy przy reakcji innych, mojej, dzieciaków, kogokolwiek, z dowolnych powodów... i w dowolnym celu...

– Czyli to nie są WASZE spójne reakcje, tylko wpływają losowo na cały świat i inne... anioły?

– Losowo to nie, raczej semi–losowo, z waszego punktu widzenia – odparła – Z naszego, to są spójne działania... magii, dotykające jak najmniejszy obszar... czasoprzestrzeni. Praktycznie nie dotykające innych... aniołów. Ale wasz świat wkoło, cóż, zmienia się, tak jak zauważyłeś. A to jest kłopotliwe.

– Nina wspominała o tym – przypomniał sobie – Kto to jest Lammia?

– Taa, ciotka Lammia, wkurzyliście ją znacznie tą waszą strzelaniną i autoreakcją – Sinna zaśmiała się z przekąsem – Zdaje się, sporo jej hobbystycznych zabaw w politykę i

ekonomię Południowej Ameryki poszło do piachu przez ten udar. Radzę unikać jej przez jakiś czas, a jeśli się na nią napatoczycie, sugeruję leżeć przed nią plackiem w prochu i posypywać głowę popiołem. Oczywiście Lammia rozumie, że to AUTOREAKCJA Niny i nie życzy nagłej śmierci siostrze, ale dla ciebie może nie mieć względów, szkoda byłoby, gdybyś wolno i boleśnie utopił się we własnej krwi.

Pogodny ton Sinny kontrastował z horrorami „gier i zabaw” bogów, o których mówiła. A Paul jakoś nie wątpił w to, co mówiła.

– Więc impregnacja na przypadkowe, odległe zmiany rzeczywistości, to po drugie – kiwała się w fotelu – Po trzecie, niejaka impregnacja na zmiany NIEprzypadkowe, skierowane wprost przeciwko tobie...

– A ja głupi myślałem, że w świecie magii i półbogów nikt nie napieprza się magicznymi maczugami! – udało mu się zażartować. Sinna śmiała się perliście.

– Nikt nie mówił, że jesteśmy w raju, nawet my, w naszej prawdziwej naturze! – spoważniała nagle – A może szczególnie my... Ostatnia uwaga, zanim zaczniemy: o ile punkt pierwszy, to jest poprawienie ciebie do stanu idealnego, to zupełnie pewne i jasne, na ile twoja rzeczywistość udźwignie, to nie wyobrażaj sobie, że nawet ja potrafię zabezpieczyć twoją ścieżkę przyczynowo – skutkową przed naprawdę mocną zmianą rzeczywistości, czy naprawdę mocnym... atakiem.

– A przed jak mocnymi potrafisz? – zainteresował się.

– Trudno to wytłumaczyć – uśmiechnęła się ślicznie, acz nieco ponuro – Ty jesteś żołnierzem... Powiedzmy, że mogę ci

zrobić bardzo porządną kamizelkę kuloodporną. Ale przecież bywają przeciwnicy z takimi wielkimi karabinami...

– Pół cala.

– Mhm. No więc nie daję przed nimi gwarancji ochrony – rozłożyła ręce – A teraz wyobraź sobie, że w mojej świetnej mistyczno–magicznej kamizelce kuloodpornej wyszedłeś prosto na magiczny czołg.

– Kiepsko... – puścił do niej oko, coraz lepiej znosił jej obecność, przyzwyczajał się.

– Mhm. A jeśli myślisz, że magiczne czołgi to najgorsze, co się trafia... – pokazała zęby w drapieżnym uśmiechu, wykonała gest prawą dłonią, ułożoną „w szpony”.

– Magiczne koty? – zapytał nonszalancko.

– Miałam raczej na myśli smoki! Żywiące się czołgami! – śmiejąc się, odrzuciła głowę na oparcie.

– Już mi lepiej, czuję się tak bezpiecznie! – pokręcił głową. Wygrana na loterii, cholera.

– Tak. To się zdarza. Rzadko, ale się zdarza. Przeważnie moce i potęgi nie schylają się aż do naszego, do twojego poziomu, szczególnie „koło” Niny – zaznaczyła cudzystów gestem – Ale musisz zrozumieć, że robię, co mogę...

– Rozumiem. Jestem ci za wszystko dożywotnie wdzięczny. Ja jako ja – odparł – Niezależnie od widzimisia i prośby Niny. Nawet jeśli nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia.

– Zawsze miłe – odparła wolno – No dobra, starczy tego gadania. Rozbieraj się!

Podskoczył z wrażenia na fotelu.

– Do naga??

– Aha. Muszę cię dokładnie obejrzeć, bez ciuchów nieco łatwiej.

Wstał i powoli zaczął się rozbierać, porządnie składał ubranie na fotelu.

W końcu stanął nagi, było mu chłodno i głupio.

Sinna wyszła za biurka, podeszła blisko, jej uroda, figura i gracia były zaprawdę idealne.

– Przepraszam – zajrzała mu głęboko w oczy – Stój spokojnie, nie przejmuj się, jeśli dostaniesz erekcji. Możesz zamknąć oczy.

Z trudem pokręcił głową, znowu tonął w syropie uwielbienia i adoracji, mniej pożądania.

Sinna nie dotykała go, wolniutko obejrzała jego twarz, klatkę, brzuch, blizny starsze i nowsze. Zaciskał oczy, przygryzł policzek, starał się myśleć o lodowatej kąpieli w morzu, w czasie szkoleń desantowych. Trochę pomagało, wtedy wszyscy mieli penisy niczym zatraski od kurtek.

Słyszał, że wolniutko okrążyła go, starał się rozluźnić, ale trzymać prosto.

Przy drugim okrążeniu nagle objęła go mocno, od tyłu, błyskawicznie przełożyła ręce na jego piersi, była z pół głowy niższa, przytuliła się do jego nagich pleców całym ciałem. Drgnął potężnie, czuł ją doskonale, jej piersi, jej skrzyżowane ramiona na klatce, jej palce na żebrach, zakręciło mu się w głowie, z trudem otworzył oczy, Sinna puściła go i odsunęła się równie szybko, jak go objęła.

Zachwiał się, mocno kręciło mu się w głowie. Sinna minęła

go i spokojnie usiadła za biurkiem.

– Usiądź. Ubierz się. Minęły prawie dwie godziny – rzuciła, przyglądając się mu; postukiwała pięknymi naturalnymi paznokciami w biały blat.

Wziął stertę ciuchów w ręce i ciężko usiadł. Pomału robiło mu się lepiej. Zaczął wolniutko ubierać się.

W końcu oparł się o wygodny fotel, jeszcze trochę kręciło mu się w głowie. Sinna nadal wybijała jakiś rytm na blacie.

– Ile ty masz lat? – zapytała.

– Trzydzieści dziewięć, prawie 40 – odparł.

– Jesteś w niezłej formie...

– Dziękuję...

– ... ale strasznie zniszczony – kontynuowała spokojnie – Masz mnóstwo kontuzji i starych ran. Czy ty funkcjonujesz na jakichś prochach, których nie widzę, przeciwbólowych, czy... mocniejszych?

– Nie – wzruszył ramieniem, życie bolało. Po dwu dekadach doprowadzania ciała do granic, albo i poza nie, i zbierania kulek czy odłamków niczym wielki magnes, nie można było liczyć na zdrowie i brak cierpienia.

– Twardziel... Lubię cię! – uśmiechnęła się bardzo przyjaźnie, serce mu się znowu roztopiło, ale zaraz spoważniała – Co gorsza, masz parę głębszych, poważniejszych problemów. Osłabione naczynia w mózgu, grożące wylewami. I dwa rodzaje raka, z którymi twój system wkrótce przestanie sobie radzić.

Zmroziła go jej diagnoza, cholerny najpiękniejszy tomograf

świata, wierzył jej. Ale nic nie powiedział.

– Hej, nie martw się tym! – natychmiast dodała z uśmiechem – Układ krwionośny i tak ogólnie do wzmocnienia. Rak jelita grubego do wyrzucenia, choć mógłbyś zmienić dietę na mniej toksyczną, nieprawdaż. A taki rak płuc... ty nie palisz... czy miałeś do czynienia z azbestem?

– Pewnie tak, pewnie więcej niż inni z mojego pokolenia – wspomniął parę starych okrętów, na których służył – Flota, stare statki i okręty, azbest niby był zabezpieczony, ale wszędzie nadal tam był, więc...

– Aha, teraz jasne – pokiwała głową – To też do załatwienia. Nie przejmuj się, doktor Harada poradzi sobie! Ale raczej nie w pięć dni... Żebyś rozumiał, ja naprawę cię lubię, jesteś wyjątkowy, rozumiem Ninę, skąd jej się wzięłaś... – uśmiechała się tak ciepło – Uzdrowiłabym cię nawet bez jej prośby! Ale nie możemy tego robić szybciej. Nie wytrzymasz tego ani fizycznie, ani psychicznie...

– Już jestem w tobie zakochany – opuścił oczy na blat biurka.

– To normalne! – słyszał śmiech w jej głosie – Ale nie chcemy, żebyś się ode mnie całkowicie uzależnił... Nina by mi tego nie darowała... Sama sobie bym nie darowała!

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu.

– Leć na obiad, pewnie zgłodniałeś – znowu spojrzał na nią, była taka piękna i... czuła – Dam znać Ninie, że to potrwa nieco dłużej, niż zakładaliśmy.

Drugiego dnia wieczorem przypomniał sobie, że miał zadzwonić do Akita.

– Moshi-moshi! – odpowiedział w słuchawce lekko zdyszany Misawa-san.

– Przeszkadzam? – rzucił Paul, nasłuchując jakichś głuchych odgłosów, jakby uderzeń, z drugiej strony.

– Nie, sekundę, w pracy jestem! – odparł Akita, po czym rzucił coś poza mikrofonem, po japońsku, Paul zrozumiał tylko „dość” i „bagażnik”.

– Co tam, turysto? – Akita wrócił do rozmowy.

– Na pewno nie przeszkadzam? Może to jest ten dzień dekady, kiedy bogini wysłuchała błagań i pozwoliła ci na seks??

Usłyszał, jak Misawa nieco się opluł.

– Bardzo zabawne, Iceprick, bardzo – Akita śmiał się – Nie, spoko, zero problemów, chłopaki już wywieźli problem.

– Aha, rozumiem. Ja jestem na urlopie, okazuje się, że na razie nie mam roboty. Siedzę na wypoczynku pod Fuji, pewnie jeszcze z tydzień, może nieco dłużej. Ale mogę wpaść do ciebie, napić się, może też na jakieś zakupy.

– Pewnie. Ale ja wieczorami zajęty jestem – Akita nie musiał tłumaczyć, że bandziory tradycyjnie pracują nocami – A z rana śpię! Ale około lunchu, kiedykolwiek.

– Dobra, może jutro, dam ci znać kiedy będę wsiadał w pociąg, to ze trzy czy cztery godziny – Paul pomyślał, że jutro

ma sesję z Sinną wcześniej rano, będzie wymęczony, ale odpocznie po drodze do Tokio.

– Cudownie, kochanie! – zadrwił Akita – Jakby co, tam gdzie zwykle.

– Aha, tam gdzie zwykle. Na razie!

Następnego dnia powiedział Sinnie po sesji, że chce dziś odwiedzić Tokio, machnęła na to ręką.

Powlókł się do wartowni, zamówić transport; zastanawiał się, czy w tym stanie wyprawa do miasta ma sens. Jedna Century była wolna, znowu trafił mu się Takao-san, zawiózł go na stację w Kawaguchiko. Paul opierał się o wspaniałą kanapę cichego wozu i zastanawiał się, czy jednak nie wrócić do łóżka. Ale trzeba być twardym.

Toyota zatrzymała się na zakazie, przy krawężniku, Fraser nie widział żadnej stacji kolejowej.

– Przepraszam bardzo, Paul-sama, ale rozsądniej jest, żeby przeszedł pan tam za róg, do stacji, piechotą – głowa Takao odpadnie od tych ukłonów.

– Rozumiem... ten wóz za bardzo rzuca się w oczy?

– Tak...

Paul zaczął otwierać drzwi, ale zatrzymał się.

– Takao-san, czy powinienem być przygotowany na... zamach? Czy powinienem się uzbroić? – popatrzyli sobie długo w oczy, bardzo długo.

Takao sięgnął gdzieś obok fotela kierowcy i wyciągnął stamtąd pistolet, na oko Paula jakąś wersję SIGa P220.

– Nie – powiedział Japończyk, podając pistolet chwytem do Paula.

Fraser parsknął, nie dotykał broni.

– Takao-san, jeśli nie, to NIE, wysłał pan sprzeczne sygnały! – kusiło go, żeby poprawić sobie samopoczucie spluwą w kieszeni, ale problemy z nielegalną bronią w Japonii, w razie wpadki, mogły być nie warte tego poczucia. Chyba, że naprawdę coś mu groziło – Ta zabawka pomoże mi, samotnemu, w Tokio, w razie czego?

Takao zastanawiał się długą chwilę, ważąc pistolet w dłoni.

– Nie pomoże – stwierdził i zniknął spluwę – Lepsza jest dyskrecja i czujność. Czy ma pan moją wizytówkę z telefonami?

– Tak.

– Po powrocie, o dowolnej godzinie, proszę zadzwonić na pierwszy numer, ktoś pana stąd odbierze. Albo w razie jakichkolwiek... problemów. Dobrej drogi życzę, Paul-sama.

Fraser pokręcił głową i poszedł na stację.

Złapał pierwszy pociąg do Tokio, było łatwo, bo tutaj była stacja końcowa, a większość pociągów stąd lądowała na Shinjuku. Wysłał esemesa do Akita, że będzie tam gdzie zwykle za 3 godziny.

Podziwiał przez chwilę bardzo widowiskową trasę, kiedy tylko pociąg wyjechał za miasto wkoło pokazały się śliczne góry. Ale zaraz film mu się urwał.

Na Shinjuku delikatnie obudziła go zatroskana para,

konduktor i hostessa, natychmiast otrząsnął się i ku ich uldze przeproszał po japońsku i wydawał się zdalny do użytku. Byli wyraźnie przerażeni koniecznością poradzenia sobie z pijanym czy chorym gaijinem.

Nadal był zmęczony, ale mniej przeżuty i wypluty, niż zaraz po sesji z Sinną. Sprawdził kiedy odjeżdża ostatni pociąg w drugą stronę, miał bilet powrotny. Przymaszerował przez okolicę mallu i sklepów po zachodniej stronie Shinjuku, próbując zapamiętać trasę do centrum gigantycznej stacji. Pomimo zmiany świata nadal wyglądała na najbardziej zatłoczony dworzec tej planety.

Wyszedł na główną część stacji, z liniami Japan Railway, kupił sobie kartę i pomaszerował na perony linii okrężnej Yamanote. Spróbował nie pomylić kierunków, udało mu się trafić właściwie, na peron kierunku południowego.

Przejechał w parę minut na Harajuku, wyszedł na stację. Zastanawiał się chwilę, czy nie zjeść gdzieś lunchu, zaczynał być głodny. Ale znając Akitę, lepiej zostawić miejsce na jedzonko.

Podreptał do parku Meji, przejść się, bo przyjechał o wiele za wcześnie.

Kiedy wyszedł z powrotem przez wielką bramę tori, na placzyk przed parkiem od strony Harajuku, Akita już na niego czekał, też był przed czasem.

Paul pomyślał, że muszą zmienić miejsce „tam gdzie zwykle”. Kiedyś wyglądali na tym placzyku jak dwu młodych, no może niezbyt młodych, studentów czy turystów, spotykających się na luzie przed wypadem na piwko, czy na

piknik do parku.

Teraz, w średnim wieku, po sezonie, rzucali się w oczy. A szczególnie Akita-san z dwoma osiłkami obstawy, wszyscy w garniturach, można im było zrobić zdjęcie do przewodnika po Tokio: „A tu, proszę wycieczki, yakuza czeka na kogoś, przechodzimy! nie przyglądamy się!”.

A najzabawniejsze, że to nie była yakuza.

Podszedł do nich, machając z daleka.

Uścisnęli sobie łapy z uśmiechniętym Akita, uklonił się jego obstawie.

Misawa-san niewiele się zmienił, od kiedy widzieli się ostatni raz. To znaczy, wtedy nie był w kosztownym garniturze w biały dzień, tylko w czarnym kombinezonie i w pełnym oporządzeniu taktycznym, i ciemną nocą pomagał Paulowi władować się w ponton szturmowy, z całym majdanem, bo Fraser próbował wydostać się z Japonii z „towarem”, a bez pokazywania paszportu czy mordy na granicy. Ale poza tym był to ten sam Akita.

Ten sam kulisty łeb na krępych ciele, z dosyć paskudnym pyskiem, ale przeważnie pogodnie uśmiechniętym, pod kępą czarnych kudłów. Z daleka wydawał się niski, z bliska człowiek orientował się, że Misawa jest średniego wzrostu, tyle że kwadratowy; ma nieproporcjonalnie szerokie plecy i krótkie łapki.

Paul wspomniał, jak silny jest Akita; jak wtedy, kiedy niósł rannego Hansa a w drugiej krótkiej łapie erkaem, z kilkudziesięcioma nabojami. Truchtali, nieco pod górkę, przez ponad kilometr. Paul, kryjący tyły i okazjnie ostrzeliwujący się z pościgiem, darł ryja, żeby Akita rzucił pierdzieloną

armatę, ale Japończyk nie słuchał. Może Hans był mały, może w PKM było mniej niż 100 pestek, ale nikt z nich nie dałby rady tego zrobić. Akita na końcu też prawie padł na serce, ale zdążyli do pieprzonych pickupów na czas, i Hans zdążył do szpitala. A PKM przydał się, po obsypaniu plutonu który ich gonił paroma długimi seriami z erkaemu, zrobiło się nagle bardzo spokojnie i odjechali bez problemu.

– Witam w Japonii, Paul! – uśmiechnął się Akita.

– To zaszczyt dla mnie! – Fraser wyszczerzył się i uklonił się przesadnie, trzy razy – Akita-san, przestań się wygłupiać i prowadź do koryta, bo ja tu specjalnie spaceruję zamiast drugiego śniadania, żeby apetyt zwiększyć!

– Ta jest! – Misawa zasalutował mu żartobliwie krótką ciężką łapą, poszedł przodem – Przejdziemy się, jest tu blisko pewna znajoma knajpka...

Paul nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był z Akita i nie trafiła się „pewna znajoma knajpka”. Co było oczywiste w Tokio, zabawne w Londynie czy Rzymie, ale dosyć przerażające w Marrakeszu, czy w tym miasteczku, którego nazwy już nie pamiętał, zagubionym gdzieś w Paragwaju, Boliwii albo Brazylii, zależnie dla kogo ten wywiad.

Przeszli koło stacji Harajuku i zagłębili się w labiryncie uliczek na wschód od dworca. To była dzielnica Akita, biznesy robiło się na Shibuya, ale Misawa mieszkał gdzieś tutaj, o ile Paul kojarzył.

W płataninie uliczek, gdzieś między fryzjerem a sklepikiem spożywczym, władowali się w labirynt schodów; nawet jeśli był tu gdzieś jakiś szyld knajpy, Paul nie zdążył go zauważyć. Z trudem wpakowali się we czterech w małe drzwi, do

przedsionka; Akita darł się do środka, jak do starych znajomych.

Ale Akita zawsze tak się darł, nawet wtedy, łamanym hiszpańskim, na teoretycznym pograniczu Paragwaju.

Z głębi, gdzie grała cicha muzyka, jakiś j-pop, wyjrzała młoda kobieta w japońskim stroju roboczym, ze śpiącym dzieciakiem w tradycyjnej chuście, na plecach. Z uśmiechem odpowiedziała, tak szybko i z tak silnym akcentem, że Paul prawie nic nie zrozumiał, poza tym, że zaprasza.

Ściągnęli buty, Japończycy pozdejmowali marynarki i wszyscy wpakowali się na tatami, do absurdalnie małego pokoju. To w zasadzie było mieszkanie, minimalnie adaptowane na knajpkę, a nie restauracja w jakimkolwiek rozumieniu.

Z kuchni wyjrzała matka czy babcia (jak zwykle, wiek Japonki po 60 był nie do odgadnięcia), równie uśmiechnięta jak młodsza, musiały dobrze znać Akitę.

Nie było ślicznych japońskich menu ze zdjęciami, a po angielsku nie było ich jeszcze bardziej; zastępowała je kartka na ścianie, z menu wypisanym mazakiem, pokreślona i pozmieniana w paru miejscach, bez cennika. Akita chciał Paulowi to tłumaczyć i coś polecać, ale Fraser wyśmiał go, żeby nie wygłupiał się i zamawiał co chce, dla nich obu. Jeszcze nie zdarzyło się, żeby to, co Misawa wyżerał, nie smakowało Paulowi.

Dziewczyna z malcem na plecach obsługiwała ich zręcznie, w ciasnocie pokoju, który we czterech zajmowali praktycznie od ściany do ściany. Akita długo zamawiał różności, w międzyczasie dostali zimne piwo i pierożki na przekąskę, a w

kuchni ktoś podkreślił radio i wyraźnie podkreślił palniki, para i przepyszne zapachy wolno wypełniały lokal.

Po paru żartach i odzywkach, i pociągnięciu piwka, Akita obejrzał się na swoją obstawę, milczących zwalistych kolesi.

– To jest Taro.

– Szacunek – zbir po lewej uklonił się Paulowi, który odklonił się nieznacznie.

– To jest Kenichi.

– Pozdrawiam – rytuały gięcia karku powtórzyły się dokładnie tak samo.

– A to jest Paul Fraser–sama, o którym wam opowiadałem! – roześmiał się Akita, na co Paul zniesmaczony pokręcił głową. Nie lubił reklamy, dyskrecja była znacznie bezpieczniejsza.

– Paul, skąd tyś się wziął nagle u nas, opowiadaj!

– Nie ma o czym... – Fraser wzruszył ramieniem – Miałem wpadkę w Meksyku, Rodriguez mnie wystawił.

– Kto taki? – zapytał Akita. NIE ZNAŁ RODRIGUEZA.

– Nikt, taki handlarz bronią... wpięprzył się w zasadzkę, ledwo się wybroniłem i musiałem spadać w podskokach. A że przy okazji trafiłem na klienta z Japonii, zwałem tutaj – Paul pomyślał, że musi uważać ze wspominkami przy lanczyku – Z klientem sprawa niejasna, postawił mi podróż i urlop, ale wyjaśni się za tydzień, czy i co dalej robimy.

– Aha – Akita zeżarł pierożka, zapił piwkiem – Czyli to okazja towarzyska?

– Mhm – Paul pomyślał o sprzęcie, o pistolecie od Takao – Może nie do końca, bo albo mam paranoję, albo i na urlopie

przyciągam złoczyńców, i nie mam ciebie na myśli!

Roześmieli się, nawet obstawa skrzywiła usta.

– Są pewne znaki, że i w kurorcie ktoś ma mnie na oku... Nie masz jakiejś dobrej kamizelki na składzie, w moim rozmiarze?

– Ty zawsze jesteś magnesem przyciągającym kłopoty! – Akita śmiał się przez łyzy od nadmiaru pierożków, opanował się – Może być bardzo dobry model, najnowsza technika, ale używka?

– Pewnie.

Akita obejrzał się na obstawę i kazał Taro zdać kamizelkę. Paul kręcił głową zniesmaczony, a Taro prawie bez wahania podniósł się z tatami i przepchnął się do przedsionka.

Uwagę wszystkich odwrócił wjazd półmisków i miseczek, kobieta i babcia dostarczały lunch, błyskawicznie zastawiając cały blat niziutkiego stolika pachnącym jedzeniem.

Taro wrócił z szarą kamizelką w rękę, w niedopiętej koszuli; Paul wykonał kontredans, wstając i głęboko kłaniając się, w ciasnocie pokoiku, tak, żeby niczego nie zrzucić z niskiego blatu. Szczerze podziękował Taro-san, w swoim najlepszym japońskim, gnąc się w ukłonach, po czym rzucił kamizelkę pod ścianę.

Zbir jakby trochę się rozchmurzył, wszyscy usiedli i zaczęli niszczyć furę jedzenia.

Przy herbacie, ciastku i sake po posiłku, rozmawiali leniwie. Nawet Taro i Kenichi troszkę się włączyli, ich angielski był znacznie gorszy niż Akity, ale zadawali grzeczne pytania i słuchali wspominek Misawy i Frasera. Paul pozwalał

prorowadzić opowieści Japończykowi, żeby nie wjechać samemu na jakąś minę, jak z Rodriguezem, ale i tak wpadli dwa razy na anegdoty i ludzi, o których Akita mówił swobodnie a Paul ich nie pamiętał. Ale wybrnął z tego jakoś, atmosfera była przyjaźnie leniwa.

Nie pili ostro bo, jak stwierdził Misawa, muszą być dziś zdadni do roboty, a Paul też chciał być przytomny, żeby sprawnie wrócić do Kawaguchiko.

Koło piątej Kenichi z najwyższym szacunkiem wskazał bossowi tarczę swojego złotego seiko. Akita pokiwał łbem i stwierdził, że muszą się zbierać, prędezej niż później.

– Na pewno nie potrzebujesz więcej sprzętu? – zapytał, wskazując zapomnianą kamizelkę kuloodporną.

– Na razie nie – odparł Paul – Chociaż... Daj mi jakiś namiar na kogoś od elektroniki, potrzebuję czysty złom, i może niekoniecznie japoński.

– Aha – Akita wyjął notes z kieszeni na piersi koszuli, przejrzał parę stron, i przepisał namiary; tak było znacznie pewniej, niż przez telefon czy emailem. Wyrwał karteczkę i dał ją Paulowi – Powinni mieć wszystko, co możesz potrzebować.

– A ile za kamizelkę? – Paul zważył ją w rękę, całkiem ciężka, choć nie miała skorupy.

– Doliczę ci do rachunku tysiąka! – wyszczerzył się Akita.

– Jasne. A za lunch?

– Ja stawiam, odpłacisz jak będziemy w Europie.

– Pewnie. Zbieramy się?

Podziękowali wylewnie gnącej się w ukłonach rodzinie „restauratorów”, bo do babci i kobiety dołączył dziadek, który wychynął z czeluści kuchni. W ciasnocie pokoiku i przedsionka Japończycy pozbierali marynarki, Kenichi wyszedł pierwszy, po wóz, Paul ostatni, bo rozebrał się i założył kamizelkę pod koszulę. Pasowała nieźle i była całkiem wygodna.

Wyszli z labiryntu trzy razy przebudowywanych schodów i budynków przed drzwiami, za rogiem na Akitę czekała wielka czarna BMW, absurdalnie wciśnięta w wąską tokijską uliczkę.

– Trzymaj się mamy, Misawa-san! – uścisnęli sobie twarde dłonie.

– Trzymaj się taty, Iceprick!

Kiedy Akita z obstawą odjechali na południe, Paul pomaszerował na stację Harajuku. Był ociężały ze zmęczenia i od jedzenia, i odrobiny alkoholu.

Sprawdził adres na kartce od Akita, oczywiście, Akihabara, zagłębienie elektroniki. Po drugiej stronie centrum Tokio. Bie dwie, albo i trzy godziny względem Shinjuku, wliczając znalezienie adresu i zakupy.

Ale nie miał nic innego do roboty. Nie chciało mu się kombinować z transportem przez centrum miasta, nie spieszył się. Znowu złapał linię okrężną JR, w coraz większym popołudniowym tłoku, i poturlał się na drugą stronę pierścienia Yamanote.

Z trudem znalazł sklep z elektroniką, musiał trzy razy pytać

w okolicy o adres, o drogę. W końcu wypatrzył nazwę na tabliczce, pomiędzy innymi pięcioma szyldami, reklamującymi podobne biznesy około-komputerowe czy elektroniczne, przy obskurnych bocznych drzwiach starszego wielopiętrowego sklepu z badziewiem elektronicznym i gram.

Sklepik, którego szukał, okazał się wciśnięty na ostatnim piętrze, za podniszczoną klatką schodową, jakimiś magazynami i zapleczem innych sklepów, tych bardziej od frontu. Na końcu korytarzyka z osiatkowanymi brudnymi oknami, wychodzącymi na „piękny” widok efektownego zestawu klimatyzatorów niższego budynku obok, były podniszczone drzwi, z właściwą tabliczką i nazwą sklepu. „Phoenix”, tak, ale najwyraźniej w stanie kiedy już się spalił, a jeszcze nie wstał z popiołów.

W sensie handlu szemraną niezbyt legalną elektroniką, wszystko wydawało się bardzo na miejscu. Paul spodziewał się do kompletu, za drzwiami: pół sklepu – pół warsztatu elektronicznego, ze stuletnim zasuszonym japońskim dziadkiem, królującym pomiędzy starymi telewizorami i lampowymi wzmacniaczami.

Prawie wszystko się zgadzało, poza tym, że kiedy władował się do zagraconego środka, znad punktowo oświetlonego warsztatu nie podniósł głowy stuletni japoński dziadek, a duża młoda biała dziewczyna, o płowych włosach, niebieskich oczach i lekko pucołowatej twarzy.

Oboje cholernie się zdziwili.

– Dzień dobry, czym mogę służyć? – w końcu młoda kobieta wydusiła coś z siebie, wstała ze stołeczka, była naprawdę duża, nieco wyższa od Paula. Na oko miała ze 25 lat, mówiła poprawnie po angielsku, z japońskim akcentem??

– Witam, wpadłem na zakupy... z polecenia Misawa-san...
– O! – dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, zrozumiała
– Witam, witam!

– Nieczęsto trafiają tu tacy jak ja? – Paul rozejrzał się po zagraconym pomieszczeniu, pełnym regałów, zastawionych pudłami i starą elektroniką.

– Wcale – odparła – Nikt tu nie trafia!

– Mhm.

– Czego potrzebujemy, proszę pana?

– „Czysty” laptop albo tablet. Duży ekran, lekki, nie musi być wydajny. Najlepiej wersja Europa albo USA, nie Japonia. I jakiś odpluskwiacz, z naciskiem na „jakiś”, nie chcę wydawać fortuny i nosić pudło ze sobą. I parę pluskiew, średniej klasy. I może jammer, tak jak odpluskwiacz, rozsądny, niekoniecznie profi–plecak, ale coś do kieszeni i w miarę skutecznego.

Skupiona dziewczyna notowała w pamięci, kiwała głową.

– Aha, płacę w dolarach, gotówką. Mam nadzieję, że mi wystarczy.

– Nie ma problemu – odparła – Zaraz wracam.

Zniknęła za kotarą na zapleczu, była naprawdę duża, odruchowo lekko schylała się w drzwiach. I szeroka, niby gruby szary dres maskował jej biodra, ale najwyraźniej była zbudowana proporcjonalnie do wzrostu.

Paul podziwiał przez chwilę zakurzone eksponaty na regałach, retro radia i wzmacniacze. Słyszał, jak dziewczyna przekłada graty na zapleczu, zaraz wróciła z dużym płaskim pudełkiem.

– Dell, kombi tabletu z laptopem, jedyne co mam sensownego w wersji USA – rozpakowała płaski laptop, z ekranem obracanym i odwracanym w tablet. Paul nie podobnego nigdy nie widział – Ekran dotykowy, jest tu jakiś rysik, ale z palca też działa. Dobra bateria. Niezbyt wydajny w porównaniu z topowymi laptopami, ale... efektowny. Nie jest tani, ale dosyć dobry... i zupełnie nowy. Premiera za tydzień.

– To skąd go macie?? – Paul ważył w ręku tablet, sprawdzał obracany ekran.

– Tajemnica handlowa! – odparła, krzywiąc się na poły z uśmiechem, na poły z przekąsem.

– Taa, przypadkiem spadł... ze statku, w San Francisco?

– O właśnie tak! – parsknęła śmiechem, miała szerokie usta, dołeczki w policzkach i jasne oczy, z kurzymi łapkami pomimo gładkiej młodej twarzy, musiała dużo się śmiać. Była bardzo sympatyczna.

– Może być. Zakładam, że jest „czysty”?

– Oczywiście. Proszę sprawdzić, czy działa, idę po resztę – zniknęła na zapleczu.

Paul uruchomił komputer, maszynka podobała mu się.

Dziewczyna wróciła po dłuższej chwili, z naręczem pudełek, zaczęła je rozpakowywać.

– Odpluskwiacze. To jest najmniejszy sensowny „samostójka”, jaki mam – zaprezentowała bardzo solidny niby-tablet, jakby przemysłowy czy zmilitaryzowany, gruby i ciężki – Albo taki, dodatek do laptopa, funkcjonalnie podobny, ale trzeba pie... bawić się z kablami, i żre baterię hosta bardzo szybko – drugie pudełko było niewiele większe niż zasilacz

komputera.

– Wezmę ten mały.

– Oczywiście, do obu są podobne zestawy anten. A tutaj jammer, jedyny rozsądny jaki mam na składzie i nie w wersji „10 kilogramów z metrowymi antenami” – okazała pudełko wielkości połowy laptopa, ale znacznie grubsze – Nie jest to oczywiście profi sprzęt, ale w wersji kieszonkowej nic lepszego nie ma na rynku.

Wyciągnęła szufladę spod kontuaru.

– Pluskwy, do wyboru – postawiła ją na ladzie, miała tam setkę różnych podsłuchów kilku typów, wbitych w piankę na dnie szuflady – Polecam ten model do przeciętnych zastosowań, zdrowy kompromis ceny, wielkości, jakości, czasu pracy – wskazała rząd, na pierwszy rzut oka, zapalek.

– Powiedzmy cztery zapalki.

– Oczywiście – zaczęła ostrożnie wyciągać 4 sztuki, z innej szuflady wyjęła instrukcję i kopertę, zapakowała wszystko razem – Współpracują na pasmach zwykłego radia, z byle telefonem też. Szczegóły w instrukcji. Czy mam podliczyć to wszystko, czy będzie coś jeszcze?

– Można podliczyć – Paul wyłączył i złożył tablet-laptop, sprawdzał jammer i woreczek z zestawem anten odpluskwicza – I jakąś torbę na to wszystko.

Dziewczyna zaczęła stukać na zabytkowym kalkulatorze.

– To będzie trzy tysiące i czterdzieści osiem dolarów. Dla znajomych Misawa-san trzy tysiące – podsumowała.

– Nie mam tyle gotówki. Albo skoczę gdzieś do bankomatu albo może zadzwonimy do Misawa-san – wyciągnął telefon.

– Jak pan uważa – grzecznie przytaknęła, składała szufladę i pakowała towar, zaraz poszła na zaplecze.

Zadzwonił do Akita.

– Co jest, Paul?

Dziewczyna przyniosła fajną szarą torbę, nie: typową na laptopa, ale taką udającą sportowy neseser, za to w środku miękko wykoszczoną, z trzema przegrodami na elektronikę. Cacko dyskrecji, torba bardzo spodobała się Paulowi. Młoda kobieta sprawnie pakowała elektronikę, kabelki, zestawy anten.

– Przepraszam, że ci znowu zawracam dupę, ale skredytujesz mi elektronikę w tym sklepie? Bo wybrałem się na zakupy bez gotówki.

– Ile?

– Tysiąc dolców, albo może dwa?

– Nie ma problemu, dopiszę ci do rachunku! – zaśmiał się Akita – Daj Helenę.

– Misawa-san chciałby porozmawiać – podał telefon dziewczynie, która najwyraźniej uważnie słuchała jego rozmówek, nie była zaskoczona.

Helena przeszła na szybki japoński, na ile potrafił ocenić, doskonały. Rozmawiając z Akita spojrzała na telefon i coś sprawdziła, gdzieś pod kontuarem. Może numer odbiorcy.

Przyglądał się jej w zadumie, była sympatyczna, całkiem ładna, nie bardzo otyła, ale po prostu duża. Miała bardzo duże piersi pod białym t-shirtem i sportowym stanikiem, mocny brzuch, szerokie piękne biodra.

Zagapił się tak, że zauważyła to i wyraźnie śmiała się z niego, bo zawahał się, kiedy oddawała mu telefon.

– Pan Misawa kredytuje te zakupy do wysokości 2000 dolarów – machnęła ręką na pełną torbę – Poproszę 1000.

– Dziękuję – wyłuskał z portfela 10 stówek, gotówka mu się kończyła – Heleno, postawiłbym ci kawę, jeśli kończysz w miarę wcześniej. Nie chce mi się wracać do zbirów jak–wiesz–kto, czy zupełnie... sztucznych kobiet. A nikogo innego tu nie znam.

Przyjrzała mu się dokładniej, zaskoczona.

Blondyn w średnim wieku, ciemny blondyn, z zadbanym zarostem. Ogorzała w miarę przystojna twarz, trochę zmarszczek, ciemnoniebieskie oczy, wlepiające się w nią uważnie. Wysoki, ale nie bardzo wysoki, dobrze zbudowany, ale nie siłacz. Pod zwykłą niebieską koszulą miał chyba kamizelkę, podwinięte rękawy odsłaniały silne łapska, w lewym trzymał szarą bluzę. Zagadkowa blizna nad prawą skronią, druga na lewym przedramieniu. I jakieś ogólne wrażenie spokoju i czujności, naraz.

Przyglądała mu się bardzo długo i bardzo uważnie, jej uśmiech z kpiącego zmienił się w inny, Paul nie potrafił go nazwać.

– Nie skończę dziś wcześniej... – wolno powiedziała – Ale mam tu bardzo dobry ekspres do kawy...

Uśmiechnęli się do siebie.

W prawdopodobnie zupełnie nielegalnym mieszkaniu, na zapleczu bardzo dużego zaplecza jej sklepu, miała nie tylko

bardzo dobry ekspres, ale też bardzo wielkie i wygodne łóżko. Przetestowali je dosyć gruntownie.

Jedyne, co było niekomfortowe, to że musieli zachować względną ciszę, Helena na samym początku zaznaczyła szeptem, że za ścianą są biura sąsiedniego wielkiego sklepu i muszą zachować dyskrecję.

Nie było im łatwo być cicho.

Styli pod lekkim kocem, wtulała się w niego, jak zwykła dziewczyna, ale nieco wgniałała go w materac. Przeżyje jakoś ten ciężar, było mu dobrze, ciepła miękka duża kobieta, oto czego potrzebował, po zderzeniu z całą tą... magią i nadludźmi.

– Dziękuję – pogłodził ją po płowych rozsypanych włosach, po ciężkiej piersi na jego klatce.

– Nie ma za co – wymruczała w jego obojczyk, też pogłaskała go delikatnie – Ja też dziękuję... dobrze. Dawno...

– Jesteś samotna? – gładził ją po włosach.

– Tak... Od dawna...

– A skąd tu się wzięłaś? – pocałował jej włosy, pachniała tak miło.

– Ze Słowenii. Jestem z tych sierot, które ambasador Japonii uratował i wywiózł w czasie wojny bałkańskiej – poprawiła się na jego piersi, zajrzała mu z bliska w oczy.

Zdał sobie sprawę, że jej historia nie klei się z jego historią – w jego wersji wojna bałkańska była tak niedawno, że dorosła Helena nie mogła być po niej dzieckiem–sierotą. I o ile pamiętał, Słowenia praktycznie nie brała udziału w wojnie po rozpadzie Jugosławii.

– Jak masz na imię? – zapytała wolno – Możesz skłamać...

– Paul – odparł po długiej chwili namysłu – Prawdziwe. Nie przyznawaj się nikomu, że mnie znasz, że tu byłem.

– Oczywiście – ponownie wtuliła się w niego, przycisnęła się do jego biodra – Jezu, jak bardzo zapomniałam...

Już miał ją zapytać, czyż tak trudno znaleźć chętnego faceta w gigantycznym Tokio, mając taki biust, ale w porę ugryzł się w język.

– Byłam od dziecka z Shigeo, to jego rodzinny sklep – wymamrotała – Zginął pół roku temu...

– Nic nie mów – przycisnął ją mocno do siebie.

Wtulali się w siebie bardzo długo.

Musiał zbierać się, jeśli miał zdążyć na ostatni pociąg. Helena była zbyt mądra, żeby pytać go o adres, czy nazwisko. Zawinięta w prześcieradło siedziała na łóżku, przyglądała się w zadumie, jak wkłada solidną kamizelką kuloodporną.

– Muszę lecieć, nie wiem, czy kiedyś się spotkamy – powiedział szeptem, było mu smutno.

– Długo tu będziesz?

– Nie wiem. Parę dni, tydzień – odparł – Bywam w Japonii, ale nie mogę nic planować.

– Wiem, rozumiem – wstała, prześcieradło zsunęło się z niej, efektownie naga poszła do szafki, pogrzebała tam, dała mu wizytówkę – Trzymaj, to są namiary na mnie, Elenę, a nie na sklep. W razie czego.

Objęła go i przytuliła się mocno, oddał uścisk, gładził ją po

silnych gładkich plecach.

– Nie mówię, że będę czekać... – uśmiechnęła się – Ale wpadaj!

– Dzięki – cmoknął ją w policzek – Ale lepiej znajdź kogoś na stałe... kogoś młodszego.

– Może... – odpowiedziała wolno.

Pocałowali się bardzo mocno, bardzo czule, zupełnie nie jak przygodni znajomi.

Posadził ją na łóżku, pogładził po policzku i poszedł sobie, zgarniając po drodze torbę ze sprzętem.

Helena oparła łokcie na kolanach, splotła dłonie i opuściła głowę, rozsypane włosy zasłoniły jej twarz. Siedziała tak bardzo długo.

8

Dni zaczęły płynąć leniwie, podobne do siebie. Paul czuł się jak na dawno zasłużonym urlopie, dużo spał, jadł pyszne posiłki, ćwiczył, przechadzał się, odpoczywał. Codzienne spotkania z Sinną nadal były męczące, ale przyzwyczajał się do nich.

Także do jej piękna i do urody jej dzieci. Adrian i Anna uwodzili go jeszcze dzień czy dwa, ale jakby znudzili się w końcu. A w trudniejszych momentach ratował się myślą o Elenie, najzwyczajszej–niezwykłej dziewczynie, z którą było mu tak dobrze.

Zaczęli z nim normalniej rozmawiać, kiedy wpadali na

siebie; czasem nawet Sinna rozmawiała z nim „po godzinach”, choć najwyraźniej ona była najbardziej zajęta. Na pewno nieco fascynował ich trójkę, może niczym wyjątkowa mrówka–akrobatka w farmie mrówek, bo jednak był inny, niż pozostali ludzie w okolicy. Wydawało mu się, że po prostu nie mają tu towarzystwa, na swoim poziomie.

Któregoś dnia Adrian przechodził „od zaplecza” i zauważył Paula z książką, wygrzewającego się przed ogrodem zen, zanim popołudniowe słońce zaszło za zachodnie zbocze doliny. Podeszedł i grzecznie zapytał, czy może się przysiąść.

– Pewnie – Paul odłożył biografię Yamamoto na stronę.

– Co tam czytasz? – zapytał Adrian, rozsiadając się na drugim końcu ławeczki; założył ręce za głowę, wyciągnął nogi. W gładkiej biznesowej koszuli wyglądał jak model na sesji zdjęciowej, wyraźnie rysowały się szerokie plecy, silne ramiona.

– Biografię Isoroku Yamamoto, admirała z II wojny.

– Chyba kojarzę... Choć nie przepadam za historią. Za waszą historią – młodzieniec przyglądał mu się uważnie.

– Ja chyba już też nie, wcale! – Paul roześmiał się, trzepnął dłonią książkę – Może nie połowa, ale część tego jest opisana inaczej niż pamiętam, z... poprzedniego życia.

– No właśnie – Adrian parsknął – Za każdym razem kupka tego się zmienia, na cholerę w to wnikać...

– A czy często zdarzają się takie udary, jak nasz, z Niną? – Paul zastanawiał się od jakiegoś czasu, że musi ustalić dokładniej, co w tej nowej rzeczywistości jest normą, a co

wyjątkiem.

– Nie, niezbyt często – Adrian zmarszczył boskie brwi – To znaczy, za mojej pamięci.

– A jak daleko sięgasz pamięcią? – zainteresował się Paul.

– Ta informacja jest poufna – zaśmiał się sucho Adrian – A przynajmniej tak mamusia sugeruje. Ale przecież tobie mogę powiedzieć, prawda?

– Możesz – Paul potwierdził z pełnym przekonaniem.

– Prawie 500 lat.

– O rany, dziecko! – zażartował Paul, choć wewnętrznie był zdumiony, nawet jeśli spodziewał się sporego dystansu w czasie.

Adrian zeszytniał na ułamek sekundy, ale zaraz rozluźnił się i uśmiechnął, zdjął ręce zza głowy i pogroził Paulowi długim palcem.

– Ty, mrówka, nie podskakuj! – młodzieniec kręcił głową.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Bo co tu ukrywać, na... naszych skalach, owszem, jestem dzieckiem. Może już nie niemowlakiem – skrzywił się – Ale na pewno nie dorosłym.

– Urodziłeś się... jeśli to adekwatne słowo... tutaj? – Paul postanowił wyciągnąć jak najwięcej z Adriana, który wyraźnie był dziś w przyjaznym nastroju, był prawie jak człowiek.

– „Urodzić się” to nie jest odpowiednie słowo... – Adrian zapatrzył się na czarne głązy ogródka zen przed nimi – Raczej „przyszedłem na świat”, razem z siostrą, w pewnym sensie jesteśmy bliźniakami... Zyskaliśmy świadomość na morzu, na

wielkiej dżonce. Matka przenosiła się z Chin do Japonii...

Zamilkł, najwyraźniej pochłonęły go wspomnienia.

– Urodziła was w podróży? – Paul sprowadził go delikatnie na ziemię.

– Nie. To znaczy, nie ma mowy o ciążach, rodzeniu niemowlaków, i tak dalej – Adrian pokręcił posągową głową – Możesz sobie darować pytania o ojca, bo tak naprawdę też go nie było.

– Rzeczywiście, wasze rozmnażanie jest nieco inne niż nasze – Paul zauważył z przekąsem – Ale w takim razie nie pojmuję, czemu macie tak wspaniałą urodę i seksapil!

– A co to ma do rzeczy? – zdziwił się Adrian.

– Mam wrażenie, że atrakcyjność i uroda to cechy ewolucyjne, służące doborowi naturalnemu – Paul nie znał się na biologii, ale był wystarczająco odczytany w pop–nauce – Wasza wspaniała uroda najwyraźniej nie służy kojarzeniu się w pary i rozmnażaniu...

– Aha. Ale seks możemy z wami uprawiać – Adrian przeciągnął się erotycznie, parę dni temu Paul zaraz by mu się oświadczył, ale troszkę uodpornił się w międzyczasie – Bardziej serio, wiem o co ci chodzi. Ale to tylko nasze awatary. Wszystkie są mniej więcej idealne, w swoich aspektach i rodzajach. A Sinna, cóż, jest awatarem wyższego porządku i piękna, więc jest chyba jedną z piękniejszych postaci naszej rodzinki. A my mamy to po niej...

– Czyli inne... osoby są jak Nina, piękne, ale nie AŻ TAK? – Paul sondował temat „rodzinki”, czuł, że nawigowanie pomiędzy tymi wszystkimi nadludźmi przytrafi mu się prędejką

niż później. Zupełnie jak w poprzednim życiu między rekinami szarej strefy militariów i wywiadów, taki jego zasrany los płotki dowolnego ze światów.

– Tak, inni są ładni, mniej więcej jak ciotka... – Adrian znowu zapatrzył się na głazy – Ale wszystko jest względne.

– A, jeśli można... skąd wy się wzięliście? – Paul wyrzucił z siebie pytanie, które chodziło za nim od paru dni.

– Bo ja wiem, czy można... – Adrian nie odrywał wzroku od ogrodu zen – Raczej nie można, pytaj o to Sinnę, a jeszcze lepiej Ninę... Ogólnie, nie zapominaj, że nie jesteśmy ludźmi, jesteśmy awatarami ludzi, powiedzmy, zakotwionymi w tej rzeczywistości, w okolicy tej planety... A nasze prawdziwe „ja”, czasem bardzo stare, są... z innego świata, przenikającego się z tym tutaj, czasem celowo, czasem przypadkiem. Nie ma żadnego znaczenia, jak ci to nazwę, jak sobie to wytłumaczysz, demonami, półbogami, obcymi z Kosmosu, to tylko słowa...

Pomilczeli przez długą chwilę.

– Wracając do twojego poprzedniego pytania, to przez 500 lat było może z 10 zmian świata, tej klasy jak wasze ostatnio – Adrian ocknął się – To znaczy, odczuwalnych przez nas, tutaj, w Japonii. Pewnie w skali Ziemi było ich ze trzy razy tyle, po drodze było wiele wojen i zamieszania.

– To wy nie przemieszczacie się? Od pięciu wieków tu mieszkasz, mieszkacie? – Paul zdziwił się, gdyby był wieczny i nieśmiertelny, nawet „prawie”, nic by go nie powstrzymało przed zwiedzeniem całego świata, choćby na piechotę.

– Tak – Adrian przyznał niechętnie, jakby ze wstydem – Matka nienawidzi się przeprowadzać, po tych przenosinach z

Chin utkwiała tutaj, a my z nią...

– Nie chcecie, czy nie możecie? – cicho zapytał Paul.

– Ona nie chce. Ale to jest na granicy... hmm... jak odpowiesz na pytanie o najwstrętniejszą potrawę dla ciebie, od której rzygasz na samą myśl: nie chcesz, czy nie możesz jej jeść? – Adrian pokiwał głową.

– Chyba rozumiem.

– A my nie możemy, jesteśmy od niej uzależnieni, sprzężeni z nią jeszcze przez parę wieków...

– O cholera...

– Aha, zgadzam się z przedmówcą – Adrian obrócił się do niego z ponurym uśmiechem – W sumie, chciałem właśnie o tym porozmawiać.

– Słucham cię najuważniej – Paul skupił się, gdyby tak zwierzał mu się zwykły młody człowiek, traktowałby to z szacunkiem, a rozmowy z młodym półbogiem traktował jeszcze bardziej poważnie.

– Ja mam słaby zestaw atrybutów... – Adrian przyznał z pewną niechęcią – Bo każde następne pokolenie jest... Mniejsza.

Przerwał na długą chwilę, opuścił piękne oczy.

– Ja muszę zdecydować, kim będę – wyszeptał.

Paul nie odzywał się, potrafił rozpoznać kiedy milczenie jest najlepszą zachętą dla czyjegoś mówienia.

– Ta uroda mi na plaster – Adrian machnął ręką – Ale mam też po mamusi zacięcie do porządkowania rzeczy, stanów, wszystkiego... do rozkładania i składania systemów, rzeczy, w

nowe, lepsze wersje. Powiedzmy do inżynierii, w waszym świecie. Tylko, że nudzi mnie to, nawet jeśli jestem w tym bardzo dobry. Ale przy tobie przypomniło mi się, kiedy byłem naprawdę dzieckiem, strasznie kręciła mnie broń, technika wojny...

– Czekaj, a skąd ty wiesz, że jestem byłym żołnierzem? – Paul mu przerwał, ze zmarszczonym czołem.

– Anka wspomniała. I sprawdziłem twoje dossier – Adrian wzruszył ramieniem – Jest imponujące...

Paul pokręcił głową, jasne, co to dla półboga przejrzyć dowolnie tajne dossier, dowolnego człowieka. Ale coś innego go zastanowiło.

– Czekaj po raz drugi, a kiedyś ty byłeś na wojnie, czy przy technice wojennej?? – pomyślał o książce na boku, ale jeśli 500 lat, pewnie musiało to być coś znacznie wcześniej, niż wojny światowe.

– W zasadzie, przeze mnie broń palna rozpowszechniła się w Japonii – przyznał Adrian – Byłem tam, kiedy na Tanegashimę trafili Portugalczycy. My też tam trafiliśmy z matką, cały tranzyt i handel z Chin szedł przez ręce klanów z wysp. Owinęła sobie Tokitakę wkoło paluszka, wyobrażasz sobie jak prędko, więc zostaliśmy tam na chwilę, na lata. I nagle przypłynęli biali, z tytoniem, mydłem, no i z arkebuzami... Strasznie mnie to kręciło. Zaraz namówiłem matkę i Tokitakę, żeby koniecznie mi parę kupili, a potem Tokitaka zapalił się do pomysłu, chciał mieć kopie, jak najwięcej tych badziewnych muszkietów.

– Pewnie w życiu by się tym kowalom nie udało, ale siedziałem z nimi, bawiłem się tym... a w mojej aurze, nie

mogło im się nie udać – Adrian wyraźnie rozmarzył się wspomnieniami, zagapił się na las, na niebo nad doliną – I w parę lat zmieniliśmy Japonię... Zresztą, co tam moje hobby muszkietowo – wojenne, ona zmieniała tę krainę, samą obecnością.

– Czy mi się wydaje, czy opowiadasz o zjednoczeniu Japonii? – Paul usiłował sobie przypomnieć okruszki z historii.

– Tak. Wiesz, matka doprowadza wszystko DO PORZĄDKU – Adrian znowu zaśmiał się sucho – Nie, żeby było pewne, że akurat Nobunaga Oda to zacznie i pociągnie, zresztą, przewrócił się, zanim skończył... Ale kiedy powoli przenosiliśmy się na północ, było pewne, że tak czy owak to się stanie, że KTOŚ zjednoczy Japonię i skończy to rozdrobnienie i bezsensowne wojny. No, zajęło to nieco dłużej, niż jedno pokolenie. A ja miałem wtedy wielką frajdę z zabaw bronią, z inżynierii wojny, z broni, fortec, zamków... Chyba największą kiedy matka też poszła na wojnę.

– Ona?? Potrafi walczyć?

– Mhm. Poczytaj kiedyś o Sen, Sen Ikeda – Adrian obniżył głos, mówił ciszej i miarowo – Kiedy ostatni raz sprawdzałem, mocno pomniejszają jej akcje, nie dziwne, było wiele zmian świata po drodze, wtedy nikt nie wierzył, teraz nie uwierzy. Wkurzyła się strasznie, kiedy zdrajcy wykończyli Nobunagę, którego hołubiła, który wprowadzał JEJ PORZĄDEK. Wzniosła aspekt zemsty... nadludzkiej, z waszego punktu widzenia. Błyskawicznie wystawiła i wyszkoliła armię dziewczyn – demonów, szły za nią z wiosek i miast w transie, zauroczone, a ja nadzorowałem ich broń, kuliśmy lufy dzień i noc...

– Dziewięćset dziewczyn, sukkubów wojny, walczących jak

maszyny, strzelały po trzysta, salwami. W aurze Sen, Nisiny, nie mogły nie trafiać. Żeby je zatrzymać, trzeba było im wyrwać serca, ściąć głowy. W bitwie pod Yamazaki rozstrzelały elitę zdrajców, klanu Akechi, kiedy tamci próbowali przejść rzekę. Gdy Hideyoshi zobaczył, jak demony Ikeda walczą, jak ulewa ognia moich muszkietów, naszych dziewczyn, ścina samurajów, śmiał się pod niebo i zaraz rozkazał ruszyć całe prawe skrzydło za rzekę. Poszły jak na przechadzkę, nawet jeśli większość zginęła... Matka szła na czele, kule i strzały jej się nie imaly, od jej spojrzenia ludziom zatrzymywały się serca, od jej śmiechu pękały zbroje, od PIĘKNA uderzeń jej naginaty ludzie patrzący na nią tracili przytomność...

Paul ocknął się z zasłuchania, siedzieli w cieniu, słońce zaszło za góry.

– Czyli ona jest też boginią wojny!? – wydukał.

– Och, nie! – Adrian szczerze się roześmiał – To był tylko drobny epizod, kiedy nieco wyszła z siebie! Nie ma „bogini wojny”. A zresztą, może i jest, akurat twoja znajoma...

– Nina?!

– Mhm. Z tego, co opowiadają, ciotuni jest najbliżej, do tego... chyba... – Adrian zamyślił się – Ale to są opowieści z zupełnie innych czasów i miejsc...

– I przeze mnie kombinujesz teraz, czy wrócić do tamtych masakr i wojen, do militaryzowania całych krain, w szczęśliwych czasach dzieciństwa? – Paul próbował sobie to wszystko wyobrazić, głowa mu pękała – Chcesz zostać za parę wieków bogiem wojny??

– Nie – Adrian odparł zimno, patrząc Paulowi w oczy – Nie

ma „bogini wojny”, ale stanowisko „boga wojny” jest obsadzone, bardzo solidnie obsadzone. Na całe szczęście, nie interesuje się on zbytnio tym światem.

– No jeśli TEN ŚWIAT to jest stan rzeczy, kiedy się nie interesuje, to faktycznie, lepiej nie myśleć, co by tu było, gdyby się zainteresował! – zadrwił Paul, ale nie było mu do śmiechu. Uroczą przepiękną pani doktor Harada, magicznie leczącą jego ciało i duszę, równie sprawnie ścinała ludzi, niczym łany chwastów, w średniowiecznej bitwie! A gdzieś tam był jakiś Ares, pewnie jeszcze starszy, awatar wojny i zniszczenia...

– Otóż to – pokiwał głową Adrian, przeciągnął się – Nie, nie chcę i nie mogę zostać „bogiem wojny”. Ale chyba chciałbym zostać inżynierem militariów, techniki wojennej, jest taka... elegancka i... wydajna. I jak to mówią, „ucz się i pracuj w kierunku, który kochasz”.

Milczeli długą chwilę, Paul poczuł zimno, nie wiedział, czy bardziej od cienia i zapadającego zmroku, czy od tych szczerych rozmówek.

– Nie pomogę ci w decyzji – powiedział powoli – Nie mamy aż takiej... wspólnoty doświadczeń, działania, czegokolwiek. Jak sam mówiłeś, jesteśmy dla was mrówkami... Mnie kule jak najbardziej się mają – potarł lewy triceps, gdzie już prawie zniknęła blizna po ostatnim postrzale – Moje dowodzenie było dalekie od boskiego, moi żołnierze nie byli demonami wojny, zabić mnie to jak splunąć... Moja wiedza jest ograniczona głupim mózgiem i niewystarczającym czasem... Twoja pozycja jest zupełnie inna. Nic mądrego ci nie powiem.

Patrzyli sobie długo w oczy, szok i zdumienie Paula skutecznie zaimpregnowały go, prawie nie dostrzegał piękna

Adriana.

– Wiem, Paul – młodzieniec odpowiedział cicho – Ale dobrze jest czasem z KIMŚ pogadać...

Wyciągnął rękę, mocno uścisknęli sobie dłonie. Zebrali się i poszli na obiad.

9

Paul skupił się w wolnym czasie na poznawaniu, czy może rozpoznawaniu, tego nowego świata. Na nowym tablecie–laptopie było to całkiem przyjemne. A sieć, internet, wyglądały znacznie lepiej i przyjaźniej niż pamiętał.

Chyba jednak wolał to niż czytanie książek historycznych, biografia Yamamoto wkurzyła go w końcu. Śmiał się z siebie, że nie było to racjonalne, ale o ile znosił drobne i grubsze nieścisłości w historii Japonii, flot, drugiej wojny i admirała, to pod koniec, kiedy okazało się, że Yamamoto przeżył wojnę i sąd amerykański, i dożył lat '60, Paul prawie cisnął książką o ścianę.

Podobnie zaskakiwały go różne kawałki historii czy bieżącej polityki, kiedy surfował w sieci i próbował rozeznaczyć się w tym świecie. Chiny były potęgą gospodarczą, w praktyce kapitalistyczną?? Zimna Wojna skończyła się nieco wcześniej i gorzej dla Wschodniej Europy i Bałkanów. Iran nie był teokracją, tylko nadal monarchią, krajem wiodącym w regionie, rządził Reza Pahlawi II; cały Bliski Wschód wyglądał nieco inaczej, nie żeby spokojniej... Za to Afryka północna przypominała kopnięte gniazdo os, w porównaniu z tym, co pamiętał. Największe mocarstwa, USA, Rosja,

Brytania, Francja wydawały się w miarę na miejscu, bywały tam inne problemy, partie, politycy, ale ogólny obraz się zgadzał.

Japonia też mniej więcej się zgadzała. Z dokładnością do baz USA, sporów z Chinami i Rosją, i odczuwalnego w jego okolicy trzęsienia ziemi w pierwszym tygodniu, 4.4 Richtera, nic specjalnego.

Kiedy był bardziej zmęczony, po sesjach z Sinną, po ćwiczeniach, dopadała go frustracja i ciężkie myśli, że to wszystko nie ma sensu. Po co uczyć się tego świata, kiedy za chwilę znowu może się przetasować. To była dobra analogia, przyglądając się tej rzeczywistości czuł się, jakby ktoś zburzył JEGO domek z kart, potasował talię, po czym ustawił domek z powrotem i nawet PODOBNY.

A jebać to wszystko, tak naprawdę wołał, że Yamamoto przeżył i dożył w szacunku do późnej starości, pisząc pamiętniki.

W międzyczasie skontaktował się ostrożnie z większością listy znajomych – prawie wszyscy, podobnie jak Akita, pamiętali go i nie było problemów, przynajmniej powierzchownie. Ale trafił na dwa inne przypadki.

Tom Davies, bliski kumpel z Marines i współnik w paru późniejszych akcjach, nie rozpoznał go przez telefon. Paul dzwonił na tyle ostrożnie, bez jakichś „Cześć Tom, stary koniu, co tam słyhać na zadupiu Walii!”, że bez problemu wymówił się pomyłką. Zaraz sprawdził przez znajomych i w danych publicznych, Tom wyleciał z Royal Marines za jazdę po pijaku jeszcze zanim Paul trafił do 45 batalionu RM.

Drugi przypadek był jeszcze „głębszy”, jego stary kontakt w US Navy, a tak naprawdę w BIW i siłach specjalnych US Navy, kapitan Gardner, najwyraźniej wcale nie istniał. Paulowi udało się ustalić, że rodzice Gardniera mieli dwie córki, obie były w średnim wieku, prawniczka i lekarka, ale na pewno nie mieli syna Johna, kapitana US Navy w średnim wieku. A Brooks Irregular Warfare Center nazywało się teraz Kennedy Irregular Warfare Center, KIW a nie BIW.

W ogóle nazwy organizacji i firm, czy ich kawałków lub oddziałów, nazwy własne modeli samochodów czy urządzeń, wydawały się najbardziej podatne na zmianę świata, bardzo wiele nie zgadzało się.

Po tych dochodzeniach lepiej rozumiał natychmiastowe zatroskanie Niny, czy ma rodzinę, partnerkę. Bo równie dobrze mógł je stracić, w sposób zupełnie nieodwracalny, mogły obrócić się w nicość doskonałą.

Dopiero po paru dniach przyszło mu do tępego łba, że równie dobrze mógł jakieś nagle zyskać.

Z pewnym zdenerwowaniem sprawdził to. Ale zaraz odetchnął, bo wszelkie znaki na ziemi i w sieci mówiły, że nic, albo bardzo niewiele się zmieniło. Rodzice leżeli na tym cmentarzu gdzie zwykle i nie miał bliskiej rodziny, dającej znaleźć się przez pół świata. Poza kuzynami, których ilość i jakość chyba się nie zmieniła, ale nie miał zamiaru kontaktować się z nimi, zupełnie jak poprzednio.

Któregoś dnia Anna przysiadła się do niego w czasie lunchu; przechodziła przez pustawą restaurację, grzecznie zapytała, grzecznie przyzwolił.

Jak zwykle była prześliczna, urodą świeżej młodości, idealna. Nie zamierał już przy nich tak bardzo, nie wyłączał mu się mózg i nie zatrzymywało serce, mógł rozkoszować się jej towarzystwem.

Po porannej sesji z Sinną zażerał się wielkim zestawem pysznych sushi i sashimi, zaproponował jej trochę. Odmówiła z perlistym śmiechem, poprosiła Tomoko o kawę i lody. Też poprosił o kawę, na potem.

Pochwalił przed Anną szefa kuchni, Daisuke-san, który oddał mu pierwszego dnia własne bento i odpowiadał za to genialne jedzenie.

Anna przytaknęła, tak, Daisuke był skarbem, wiedzieli to.

– Ile już tu jesteś? – zapytała od niechcienia, bawiąc się łyżeczką i lodami – Tydzień?

– Sześć dni.

– No tak, to się zgadza – najwyraźniej coś jej się przypomniało, uniosła znacząco łyżeczkę – Chcesz przejść się na basen? Chodzimy co tydzień.

– Nie wiem... – zaskoczyła go – „My”, czyli kto?

– Ja i braciszek, czasem matka – nie zwracała na niego większej uwagi, najwyraźniej lody jej bardzo smakowały.

– Miałem zapytać, czy w jeziorze można się kąpać, bo widziałem pomosty...

– Można – odparła, trudno było ustalić, czy ona pochłania lody, czy lody ją pochłonęły – Ale w tej okolicy dostają hyzja na topless, a co dopiero kąpiele nago...

Nagle spojrzała mu w oczy i przeciągnęła się tak, że mało

mu sushi nie wypadło z pałeczek.

– ... a ja lubię popływać nago.

– Okeeej. To ja raczej sobie daruję – zamknął oczy i pokręcił głową, przesadnie żując pyszny kawałek; kiedy znowu spojrzał na nią, śmiała się z niego – Nie śmiej się z cnotliwego wujka!

Teraz parsknęła głośno, na całą restaurację.

– Ale może masz rację – spoważniała i wróciła do lodów – Zostało ci parę dni, po co nam i tobie kłopoty.

– Macie tu prywatny basen? – usiłował zmienić temat, żeby wygonić z umysłu wyobrażenie tamtej idealnej trójki, nago, w czystej ciemnej roziskrzanej wodzie. Trudno było.

– Nie. Adrian zawsze chciał gdzieś tutaj upchnąć basen, ale prościej było przekupić ośrodek po sąsiedzku, za górką – kończyła lody, popiła kawą – Wpuszczają nas po godzinach, stać nas, nie zadają pytań.

– I nie podglądają?

– Pewnie, że podglądają, jesteśmy w Japonii! – skrzywiła się ślicznie, z przekąsem – Ale rano sami kasują nagrania i zapominają.

– Aha – to było interesujące, przypomniał sobie, jak Adrian odesłał jego taksówkę pierwszego dnia – Z innej beczki, tobie to naprawdę smakuje?

Zatrzymała się w pół ruchu, wyglądała bardzo dziecinnie, kiedy zawzięcie skrobała łyżeczką resztki lodów z dna pucharka, zamiast zamówić sobie kolejną porcję.

– Mhm – uroczo oblizwała łyżeczkę – Nie wiem, czy ktoś ci już mówił, my w zasadzie nie musimy jeść. Ale mamy smak,

węch. Wszelkie ludzkie zmysły. Więc mamy frajdę, na przykład, z jedzenia. Zresztą, matka ma rację, że jeśli żyjemy jako awatary, powinniśmy zachowywać się jak ludzie, jeść, pić, i tak dalej. Bo tak jest lepiej dla naszego zdrowia psychicznego, no i dla społeczeństwa wkoło, dla naszej „przykrywki”.

Słuchał jej, nie przerywając powolnego jedzenia.

– Pewnie najwięcej kłopotu, kiedy przychodzi maskować wasze „śmierci” i „narodziny”? – zapytał.

– Trochę. Ale przy naszych zasobach i... sile sugestii – wzruszyła ramieniem, obejrzała się na bar i zaplecze – Suimasen Tomoko-san, suimasen!

Zamówiła jeszcze jedną porcję lodów.

– Co to ja?... Zmiany tożsamości formalno-prawnej to kłopot, ale niezbyt wielki – ciągnęła, popijając kawę – Inna sprawa, że jeśli ktoś nie siedzi uparcie przez wieki w jednym miejscu, czy prawie w jednym miejscu, jak Sinna, ma jeszcze łatwiej. A najłatwiej mają ci, którzy w ogóle nie zagrzewają miejsca... Jak Liliana, jak Nina.

– To dlatego Adrianowi wyrwało się, że mam szanse na „podróże z jego ciotką”? – zapytał.

– Tak, dobrze powiedziane – zaatakowała drugą porcję lodów. Pucharek nie miał szans, zewnętrzne szanse padały, nastąpiło taktyczne uderzenie z powietrza, na wiśnie wewnątrz lodowej fortecy – Nina od wieków... milleniów, nie ma swojego miejsca... na tym świecie.

– A na innych? – zapytał od niechcenia.

– Już też nie... – ocknęła się, bystro spojrzała mu w oczy –

Ej, a co to za pułapki na mnie! Lubię cię, ale nie rób mnie w konia, bo to się źle skończy! – wycelowała w Paula łyżeczkę.

– Uważaj, nawet zabezpieczona łyżeczka potrafi wystrzelić!
– uśmiechnął się do niej, podnosząc ręce w geście poddania się.

– No! – roześmiała się cudownie i wróciła do lodów. Paul skończył jeść i zajął się pyszną kawą.

– A zresztą, jesteś mądrzejszy niż... jesteś inny – mamrotała pod nosem – I tak się dowiesz...

– Mam wrażenie, że życia mi nie starczy, żeby się wszystkiego o waszym świecie dowiedzieć – odparł znad filiżanki.

– Dlatego będziesz żył długo i... oby szczęśliwie – zaśmiała się do lodów.

– A jak długo? – zainteresował się.

– A nie wiem – kończyła deser – Matkę pytaj. Chociaż, o ile mi wiadomo, nikt z porządnie skraftowanych przez nią ludzi nie umarł ze starości. „Klinika Harada” daje bardzo dobre gwarancje!

Odłożyła łyżeczkę, przetarła pełne usta chusteczką.

– Starczy łakomstwa! Dobrze, że słodyczne mi nie idą w tyłek, bo już bym ze 200 kilo ważyła! – zaśmiała się.

– Myślałem, że idą ci w cycki! – odstrzelił, gapiąc się na jej biust.

– Też nie – przeciągnęła się, troszkę wzrosło mu ciśnienie – Te ciała nie są warunkowane przez to co jemy, co robimy... w tym świecie. Zresztą, nie znam się, matki pytaj.

– Nie musicie jeść, ćwiczyć, pracować... Oddychać musicie?
– zastanawiał się na głos, wpatrując się w powierzchnię kawy w filiżance, żeby nie widzieć jej boskiego ciała.

– Nie... – odpowiedziała bardzo wolno, jednak spojrzał na nią, wpatrywała się w niego nagle zamyślona, przegarniała długimi palcami czarne włosy – Kiedyś myślałam, że tak, bo gdy sprawdzałam za młodu swoje możliwości, nie potrafiłam... nie potrafimy zupełnie wstrzymać oddechu. Oboje tak myśleliśmy z Adrianem. Nawet przy jego... wypadku.

Oparła łokieć o stół, policzek na pięści.

– Kiedyś utonął... idiota chciał wyciągnąć grzebień, który mi wypadł z łodzi – ciągnęła, najwyraźniej do swoich wspomnień

– Byliśmy dziećmi, to znaczy z wyglądu starszymi nastolatkami, jeszcze na Tanegashima... popłynęliśmy na wycieczkę z rybakami. Myślał, że jest niezniszczalny, mnie też do głowy nie przyszło...

– Dopiero kiedy świat zaczął „migotać” zorientowałam się, że jesteśmy w pierdzielonej dupie – poderwała go jej chamska odzywka, jej głos stwardniał – Dżonka zmieniała się, rybacy, żagiel, mój strój, na początku nie wiedziałam, co się dzieje. Dopiero po chwili zrozumiałam, że on tam umiera, tonie w głębinie... i nie może się wydostać. A rzeczywistość próbowała się dostosować.

– Z drugiej strony, dobrze, że byliśmy jeszcze dziećmi, zasięg zmian był niezbyt wielki, w czasoprzestrzeni... Zanim wymyśliłam, w chaosie pokręconych w czasie uderu myśli, co mogę zrobić, co można dla niego zrobić, matka na nas spadła.

Pociągnęła kawę, Paul zapomniał oddychać.

– Nie znam się, ale chyba znacznie przekroczyła prędkość

dźwięku. My mamy dobry... bardzo dobry refleks, ale jedyne co zdołałam dostrzec, że spadła z nieba, naga, bo zerwało z niej wszystko, wyprzedziła o ułamek sekundy falę uderzeniową. I eksplozję, bo wbiła się w wodę kilkanaście metrów od nas, zmiotło w kawałki dżonkę, wszystko wkoło rozleciało się w wybuchu wody i pary, wylądowałam w morzu.

– I zaraz wyskoczyła z nim nad powierzchnię, rzuciła go na resztki łodzi, mnie też złapała za kołnierz i wrzuciła obok niego. Pluł wodą i kaszłał, ale nic mu nie było, rzeczywistość wkoło wygładziła się, morze też...

– A matka usiadła obok nas, na zalewanych wodą deskach i balach, patrzyła na nas bardzo długą chwilę, była jak nieobecna... Adrian zaczął przeproszać, ale pokazała mu, żeby się zamknął. Poszła do wołających o pomoc rybaków, ze trzech przeżyło. Wyobrażasz sobie, jak milkli na widok nagiej bogini piękna, idącej do nich po wodzie. Zaraz milkli na zawsze, umierali najprzyjemniejszą śmiercią, jaką mogła im dać...

– Zabrała nas na ląd, oddałam jej wierzchnią suknię, klęczeliśmy przed nią i przeproszaliśmy... – Anna zamknęła oczy – Jedyne raz za mojej pamięci rozplakała się.

Paul siedział jak zamrożony, dziewczyna westchnęła i kontynuowała po długiej chwili.

– Potem nam wytłumaczyła, że tak naprawdę nie topił się, nauczyła nas, jak reagować na utonięcie i podobne okoliczności. I jak wydobyć się z tego, co go „zabijało”, co spowodowało autoreakcję: miażdżyło go ciśnienie wody. Stracił orientację, nie umiał się wydostać.

Paul wolno pokręcił głową.

– Tak... – Anna rozłożyła ręce – Trudno nas wykończyć. Nawet z zaskoczenia.

Minęło parę dni, podobnych do poprzednich. Nie poszedł z nimi na basen, ale któregoś dnia popływał w jeziorze, woda była cholernie zimna, bardzo czysta. Innego dnia doszedł do końca dróżki w dolinie, do szopy, jakieś pół kilometra dalej, niż kapliczka shinto. Rozwahał, czy nie skontaktować się z Eleną, skoczyć do Tokio, ale nie zdecydował się.

Któregoś dnia siedzieli z Sinną po sesji; już nie rozbierał się, trzymała go przez godzinę czy dwie za rękę, na biurku, według niej to wystarczało.

Odchyliła się na oparcie fotela, przepięknie zamyślona.

– Będziemy kończyć kraftunek – stwierdziła wolno – Wiele więcej nie wycisnę z... twojej rzeczywistości. Fizycznie, fizjologicznie, to jest prawie maksimum. To znaczy, mogę ci dokładniej usunąć blizny, znamiona, zrobić z ciebie... lalkę, ale nie ma to sensu. Lepiej żebyś został bardziej... sobą.

Pokiwał głową, i tak był wyraźnie w znacznie lepszej formie, niż dziesięć dni temu. I wyglądał lepiej, nawet przyzwyczaił się do zarostu.

– W innych aspektach, też wystarczy – ciągnęła – Ogólnie, koszt zmian rośnie wykładniczo, a zmiany są coraz trudniejsze, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Chyba rozumiem – przytaknął – Co teraz? Mam zadzwonić do Niny?

– Nie, zaraz dam jej znać. Pewnie cię zabierze, to znaczy powie ci, co dalej.

– Nie przybędzie tutaj?

– Nie, staramy się nie spotykać – wzruszyła ramieniem – To znaczy, nawet jeśli lubimy się i fajnie byłoby pogadać twarzą w twarz, jest to dość ryzykowne. Może nie dla niej... ale ogólnie, lepiej gdzieś na neutralnym gruncie, daleko od ludzi, kogokolwiek. Nie warto, nie chce mi się...

Pomilczeli chwilę, zamyślona Sinna bawiła się pasmem kasztanowych włosów.

– Chciałem ci jeszcze raz podziękować... – machnęła na to dłonią – ... i zapytać o poradę.

Spojrzała uważniej.

– Zrozumiałem promil, może procent, z waszego świata – zaczął wolno – Twoje dzieci opowiadały mi o tobie historie... walki, wypadków... prawdziwe cuda. Jesteście nadludźmi, półbogami, to pewne. Czego ja mam się spodziewać przy Ninie? – wyrzucił w końcu z siebie.

Zastanawiała się długą chwilę, patrząc mu w oczy, bujała się w fotelu jak zwykle, lekko na boki.

– Chyba ci mówiłam, Nina jest w porządku – zaczęła, przytaknął jej – Jest naprawdę stara, nie powiem, że... zgorzkniała, ale ma swoją... historię. Legendy. Jej moce i wiedza, mają się do mnie tak, jak ja do dzieciaków. Więc co ja ci mogę powiedzieć...

– Szuka towarzystwa ludzi, mężczyzn jak ty. Od wieków. Jesteś jednocześnie jakimś symbolem jej przeszłości, towarzystwem w teraźniejszości, może nadzieją na jakąś przyszłość. Tak mi kiedyś matka wspomniała o Ninie, dlaczego ona kolekcjonuje takich jak ty.

– Podobno żaden z moich poprzedników nie umarł w łóżku, ze starości... – stwierdził gorzko.

– Owszem – odparła poważnie – Ale nie wiem, czy wiesz, że było ich tylko kilku, za ostatnie parę tysięcy lat...

Trochę go замуrowało.

– ...a ty wydajesz się najlepszy... – wyszeptała cicho, przymknęła piękne oczyska.

– Czyli mam szanse, ale NA CO?

– Nie wiem, nikt nie wie... – nie otwierała oczu, w końcu spojrzała na niego – Albo nie chce powiedzieć. Starsi wolą nie wspominać naprawdę zamierzchłej przeszłości... Tu, w twoim świecie, wypieramy naszą historię... i terażniejszość też.

– Co pewne, to że przy Ninie trudno się nudzić... i bycie z nią niesie pewne ryzyko – pokiwała głową w zamyśleniu, kasztanowe włosy zafalowały – Powiem ci tak, po moich największych, hm, „akcjach”, po tym, co ci dzieciaki naopowiadały, można z trudem znaleźć jakieś ślady w historii Azji, Chin, Japonii. Ale raczej trzeba z góry wiedzieć, czego szukać, gdzie patrzeć.

Zrobiła efektowną pauzę.

– Legendy mówią, że po „akcjach” Niny, jej pokolenia, mamy ślady zupełnie na widoku. Jeśli wie się, na które kratery na Księżycu spojrzeć.

Przyszła do niego tej nocy.

Obudziło go ciche pukanie, była 4 nad ranem.

Zapalił małe światła i przyskoczył do drzwi, w samych

bokserkach. Sinna stała za nimi, taka piękna w nikłej poświacie od pokoju i z okien korytarza, boso, w szlafroku.

– Wpuść mnie – powiedziała cicho.

Cofnął się, weszła do przedsionka apartamentu. Mieszało mu się w głowie od roztaczanej przez nią aury i od karuzeli myśli.

– Obudziłeś się? – zapytała z półuśmiechem.

– Owszem.

– Uważaj. Był kolejny udar, niezbyt wielki, ale świat się zmienił.

– Znowu?? – zaskoczenie ocuciło go skutecznie, także z zauroczenia i pożądania.

– Tak. Jakiś debil próbował zepchnąć Kurrę w przepaść, w Tien-szan – mówiła szeptem – Ona jest z pokolenia Niny, ale przeważnie mieszka na odludziach, Europę czy Japonię zaczęło nieznacznie. Ale spodziewaj się zmian.

– Rozumiem.

Stali przed sobą, w półmroku, długą chwilę. Niby widziała go nagiego, codziennie przez tydzień, ale teraz patrzyła na niego, na jego mocne ciało, raczej lekkoatlety niż siłacza; na bliznę na szerokiej piersi, jasną w półmroku; na płaski brzuch – jakoś zupełnie inaczej.

– Przytul mnie – wyszeptała.

Kręciło mu się w głowie, zrobił, co powiedziała.

Gdyby nie gruby włochaty szlafrok, pewnie zwariowałby. I tak każdym nerwem czuł jej piękne ciało, przytulili się bardzo mocno.

W zatraceniu zaczął szukać jej twarzy, ust, ale położyła mu

gorące palce na wargach.

– Nie – drugą dłonią odsunęła go nieco, bez wysiłku, nie mógł jej utrzymać, dotyk na jego piersi parzył – Nie możemy... Nina mi nie daruje... ja sobie nie daruję...

Wszystko w nim skowyczało z powodu poczucia porzucenia i utraty jej bliskości.

– Trzymaj się, Paul – dźgnęła go mocno paznokciem w okolicy przepony, to skutecznie ocuciło go. Odsunął się odruchowo, a Sinna obróciła się na pięcie i poszła sobie.

10

Rano, niewyspany, po niespokojnych paru godzinach erotycznych snów, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Powinien czekać na sygnał od Niny, ale wołał unikać Sinny i jej dzieci, pomyślał, żeby uciec do Tokio, może do Heleny...

Nie udawało mu się z nią skontaktować, ale po szybkim śniadaniu jednak pojechał do Tokio. Strażnicy zamówili mu taksówkę, złapał pociąg i pojechał przez Shinjuku, prosto do Akihabara. Myślał, czy nie kupić po drodze czekoladek albo dobrego wina, ale machnął ręką na śmieszne puste gesty. I tak był postarzałym lowelasem, nic nie mogło mu pomóc. Miał tylko nadzieję, że może uda mu się zatracić? odpocząć? przy Helenie, nawet niezależnie od seksu.

Kiedy dotarł do sklepu „Phoenix”, odetchnął głęboko i wszedł w znajome podniszczone drzwi, mając nadzieję, że pozytywnie ją zaskoczy.

„Wprost przeciwnie”, odpowiedziała złośliwa rzeczywistość.

Za kontuarem siedział młody Japończyk i zdziwiony gapił się na Paula.

Który nie zdołał opanować się i lekko pokręcił głową na swoją głupotę. I po co Sinna łaziła po nocy, żeby go ostrzec, kiedy do debila nic nie docierało.

Ale naprawdę opadła mu szczeka, kiedy zza kotary zaplecza wychyliła się Helena, równie zdziwiona, i wyraźnie go nie rozpoznała.

Paul pomyślał, że „szybko się adaptuje”, jasne, tylko, że głównie prawda. Musiał natychmiast coś wymyślić, milczenie przeciągało się.

– Witam, jestem Andy, pewni wspólni znajomi polecili mi... wasz sklep – odezwał się pierwszy.

– Witamy, zapraszamy! – młody Japończyk kłaniał się, odzyskał mowę, oboje przysunęli się do lady, Elena była wyższa o głowę od chłopaka – Jestem Shigeo, to jest Sonia, czym możemy służyć?

Sonia miała ten sam szeroki uśmiech, jasne oczy, sympatyczną twarz i duży biust, ale nie była jego Eleną.

Zrobiło mu się straszliwie smutno, prawie się rozpłakał.

Odegrał scenkę kupowania, negocjowania i rezygnowania z zakupu pluskiew; szuflada była ta sama, i podobne podsłuchy wbite w piankę.

Przeproszał wielokrotnie, pożegnał się i powlókł na stację niczym skopany pies. Nie miał ochoty na jakiekolwiek atrakcje Tokio.

Trochę lepiej zrozumiał samotność nادلudzi, kiedy wracając pod Fuji opierał rozpalone czoło o szybę pociągu i rozważał to

wszystko. A może rozpaczał nad tym wszystkim.

Nie poszedł na lunch, siedział na zniszczonej ławeczce przy zruinowanej wiacie, nieco w górze dolinki, ponad ośrodkiem. Nie miał ochoty spotykać ludzi czy nadludzi, wołał przez chwilę być sam.

Nagle zadzwonił telefon, wyciągnął aparat, „Nina”. Tętno mu podskoczyło.

– Witam – rzucił.

– Cześć Paul – głos kobiety był miły i spokojny – Co słychać? Sinna mówi, że skończyście i że byłeś grzeczny.

– Pewnie wie, co mówi – odparł, próbując wykrzesać z siebie entuzjazm. Wizualizował sobie, że jest w nowej pracy, z nową szefową.

– Coś nie tak? – Nina miała dobrą intuicję, a może wyczuwała go znacznie lepiej, niż tylko przez słuchawkę.

– Nie, nic, przepraszam, ciężki dzień – przyznał – Ta zmiana w nocy, Kurra? mnie trochę trafiła.

– A! – zapadła cisza w słuchawce – Tak, gównie się trafia... Ale gotowy do działania?

– Tak, nawet potrzebuję tego, zamiast siedzieć i roztrząsać moje zaskarżenie szczęście i nieszczęście, gdzieś w ślicznych lasach Japonii – rozejrzał się po pięknym lesie, tonącym w zielonych cieniach.

– Super. Masz jakieś dwa dni, żeby zebrać wyposażenie.

– W jakim sensie?? – zdziwił się.

– Będziemy dyskretnie odbierać... przedmioty, od nieźle

obstawionych ludzi. W Japonii, skoro już tu jesteśmy.

– Aha – skoncentrował się, rzeczywiście, z Niną nie dało się nudzić – Ofensywnie czy defensywnie?

Prychnęła w słuchawce.

– Musimy wypracować wspólny słownik, co to znaczy „defensywnie” a co „ofensywnie”! – zaśmiała się – Na razie, powiedzmy, defensywnie z opcją ofensywnie.

– Rozumiem – zapomniał o ostatnich rozczarowaniach i wypadkach; rzucił się w nową sytuację, umysł pracował mu na najwyższych obrotach – Połowę podstawowego sprzętu już mam, przypadkiem zrobiłem zakupy w Tokio. Ale możesz mi dorzucić kasy, bo część kupiłem za swoje.

– Nie ma sprawy, dostajesz medal za inicjatywę – śmiała się ciepło – Poproś Sinnę o forszę na drogę, ile ci tam trzeba.

– Cel?

– Hyatt Kioto, im szybciej, tym lepiej. To jest w okolicy Kiyomizu-dera, taka słynna świątynia. Zrobię rezerwację dla ciebie, pytasz o Ninę Moon, jak „księżyc” – odpowiedziała.

– Hotel Hyatt Kioto, koło Kiyomizu-dera, pytać o Ninę Moon – powtórzył – Jeśli mam zdobyć jakiś sprzęt i może... pożegnać się, to będę jutro pod wieczór.

– Bardzo dobrze. Papa – rozłączyła się nie czekając na jego pożegnanie.

Ruszył do ośrodka szybkim krokiem, dobrze, że miał znowu jakiś cel.

Sinna zaraz złapała go w korytarzu, wiedziała, że Nina

skontaktowała się.

Powiedział jej, że potrzebuje gotówki, bo ma rozkaz dokupić sprzętu i stawić się w Kioto.

– Ile? – spytała.

Pomyślał chwilę.

– Ze dwadzieścia.

– Tysięcy dolarów? – upewniła się.

– Tak.

– Drobne – machnęła ręką – Swoją drogą, rozumiem, że masz własne kontakty w Japonii w temacie „sprzętu”, ale może taniej i szybciej będzie tu na miejscu coś załatwić?

– A jest taka opcja? – zdziwił się.

– Pewnie.

Sięgnęła po telefon, wybrała numer. Ktoś się odezwał, rozmawiała bardzo szybko, ale zrozumiał tylko „Paul-san” i z kim ona rozmawia: Takao-san, to było takie oczywiste. Skończyła i zwróciła się do niego.

– Kojarzysz szofera Takao, taki starszy?

– Kojarzę i miałem z nim rozmówki o... sprzęcie i akcjach.

– O! – zdziwiła się – On jest połowicznie wtajemniczony, wie, że nie jesteśmy... ludźmi.

– A kim?

– Trudno powiedzieć. Jakimś rodzajem demonów, Japończycy mają duży zapas demonów – roześmiała się, była taka piękna w nieco prześwitującej długiej letniej sukience, w wielkie pastelowe kwiaty – Zrobimy tak, on tu zaraz będzie,

skoczącie rozejrzeć się, co ma pod ręką. Chcesz ruszyć dzisiaj?

– Nie, ale najpóźniej jutro.

– Dobrze. Czyli tak czy owak, dzisiaj pożegnalna kolacja, powiedzmy o ósmej – skinęła mu głową – To co ma Takao, jest gratis. Pieniądze na drogę i tak dalej, dam ci przy kolacji. Jakby co, w rezerwie będziesz miał czas na Tokio, czy gdzie tam masz kontakty w sprawie sprzętu. Dobry plan?

– Doskonały.

Pojechali z Takao nie – luksusową toyotą Century, ale corollą, wziętą z parkingu przy kuchni, i nie w lewo na most do Kawaguchiko, ale w prawo, na zachód wzdłuż jeziora do jakiejś następnej wsi, wciśniętej między góry a wodę. Fujiyama nadal przyglądał się im zza gładkiej tafli, potem zza gór, w popołudniowym słońcu.

Przejechali przez miścinę, było za nią trochę pól, zaraz zjechali z normalnej drogi na znacznie węższą, w górę i pod las; dojechali do jakiejś dzielnicy przemysłowej w rozmiarze „mini”. Paul zdążył zauważyć szyld składu budowlanego i coś o konstrukcjach drewnianych. Wszędzie było pusto i wszystko pozamykane, nikogo nie było w budce przy bramie, którą Takao otworzył zdalnie.

Wjechali na teren i jeszcze głębiej, minęli opuszczone składy, jakiś zakład ślusarski czy metalowy, zamknięty na głucho i to od dawna.

Takao zaparkował między tą fabryczką a jakimiś magazynami czy garażami, poprosił, żeby poczekać.

Bardzo długo coś sprawdzał na telefonie, grzebał w jakichś programach.

– Przepraszam, Takao-san, z profesjonalnej ciekawości: rozbrazasz pułapki, czy sprawdzasz monitoring? – Paul nudził się.

Takao zaśmiał się króciutkim „ha!”.

– Oba – rzucił z półuśmiechem, nie odrywając się od telefonu – Już. Przepraszam, Paul-sama. Ale jak profesjonalista z profesjonalistą: czasami nie wolno się spieszyć...

– Amen!

Uśmiechnęli się do siebie. Paul pomyślał, że gdyby on miał tu zrobiony skład sprzętu, na lata, to w razie niespodziewanego nalotu zostałyby dziura jak, hm... o! stamtąd do tego składu budowlanego.

Wysiedli i rozejrzeli się, Takao otworzył zdezelowane drzwi magazynu, zwykłym kluczem. Za nimi był przedsionek jak byle warsztatu, z zakurzonym biurkiem, szafką, plakatem z cycatą Japonką, oraz następne brudne ciężkie drzwi, bardzo dobrze udające zdezelowane. Takao uchylił poplamiony kalendarz na ścianie, kalendarz sprzed dekady, pod którym znalazł się skaner biometryczny. Japończyk wsadził tam, na oko Paula, ze trzy różne palce, po kolei.

Dobrze.

Zamki zaszumiały wkoło drzwi a nie szczęknęły, weszli do sporego garażu, w którym zapaliło się automatycznie światło.

Było tu miejsce na trzy wielkie samochody, za trojgiem wielkich ciężkich drzwi garażowych; jedno ze stanowisk miało

pełny osprzęt warsztatu automechanika. Ale stał tu tylko jeden wóz, trzecia toyota Century.

Paul rozglądał się po bardzo porządnym i czystym wnętrzu, po pancernych drzwiach, kiwając głową z aprobatą, kiedy nagle zauważył, że to nie jest normalna Century. Takao szedł do pomieszczeń w głębi, a Paula nieco wmurowało w gładką podłogę, ta zmiana świata była zaskakująca.

– Takao–san, przepraszam, od kiedy to Toyota robi pancerną, AŻ TAK pancerną, wersję Century?? – przyglądał się poszerzonym nadkolom, o wiele za grubym słupkom, kołom, które kojarzyły mu się z limuzyną prezydenta USA.

– Nie robi! – rzucił przez ramię Takao–san, otwierał dwoje drzwi na zapleczu garażu.

Paul prychnął i zajrzał do otwartych pomieszczeń.

– Zapraszam, Paul–sama – Japończyk uklonił się – po lewej elektronika, gadżety, osłony. Po prawej broń, materiały wybuchowe, i tak dalej.

Paul miał ochotę zaklaskać, był jak w sklepie ze słodyczami i nie musiał płacić! Ale musiał zachować twarz, a nawet profesjonalną mordę, uklonił się równie głęboko i zaczął od lewej.

Niby miał już furę elektroniki, ale zawsze... Tylko musiał uważać, żeby nie wyjść stąd obładowany i garbaty niczym wielbłąd.

– Śliczne rzeczy, Takao–san – rozglądał się po półkach, pod folią leżało tu dość elektroniki, żeby wyposażyć ze dwie drużyny uderzeniowe, tej klasy jakimi Paul się posługiwał w siłach specjalnych i w „cywilu”. Albo pluton rozpoznania

elektronicznego – Ale tak naprawdę zdążyłem już zrobić zakupy w Akihabara...

Takao przytaknął ze zrozumieniem, domyślił się, że Paul nie jeździł do Tokio zwiedzać muzeów czy Ginzy.

Japończyk zapraszającym gestem, w milczeniu, wskazał część pomieszczenia pełną ciuchów taktycznych, kamizelek, kabur. Na stojaku wisiały cztery ciężkie kombinezony taktyczne, w dwu rozmiarach; czarne jak noc, kompletne, z osprzętem, hełmami i maskami. Paul nie rozpoznawał tego typu, ale wyglądały bardzo nowocześnie, solidnie, i bardzo przerażająco.

– Takao-san, to na specjalne zamówienie, czy ktoś w Japonii takich używa? – przyglądał się z ciekawością kombinezonom.

– Umibozu – Japończyk strzepnął z barku kombinezonu niewidoczny pyłek – W moich czasach nie mieliśmy takich.

Paul błyskawicznie połączył kropki na tym obrazku.

– Hm, to w jakimś odległym sensie kuzynami jesteśmy – Paul uklonił się głęboko przed zdziwionym Japończykiem – Komandosi Royal Marines, 45 regiment. W moich czasach.

Takao pokiwał głową ze zrozumieniem, odkłonił się równie głęboko.

– Druga grupa zwiadowcza, Amfibijne Operacje Specjalne JSDF.

– Tak zwani Umibozu...

– Tak zwani.

Przezwiseł nadany od ciemnych demonów morza z legend japońskiego folkloru, o ile Paul pamiętał. Jednostka bardziej

legendarna, niż średniowieczne legendy i niż byle komandosi Marines.

– Piękna rzecz – Paul wrócił do kombinezonu – Na wszelki wypadek?

– Na wszelki wypadek – potwierdził Takao.

– Jedyne, czego mi brakuje, to kabura, uprząż – Paul oderwał się od ciężkich kombinezonów, przyjrzał się wiszącym na ścianie różnościom – Ale może najpierw znajdę jej zawartość...

Takao z szacunkiem wskazał stojak z wieszakami, było tam z piętnaście kamizelek różnych typów, zafoliowanych.

– Coś z tego może się przydać, polecam ten model – zdjął jedną.

Paul roześmiał się, zaskoczony Japończyk zmarszczył brwi.

– Nie uwierzysz, Takao-san, ale mam na sobie taką! Kupiłem od znajomego parę dni temu.

Japończyk rozjaśnił się, odwiesił szarą kamizelkę z powrotem. Paul poczuł, że zyskał parę punktów szacunku.

– Mój człowiek wpierał mi, że to dobry nowy model, ale mu nie bardzo wierzyłem – Paul kręcił głową z uśmiechem – Jedyne co pewne, to że lekka i wygodna. Teraz bardziej wierzę w jego bajki!

– Tak, to jest dobry model. To znaczy, nic lepszego bez skorup i płyt nie mam.

– Mhm. A ile taka kosztuje, średnio?

– Około tysiąca dolarów – Takao wykonał gest dłonią, „mniej-więcej”.

– Czyli nawet nie zdarł ze mnie, mój człowiek musi być chory albo popsuty! – Takao-san ponownie parsknął „ha!”.

Poszli do drugiego pokoju.

Ściana na wprost drzwi była pełna broni długiej, a nawet bardzo długiej (królowały tam któryś pełnoskalowy Barrett i karabin maszynowy M60), ściana po lewej była pełna pistoletów i pistoletów maszynowych. Pod prawą ścianą stały regały, pełne pudeł i skrzynek, na oko: z bardzo rozrywkową zawartością.

Około jednej czwartej broni Paul nie rozpoznawał, następna jedna czwarta była nieco inna, niż pamiętał. Podeszedł do ściany karabinów, przyjrzał się z bliska tak–jakby znajomemu karabinkowi szturmowemu, który nadal był opisany „FN Herstal” a nie „FL Heilbronn”.

– Takiego używałem ostatnio – wyjaśnił przez ramię przyglądającemu się mu Takao – Ale chyba nic z długiej nie wezmę.

Rozejrzał się po lewej.

– Peemu też chyba nie zaryzykuje... – jego uwagę przykuł nieznajomy pistolet maszynowy, koło pary bardzo znajomych mini–UZI, na kolbie był opis „H&K MP9” a na zamku „Cal 4.6mm X 36”. Nie znał takiej amunicji i o ile wiedział, Heckler & Koch pracował dopiero nad MP7. Ale pewnie mało kto pamiętał tamtą ścieżkę historii...

Pistolety wisiały przeważnie parami, po dwa identyczne, obok siebie.

– Co najmniejszego i... rozsądnego mamy z czymś mocniejszym niż zwykła dziewiątka? – skinął na duże glocki

9mm.

– Glocka 29 – Takao wskazał na końcu ściany, pistolety były posortowane według wielkości – Ale można tym uszkodzić nadgarstki. Albo SIG P229 Compact – wskazał dwa SIGi w sąsiedniej kolumnie na samej górze, mniejsze pistolety były głównie na 9mm Para albo jakieś jeszcze słabsze wynalazki.

– Jak z dostępnością 40 obecnie? – Paul przyglądał się sporym SIG Sauerem, zawieszonym na wspornikach, nie dotykał ich; na komorach miały wybite .40 S&W.

– Gorzej niż z dziewiątką, czy 45, czy jakimiś zabytkami do rewolwerów – wzruszył ramieniem Takao – Ale każdy kompetentny sklep... i znajomy, powinien mieć .40 Smith and Wesson na składzie.

Paul pomyślał, że to się zgadzało we wszelkich wersjach świata, jakie pamiętał.

– Czy to jest taki sam, jaki dawałeś mi wtedy przy stacji?

– Tak.

– Mogę?

– Oczywiście – Takao uklonił się.

Paul wziął do ręki czarny pistolet, który był zaskakująco ciężki i duży jak na wersję „compact”. Trochę przypominał walthery, których Paul używał przez ostatnie lata. Ale był cały metalowy, a nie z plastikową ramą, jak nowsze walthery czy glocki.

– Dziwnie ciężki? I strasznie solidny...

– Tak. Limitowana wersja. Skrócona lufa, ale normalna rama, przyjmuje zwykłe magazynki na 12 sztuk. Ulepszony

spust, okładziny chwytu poprawione. Mnie się podoba, chociaż względnie duży. Istnieje jeszcze mniejsza wersja 224, z inną ramą i tak dalej, ale wolę tę.

– No właśnie miałem powiedzieć, że nazwanie tego żelastwa „compact” to jakiś chwyt marketingowy... – Paul bawił się pistoletem, „przeładowywał” go i sprawdzał mechanizmy. O ile pamiętał, SIGi rodziny P220 nie miały złej opinii, nie rozlatywały się i działały pewnie. Ale może w tym świecie SIG Sauer coś schrzanił, musiał zapamiętać, żeby nie polegać na swojej opinii z poprzedniej rzeczywistości, o dowolnej technice czy producencie.

– Trochę marketing. Ale od wojskowych SIGów jest sporo mniejszy – Takao znowu wzruszył ramieniem – A ja wolę całe metalowe...

– Ja też, chociaż ostatnio coraz trudniej o takie – Paul uśmiechnął się pod nosem – Czy on jest przerabiany, czy z fabryki?

– Z fabryki, tylko wersja specjalna. Ale większość części pasuje od innych podobnych SIGów. Skądinąd, zwykłe powiększone magazynki też pasują, można i 20 nabojów mu włożyć. Ale wtedy robi się naprawdę niezgrabny.

– Wezmę, też mi się podoba, nawet jeśli cegła przy tym – machnął lufą SIGa na małego Glocka 29, przypominającego zabawkę, w porównaniu.

– Dołożyć laser z latarką? – Takao wskazał króciutką szynę pod lufą SIGa.

– Poproszę – Paul przyjrzał się dokładniej, nie pamiętał takiego systemu – To jest jakiś patent SIG Sauera?

– Tak – Japończyk wyjął z szafki nieduże pudełko, wyłuskał z niego malutkie urządzenie, pokazał je Paulowi – Laser widzialny, podczerwony i latareczka – bawił się przełącznikiem, oświetlając ścianę – Chyba najlepszy moduł na rynku, bardzo solidny, bardzo dobry, i bardzo szybko żre baterię...

– Właśnie miałem zapytać, jak to wszystko się zmieściło w tej zabawce – uśmiechnął się Paul.

– Z trudem – odparł Takao i spakował moduł z powrotem – Ile amunicji?

– A jaką mamy?

– Full-metal-jacket, ciężką grzybkującą i przeciwpancerną.

– A kto robi 40 S&W przeciwpancerną?!

– Oficjalnie nikt – uśmiechnął się szeroko Takao – W zasadzie, to jest wydumka pewnego fachowca z Tokio, wersja super-przeciwpancerna. Absurdalna cena, ręczna robota. Wolfram, ale nie jakieś drzazgi, tylko udało mu się wsadzić spore penetratory, bo zapakował je w aluminium...

Paul też się uśmiechnął, kochał Takao-san.

– Nie słyszałem o takiej kombinacji – odparł – Taka kamizelka, jaką mam na sobie, ochroni przed tym, z tej lufy?

– Nie. Dopiero płytowe klasy przeciw karabinkom dają radę. Przez najlepszą miękka obrywa się mniej więcej jak jakimś słabym pistoletowym, jak .32 ACP powiedzmy.

– Bardzo ciekawe – Paul pokiwał głową. Kiedy miało się zasoby, jak Sinna i Takao, można było zdobyć znacznie fajniejsze rzeczy niż to, co było na rynku i czego on normalnie używał. Specjalne bronie, amunicje, wyposażenie, to dopiero

jakieś CIA czy GRU miało, a nie byle najemnicy czy komandosi – Może tak, jeszcze dwa magazynki do tego tutaj, i po ile są pudełka, jak zwykle po 20 sztuk?

– Tak.

– To jedno grzybków policyjnych i jedno tych super przeciwpancernych, potem sobie poukładałam.

– Oczywiście. Z mieszaniem ich w jednym magazynku radzę uważać, bo różnie kopią, jedna jest poddźwiękowa, druga naddźwiękowa, i ze 25% różnicy wagi – Takao poszedł do kąta, był tam worek, pełen solidnych toreb na zakupy, najwyraźniej oryginalnie z różnych sklepów japońskich. Paul pomyślał, że nie pierwszy raz ktoś pobierał stąd kupkę broni i wynosił ją w podniszczonej torbie z myszką miki czy hello kitty.

Takao wziął torbę i otworzył szafkę, jedną z rzędu pod ścianką pistoletów, wyjął stamtąd dwa pudełka naboju i dwa magazynki. Zanim wrzucił wszystko do torby, obejrzał towar uważnie, sprawdził kciukiem podajniki magazynków, po czym wyciągnął dłoń do Paula, który oddał mu pistolet.

Japończyk błyskawicznie sprawdził wszystkie trzy magazynki, prawie żonglując nimi, wkładał i wyjmował je z SIGa w fenomenalnym tempie. „Popisuje się”, pomyślał Paul, ale z drugiej strony, jeśli Takao używał ciągle takiego samego pistoletu, nie było to dziwne. Poza tym, jak rany, byli w Japonii, czego miał się spodziewać po byłym Umibozu, że mu nagle wypadnie z ręki magazynek?!

Takao pokręcił głową. Sprawdził jeden z magazynków kilka razy. Odłożył dwa pozostałe do torby, wyrzucił ostatni z pistoletu i odłożył na szafkę. Wziął drugiego SIGa ze ściany,

wyrzucił z niego magazynek, i sprawdził kilka razy w pierwszym pistolecie. Pokiwał głową z aprobatą i włożył pistolet do torby na zakupy, a drugi, bez magazynka, odwiesił na ścianę.

Paul postawiłby dolary przeciwko muszelkom, że choćby nie wiem co, nie zauważyłby różnicy, żaden z magazynków nie zaciął się, ani nie wyróżniał, na oko. Ale byli w Japonii.

Takao wrzucił „niesprawny” magazynek do pudła w kącie, obrócił się do Paula.

– Coś z tego? – wskazał ścianę regałów naprzeciw ściany pistoletów, regałów pełnych pudełek i kontenerków, opisanych „EXPLOSIVE” albo podobnie.

– Ze dwie porządne świece dymne, ze cztery flashbangi – Takao sięgał nieomylnie i ładował do torby to, o czym Paul mówił – Widzę claymory, fajnie by było, no ale nie będę z nimi paradował na ulicy...

– To jest mój ulubiony zamiennik, w sensie kompaktowej miny kierunkowej – Takao odłożył torbę i wyciągnął z solidnego kontenerka czarne plastikowe pudełko, wyglądające jak bardzo duży zasilacz komputerowy, albo jakieś urządzenie elektroniczne – Połowa objętości normalnego claymora, mniejszy zasięg i węższa strefa, ale skuteczność całkiem podobna.

– Czyli w kamizelce i masce może da się przetrwać, ale każdy się zatrzyma, kiedy takie coś wypali mu w pysk? – Paul zważył pudełko w rękę – Będę umiał obsłużyć? Nie widzę napisu „tą stroną do przeciwnika”!

Roześmieli się obaj.

– Na pewno. A do przeciwnika tą chropowatą stroną – Takao machnął ręką – Skądinąd, można używać jako burzących, jak się przycisnie do czegoś, to jest zapakowane analogiem semtexu. Ile?

– Ze dwie. To bardzo dobrze, bo właśnie zastanawiałem się nad jakimś kawałkiem „plastiku”. Kto to robi?

– Nikt. Seria eksperymentalna, bardzo udana – Takao-san ładował do torby dwie czarne cegiełki, zapalniki zdalne, instrukcję obsługi – Ale po testach wszyscy zapytali, dla kogo to jest tak w zasadzie zaprojektowane, poza terrorystami. I projekt umarł.

– To skąd to macie? – Paul przyglądał się ścianie kontenerka, z którejś ktoś pracowicie zeszlifował oznaczenia i napisy.

– Zapomniane po testach na poligonie – zaśmiał się Takao – Bodaj pół roku tego szukali, ale już im przeszło.

– Jeśli ktoś użyje, znowu zaczną szukać – zauważył Paul.

– Zapewne – Takao nie wydawał się przejmować – Coś jeszcze?

– Nie... Takao-san, ja bym stąd taczkami wyjechał, ale muszę to wszystko na plecach nosić! – zaśmiali się obaj.

Japończyk zamykał pudełka, szafki, sprawdzał wszystko, Paul zważył ciężką torbę w rękę. Trochę zrobił z siebie jednoosobową armię i w życiu się z tego nie wyłga w razie wpadki. Ale w służbie Niny, czemu nie... Skoro Takao miał aż taki arsenał w służbie Sinny...

Kiedy już mieli wychodzić do garażu, Paul zatrzymał się jak wryty i uniósł palec.

– ZARAZ, jesteśmy w Japonii! – zauważył niezwykle odkrywczo, aż Japończyk parsknął – Nie powiesz mi Takao-sama, że nie masz tu mieczy!

Japończyk spoważniał, wahał się dłuższą chwilę.

– Mam. Ale przemysłowe. Ciekawe mam gdzie indziej...

– Rozumiem – Paul uklonił się – A mogę zobaczyć te nieciekawe?

Takao ruszył do ściany z bronią długą, na wprost drzwi. Dotknął jednego z uchwytów pod którymś karabinkiem i otworzył na oścież płytką szeroką szafę, z bronią palną na drzwiach. Wewnątrz na jasnoszarej tapicerce leżało sześć mieczy różnej wielkości, trzy pary, w czarnych pochwach bez ozdób, w bardzo prostym „osprzęcie”. Przypominały japońskie miecze wojskowe, masowo produkowane w czasie drugiej wojny.

Paul odłożył torbę na podłogę.

– Mogę?

– Oczywiście.

Paul wyjął ze stojaka kataną, wzniosł ją wygięciem do góry, w obu dłoniach do Takao, znał rytuał.

Japończyk skrzywił się, jakby to wszystko było nie na miejscu; Paul znał też nastawienie koneserów do mieczy z II wojny, ale – miecz to miecz.

Kiedy wyjął kataną z pochwy, zdziwił się. Była rzeczywiście klasy „przemysłowej”, nie miała linii hartowania hamon, była jak spod szlifierki i względnie długa. Ale wydała mu się ze dwa razy za lekka. Obejrzał uważnie względnie szerokie ostrze, było dziwne, to nie była zwykła stal, ani nierdzewna.

– Co to?

– Na zamówienie – zdegustowany Takao skrzywił się – Projekt wariata. Cena absurdalna. To jest rdzeń tytanowy obłożony stalą specjalną, manganową.

– Rozumiem, że od tytanu jest lżejsza – Paul odsunął się i złożył się mieczem raz i drugi, spróbował jedną ręką, nie było problemu; przy normalnej katanie tego rozmiaru zaraz uszkodziłby nadgarstek – A dlaczego stal... manganowa??

– Twarda, supertwarda. W zasadzie, ostrzenie tylko diamentem. A im bardziej się ją tłucze czy próbuje złamać, tym mocniejsza i twardsza. Wybryk metalurgii, bodaj z tego robi się zęby kruszarek skalnych, ostrza młynów złomu... – Takao znowu wzruszył ramieniem – W zasadzie każde normalne ostrze pryska albo gnie się, w zderzeniu z tym.

– O matko... – Paulowi oczy się świeciły. Ale nie mógł paradować z taką kataną na ulicy. Wyrok za miecz dostałby w Japonii zupełnie podobny, jak za pistolet.

– Jeśli ci się podoba, polecam któryś z tych prostych – zdegustowany Takao wskazał dwa mniejsze miecze z ostatniej pary, wielkości jak wakizashi obok, około 60 czy 70 centymetrów – Najłatwiej ukryć i mają sprytne tsuby...

Paul ostrożnie schował i odłożył katanę, wziął prosty krótki miecz, ostrze musiało być szerokie, sądząc po czarnej pochwie. Zamiast klasycznej, jeśli nawet topornie prostej tarczki tsuby, japońskiego jelca, jak w katanie i wakizashi obok, był tu jeszcze prostszy pierścień–wzmocnienie, prawie gładki. Całość wyglądała podobnie jak oprawa „biała”, uproszczona, do przechowywania wyjątkowych głowni, tylko że tu była czarna zamiast w kolorze drewna, i miała dwa

uchwyty dla przypięcia do pasa czy mocowania.

Spodziewał się jakiejś wariacji w stylu zmyślonych krótkich prostych mieczy ninja, zupełnie ahistorycznych, popularnych głównie w filmach i wśród dzieci. Zdziwił się, bo wyjął leciutkie DWUSTRONNE szerokie ostrze, z dosyć ostrym sztychem, na oko w tej samej technologii, jak poprzednia katana.

– Co to jest??

– Metalurgia jak tych wszystkich – Takao krzywił się coraz bardziej – Wariacja wariata na temat tsurugi, najdawniejszych mieczy japońskich.

– Takich nie kojarzę... – Paul machnął mieczykiem na próbę, ostrze nic nie ważyło i gwizdało.

– Bo to wariacja, wzorowana głównie na mieczu koronacyjnym, cesarskim...

– A, kojarzę! Zaraz, nie kojarzę, czy przypadkiem tego miecza koronacyjnego nikt nie widział od wieków??

– No właśnie – parsknął Takao – A jeśli nawet, to powinien mieć metr, albo nieco mniej, jak katana. A nie taki „obrzyn”. I inne... wszystko. Rękojeść, przeciwwagę, tsubę, sztych. Mówilem, wariacje wariata, uparł się, że to jak starożytne tsurugi, czy w ogóle legendarne z Chin i Indii.

– Ale fajny...

– A to już jak Paul – sama uważa – Takao nie był fanem nieortodoksyjnych mieczy, to pewne – Proszę ostrożnie nacisnąć przyciski pod tą tsubą, co to jej nie ma.

Paul nacisnął dwa występy, pierścień „wzmocnienia” w miejscu tsuby szczęknął i rozłożył się w dwa „półkola”,

tworzące jelec, prawie jak małego europejskiego miecza.

– Ło panie, chcę to! – Paul entuzjastycznie oglądał szczegóły rozkładanego jelca, to nie była zabawka, oba eliptyczne segmenty osłony były solidne, na mocnym zawiasie, pewnie zatrzasknięte i chyba z tej samej stali, co ostrze – Wygląda to solidnie...

– Tak. Bodaj ta tsuba była droższa niż miecz – pokręcił głową Takao – Nie do przecięcia czy rozbicia zwykłym mieczem, nawet jakimś odachi, przez siłacza. To znaczy, prędzej urwie się rękę trzymającą miecz, albo po prostu wybije go z dłoni, niż przetnie tę tsubę. Podobnie jak te zwykłe, nierozkładane – wskazał resztę szafy.

– Jak to się składa?

– Pojedynczo i ostrożnie, ale na siłę.

Paulowi udało się złożyć jelec, obie części po kolei, używając całej siły kciuka.

Schował mieczyk do pochwy i ważył w dłoni eleganckie czarne... coś. Bardzo chciał to mieć. Ale było to tak bardzo niepraktyczne... i drogie... i nie do wywiezienia z Japonii. Chyba, że znowu pontonem i statkiem, ciemną nocą.

Przybrał oficjalną minę i ton.

– Takao–sama, ja wiem i rozumiem, że pan nie jest fanem tego sprzętu i ma pan mnie za głupiego gadzeczarza, ale czy mogę zdekompletować tę kosztowną kolekcję? Bardzo proszę!

– Paul uklonił się przed Japończykiem i przed szafą.

Takao wyglądał, jakby miał ochotę wałnąć się dłonią w czoło, na przemowę Paula.

– Pewnie, że możesz sobie wziąć. Mam tego gówna jeszcze

osiem sztuk i każdego z nich nie lubię zupełnie tak samo.

Dobrali kaburę do SIGa, zajęło to chwilę, bo chociaż Takao na co dzień nosił taki sam pistolet, to akurat preferencje Paula były różne, wolał miękkie, dyskretne i „byle jakie” kabury na broń i magazynki, a nie staromodne, elegancko–szytywne, jak używana przez Takao–san. Jak też model, którego używał Japończyk, nie pomieściłby SIGa z latarką–laserem. W końcu znaleźli zestaw, który pasował do pistoletu i do Frasera, w komplecie dostał szelki i pas, nie był pewien, czy będzie ich używał.

Nie znaleźli w szafie na warsztacie pełnej „różności” takiej torby, żeby zmieścić, jak się okazało, równo 70 centymetrów miecza w pochwie.

Jego skryte noszenie na plecach, czy z przodu „pod pachą”, też było niełatwe, wymagało jakiegoś płaszcza czy puchowej kurtki, a nie byle bluzy. Paul równie łatwo schowałby szotgun, a może i jakiś karabinek, i miałby więcej pożytku z niego. Ale na pewno nie miałby tyle frajdy.

W końcu zebrali wszystko i pojechali z powrotem do kliniki, umówili się na wyjazd na pociąg jutro z samego rana. Paul miał wszystko, czego mógł potrzebować, i chciał jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę.

Przed kolacją sprawdził trasę i hotel w Kioto (spodziewał się typowego wieżowca czy podobnie, jak inne znane mu hotele Hyatt, a znalazł coś w typie ekskluzywnego dawnego japońskiego zajazdu, ryokan); zadzwonił, żeby potwierdzić rezerwację. Wszystko się zgadzało, Paul Fraser miał tam pokój

od jutra.

Pakowanie zostawił na później, wykapał się, przebrał i ruszył na spotkanie rodzinne nie z tego świata.

11

Kiedy wszedł do restauracji zdziwił się, bo było zupełnie pusto, poza już czekającą na niego Sinną z dziećmi, przy czteroosobowym stole, którego stale używali. Cała trójka promieniowała pięknem.

Podszedł do ich stolika, kłaniał się głęboko, po japońsku. Odkłonili mu się, ale nie wstawali, jednak byli inni, nie do końca „japońscy”. Sinna wskazała mu miejsce naprzeciw siebie, obok Adriana. Utrafił ze strojem, założył spodnie od nowego garnituru i zwykłą koszulę, oni też byli w prawie-codziennych ciuchach, nie w jakichś wieczorowych, ale też nie w zupełnie wyluzowanych.

– Dobry wieczór – rzucił, siadając.

– Dobry, dobry – kiwnęła głową Sinna – Wszystko załatwiliście?

– Tak, doskonale – obejrzał się na pustą salę, z zaplecza wypadły w pośpiechu dwie dziewczyny–kelnerki – Czy tu jest tak pusto na naszą cześć??

– Owszem, spławiliśmy gości, nie ma ich za wielu. Co pijemy?

Kobiety chciały wino śliwkowe, Paul przyłączył się, pamiętał, że choya było smaczne. Adrian zamówił piwo, ale

zaraz zmienił na takie samo wino.

Błyskawicznie dostali całą butelkę i przekąski, nie było menu, najwyraźniej kolacja była bardzo prywatna i ustalona z góry.

– Jak ci się podoba Takao-san? – zapytała Sinna.

– Kocham go! – roześmiał się Paul, wszyscy uśmiechnęli się na takie dictum – W sumie, jest czymś w rodzaju mnie, w starszej wersji, pewnie lepszej. W sensie byłego zawodowca, po służbach specjalnych.

– Tak... Przydaje się nam – pokiwała głową – Skądinąd, bierz pod uwagę to, co tutaj mamy. To, z czym Takao musi sobie na co dzień radzić, bo przy Ninie może być podobnie: różne głupki, bandziory czy wywiady, próbują zrozumieć o co z NAMI chodzi.

– Domyślam się. Ale przy Ninie może być łatwiej, skoro nie mieszka w stałym miejscu, jak wy – odparł.

– Owszem – przerwali rozmowę, bo dziewczyny podały pachnącą lekką zupę rybną.

Kiedy sobie z nią poradzili, okazało się, że to był drobniutki wstęp. Jako „drugie danie” wjechało na stół, typowo po japońsku, pełno misek i miseczek, z 10 potraw, podanych pojedynczo i na półmiskach, i na podgrzewaczach.

Jedli, rozmawiali niezobowiązująco, o przeszłości Paula, o tym jak prowadzi się „klinikę geriatryczną” w starzejącej się Japonii (jak? bardzo łatwo! szczególnie z doktor Harada).

W końcu doszli do ryżowych ciasteczek deserowych, europejskich serniczków, kandyzowanych owoców, przy kawie i herbacie. Kelnerki dyskretnie zwinęły puste nakrycia.

Paul był ociążały od jedzenia, wszystko było bardzo smaczne.

Pochwalił jeszcze raz przed wszystkimi Daisuke-san, za te pyszne jedzenie przez cały pobyt. Sinna śmiała się, że owszem, Daisuke to skarb – nie ustalała tej kolacji poza „pożegnalna kolacja, prywatna, na 4 osoby”, a fenomenalne efekty właśnie kończyli. Nie poucza się mistrza, a już na pewno nie w Japonii.

– A propos podziękowań, Paul, chcieliśmy ci podziękować, wszyscy – nagle przepiękna Sinna spoważniała, odstawiła filigranową filiżankę z kawą. Anna poprawiła mankiety koronkowej koszuli i wyprostowała się jakby bardziej oficjalnie, Adrian odstawił kieliszek.

– To ja powinienem wam podziękować – uklonił się im po kolei – Niezależnie od Niny, za wszystko.

– Nie rozumiesz – uśmiechnęła się Sinna – My spotkaliśmy setki ciekawych ludzi, nawet oni – skinęła głową na dzieci – A ja żyję dziesięć razy dłużej.

Paulowi udało się zachować kamienną twarz, ale nie spodziewał się, że Sinna ma parę tysięcy lat. To ile ma Nina?!

– Jesteś jednym z najciekawszych i... najfajniejszych ludzi – kontynuowała wolno – Brakowało nam, brakuje nam kontaktu z takimi... osobami.

Anna z uśmiechem przesadnie kiwała głową.

– Woda sodowa mi od tego uderzy do głowy – Paul mruknął w odpowiedzi, znał swoją wartość, ale nie lubił pochlebstw.

– Właśnie o to idzie, że nie – Adrian patrzył na niego, ich oczy spotkały się; niebieskie oczy chłopaka bywały zimne jak

lód, ale teraz były wyjątkowo ciepłe – Właśnie o to idzie, że jesteś bardzo twardy i... odporny, nawet wobec nas, i jednocześnie NIE uderzyła ci woda sodowa do łba, jak wielu!

Anna leciutko zmarszczyła śliczne brwi, jakby coś jej nagle przyszło do głowy.

– Dokładnie tak – Sinna przytaknęła i dorzuciła, jakby czytała w myślach Paula – Trzeba odróżniać pochlebstwa od zasłużonych komplementów.

– Nie widzę, jak mogłem na jakiegokolwiek zasłużyć – odparł Paul.

– Ale my widzimy – Sinna uśmiechnęła się promiennie.

Anna nagle wyciągnęła paluszek prześlicznej dłoni, w koronkowym mankiecie, ponad stół i krajobraz po bitwie deserowej. Skupili na niej uwagę, uśmiechnęła się do Paula przepraszająco i zaczęła mówić w tamtym nieznanym mu języku, do matki i brata.

Zaskoczyła ich, nastąpiła szybka wymiana zdań, Fraser nic nie rozumiał. Język miał melodię i brzmienie od greki po Indie, ale z niczym mu się nie kojarzył, żadnych słów nie rozpoznawał, nie potrafił stwierdzić, czy to indoeuropejski czy jakiś inny.

Z ich mowy ciała i intonacji coś tam potrafił wywnioskować, tak jakby przekonywała ich do czegoś, Adrian wydawał się przychylić pozytywnie, Sinna była zaskoczona i raczej na „nie”, ale oponowała coraz słabiej, wolno kręciła głową. W końcu ucięła rozmowę jakimś twardszym zdaniem, ale dzieci patrzyły na nią z oczekiwaniem, Anna nie obraziła się.

– Przepraszam cię Paul, Anna wyskoczyła z pomysłem... –

Sinna nadal kręciła wolno głową – W innych okolicznościach, świetnym, ale teraz muszę zadzwonić...

Wstała i poszła poza restaurację, do hallu recepcji.

– O co chodzi? – Paul obrócił się do dzieci.

– Nic takiego! – Anna wyszczerzyła idealne ząbki.

– Pieprzysz jak pieprzem! – roześmiał się Adrian, pokazała mu język – Chce ci zrobić prezent, dosyć nietypowy... znaczny... W zasadzie, wszyscy chcemy.

– Nic nie rozumiem, ale dziękuję! – odparł, zastanawiając się, jakież to są łaski boskie, w sprawie których Sinna musi zadzwonić. I ile go to będzie na końcu kosztowało.

– Jeśli Nina się zgodzi... – Adrian machnął dłonią na hall, za matką, napił się wina.

– Aha – Paul zrozumiał. To mógł być jakiś prezent nie z tego świata.

– Zgodzi się – Anna odparła z przekonaniem, była jednocześnie przepięknie dojrzała kobieta i zupełnie jak dziewczynka, na raz.

– Mam nadzieję – Adrian przytaknął jej, nie przekomarzał się.

Sinna wróciła, spokojna, cudowna, usiadła na swoim miejscu. Dzieci wpatrywały się w nią z napięciem, Paulowi też się udzieliło, choć nie miał pojęcia, o co tak naprawdę chodzi.

– Nie popękajcie – rozejrzała się po nich – Zgodziła się.

Anna pisnęła cichutkim „jupiii!”, Adrian pokiwał głową, Sinna wpatrywała się we Frasera – Jeszcze Paul musi się zgodzić.

Anna i Adrian zamarli, ale jakby w niedowierzaniu, „no przecież się zgodzi!”.

– Nie wiem na co – odparł bezradnie.

– Wiem – Sinna pokiwała głową – Podaj mi dłoń na sekundę.

Podali sobie dłonie, rzeczywiście tylko na chwilę, jej urok uderzył go jak zwykle, ale teraz to było właśnie „jak zwykle”, a nie jakby zderzył się z pociągami towarowym, wiozącym kobiece piękno.

– Sprawdzam tylko... bo to co chcemy zrobić jest dla ciebie męczące i osłabi cię. Ogólnie wyglądasz świetnie...

– ... i tak się czuję! – zapewnił ją.

– Tak... a przez noc i jutro po drodze odpoczniesz – Sinna westchnęła – Dobra, niech wam będzie, skoro Nina się zgadza, a on wytrzyma wszystko...

Anna kiwała głową z entuzjazmem, Paul wpatrywał się w Sinnę, na co, do cholery, miał się zgodzić?!

– Spróbuję wyjaśnić – Harada spojrzała na syna – Jeśli będę bredzić, zatrzymaj mnie albo poprawiaj.

– Tak, matko – Adrian odparł bardzo poważnie.

Spojrzała Paulowi głęboko w oczy, nadal nieco rozpływał się w tych ciemnych jeziorach.

– Chcemy dać ci częśćkę nas, naszej prawdziwej jaźni – mówiła wolno i rytmicznie, jej głos hipnotyzował go – Niewielką, bo nie stać nas na wiele, my nie rośniemy, możemy tylko utrzymać nasz... stan posiadania, a oddając komuś część siebie, tracimy ją bezpowrotnie.

Adrian pokazał matce trzy palce.

– Tak... ale we trójkę możemy dać ci więcej – Sinna skinęła głową – To... ziarno, jest za małe, żeby dać ci nasze możliwości, nasz poziom bytu, ale da ci pewną formę nieśmiertelności... i inspiracji? – spojrzała pytająco na Adriana, który skinął jej głową z szacunkiem.

– Jeśli mogę dodać, ponieważ to jest część NAS, jakieś nasze cechy, aury, zostaną z tobą na zawsze – dodał Adrian – Dlatego matka zapytała Ninę, bo to rodzaj splątania twojego bytu z powidokami naszego i nie da się łatwo tego odwickłać. Stąd może być ocenione jako nasze chamskie wpychanie się, na miejsce Niny...

Paul pokiwał głową, był zdumiony, ale zaczynał rozumieć.

– I możesz nie chcieć być nieco podobny do nas – cicho dodała Sinna.

– Nie wyobrażam sobie, że mógłbym, że ktokolwiek mógłby wam odmówić – Paul uklonił się głęboko – Czy to mnie bardzo zmieni?

– W tej rzeczywistości zmieni nieznacznie i nie będziesz tego bardzo świadomy – zdecydowanie odparła Sinna – Ale trochę zyskasz i *non omnis moriar* z przysłowia stanie się faktem.

– A dajcie już spokój! – Anna wydeła wargi – Mamo, dla ilu ludzi to zrobiłaś, przez całe życie?!

– Trzech...

– No właśnie. A my raz! Więc Paul, to naprawdę jest wyjątkowy dar i naprawdę pozytywny, bo... jesteś... – zabrakło jej słów, opuściła oczy.

Zapadła długa cisza, Sinna też opuściła głowę, rozpuszczone kasztanowe włosy nieco zasłoniły jej twarz.

– A kto to był? – Paul zainteresował się, chciał przerwać milczenie.

– My oddaliśmy kiedyś, razem, częśćkę nas obojga – odpowiedział Adrian cicho – Tydzień mamę prosiliśmy, w końcu pozwoliła, nauczyła nas. Zdążyliśmy w ostatnim momencie...

– ... wykończyliście go... – przerwała mu zza firany włosów Sinna.

– ... może i tak – Adrian zaciął się w sobie – Ale tworzył jeszcze! I nie zniknął!

– Ale kto?? – Paul był zdezorientowany.

– Hokusai – Sinna podniosła głowę – Znasz jego drzeworyty, sztukę?

– No pewnie... – wydukał, znowu zdumiony, przy nich nie można było przestać się dziwić. A „Wielka fala w Kanagawa” wisiała nad kominkiem w jego starym domu – I on żyje... wiecznie?

– Istnieje – poprawiła go Sinna – Jego dusza, duch...

– Duch w kryształce – powiedziała Anna, nadal zapatrzona w blat – „Choćby jako duch będę lekko stąpać po letnich polach”. Spisywałam jego haiku, nie dał już rady pisać ani malować, ale szeptał je, prawie do końca, nic nie mogłam poza zmniejszaniem jego cierpienia...

Nagle podniosła głowę, miała łzy w oczach, obróciła się do matki.

– I nie wypominaj nam Hokusai, twój dar nie pomógł Basho!

Sinna nie protestowała, pokiwała głową, bardzo piękna i bardzo smutna.

– Komu?? – bezradnie zapytał Paul.

– Matsuo Basho, największy poeta haiku, jaki istniał – wyjaśnił Adrian.

– Czyli to mi może naprawdę zaszkodzić? – Fraser gorączkowo rozważał, jak w ogóle miałby ocenić ryzyko.

– Hokusai miał 88 lat, był bardzo chory. A Basho miał niestabilny umysł, jeszcze zanim z nim zaczęłam... – wolno powiedziała Sinna – Ty jesteś w szczytowej formie... i bardzo stabilny, nie jak...

– Zróbmy to chociaż raz porządnie, razem! – Adrian przerwał jej, wpatrywał się w swoją lewą zaciśniętą pięść, na blacie, wszyscy zapatrzyli się na tę pięść.

Paul pomyślał, że za parę wieków, kiedy Hadrian dorośnie, ta pięść będzie kruszyć góry.

– Zgadzam się – zdecydowanie przerwał ich rozważania i wspomnienia.

Cała trójka synchronicznie, zapewne nieświadomie, wykonała ćwiczenie oddechowe, na uspokojenie, kilka głębokich wdechów i wolnych wydechów. Paul odruchowo dołączył, spokój, tak, to dobry pomysł.

– Podajemy sobie ręce, jak w jakimś kółku walniętych spirytystów – wyjaśniła Sinna z nikłym uśmiechem, uspokoiła się, dzieci też, zostały w nich tylko gracia i piękno – Paul, zamknij oczy, możesz mieć najdziwniejsze wizje, nie przejmuj się, nic ci nie będzie. Pewnie będziesz miał wrażenie

zmęczenia, oporu, przeciwności. Ale nie będzie bolało.

– Dentysta zawsze mi tak mówił, dlatego straciłem zaufanie do ludzkości! – zażartował Paul, podali sobie ręce w kółeczku, wkoło blatu. Zamknął oczy, czuł ciepłą mocną dłoń Adriana po prawej i miękką delikatną dłoń Sinny po lewej.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, siedział z zamkniętymi oczami, słyszał swój oddech i cichutką muzykę w restauracji.

Nagle poczuł, że spada, stracił poczucie, że trzyma ich za ręce, ciemność stała się doskonała. Zanim przestraszył się, przejaśniło się i stał na szarej równinie, jak z żużla czy czarnego żwiru, pod fenomenalnie rozgwieżdżonym niebem, którego konstelacji nie rozpoznawał.

Przed nim, z płaskiej nieskończonej ciemnoszarej równiny, minimalnie sfalowanej i upstrzonej nielicznymi czarnymi głazami, wystawała olbrzymia góra z niebieskozielonego szkliwa, cały łańcuch górski. Nie potrafił ocenić jego skali ani jak daleko jest od niego, nie było perspektywy powietrznej, może to były Alpy o kilometry, a może kosmiczne Himalaje o tysiące kilometrów.

Jedyne co pewne, to wrażenie nadnaturalności, nadrzeczywistości tego obrazu, tej góry. Zbocza były zbyt strome, szkliwo lekko prześwitujące i zmieniające kolory, niektóre wierzchołki były splekane w pionowe iglice, stojące jak w wiązkach czy snopach.

Masyw był oświetlony białym światłem, bijącym zza jego pleców, cienie były długie i niskie, jak o wschodzie i zachodzie słońca; ale też jakby same góry świeciły się lekko szmaragdową zielenią.

Obejrzał się, spodziewając się słońca nad równią, lecz zdziwił się – oślepiającym światłem promieniowała inna góra, znacznie większa i odleglejsza, kolosalna, stożkowata, symetryczna jak Fujiyama, tylko znacznie wyższa i bardziej stroma. I chyba była naprawdę daleko.

Też daleko, ale jednak bliżej, był kolejny łańcuch szklistych gór, mniejszy, może taki, jak ten obok którego się znalazł. Ale nie z zielonkawego szkliwa, tylko palący się żółtopomarańczowym ogniem.

Rozejrzał się. Gdzieś bardzo daleko widział migoczącą górę czarnego szkła, a jeszcze dalej coś jakby malutkie błękitne oko, a gdzieś absurdalnie daleko bladoniebieską iskrę, drżącą nad równiną, w odległym mroku.

Poczuł zew, obejrzał się na zielonkawe góry przed nim, ruszył do nich.

Nie wiedział, czy droga trwała dzień, tydzień, miesiąc, ale na pewno była pod górę.

Nie wspinał się po stromych ścianach, niemożliwych przewieszkach, tylko zmierzał ścieżkami, żlebami i graniem, widział cel, jeden z wielkich splekanych szczytów.

W mrocznej szczelinie–przełomie, między masywnym zboczem, a odpękniętymi od niego dwoma potężnymi iglicami, znalazł cel, znalazł Drzewo.

Na gałęzi kryształowego Drzewa był Owoc. Paul nie wiedział, czy ma go zerwać.

Owoc nadal wolno rósł, był trójdzielny, jak dziwna trójdzielna pomarańcza, jego trzy segmenty nierównomiernie rosły.

Paul czekał, i czekał, i czekał.

W końcu Owoc stał się równy, jak elipsoidalny surowy diament, złożony z ledwo zarysowanych trzech równych części.

– Już – powiedział jakiś głos.

Paul zerwał Owoc.

Miał wrażenie, że wywrócił się na nice, miał nie jakiś tam zawrót głowy, ale Przedwieczną Matkę Zawrotów Głowy, jednocześnie z wrażeniem spadania i strasznego zmęczenia.

Ustało to wszystko po chwili, zostało tylko zmęczenie.

Zniknęło Drzewo i Owoc, stał przed krystalicznym zębem wielkości człowieka. Niebiesko–czarne szkło, z tysiącem ostrych jak brzytwa krawędzi, wyrastało ze splekanego szklisto–skalnego podłoża jak kiel kolosalnego tygrysa, jak obsydianowa termitiera.

– Idź i nie oglądaj się za siebie – ktoś powiedział.

Gapił się jeszcze przez chwilę na... sam nie wiedział na co. W końcu odwrócił się i wyszedł z przesmyku–komina o wysokich ścianach, do żlebu i dalej, w dół zboczy i grani.

Schodzenie było o wiele trudniejsze i bardziej męczące, niż wchodzenie w góry, nie rozumiał tego.

I cały czas musiał walczyć ze sobą, z wolą obejrzenia się jeszcze raz na niebiesko–czarny kiel. Zaśmiał się fatalistycznie w duchu, że to właśnie dlatego gdyż zakazano mu oglądać się.

Po bardzo długim czasie, kiedy był już całkowicie wyczerpany, osypiska zielonkawych piargów i coraz niższe zbocza zaczął pokrywać czarniawy tuf czy żużel, pomału

wyszedł na nieskończoną równinę.

Nieco po prawej miał kosmicznie odległą najwyższą górę ognia, zapatrzył się w nią jak w słońce.

W ułamku sekundy znalazł się w restauracji, w „Klinice Harada”, przy stoliku. Złożył ramiona na blacie i oparł o nie ciężką głowę, jak na poduszce.

Sinna opieprzała dzieci w tamtym języku, jej ton nieomylnie to wskazywał, ich słabiutkie próby obrony czy odpowiedzi także.

Pomachał do nich dłonią znad łokcia leżącego na blacie, nie podnosił głowy, miał gigantycznego kaca sprzężonego z zakwasami, jakby parę dni chlał i ćwiczył na siłowni, bez przerwy, każdy miesiąc jaki ma człowiek.

– O widzisz, rusza się, żyje! – to była Anna.

Sinna powiedział coś w tamtym języku, wściekłym tonem.

– Ale jak: miesiąc?! – to był Adrian.

– Jeszcze kurwa słowo, a będą trzy! – wysyczała Sinna.

Zdumiony jej przekleństwem, uniósł głowę znad ramion. Stwierdził, że już mu się nie robi od tego gorzej, bo gorzej być nie może, więc spróbował wyprostować się na krześle.

Udało mu się, chwiejnie.

– Daj łapki... – Sinna była zła na dzieci, ale uśmiechała się ciepło do niego.

Pomalutku wyciągnął do niej dłonie na blacie, znowu tonął w jej ciemnych oczach. Złapała go za ręce, zaraz zrobiło mu się lepiej, odżywał, ból głowy i mięśni nieco malał.

Po chwili rozejrzał się, speszeni Anna i Adrian zajmowali się

głównie pustymi kieliszkami po winie, zaglądając w nie, jakby spodziewali się cudu ponownego napełnienia.

Sinna była spokojna, wpatrywała się w niego z półuśmiechem.

Na oko, tutaj minęła chwila, choć w jego wizji mogły to być dni, tygodnie.

– Lepiej? – zapytała go, uściśnęła lekko jego dłonie.

– Tak... – odchrząknął – Tak, już lepiej. Ale mnie zmęczyliście...

– Przepraszam cię za te ROZWYDRZONE BACHORY! – rzuciła w stronę dzieci, puszczając jego dłonie. Młodzi próbowali schować się w kieliszkach.

– Coś nie tak poszło??

– Nie, wszystko dobrze. Tylko ta dwójka, którą mnie bogowie pokarali, zaczęła się licytować, kto ci da więcej!

– Aha. Dziękuję...

– No ja myślę. Tylko, że mogło cię to zepsuć! – nadal kręciła na nich głową – Już nie mówiąc, że musiałam dołożyć się tyle samo co oni, bo inaczej się nie da!

– Aha. Nadal dziękuję! – uklonił się jej, pomалу odżywał. Złapał karafkę wody i wypił sporo „z gwinta”. Trójka nadludzi zagapiła się na niego w zdumieniu.

– No dobra – odstawił karafkę – Będę żył. Chyba. Może nie dawaj im aż tyle szlabanu, nawet jeśli zupełnie nie wiem na co.

Anna entuzjastycznie pokiwała do niego głową, zdołał uśmiechnąć się.

– To się jeszcze okaże – Sinna wysyczała, patrząc na córkę.

– Przepraszamy – rzucił po chwili Adrian.

– Przepraszamy – dokładnie tym samym tonem, jak echo, powiedziała Anna.

– Co dalej? – wymruczał Paul – Bo ja muszę doczołgać się do łóżka i nie wiem, jak się spakuję.

– Tak... – Sinna zmarszczyła czoło, sięgnęła po torebkę, którą miała zawieszoną na krześle, wyjęła dużą grubą kopertę, podała ją Paulowi – 30.

– Aha, dzięki... – z trudem wepchnął ją w kieszeń spodni.

– Może ja go odprowadzę? – zapytał Adrian.

– Nie, raczej nie, jest osłabiony i nasza obecność wcale nie poprawia jego stanu – Sinna pokręciła głową – Pożegnajmy się, OSTATECZNIE, żadnych przytulaneł, szybkie uściski dłoni. Powodzenia, Paul.

Uścisnęli sobie prawice, jej dotyk był cudowny.

– Powodzenia, Paul – Anna miała podobną dłoń jak matka.

– Trzymaj się, Paul – Adrian miał mocniejszy uścisk, ale jego dłoń też była delikatna, szczególnie w porównaniu z kanciastą i twardą łapą Paula.

– Dziękuję wam za wszystko – spróbował wstać – Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, że może tu wróć.

– To możliwe – Sinna tak powiedziała, ale jednocześnie leciutko kręciła głową.

Zawołała na kelnerki, czające się na zapleczu baru, przyskoczyły natychmiast. Kazała im doprowadzić Paula – sama do pokoju, bo jest niedysponowany. Dziewczyny wcale nie zdziwiły się, widocznie nie raz odholowały z restauracji

pijaków, czy ledwo łążących dziadków.

Paul pomachał wszystkim, skinęli mu, po czym oparł się na dwu miłych niedużych Japonkach, które wyprowadziły go do hotelu.

Chciały go rozebrać i zapakować do łóżka, ale powiedział im po japońsku, że dziękuje i że już wystarczy, nie czuł się aż tak źle. Pożegnały się uprzejmie i zniknęły.

Siedział na łóżku i zastanawiał się, czy jeśli nażre się prochów przeciwbólowych, da radę spakować się teraz. Stwierdził, że nie ma mowy, jednak czuł się źle.

W ostatnim przeblysku ustawił budzik na 5 rano i zważył się na łóżko.

12

Siedział w shinkansenie do Kioto, udało mu się dostać miejsce po prawej przy oknie, mógł pożegnać się z Fujiyamą, teraz objeżdżając górę od południa.

Pierwsza klasa była zapełniona tylko w połowie. Paul nie zdążył na poranne shinkanseny Tokaido i dobrze, bo pewnie były pełne i miałyby problemy z rezerwacją „last minute”. Z zasady starał się nie zamawiać biletów czy rezerwować transport wcześniej, dla dyskrecji i utrudnienia planowania ewentualnym wywiadowcom czy zamachowcom – ale tego bardzo nie lubiły linie lotnicze i szybkie koleje japońskie. Już nie mówiąc, że przeważnie wychodziło sporo drożej.

Pakowanie i zbieranie się zajęło mu więcej czasu, niż planował, był jak na ciężkim kacu. Ale jakoś funkcjonował, prochy przeciwbólowe nieco pomagały.

Nikt nie wyszedł go pożegnać, ale kiedy sprawdzał o chłodnym świetle, czy Takao czeka na niego w Century (czekał, ale w corolli), Paul zauważył, że na górnej przeszklonej kondygnacji kliniki już palą się światła, może ruszały się tam jakieś cienie Sinny czy dzieci. A może to było zupełnie normalne, a nie na cześć jego odjazdu.

Takao wywiózł go na stację, pożegnali się z szacunkiem, pomyślał, że kontakt z Japończykiem może być bardzo ważny w przyszłości. Już choćby z tego względu, że Takao służący Sinnie zapewne był znacznie stabilniejszy przy zmianach świata, niż Akita służący... hm, komu obecnie służył Akita? Pewnie sobie, jak zwykle.

Spakowany w wielką walizkę (miecz nie zmieścił się „na wprost”, ale po przekątnej bez problemu) i w torbę z elektroniką, pamiątkę po Elenie, przejechał w porannym szczycie metra z Shinjuku na Tokio Station. Na centralnym dworcu łatwo wymienił trochę dolarów na jeny, szybko znalazł i zarezerwował pierwszy dostępny shinkansen do Kioto. Trafił mu się chyba najlepszy i najszybszy pociąg linii Tokaido. Nazywał się Nozomi, był wyróżniony w tabelach i na rozkładzie, ponad zwykłymi shinkansenami i ekspresami; nie stawał prawie nigdzie, poza największymi miastami.

Siedział w komfortowej japońskiej biznes-klasie, w delikatnym gwiżdżącym poszumie superpociągu i sapaniu starszego salarymana w sąsiednim fotelu, czytającego poranną gazetkę. Paul siedział przy oknie, próbował odpocząć i podziwiać Fuji, wielka góra zaraz została w tyle. Nadal była

piękna pogoda wczesnej jesieni, wyświetlacz nad drzwiami wagonu pokazywał maksymalnie 275km/h.

Dojechał do Kioto w nieco ponad dwie godziny, bez pośpiechu wyładował się i znalazł jakąś knajpkę koło dworca, zjadł późne śniadanie, bo rano wypił tylko pół kartonu soku. Nie kupował jedzenia do pociągu, nie rozumiał, jak może to być modne czy tradycją, bo typowe bento na stacjach zawsze było gówniane.

Bez pośpiechu zjadł posiłek, dopił niezłą kawę, zaraz znalazł taksówkę przed dworcem. Kierowca słabo mówił po angielsku, jeszcze gorzej niż Paul po japońsku, ale „Hyatt Hotel koło Kiyomizu-dera” w zasadzie wystarczyło. Pojechali przez umiarkowanie zatłoczone Kioto w stronę gór na wschodzie, w kwadrans byli na miejscu, przed prawie-tradycyjną drewnianą bramą.

Na widok taksówki, z hotelu rzeczywiście przypominającego układem stary duży ryokan (ale wszystkie budynki były względnie nowe), wypadło natychmiast dwu portierów—odźwiernych, w uniformach i białych rękawiczkach. Nie było to dziwne, przy ponad 1000\$ za dobę, za najtańszy pokój.

Paul zapłacił za taksówkę i został natychmiast, w setce ukłonów, rozpakowany i zaprowadzony przez śliczny dziedziniec do recepcji. Młoda hostessa, równie śliczna jak cała okolica, sprawdziła jego rezerwację, wydała klucze, zaprowadziła do pokoju; portier niósł jego walizę.

Hotel był bardzo luksusowy i bardzo japoński. Pasował do obrazu półbogów, którzy byle kopnięciem odkrywają 20 tysięcy dolarów, leżące pod pudełkiem czy kamieniem.

Rozejrzał się po wnętrzu, dostał nieduży, ale bardzo luksusowy apartament, na parterze, z panoramicznymi oknami wychodzącymi na tradycyjne japońskie ogrodzenie i nieduży ogród, starannie udający pół-dziki zacieniony las.

Rozwahał przez chwilę, czy nie rzucić się na łóżko i zdrzemnąć, była pora lunchu, dotarł znacznie wcześniej niż obiecywał. Ale przemógł się, czuł się już znacznie lepiej niż rano. Ochlapał się, przebrał i poszedł odszukać Ninę.

Wziął drinka w barze hotelowym, sprzężonym z restauracją, chyba pełniącą też funkcję lobby. Było tu trochę ludzi na lunchu i zalegających w wygodnych fotelach i sofach, paru nie-Japończyków, jakieś pary, grupki, może będące tu towarzystwo, a może biznesowo. Normalny luksusowy hotel.

Spróbował zadzwonić do Niny, nie odbierała, nie było sygnału, ani poczty głosowej.

Dopił drinka i poszedł do recepcji, poprosił, żeby przekazać Ninie Moon, że Paul Fraser dojechał, i że jest w barze lub restauracji, albo w pokoju. Hostessa okiem nie mrugnęła, miał wrażenie, że doskonale wiedziała kto to Nina. Nie sprawdzała niczego, tylko zapytała, w którym barze czy restauracji czeka. Okazało się, że w tak niedużym hotelu upchnięto trzy... Kiedy ustalili co i jak, zanotowała sobie informację, a Paul podziękował i poszedł z powrotem, po kolejnego drinka.

Znalazł sobie miejsce w lobby obok restauracji, miał na oku cały bar i recepcję. Odpoczywał, obserwował.

Kiedy już nieco się znudził i rozwahał kawę, a może nawet jakiś lunch, pokazała się Nina. Weszła do hotelu, hostessa ją grzecznie przechwyciła przy recepcji, Paul dopił drinka i

wstał.

Wyglądała zupełnie jak dwa tygodnie temu w Meksyku, ciemne włosy, blada cera, niebieskawa sukienka. Piękna twarz, proporcjonalna figura, puste dłonie. Miał lekkie deja-vu z momentu, kiedy pierwszy raz ją zobaczył, z ostrzeliwanego zaułka, przez celownik eFeLki; miał wrażenie, że pół roku temu. Wiedział, skąd takie wrażenie, tak wiele się zdarzyło.

Ale teraz dostrzegał też nieco więcej. Że Nina jest... solidna. Nie jest boskim uosobieniem kobiecego piękna jak Sinna, jest tylko piękna, ale też znacznie bardziej... jest. Ludzie nieświadomie obracali się do niej, recepcja stała się recepcją bardziej, niż parę minut temu. Na co spojrzała, stawalo się solidniejsze, odkrywało w sobie i przed światem swoją ISTOTĘ.

Hostessa wycofała się w ukłonach, Nina spokojnie rozejrzała się po parterze, zauważyła Paula, maszerującego do niej. Uśmiechnęła się nikle na powitanie.

– Witam – ukłonił się jej, była pół głowy niższa, tak jak pamiętał.

– Cześć Paul! – przechyliła głowę, wwiercała w niego zielone oczyska, wytrzymał jej spojrzenie z trudem – Pokaż no się!

Żartobliwie spojrzała na niego nieco z lewej, nieco z prawej, nie wygłupiał się, choć miał ochotę zrobić piruecik.

– Bardzo ładnie! – rzuciła – Sinna daje radę, jak zwykle. I chwali cię pod wszelkie nieba, czarne i niebieskie.

– Niepotrzebnie i nie wiem za co – ukłonił się lekko – To ja powinienem ją chwalić, za wszystko, co dla mnie zrobiła, co

zrobili.

– Tak... – zamyśliła się, lekko zmarszczyła ciemne brwi – Jadłeś lunch? Czy możemy się przejść?

– Nie jadłem, ale nie jestem głodny. Możemy się przejść.

– Uzbrojony? – szepnęła, przysuwając się bliżej do niego; poczuł ten sam nikły miły kwiatowy zapach co w Meksyku, jak perfum albo mydła.

– W bagażu – też szepnął, przecząco kręcąc głową.

Pomyślała chwilę.

– A mniejsza, chodźmy, w jakieś spokojne miejsce.

Wyszli z bramy hotelu i wolno poszli w prawo, za róg. Zaraz znaleźli się przy jakiejś świątyni, na oko Paula buddyjskiej, z dużą figurą Kannon. Przeszli przez plac świątynny i mniejszą bramę „na zapleczu”, wyszli prosto na piękny teren, ścieżki przy lesie bambusów.

Nie rozmawiali, szli obok siebie, Paul pół kroku z tyłu.

W okolicy było mało ludzi, niewielu turystów; na ścieżkach pod zagajnikiem była tylko jakaś starsza Japonka z psem. Było już nieco po sezonie.

Doszli do końca bambusów, przed następną świątynią, a raczej jej park i staw. Były tu ławeczki, Nina usiadła na jednej, poklepała miejsce obok, Paul przysiadł.

Za nimi falował i szumiał na wietrze bambusowy las, Paul uważał, że ten dźwięk, to wrażenie, to jedna z najfajniejszych rzeczy, jakie można spotkać w Japonii. A przed sobą mieli przepiękny staw, zmarszczony tym samym wiatrem, z

widokiem drzew, kładek, i starej świątyni w tle.

Gapili się chwilę na pocztówkę z Japonii.

– Pogadamy? – obróciła się w jego stronę, całym ciałem.

– Oczywiście – odparł spokojnie, też nieco obrócił się do niej. Jednak była bardzo piękna, jej długie włosy były wspaniałe, nie tak czarne jak Anny, i nie tak kasztanowe jak Sinny, ale gdzieś pomiędzy. Usta miała mniej pełne niż one, twardsze. Całą twarz proporcjonalną, a jej zielone oczy były jeszcze bardziej przenikliwe niż błękitne oczy Anny.

Nie zachłystywał się jej urodą, jak na początku przy Sinnie, choć była równie... idealna. Ale nie tylko w sensie proporcji, gracji, powierzchni, ale też jakby w głębszych wymiarach. Uderzyła go oczywista – nieoczywista myśl: była znacznie starsza.

– Dziękuję, że zostawiłeś brodę... – uśmiechnęła się.

– Nie ma sprawy – pogładził zarost – Przyzwyczailem się, nie przeszkadza mi. Nigdy nie wyhodowałem brody, bo „wojsko się goli” i za dużo zachodu z dbaniem o kłaki... ale mniejsza z tym.

– Sinna mówiła, że kraftunek wyszedł na maksa i zgodnie z planem?

– Tak, mnie też to mówiła – odparł – Choć nie wiem, co to znaczy, tak naprawdę. Ale bez wątplenia podleczyła mnie i poprawiła mi formę.

– Mhm – pokiwała głową – I na deser skryształizowali cię? Wczoraj wieczorem?

– Tak – miał nadzieję, że mają to samo na myśli – Trochę... bardziej niż „trochę” rozbili mnie tym.

– Odsapniemy tu dzień czy dwa – stwierdziła – Lubię Kioto i, tak naprawdę, nie pali się. Przyzwyczaisz się do moich zmian nastroju i... tempa. To znaczy, wczoraj czy przedwczoraj chciałam pędzić dalej, szybciej... – westchnęła – Ale już mi przeszło.

– Dostosuję się – zapewnił.

Popatrzyła na staw, zamyśliła się. Obserwował jej piękny profil, miała nieco cięższe rysy niż Sinna, może nieco większy nos, cięższy podbródek. Luźna sukienka, niebieskawa z delikatnymi zielonkawymi pasmami farbowania, z niewielkim dekoltem i z długimi luźnymi rękawami, nie była w stanie zamaskować jej wspaniałą figurę. Zastanawiał się, ile ona ma lat, wieków, tysiącleci – wyglądała na nieco młodszą od niego.

Obróciła się z powrotem do Paula, uśmiechnęła się, poczuł, że tak jak cały świat pod jej spojrzeniem, on też STAJE SIĘ BARDZIEJ. Pomyślał, że zakocha się w niej przed zachodem słońca. Że już ją kocha.

– Paul, to ważne... – spoważniała – To ostatni moment. Jeszcze możesz odejść. Jeszcze nie uzależniłeś się ode mnie. Choć bardzo... staram się... – zamknęła oczy, mocno zacisnęła powieki, pokazały się jej najdelikatniejsze „kurze łapki”.

Spróbował zastanowić się, obiektywnie, nad sytuacją; z trudem odwrócił od niej wzrok, zapatrzył się na japoński staw i ogród. Rozumiał, że za jakiś czas nie wypłacze się już z tego, że zapadają decyzje nieodwracalne.

Ale tak naprawdę zapadały przez te dwa tygodnie. Każdego dnia, każdej godziny, od momentu kiedy na niego spojrzała po raz pierwszy.

Skądinąd, tak jak każdego innego dnia i godziny, nijak nie

dało się ustalić, czy w pozornie zwykłej godzinie zwykłego dnia NIE zapadają decyzje nieodwracalne, kluczowe, rzutujące na całe życie. Rozpoznawane po latach, dekadach, albo i nigdy nie rozpoznane.

Roześmiał się wewnętrznie, to było idiotyczne, jak niby mógł odmówić takiej przygody, tysiącletniej bogini, wystarczająco–wszechmocnej, prawie–idealnej, która CHCIAŁA, żeby był z nią. Od dawna mógł odejść na emeryturę, wieść spokojnie życie, do końca swoich dni, a nigdy nie odszedł z „zawodu” pełnego przemocy i przygód. Przecież gdyby teraz odszedł od niej, to jutro, pojutrze, za tydzień strzeliłby sobie w łeb, albo rzucił się pod pociąg.

Bogom się nie odmawia. W prywatnej teogonii Paula Szatan nie wylądował w jakimś piekle i został dumnym Księciem Ciemności, ale szybkoitko zapił się na śmierć. A jeśli nie miał dość gorzały, to poderżnął sobie gardło ognistym mieczem, żeby się nie męczyć.

Obrócił się do Niny, patrzyła na niego, czekała. Zajrzeli sobie głęboko w oczy.

– Zostanę z tobą, do końca – powiedział.

– Dziękuję... – uśmiechnęła się, wyciągnęła do niego lewicę, miała dłoń twardszą niż Sinna, ale nie tak twardą jak jego łapa.

Cienie przeskoczyły odrobinę, chmury zmieniły położenie, bambusowy las nadal szumiał za nimi.

– Jak długo? – zapytał spokojnie, zabrała dłoń.

– Parę minut – odparła – Przepraszam, chciałam sprawdzić, jak naprawdę się czujesz, jak wyglądają... szczegóły.

– Mhm, nie przepraszaj.

– Nie wiedziałam, że oni aż tak hojnie cię obdarowali, Sinna nie powiedziała mi tego – pokręciła głową.

– To nie było planowane – opowiedział jej, co zrozumiał z akcji i dyskusji Sinny z bliźniakami.

– Ciekawe, na co im szlaban postawiła! – Nina parsknęła śmiechem.

– Myślałem, że ty mi powiesz! – też się uśmiechnął, pokręciła przecząco głową, ciemne włosy zafalowały.

– Jesteś teraz bardzo solidny... w tamtej rzeczywistości też – spoważniała – Jaką miałeś wtedy wizję, równiny i gór, czy morza i wysp?

– Równiny i kryształowych gór...

– Możesz mi ją opowiedzieć?

– Mogę spróbować – wolno opowiedział jej, co zapamiętał z tamtego wczorajszego snu na jawie.

Słuchała bardzo uważnie, kiedy skończył, pokiwała głową i założyła ręce na piersi, wyciągnęła nogi w tych dziwnych czarnych trzewikach na ścieżkę, oparła się wygodniej o ławeczkę. Patrzyła na ogród i zastanawiała się, nie przerywał jej namysłu, cieszył się jej obecnością.

– A widziałeś gdzieś w okolicy tych zielonkawych gór jakieś srebrne szczyty, któryś grzbiet czy góra były bardziej metaliczne czy srebrne, niż z zielonkawego szkliva? – obejrzała się na niego.

– Nie – pokręcił głową, nie pamiętał nic takiego.

– A nie było gdzieś jakiejś wieży, daleko od ciebie, wyraźnie zniszczonej? Jak wieża zamkowa, czy może coś

przemysłowego?

– Nie, nic podobnego, żadnych budynków.

– Mhm. Ale widziałeś coś jak błękitne oko i niebieską iskrę, w wielkiej odległości... – powtórzyła to, co jej opowiedział. Zapatrzyła się znowu na staw.

Począł chwilę i przerwał jej.

– Co to znaczy? Że coś tam widziałem, a czegoś nie? I co, tak naprawdę?

– Trudno to wytłumaczyć, nie dziś... – oparła łokcie o kolana, zgarbiła się – Paul, ja, wbrew pozorom, nie jestem ani wszechwiedząca, ani wszechmocna – spojrzała na niego spod oka.

– Stawiam dolary przeciwko muszelkom, że wszechdobrem też nie jesteś – uśmiechnął się.

– Oj, na pewno nie, to ci każdy powie! – wyprostowała się, roześmiała w głos, aż jacyś turyści nad stawem obejrżeli się na nich.

– Ale dla mnie... jesteś bardziej niż... – nie znalazł słów. Napisze kiedyś poradnik „Jak ożenić się bez księdza i urzędu, w paru prostych krokach”, „Krok 1: przypadkowo poznaj boginię”.

– Wiem, Paul, wiem.

Przez ułamek sekundy miał ochotę zapytać ją, kim on jest dla niej, tak naprawdę. Ale powstrzymał się, pytanie nie miało sensu. Zapewne jest i będzie tym, czym ona zechce, żeby był.

Zaproponowała, żeby przeszli się na spacer. Obeszli drugą świątynię i wyszli na wielki cmentarz japoński, tarasy z setkami słupków–nagrobków wypełniały sporą dolinę. Szli pod górę i rozmawiali.

– Do czego mnie potrzebujesz, to znaczy, nie mistycznie – metafizycznie – idiotycznie, ale w najbardziej codziennym i prozaicznym sensie? – zapytał – I czemu ważna jest broń, uzbrojenie, moje... zdolności?

Milczała chwilę.

– Nawet to jest skomplikowane – westchnęła – Ja nie zagrzewam miejsca, podróżuję, z pewnych względów... Inaczej niż większość... naszych. W czasie tych podróży różni ludzie... i nie tylko ludzie... czepiają się mnie, śledzą, napastują. Czasem dobrze byłoby, żeby ktoś ich powstrzymał czy pogonił BEZ zmieniania połowy świata. Bo czy w autoreakcji spoza tej rzeczywistości, jak w Meksyku, czy w świadomej reakcji tego awatara, zawsze tak się skończy, kiedy ja się... za nich wezmę.

– A to wszystkich wkurza? Słyszałem, że Lammia nie była zachwycona po naszym pierwszym spotkaniu?

– To też – parsknęła uroczym głosem – Tak, lepiej nie pokazujemy się Lammii na oczy, przez jakiś czas. Ale to połowa problemu, wszyscy to rozumiemy, każdy z nas i... bliskich nam, jakoś to przetrwa. Dostosowujemy się, nawet ja czy Bau, a Lammia czy Lilka, nie przesadzajmy... Ale jest też wiele innych problemów. Rozumiesz, że każda zmiana tego świata nieco tasuje ścieżki przyczynowo–skutkowe i trzeba od nowa się go uczyć.

– Tak, zauważyłem. Już mnie to trochę kosztowało... ludzie pojawiają się, znikają.

– Tak. Ludzie, organizacje... miejsca, krainy... – usłyszał w jej spokojnym głosie ciężar milleniów – A jeśli, jak ja, próbuje się utrzymać... prześledzić... bardzo dawne ślady, rzeczy, byty w tej rzeczywistości... Robi się coraz trudniej. Z każdą zmianą świata. Z każdym wiekiem.

Wyszli na najwyższą terasę cmentarza, wkoło było prawie pusto, nieliczni ludzie spacerowali, inni coś tam robili przy nagrobkach. Obejrzel się na panoramę wielkiej nekropolii i dalszą panoramę Kioto poniżej, zamkniętą od zachodu dalekim pasmem gór, pod płynącymi chmurami i jasnym niebem. Słońce świeciło im w oczy.

– Czyli, po pierwsze, ochraniasz mnie, żebym nie musiała robić porządku sama... Po drugie, pomagasz mi w podróżach, uzyskiwaniu... odzyskiwaniu różnych artefaktów w tym świecie, bo ja mogę robić bardzo fajne cuda, ale od tego zaraz świat się psuje... – wyliczała, patrząc na miasto – Po trzecie, dotrzymujesz mi towarzystwa, bo gdy jestem sama, względnie szybko zaczynam świrować albo popadać w... depresję.

– A jak długo jesteś teraz sama? – Paul zapytał, przyglądając się spod oka jej pięknemu profilowi, zamiast pięknym widokom.

– Prawie dziesięć lat.

– Jak słyszałem, mój poprzednik nie umarł ze starości?

– Nie. Jack zginął, kiedy wałęsaliśmy się po Afganistanie – pokręciła głową, obróciła się do niego – Musisz wiedzieć, że ja przyciągam kłopoty... a może raczej kłopoty ogniskują się wkoło mnie. Trudno to wytłumaczyć. Stąd czasem trudno

przetrwąć moim... partnerom.

– Ale potrafisz nas też ratować... – zauważył – Bez twojego udaru chyba nie wyszedłbym cało, z tego zaułka w Meksyku.

Pokiwała głową w zadumie.

– Tak, może to nie reguła, ale dziwnie często tak się zaczyna... – z gracją przegarnęła włosy – Z Jackiem też było podobnie.

– Też uratowałaś go w walce? Kiedy?! – zapytał z nieukrywaną ciekawością.

Nina przyjrzała mu się uważnie, nieco zaskoczona, ale uśmiechnęła się.

– Dawno temu... I nie tak przypadkowo jak ciebie... – wskazała ławeczkę na skraju terasy cmentarza, przysiedli – To było w bitwie, byłam z Anią na HMS Orion, pod kapitanem Saumarezem.

Paul zachnął się.

– Poproszę o rok i o którego Oriona chodzi!

– W bitwie u ujścia Nilu, tak, tak, Nelsona. Chyba 1799, na pewno przed 1800 – patrzyła w dal – Pływałyśmy na Orionie, Ania Letton bo miała na nim męża i brata, a ja się zaczęłam niby jako jej kuzynka. Lubiłam żeglować, akurat byłam sama... lubiłam Saumareza, choć nie był aż taki jak... wy.

Paul kręcił głową.

– Nie wiedziałem, że tam były kobiety.

– Było sporo kobiet, ba, nawet dzieci były – odparła – Ale faktycznie, mało walczyło czy pomagało przy rannych, jak Ania, jak ja. Przeważnie chowały się jak myszy w dziurze. A

ja, wiesz, mogę olać niebezpieczeństwa... Ania w mojej aurze też zrobiła się nadczłowiekiem – Nina zaśmiała się – Kadeci mdleli, a ona dalej nosiła proch, pomagała chirurgowi. A ja miałam rozrywkę na pokładzie, James, to znaczy kapitan Saumarez, dał się, żebym poszła won pod pokład, bo rozpraszam ludzi, przeze mnie próbowali przekroczyć swoją miarę, ścigali się po uznanie i bohaterstwo, jeden przez drugiego.

– A Saumarez i oficerowie też przecież nie byli odporni – zaśmiała się znowu – Pewnie przeze mnie wyładowaliśmy najgłębiej od strony lądu, na szpicy tej pół-eskadry... Bo wiesz, w mojej aurze wszystko zachodzi inaczej, walka też... ba, nie tylko Orion, ale cała eskadra walczyła nieco... bardziej. Pozamiatali Francuzów, to była szalona bitwa.

Paul musiał uważać, żeby mu się łeb nie odkręcił.

– A co z tym Jackiem?

– Z Jackiem... Wcześniej troszkę wpadł mi w oko, był młodym sprawnym porucznikiem, w twoim typie, jeśli wiesz co mam na myśli – obejrzała się ponad ramieniem, uśmiechnęła się erotycznie do Paula, aż mu się ciepło zrobiło, ale zaraz zapatrzyła się znowu na Kioto.

– Kiedy wieczorem L'Orient, wielki flagowiec francuski, już nieźle się palił, odsuwaliśmy się od niego, zamykano furty dział, wiadomo było, że wypieprzy pod niebo. Saumarez był ranny, drewniana belka wyrwana z masztu przez ciężką kulę zabiła dwu ludzi, zanim trafiła go w nogę, ale nadal dowodził. Przystawaliśmy strzelać, okręty odsuwały się od L'Orient, który w końcu wyleciał w powietrze...

– Jack straciłby głowę i nie mówię w przenośni... gdyby nie

ja – opuściła głowę – Kawał drewna wielkości polana... Chciałam go uratować, ale nie chciałam zmiany rzeczywistości, wszystko było takie... prawdziwe. Dużo zdrowia mnie to kosztowało, ale udało mi się tak zamieszać, że prawie, prawie nie było odległych konsekwencji w czasoprzestrzeni... to znaczy, poza tym małym zaburzeniem czasu, potem ludzie zmyślali cuda, dlatego nikt przez dziesięć minut nie strzelał, „w szoku”, dla nich wszystko jakby zamarło.

– Ale Jack to zauważył, był w epicentrum mini–zmiany rzeczywistości, widział, że to przeze mnie... Tak jak ty ostatnio – wzruszyła ramieniem – Więc, powiedzmy, zbliżyliśmy się ze sobą... również jak my, teraz – popatrzyła na Paula – I zostaliśmy razem przez wieki, wojny, krainy, aż do pierdolonego Afganistanu.

– Rozumiem... – westchnął w mieszance zadziwienia i podziwu. Uśmiechnął się szeroko do Niny – A jaki był Nelson??

– Okrooopnyyy – wyjęczała z równie szerokim uśmiechem – Straszliwie kompetentny, straszliwie charyzmatyczny, straszliwy bufon!

Roześmieli się oboje, Paul spowaźniał.

– Przepraszam, ale czy jeśli mamy... być razem, nie powinniśmy zamieszkać razem?

– Jeszcze nie, pomału, daj sobie czas – pokręciła głową – Wiele rzeczy będzie się powoli zmieniać z tobą, z nami.

– Czyli podsumowując codzienne zadania: obstawa, złodziejstwo i bandytyzm, oraz chłopiec do towarzystwa?

– Tak – wstała z ławeczki – A jak dojrzejesz, pomyślimy co dalej.

Poszli na obiad do hotelu, nie do restauracji na parterze, ale do ekskluzywnej restauracji połączonej z barem, na piętrze, z fenomenalnym widokiem z panoramicznych okien na stare Kioto, a raczej: na jego dachy i pagody.

Paul prosił Ninę, żeby nie zawracała sobie głowy, jeśli nie musi jeść. Zaśmiała się ciepło.

– Jeść nie muszę, ale mogę – odparła – A poza tym, którego słowa nie zrozumiałeś z „chłopiec do towarzystwa”? Lubię być z tobą, głuptasku.

Paul prychnął śmiechem, nie pamiętał, kiedy ktokolwiek nazwał go „głuptaskiem”, pewnie matka, kiedy miał parę lat.

Lokal był luksusowy, obsługa dyskretna, jedzenie było świetne. Po posiłku udało im się zająć sofę w czymś na kształt łoży, z boku baru, nadal widzieli panoramę Kioto, pod zachodzącym słońcem. Sączyli koktajle i leniwie rozmawiali.

– Masz jakiś dom, Paul? – oparła się bokiem, o wysokie oparcie sofy, patrzyła na niego i poza niego, na Kioto.

– Taki, do którego się wraca?

– Mhm.

– Nie bardzo – pociągnął ciężkiej wersji cuba libre, na którą namówił go barman – Mam dom po rodzicach, w Szkocji, ale praktycznie nie korzystam. Niby dbam, żeby się nie zawalił... ale niewiele ponad to.

– Pusty stoi?

– Tak... Rodziny bliskiej już nie mam, dalszą psami poszczuję – uśmiechnęła się na jego wynurzenia – Wynajmować go nie ma komu i nie chce mi się. Może bym korzystał... ale jest na takim zadupiu, że mi się nie chce tam jeździć.

– Zadupia Szkocji są bardzo fajne – zauważyła, sączyła margaritę – Kiedyś może znowu odwiedzę...

– Taaa... Ale te moje akurat są nudne. I opatrzyły mi się za młodu – zauważył z przekąsem – I w czasie służby też, połowę czasu spędziłem na wybrzeżu Szkocji, jak nie w bazie pod Arbroath, to na poligonie na samej północy... Jeśli gdzieś mieszkam, to w Portsmouth, wynajmuję tam mieszkanie od lat.

– Czemu Portsmouth?

– Jakoś tak zostałem, trochę służyłem na okrętach – zamyślił się – Po przejściu do cywila, czy raczej „na swoje”, spróbowałem Londynu, ale mnie za bardzo wkurzał, za duży rozgardiasz, po roku czy ponad wróciłem do Portsmouth. Niby to dziura, ale... moja dziura.

– Do znajomych z woja?

– Nie, nie bardzo – odparł, pociągnął drinka – Z paroma ludźmi utrzymuję stosunki, może paru dałoby się nazwać przyjaciółmi, ale na co dzień nie jestem towarzyski. Robimy czasem jakieś interesy, akcje, jako najemnicy czy ochrona, ale rzadko. Nie pijam z nimi co wieczór, nie grywam w szachy co tydzień.

Patrzyła mu w oczy długą chwilę, ponad kielichem z margaritą.

– Bardzo samotny jesteś? – zapytała cicho.

Zastanawiał się długą chwilę, pogładził brodę.

– Dosyć. Ale przyzwyczailem się. A ty?

– Chyba podobnie – zmrużyła filuternie oko – Ale ja sobie regularnie przygarniam facetów! A ty?

– Ja nie przygarniam sobie facetów, co to, to nie! – uśmiechnęli się – A dziewczyny... Nie bardzo. W czasach Marines, byłem z jedną czy drugą, odchodziły, kiedy kończyła się fascynacja komandosem i szanse na małżeństwo, czy związek na serio. A potem, kiedy zacząłem dłużyć jako prywaciarz, było jeszcze trudniej i szybciej odchodziły. Mało która kobieta znosi, kiedy jej facet znika na miesiąc czy dwa, nie odbiera telefonów, po czym wraca nieco podziurawiony, za to z walizką pieniędzy...

– Tak, to się zmieniło ostatnio – zaśmiała się.

Popatrzył na nią pytająco.

– Wiesz, przez tysiące lat, wszystko tak właśnie wyglądało, to znaczy w zawodach awanturniczo – podróżniczych, że tak powiem – wystawiła znacząco palec – Tylko nie miesiąc czy dwa, ale raczej pół roku. Ale z drugiej strony być może kobiecie piątka bachorów spódnicy się czepiała, nie miała czasu zastanawiać się, czemu chłop listów nie pisze.

– No tak – pokiwał głową – Kiedy to się zmieniło, za ostatnie sto lat?

– Może ze 150.

– Tak... Ale teraz takich kobiet nie ma, ja nie znalazłem. To znaczy, chętnych na taki „stały” związek – pokiwał głową – A potem przyzwyczailem się, że są tylko przygodne... Nawet kiedy już nieco dorobiłem się i myślałem, żeby się, hm,

ustatkować, to już nie miało znaczenia.

– Ale nie ustatkowałeś się, sądząc po uroczej scenerii pod ostrzałem maszynowym, w jakiej cię znalazłam – teraz ona pokiwała głową.

– Tak – pogłodził brodę – Sam nie wiem... Zawsze kiedy robię sobie przerwę od awantur i planuję co dalej, może na dłużej wrócić do Szkocji, czy jakąś porządną długą wycieczkę po świecie, zupełnie turystyczną, zaraz ktoś mi zawraca głowę. Super okazją, w wielkiej potrzebie, starzy znajomi, albo ultra-bogaci nieznajomi, i tak dalej.

– Mam wrażenie, że nie opierasz się zbytnio... – przyglądała mu się z półśmiechem, ciepło.

– Pewnie racja – skrzywił się – Może nie jestem „adrenaline junkie”, zupełnie uzależniony od adrenaliny, jak wielu w tym... zawodzie, ale coś w tym jest, że człowiek ciągle wraca do akcji. No i są w tym niebagatelne pieniądze...

– Problemami finansowymi, czy w ogóle ekonomicznymi, możesz przestać się przejmować – zaśmiała się – Na zawsze.

– Zauważyłem – pokiwał głową – Jak wy to robicie? To znaczy, rozumiem, że Sinna może mieć sejf z górą dolarów, ale to pudełko wtedy trochę mi zepsuło mózg...

– Ta forsa na drogę z Meksyku? – upewniła się, wyraźnie był to dla niej drobiazg nie wart uwagi, ale zaraz zmarszczyła piękne brwi – To drobne, ale może wyjaśnię ci, bo rzutuje na nasze, hm, codzienne życie. Ja mogę naginać rzeczywistość, to chyba oczywiste. Przy minimalnym wysiłku, mogę z „niczego” wyjąć różne... rzeczy. Ale ich koszt, czy raczej możliwość ich... uzyskania, bywa różny.

- Magia bez reguł to nie magia, to chaos – zaśmiał się.
- Powiedzmy – Nina skrzywiła się na jego wtrącenie – Powiedzmy z grubsza, że koszt rośnie liniowo względem masy, w kwadracie względem pewnych cech fizykochemicznych, jak pole magnetyczne, i wykładniczo względem specyficznie rozumianego „skomplikowania” tych rzeczy. Rozumiesz, o czym mówię?
- Chyba tak – był zdumiony – Nagle nie brzmi to jak magia, tylko fizyka... czy nawet technologia...
- Owszem – przyznała – Odpowiednio zaawansowana magia nie różni się od technologii.
- Ten cytat szedł odwrotnie!
- Wiem, ale moja wersja jest lepsza! – roześmieli się.
- Najważniejsze wnioski praktyczne dla ciebie – Nina dopiła margaritę, kontynuowała – Wyjąć paczkę banknotów spod kamienia, to pikuś. Banknoty są lekkie, są ich miliony „podobnych”, ich komplikacja na ścieżkach przyczynowo–skutkowych jest żadna. Wyjąć garść amunicji czy gwoździ, nadal możliwe, chociaż waga już może rzutować. Wyjąć silny magnes, o tej samej masie, bardzo trudno. Wyjąć telefon, kalkulator, książkę, pistolet, but, jakiś typowy lekki ciuch, to granica możliwości. Nikt nie wyjmie z... wirtualnej próżni samochodu, niestety, trzeba go kupić albo ukraść. Bo jest za ciężki. Nikt nie wyjmie z pustki rękopisu nowej powieści, czy prototypu pistoletu, bo są zbyt... unikalne... i zaplątane w różne możliwości, na ścieżkach przyczyn i skutków.
- Paul słuchał w najwyższym skupieniu.
- Czy jeśli potrzebujemy nagle coś „wyjąć”, to musisz to

wcześniejsze znać, mieć jakiś wzór? Czy wiedzę? Musiałbym ci to opowiedzieć, narysować?

– Ale ty jesteś... – pokręciła głową zdumiona – Sinna mówiła, że fenomenalnie się adaptujesz, ale nie myślałam, że aż tak... Tylko się dowiedział „jak to działa” i już by chciał ze mnie magiczną fabrykę zrobić. Chociaż kolację byś postawił!

Śmieli się, było im dobrze razem. Nina pomachała na barmana, który zaraz podleciał i zabrał puste kielichy, przyjął zamówienia na kolejne drinki.

– Jeśli coś dobrze znam... z historii, w mojej ścieżce historii, na przykład jak studolarówki... – znowu się śmieli – ...to wyjmę w ułamku sekundy, naprawdę od ręki i spod kamienia. Jeśli czegoś nie znam, to... nie wiem jak to wytłumaczyć, muszę zrobić zwiad? Rozeznanie? W innych rzeczywistościach, niż ta tutaj... Co zajmuje trochę czasu. I może się okazać, że nie dam rady, to znaczy, nie wiem tego z góry.

– Aha – myślał intensywnie – Czyli na przykład nabój 9mm znacznie łatwiej niż jakiś nabój egzotyczny?

– Tak, 9mm Para znam prawie jak studolarówki – zaśmiała się sucho – Sprawdź mnie, jakimś egzotycznym nabojem.

Zagapił się na nią zdumiony.

– .40 Smith and Wesson, pistoletowy? Znasz?

– Pierwsze słyszę – barman doniósł daiquiri, które oboje wcześniej zamówili. Podziękowali, spróbowali, oboje synchronicznie pokiwali głowami z aprobatą – Już.

– Co już??

– Sięgnij pod poduszkę sofy po twojej stronie – pociągnęła

długi łyk.

– O cholera jasna... – wyrwało mu się, kiedy dyskretnie sięgnął dłonią między boczne oparcie a poduszkę sofy i trafił tam na kilka nabojęw .40.

Nina parsknęła śmiechem. Paul kręcił głową, dyskretnie przyglądając się sześciu nabojom, standardowe FMJ .40 S&W, zgodnie z zamówieniem. Trzymał je w garści za swoim bokiem, od strony okna, żeby barman i nikt z paru gości nie zauważył amunicji.

– To było łatwe – Nina przechyliła głowę – Daje ci pojęcie o mojej skali czasu i możliwości, nawet jeśli czegoś nie znam i nie znałam, ale zna to miliony ludzi, są tego dziesiątki tysięcy praktycznie identycznych sztuk, w terażniejszości, i tak dalej. Trudne, w granicy niemożliwe, to jakbyś chciał, bo ja wiem, jakiś specjalny nabój snajperski, który miało w ręku 10 osób i zrobiono ich 1000 sztuk, i 50 lat temu. Pewnie bym się poddała.

– Chyba rozumiem... – włożył naboje do kieszeni, pociągnął daiquiri – To jednak zupełna magia. I fantastycznie ułatwia logistykę! A nie da się zrobić tak, żeby te naboje, albo i gwoździe, pojawiły się komuś w mózgu, zamiast za sofą??

– Nie, bo wtedy ich ścieżka przyczynowo–skutkowa robi się splątana z ofiarą i „w świecie” milion razy bardziej, w przód i w tył czasu... Nie będę wszystkiego za ciebie odwaląc, czasem trzeba będzie postrzelać! – na ułamek sekundy pokazała mu język, śmiała się.

Uśmiechnął się do niej, boże, jak mu było z nią dobrze. Słońce chowało się za górami na zachodzie, ostatnie promienie oświeślały jej twarz. Wyglądała jak piękny posąg z miedzi,

mrużyła zielone oczy pod ciemnymi brwiami.

Siedzieli długą chwilę w milczeniu, Nina wolno wyciągnęła prawą dłoń i położyła na jego lewej, spoczywającej między nimi na sofie. W swojej lewej dłoni trzymała kielich, pociągnęła łyk, patrząc na Paula i przez niego, w słońce.

Tętno mu skoczyło absurdalnie, jakby był nastolatkiem i pierwszy raz w życiu dziewczyna wzięła go za rękę. Zapatrzył się na jej silną miłą dłoń, wolno odwrócił swoją, trzymali się za ręce, tak po prostu.

Musiał pamiętać, żeby nie przestać oddychać i prawie rozlał swojego drinka.

Siedzieli tak bardzo długo, trzymając się za ręce; słońce zaszło za góry, jej twarz pogrążyła się w cieniach. Przy słabym oświetleniu baru i punktowym znad sofy jej oczy pod wspaniałymi brwiami stały się ciemnymi plamami, z zielonymi iskrami w głębi.

Uścisnęła delikatnie jego palce, oddał ten lekki uścisk, rozpletli dłonie.

Dopił drinka jednym haustem, jak wódkę. Nina troszkę śmiała się z niego, ale zaraz spoważniała.

– Przepraszam, że cię męczę, że tak szybko... – powiedziała bardzo cicho – Ale tak długo czekałam...

– Nie przepraszaj, nigdy nie przepraszaj – powiedział równie cicho – Czekałem na ciebie całe moje życie... ty na mnie tygodnie? Dekadę? Sekundy twojego życia?

Pokręciła zdecydowanie głową, długie ciemne włosy zafalowały, zielone iskry zabłyśły.

– Czasem sekundy trwają wieki, dla nas też.

Paul wstał wcześniej, jak zwykle; czuł się znacznie lepiej niż po... krystalizacji przez Sinnę i dzieciaki, choć jeszcze nieco obolały i zmęczony. A może bliskość Niny pomagała, któż to mógł wiedzieć.

Kiedy odsłonił panoramiczne okna do ogródka za hotelem, okazało się, że szumi tam lekki deszcz, pogoda powoli zmieniała się na jesienną.

Zebrał się, żeby być na śniadaniu koło ósmej, jak umówili się z Niną. Mieszkała na piętrze, w droższym i lepszym apartamencie, z lepszym widokiem, na poziomie ekskluzywnej restauracji. Ale nie miał do niej żalu o jego „dziuplę” na parterze, była to bardzo luksusowa nora i zdaje się w hotelu nie było wolnych pokoi. Choć wołałby być przy niej, nie tylko w sensie zamieszkania z nią, ale też jako ochrona, w sąsiednim pokoju czy podobnie.

Poprzedni wolny wieczór spędził na przygotowaniu sprzętu. Przejrzał jeszcze raz elektronikę, zrobił małą listę dodatkowych zakupów. Rozebrał i przejrzał pistolet, sprawdził, czy wszystko w porządku i czy przypomina SIGi, których używał przelotnie; pobawił się nim „na sucho”. Założył moduł lasera–latarki, sprawdził, czy wszystko działa i jak mieści się w kaburze. Powinien gdzieś postrzelać z niego na próbę.

Ustawił dokładnie szelki taktyczne, kabury, poukładał amunicję w magazynkach. Nie udało mu się wymyślić, jak mogłby sensownie i skrycie nosić krótki miecz.

Ale dzisiejsza zmiana pogody mogła to ułatwić, pod dużą

bluzą chyba dałby radę go schować. Może też jakiś lekki płaszcz kupić, dopisał to do listy i poszedł na śniadanie.

Dołączyła do niego, kiedy czekał nad kawą i tostami, w tej samej restauracji co wczoraj wieczorem; nie zamawiał śniadania bez niej. Nie wpłynęła z gracją do restauracji, jak Sinna czy Anna, ale zdecydowanie wkroczyła, widział, że nieliczni goście oglądają się na nią, nie wiedząc, co ich przyciąga.

Wszystko wkoło Niny stawało się ostrzejsze, bardziej wyraziste. Była dziś w ciemnych spodniach i ciemnozielonej bluzce, i w tych samych czarnych trzewiakach. Wyglądała wspaniale i spokojnie. Uśmiechała się ciepło do niego, z daleka.

– Cześć – przysiadła się do stolika, rozejrzała po panoramie dachów Kioto za oknem, ociekających w deszczu.

– Dzień dobry – cieszył się jej obecnością jakby był zakochany. Zaśmiał się z siebie w duchu, jakie, kurde, „jakby”.

Przyskoczył do nich kelner, wzięli oboje śniadanie „full english”.

– Jak się spało? – przyjrzała mu się uważnie.

– Doskonale!

– Możesz mi dać łapkę? Na sekundy.

Wyciągnął lewicę na stoliku, położyła delikatnie prawą dłoń na jego łapie. Praktycznie nie zanotował zaburzenia czasu.

– Przepraszam. Ale tak jest szybciej i dokładniej – nalewała sobie kawy.

– Rozumiem i naprawdę, nie przepraszaj. I jak tam diagnoza, pani dochtor?

– Bardzo dobrze! – uśmiechnęła się – Sinna odwalila kawał dobrej roboty.

– Też mi się tak wydaje.

Szybko podano śniadanie, jedli, mało mówili. Porcje były spore, Nina bez mrugnięcia okiem wciągnęła swój posiłek; Paul po takim samym talerzu był pełny.

Dostali po malutkim ciastku deserowym, popijali kawę.

– Jakie masz plany? – zapytał Paul.

Zastanawiała się chwilę.

– Dziś, jutro możemy się objąć, poznawać, być bliżej siebie – zapatrzyła się w okno, na wysoką pagodę w deszczu – Tak będzie dla ciebie lepiej, a ja nie wiem, po co się spieszę. Czasem się spieszę...

Ocknęła się troszkę.

– W skali nieco dłuższej, jest robótka, skoro już tu jesteśmy, tak jak ci wspominałam wcześniej – przytaknął jej – Trzeba wyrwać od pewnego typu drobną rzecz. Artefakt, powiedzmy.

Słuchał jej bardzo uważnie, patrzył w jej zielone oczy.

– To jest duży brelok, wygląda jak z jadeitu, jak bardzo starożytny klejnot chiński czy japoński. Mniej więcej takiej wielkości – pokazała 8 czy 10 centymetrów rozstawionymi palcami – Niestety, jest talizmanem noszonym na szczęście przez szefa jednej z większych grup yakuzy z okolic Kioto–Osaka, o ile mi wiadomo.

Paul pokręcił głową zdegustowany.

– No co? – spojrzała pytająco, rozłożyła ręce.

– Nic, nie mogłaś czegoś łatwiejszego wymyślić? Albo mniej... – nie wiedział jak ogłędnie się wyrazić.

– Chamskiego? Topornego? – zapytała, prychnęła leciutko – Paul, nie jesteśmy w... niebie. Raju. Magia magią, a robota robotą.

– Nie można odkupić tego fajansu od niego??

– Nie – pokręciła głową – Przyjmijmy, że jeśli chcę coś komuś odebrać siłą... czy podobnie, to wyczerpałam albo nie ma innych możliwości, okej?

– Okej.

– Ale może ci wytłumaczę... – zamyśliła się – Ten... takie artefakty są istotne nie tylko w tej rzeczywistości, ale też w... innych. To znaczy, to nie jest jakiś starożytny kawałek jadeitu, noszony na szczęście. On NAPRAWDĘ przynosi Matsudaira-san szczęście. I on o tym wie...

– Rozumiem – zmarszczył czoło – Czyli przy odbieraniu go, będziemy mieli wyjątkowego pecha, przesrane jeszcze bardziej niż normalnie??

– Nie! – roześmiała się radośnie, była przepiękna – Bogowie, kocham cię, Paul!

Jej wyznanie prawie zatrzymało mu serce.

– Przepraszam – złapała go za dłoń – Już dobrze?!

– Lepiej – napił się wody – Też cię kocham... ale, jak rany...

– Przepraszam, przepraszam... – ścisnęła mocno jego dłoń na stole – Ale jesteś taki inny... Nikt nie chwycił tak szybko! A z tobą, jakbym już dekady była! Jack potrzebował lata, żeby

ZACZAĆ rozumieć, jak działa nasz... nasza rzeczywistość... A ty nie miałaś szoku po dniach, nawet przy Sinnie, i zaczynasz rozumieć po tygodniach. Kocham cię!

W słodczy, w której tonął jego umysł, zdołał pomyśleć, że trzeba mieć nadzieję, że kocha go nie tylko jak tresowanego pieska.

– Czyli mam planować po prostu kradzież tego, ewentualnie kradzież z rozbojem, bo na pewno ma obstawę, nawet w kiblu i łazience? Ale nie będzie dodatkowych atrakcji metafizycznych, zmian świata, czy dodatkowego pecha?

– Nie, nie powinno być – pokiwała głową i zabrała dłoń, teraz uderzyła go rozpacz porzucenia, dla odmiany – Pecha też nie będzie, powiedzmy, ja też mam sporo szczęścia w działaniu, porównywalnie do niego z kamyczkiem. Powinno być normalnie. To znaczy, a propos zmian świata: właśnie dlatego nie mogę użyć wprost moich czarnoksięskich mocy wobec Matsudaira i kamienia, bo wtedy, o! to jebnie, kolego!

Parsknął na całą restaurację, aż nielicznie goście się obejrżeli. Śmiała się razem z nim.

– Przyzwyczajaj się, że mam niewyparzoną gębę – rozłożyła ręce.

– Zauważyłem – wspomniał jej pierwszą odzywkę do niego, w Meksyku – Ale to nie problem i z góry przepraszam, mnie też się zdarza bluzgać. Jak mawiał mój pierwszy dowódca, wojsko, które nie przeklina, nie jest w pełni formy...

– Raczej jak mawiał Jack, wojsko, które nie przeklina, jeszcze nie zna dokładnie swojej sytuacji taktycznej! – przerwała mu, pokiwali głowami śmiejąc się.

– Wracając do tematu, zapiszemy wszystko, co wiesz o celu – ciągnął Paul – Koło południa zaczęć dzwonić po znajomych i planować na serio. Ale z góry ci powiem, że to nie jest prosta rzecz. Jeśli cel jest ważniakiem którejś większej yakuzy... – pokręcił głową – I na ich terenie... Mało co jest trudniejsze, na tej planecie, w sensie znanego powszechnie celu, ale prawie niemożliwego do osiągnięcia.

– Domyślam się – odparła poważnie – Dlatego odkładałam ten temat „na potem”, od dekad. Powiedzmy, spróbuj. Jeśli w ciągu paru dni uznasz, że to zbyt ryzykowne, albo potrzeba znacznie większych przygotowań, pomyślimy.

– Okej – wydawała się bardzo rozsądna i... solidna – Będę się starał, wiesz, pierwsza fucha w nowej robocie!

Roześmiała się, rozejrzała po Kioto za panoramicznym oknem.

– Wiesz co? Chyba przestaje padać. Idziemy się przejść?

– Mhm.

– Jaki chcesz płaszcz?

Szli ramię w ramię, w coraz drobniejszym deszczu, nad przymglonym Kioto stała tęcza, było dosyć ciepło i duszno.

Byli w nowych płaszczach, Nina wyczarowała je z niczego, jej był elegancko – dizajnerski, jasnoszaro–zielonkawy, w kroju jakoś odlegle kojarzący się z bluzami japońskimi, tylko dłuższy.

Płaszcz Paula, który znalazł na łóżku, kiedy skoczył po sprzęt do pokoju, był dokładnie taki jaki sobie zażyczył – ciemnoszary, z odcieniem granatowym, lekki prochowiec do

kolan.

Teraz nie miał problemu z upchnięciem pod ubraniem broni i miecza. Jedynym problemem było, że nie bardzo mógł zdjąć płaszcz, gdyby się zupełnie rozpogodziło.

Szli w stronę świątyni Kyomizu–dera. Na ślicznych uliczkach starego Kioto, teraz deptakach turystyczno–handlowych, było trochę miejscowych i trochę zdesperowanych turystów, próbujących zwiedzać miasto pomimo deszczu; wszędzie krążyły parasole.

Rozmawiali o różnościach.

– Ty znasz Kioto? – zapytała.

– Nie, w Japonii tylko Tokio i okolicę, gdzieś tam pod Fuji, jak ostatnio u Sinny. I Fukuoka–Hakata z okolicą.

– A na świecie?

– Nieźle Europę, trochę Stany, trochę Indochiny. Małe kawałki Indii, północnej i środkowej Afryki. I ze dwa rejony Ameryki Południowej, jakieś pogranicze Paragwaju, i południe, Chile–Argentyna.

– Wszystko zawodowo?

– Praktycznie tak, turystycznie niewiele jeździłem po świecie, czy nawet po Europie. Z innej beczki, nie wiem na ile moje doświadczenie w ogóle ma znaczenie. Z tego co widziałem w sieci i gazetach, to na przykład Afryka północna mocno się zmieniła ostatnio...

– Prawda – pokiwała głową, jej ciemne włosy były dziwne, niby mokły na deszczyku, ale nie oklapły zupełnie, jakoś zachowywały puszystość.

– A ty? – zapytał.

– Co ja? Podróże? Cały świat, oczywiście.

– Nie odpowiadaj, jeśli nie zechcesz, ale jak... dawna jesteś?

– zapytał wolno. Weszli w węższą uliczkę, wznoszącą się pod górę; jeszcze bardziej malowniczą, pełną sklepików z pamiątkami dla turystów i z jedzeniem.

– Jak stara? – zaśmiała się sucho, nie patrzyła na niego – Nie jesteś na to gotowy.

– Okej – ale zrobiło mu się przykro.

Niespodziewanie sięgnęła po jego dłoń, szli w milczeniu środkiem uliczki Kioto trzymając się za ręce, jak małżeństwo turystów. Od jej dotyku było mu znacznie lepiej.

– A niech tam... – mruknęła – Uważaj: W TEJ RZECZYWISTOŚCI, niekoniecznie jako ten awatar, ale związana z Ziemią... i okolicą, trochę ponad 50 tysięcy lat.

Przeglądała mu się spod oka, zachował spokój. Sam nie wiedział, czy spodziewał się mniej, czy więcej, skoro z poszlak wynikało, że o pokolenie młodsza Sinna ma kilka tysięcy lat.

– „Okolica” to Księżyc, czy coś jeszcze dalej? – spojrzał na nią, ich oczy się spotkały.

– O! – zdziwiła się, ale leciutko – Powiedzmy, że w tych ramach czasowych, tylko Księżyc. Jak na to wpadłeś? Blefowałeś według mojego przybranego nazwiska??

– Nie tylko – pokręcił głową – Sinnie coś tam się wyspnęło.

– A co konkretniej? – ścisnęła mocniej jego dłoń, nie potrafił jej się oprzeć.

– Że śladów po twoim pokoleniu można szukać w kraterach na Księżycu...

– Sin przesadza, jak zwykle! – parsknęła cichutko.

– Czyli nie można?

– Można, nie można... – puściła jego dłoń, schowała ręce w kieszeniach płaszcza – No można. Ale to nieważne. I to są bardzo małe kratery!

Teraz on się zaśmiał, jasne, nieważne, że jego... ukochana ma na koncie 50 tysięcy lat i malutkie kratery na Księżycu.

– I jak ci teraz, z babcią Niną? – zapytała go, kiedy przestał się śmiać.

– Bez zmian – odparł – Przecież jesteś taka sama jak przed chwilą, jakie dla mnie ma znaczenie, czy masz 50 lat czy pół miliona lat.

– Jak zwykle, odporny i racjonalny? – pokiwała głową – Gdybym wiedziała, że żołnierze sił specjalnych są tacy odporni na... nowości, dawno bym sobie jakiegoś załatwiła.

Pokręcił głową.

– Niekoniecznie tacy są – skrzywił się – To akurat chyba bez związku... chociaż może ogólną odporność na stresy mają większą, nie wiem, może są o tym jakieś badania. Ani był ze mnie super-żołnierz, ot, nieco lepszy komandos, jeden z tysięcy. Do szczytów i elit sporo nam, mnie brakowało. Ani inni żołnierze nie byli jakoś bardzo elastyczni... Armia, nawet ta elitarna część, nie promuje myślenia czy racjonalności, w jakimś szerszym zakresie.

– Taa, bo rozkaz to rozkaz? – rzuciła – To skąd taki się wzięłeś?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramieniem, wychodzili szerokimi schodami pod bramę wielkiej świątyni, zespołu budynków na zboczu góry ponad Kioto – Za dzieciaka przeważnie byłem sam, musiałem sobie radzić... Lubię książki. Nie przepadam za autorytetami. Lubię zadawać pytania. Przeważnie sobie, nie innym...

Obejrzała się bystro na niego, nie rozumiał jej spojrzenia.

– Lubisz zadawać pytania... – powtórzyła wolno.

– Tak – mijali dzwonnice i pagodę świątyni, były piękne – To nie jest popularne w wojsku, ciekawość, szczególnie czegokolwiek poza typowymi „chłopackimi” pierdołami, jak dziewczyny, woda, sport czy podobne. Ciekawość... świata, nie jest specjalnie poważana.

– Wiem, rozumiem – odparła – Zaskoczyło mnie, że nie powiedziałeś, że jesteś ciekawy wszystkiego, czy że ciekawy, ale że „lubisz zadawać pytania”. Nie wytłumaczę ci tego, ale to BARDZO ważne dla mnie, echo bardzo dawnych... rzeczy. I dobry omen! – uśmiechnęła się uspokajająco.

– Aha. Ślicznie tu – byli obok sporej pagody, obejrzał się na parujące Kioto, już prawie nie padało.

– A to nie koniec! – złapała go za dłoń i pociągnęła dalej.

Poczuł się jakby był nastolatkiem i pierwszy raz w życiu z dziewczyną na wycieczce, z Sarah w Edynburgu. Gdyby mu ktoś miesiąc temu powiedział, że kiedykolwiek tak znowu się poczuje, zabiłby śmiechem i zblazowaniem.

Obok głównego wielkiego hallu świątyni przeszli na zespół dużych otwartych tarasów i balkonów. Byli na platformach ponad lasem na zboczach poniżej, nic nie zasłaniało widoku na

korony drzew, dalej na Kioto i góry na zachodzie, słabo widoczne przez mglistą zasłonę deszczu.

Widok zapierał dech w piersiach, a w dobrej pogodzie musiał być jeszcze lepszy.

– Lubię to miejsce – powiedziała Nina, oparli się o barierę z grubego drewna.

– Pięknie – potwierdził, zajął poza barierkę – Teraz kojarzę, to jest ta słynna świątynia na palach, na wielkim rusztowaniu?

– Tak – zagapiła się na panoramę miasta – Od kiedy to... Paul, w twojej pamięci jest w Kioto „mahattan”?? – wskazała grupę drapaczy chmur, miniaturową w porównaniu z Nowym Yorkiem czy Tokio, zaledwie jakby ktoś tutaj same Ikebukuro przerzucił.

– Nie znam i nie pamiętam Kioto, ale chyba na zdjęciach nie podobnego nie widziałem... – odparł.

– Też mi się wydaje, że tu zawsze była niższa zabudowa – wzruszyła ramieniem, najwyraźniej nie przejmowała się zbytnio takimi drobiazgami, jak zmiany całych miast.

Kontemplowali panoramę przez bardzo długą chwilę.

– Paul, mogę zapytać o twoją rodzinę? – nie patrzyła na niego – Nie chcę cię naciskać, ale rozumiesz, że związujemy się z każdą sekundą, muszę cię jak najszybciej poznać...

Nie rozumiał do końca, o co chodzi, ale ufał jej.

– Pytaj.

– Zakładam, że nie masz własnej rodziny. A rodzice? Rodzeństwo? Powiedziałeś, że przeważnie byłeś sam?

– Tak – wahał się, Nina nic nie mówiła, czekała – Rodzice nie żyją. Ojciec pracował w lokalnym przemyśle, zginął w wypadku, kiedy miałem 12 lat. Matka chyba nigdy nie pracowała, zajmowała się domem, renta nam wystarczała później. Tyle, że to raczej ja musiałem się nią opiekować, niż ona mną. Zmarła parę lat temu, po krótkiej chorobie, białaczka...

– Czy ty jesteś jedynakiem?

– W praktyce, tak... – zapatrzył się na odległe Kioto – Brat zginął w wypadku... utopił się w rzece, kiedy mieliśmy 6 lat.

– Bliźniak? – bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Tak.

Spojrzał na jej piękny profil, przestało padać, wiatr leciutko poruszał jej ciemne włosy. Kiwała nieznacznie głową, jakby sobie układała karty z młodości Paula Fräsera, mieszkającego w wielkim starym szkockim domu. Domu, z którego przez ślepy los wyciekło całe życie; zostali tylko kobieta, nieco zagubiona w alkoholu, i nastolatek, nieco zagubiony w bibliotece.

– Poza tym, nikogo – dodał – Nikogo bliskiego, jakieś niedobitki pokolenia moich rodziców, po domach starców i szpitalach. I kuzyni w moim pokoleniu, albo następnym, z którymi nie chcę mieć nic wspólnego.

– „Psami poszczujesz”? – obejrzała się i uśmiechnęła się do niego.

– Mhm – tonął w jej zielonych oczach, ale postanowił poszukać gdzieś odwagi, znalazł mały kawałeczek – A jaka jest twoja rodzina?

Patrzyła mu w oczy bardzo długą chwilę.

– To trudno wytłumaczyć... – już miał coś powiedzieć, ale błyskawicznie dała mu znak „stop!” dłonią – Nie przepraszaj!

– Nie, chciałem tylko powiedzieć, że rozumiem, że to nie jest... ludzka rodzina – odparł – Rozmawiałem trochę z dziećmi Sinny o tym. Ale może lepiej byłoby, żebym się orientował, choć trochę?

– Pewnie masz rację... – westchnęła, obejrzała się na panoramę, na świątynię – Choć, usiądziemy, nie będziemy stać jak cieć przy bramie.

Przeszli między nielicznymi turystami, kręcącymi się po schnących tarasach, usiedli na stopniach hallu świątyni.

– Nie będę się cofać w jakieś prehistorie... i nawijać o wszelkich światach, przynajmniej na razie, bo do wieczora będziemy tu siedzieć – zaczęła – I rozumiesz, że wszelkie pojęcia są z ludzkiego słownika, oddają mniej więcej nasz status i relacje, ale MNIEJ więcej. Więc tak: jest nas tu, na Ziemi, bodaj kilkadziesiąt... osób. Z mojego pokolenia kilka siostr, Bau w Afryce, Lamia, teraz przeważnie w Amazonii i okolicy, Kurra, gdzieś tam w Himalajach czy innym Nepalu, jeśli ktoś akurat nie spycha jej w przepaść w Tien–szan, no i Liliana, Lilka, która jest gdzieś na południu, ale ją namierzyć, to jeszcze trudniej, niż mnie...

Podszedł do nich porządkowy w uniformie i białych rękawiczkach, grzecznie acz stanowczo przekonywał, że tu nie wolno się rozsiadać. Zanim Paul zdążył zareagować, Nina powiedział szybko parę twardych zdań po japońsku, na co porządkowy „zawiesił się” z półotwartymi ustami, na długą chwilę, i zaraz odmaszerował, gnąc się w ukłonach.

– Co to ja...

– Czy u was jest normalnie taka nadreprezentacja kobiet, czy ekwiwalentu? – zapytał Paul – Bo tylko Adrian jest znanym mi męskim półbogiem.

– Normalnie to niekoniecznie, ale tu i teraz, tak, jest więcej... kobiet – pokiwała głową – W moim pokoleniu na Ziemi został tylko Namtar, niestety. Nieprzyjemny typek, wygoniliśmy go na Antarktydę.

Paul kręcił głową w niedowierzaniu.

– Inaczej się nie dało – wzruszyła ramieniem – Tam najmniej szkód wyrządza. Dalej, w pokoleniu Sinny jest z dziesięć dziewczuch i ze trzech facetów. W pokoleniu jej dzieci, podobnie, ze dwadzieścia dziewczyn i kilku takich jak Adrian.

Zamyśliła się chwilę.

– Może nie jest tak, że większość z nich „psami poszczuję” – zaśmiała się – Ale szczerze mówiąc, mam ich w nosie. Z siostrami się jakoś dogaduję, dobrze żyję z Sinną, z Neti, to jest syn Lilki, z pokolenia Sinny, z paroma innymi. Reszta mi wisi, jeśli nie włożą mi na odciski i nie... psują rzeczywistości.

– Masz nad nimi władzę?

– Nie... – pokiwała głową na boki, długą chwilę patrzyła na Kioto – No trochę mam. Jestem najsilniejsza, przynajmniej w tej okolicy, więc młodzież mi nie podskakuje. A siostry... dogadujemy się. Zresztą, pewnie nie dałyby mi rady, nawet wszystkie razem. Ale nie sprawdzamy takich rzeczy, od tysięcy lat dzielimy się tą ziemią.

Paul zostawił dla siebie pytania o inne światy i czy ktoś jest silniejszy poza „tą okolicą”.

– A Księżyc?

– Księżyc jest martwy – powiedziała cicho, nadal zapatrzona na panoramę.

Odczekał długą chwilę.

– A rodzice? Wiem, że nie rodzicie się jak ludzie! – zastrzegł się – Ale Sinna i dzieci...

Obejrzała się na niego uważnie.

– Ojca słabo pamiętam, był bardzo stary, bardzo potężny – powiedziała wolno – Odszedł bardzo dawno temu. To znaczy, nie umarł! Ale dla nas... w zasadzie tak, jest tak głęboko... Matka... Matka istnieje, w tej rzeczywistości też, bardzo daleko, poza zasięgiem kontaktu, ale nadal ma na nas wpływ, na was zresztą też.

Jego umysł rozpuszczał się w zdumieniu i w zieleni jej oczu.

– W praktyce, oszalała, kiedy ojciec... przepadł.

Uderzenie empatii ogłuszyło go, wyobraził sobie Ninę jako dziewczynkową kobietę, jak Anna, mieszkającą w opuszczonym księżycowym kolosalnym domu, z którego przez ślepy los wyciekło całe życie. Zostały tylko kobieta, zagubiona w szalonym świetle księżyca, i Nina–nastolatka, nieco zagubiona w magicznej bibliotece.

Dotknęła jego dłoni.

– Hej, wszystko w porządku?

– Tak... – zamrugął – Pomyślałem, że nasze losy są dość podobne.

– Może troszeczkę – przyznała – Ale nie... nie za bardzo, nie szukaj podobieństw, gdzie ich nie ma.

„I gdzie być nie może”, pomyślał.

– Mój ojciec jednak nie umarł i ja... nie mogłam zajmować się matką, aż tak, jak ty – ciągnęła cicho – Ona jest... przepotężną boginią, szaloną boginią. Dobrze, że tak daleko... I ja w przeciwieństwie do ciebie mam aż za dużo rodzeństwa. No i miałam kiedyś swoją rodzinę, miałam dzieci...

Musiał mieć w oczach dziesięć znaków zapytania, musiała je widzieć. Pokiwała głową, nagle zasmucona, i wskazała mu coś ponad jego ramieniem.

Nad samymi górami, na jasnym lazurowym niebie umytym przez odpływające na zachód chmury i deszcze, wschodził księżyc w drugiej kwadrze.

Martwy Księżyc.

15

Po lunchu Paul zadzwonił do Akita, sprawdzić, czy Misawa-san nadal go pamięta i czy nadaje się do użytku. Miał też spisane podstawowe notatki o celu, jaki wyznaczyła Nina.

– Moshi-moshi – zamlaskał w słuchawce Akita.

– Cześć Akita, tu Paul. Nie przeszkadzam w lanczyku?

– Pewnie, że przeszkadzasz – zaśmiał się Japończyk – Ale skoro już jesteś, co tam?

– Jednak mam robotę w Japonii. Zdaje się trudną... Możesz mi skompletować dossier o szefie jednej z yakuz?

– Pewnie tak – słysząc było, że Akita nie przerywał posiłku

– Zgrubnie, czy aż do numeru buta i próbki moczu?

– Raczej w opór.

– Aha. Kto jest wybrańcem?

– Hisashi Matsudaira.

Słysząc było, że Akita się udławił.

– Hej, żyjesz?? – Paul kręcił głową – Znany gość?

– No raczej... – Akita wyraźnie próbował przepłukać się i odkaslnąć – „Zdaje się trudną” robotę? Ty, zdaje się, nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo trudną...

– Najwyraźniej...

– Ubój, włam, czy kradzież?

– Kradzież albo kradzież z rozbojem, bo towar jest osobisty.

– Osobisty towar „Wiecznego” Matsudaira... – wolno powiedział Akita – Paul, ty nie jesteś magnes przyciągający kłopoty, ty jesteś pieprzona czarna dziura, która je wsysa!

– A bez astronomicznych metafor?

– No to jest facet z być może najlepszą obstawą i osobistym wywiadem w Japonii. Być może łatwiej skroić cesarza, niż jego, ba, premiera na pewno łatwiej!

– Okej. No to już wiesz, czemu takie zlecenia dostają najlepsi! – zaśmiał się Paul, ale w głębi nie było mu do śmiechu.

– Że niby ty!? – nawet przez telefon słyszał, że od rechotu Akita idzie echo – Przepraszam cię, Iceprick, ale to szaleństwo. Jakąś teczkę ci skompletuję, ale nie licz na wiele więcej. I dobra rada za darmo, nie szukaj wsparcia, bo jak zaczniesz szukać pomagierów, albo ja zacznę szukać, to w pół dnia po tym jak zdradzimy komukolwiek cel, Matsudaira

będzie wiedział o akcji!

– I schowa się w jakimś bunkrze, że go w życiu nie dorwiemy...

Akita znowu śmiał się w głos.

– Nie, Paul. Dopadnie nas, przybije do drzewa i obedrze ze skóry, gdzieś na górze Hiei.

– Jasne, zaraz tam...

– Ja nie żartuję – przerwał mu Akita – Tam turyści znaleźli ostatnich idiotów, którzy próbowali dorwać Matsudaira.

– Aha...

Zapadła długa cisza.

– Naprawdę dobrze się zastanów, Paul – Akita był poważny – Bo moim zdaniem, nie warto. Nie wyobrażam sobie takich pieniędzy, żeby było warto.

Paul pomyślał, że nie wszystko robi się dla pieniędzy.

– Zastanowię się nad dossier.

– Jak chcesz. Za parę dni i parę tysięcy zielonych. Gdzie ci to wrzucić?

– W bramkę numer 3 – mieli ustalone skrzynki kontaktowe, w internecie i w naturze, Paul miał nadzieję, że nadal działają tak, jak kiedyś zaplanowali.

– Dam ci znać, jak idzie. I naprawdę, przemyśl to.

– Mhm. Dzięki Akita, do usłyszenia!

Popołudnie spędzili na długim spacerze, rozpogodziło się, powietrze na granicy miasta i wzgórz pachniało wilgocią

jesieni, okazynie przeplatana kadzidłami ze świątyń. Poszli znowu na północ, ale tym razem minęli nekropolię rozłożoną na tarasach ponad Kioto. Rozmawiali leniwie, głównie o różnościach z przeszłości Paula, o Japonii, o Sinnie; zaraz wyszli na wielki kompleks świątynny. Nina знаła te miejsca, przeszli skrótem przez teren, północna brama i jej otoczenie przypominało Paulowi klasyczny zamek japoński. Pewnie przed epoką Edo potężny buddyjski klasztor władał okolicą i był w praktyce suwerenny.

Wyszli na normalne ulice i uliczki na skraju miasta, skręcili w prawo, na wschód, w stronę wzgórz, nagle ich leniwą rozmowę przerwał dzwonek telefonu Paula. Przepraszając ukłonił się Ninie i odebrał, „nieznany numer”.

– Halo?

– Dzień dobry, ja w sprawie dostawy czekanów wysokogórskich, do użycia na lodowcu – odezwał się matowy kobiecy głos. Telefon był ustawiony tak głośno i na sennej uliczce Kioto było tak cicho, że Nina na pewno wszystko słyszała.

– Cześć, Ruby.

– Cześć, Iceprick.

Potrząsnął głową, ostatni raz kiedy rozmawiał z Ruby, bardzo, BARDZO wyraźnie dała mu znać, że nie życzy sobie więcej współpracy. Może dlatego, że było to zaraz po tym, gdy wylądowała, a raczej – kontrolowanie rozbiła śmigłowiec, którym wywiozła ich wszystkich spod Madrasu.

Nina obserwowała go spod oka, szli miarowo uliczką w stronę wzgórz.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nie... Dziękuję, że nie wypominasz mi, że dzwonię, po tym jak się rozstaliśmy... – Ruby chyba była nieco zdenerwowana.

– Nie mam zamiaru – odparł spokojnie – Tamto było... straszliwie głupie. Mogę cię jeszcze raz przeprosić.

– Nie trzeba... – milczała chwilę – Było, minęło... Dzwonię, bo jest robota, klient szuka składu, może się zapiszesz? Ciepło i przytulnie, powiedzmy, okolice Wysp Kanaryjskich? Tak jakby.

Paul parsknął śmiechem. Ostatni raz kiedy zwiedzał Maroko i Zachodnią Saharę, skończył w szpitalu.

– Jeszcze dodaj, że SUCHO! – śmiał się w telefon.

– O właśnie! – Ruby też się śmiała – I bardzo, ale to bardzo dużo żwiru na tej plaży!

Nina też cichutko parsknęła.

– Ruby, dzięki za info, ale nie – Paul spoważniał – Jestem zajęty do odwołania, nie wiem jak długo.

– Aha... – znowu milczała chwilę – Szkoda. Powodzenia, Paul.

– Trzymaj się, Ruby.

Połączenie przerwano, Paul wolno schował telefon.

– Znajoma biznesowa? – zapytała Nina po chwili.

– Mhm – Fraser ocknął się z namysłu – Może nawet więcej, jedyna kobieta, która robiła z nami bojowo, powiedzmy.

– O! – Nina uniosła brew.

– Tak, to nieczęste. To znaczy Ruby raczej była, jest od pilotażu i wsparcia, niż piechociarzem, ale jednak normalną najemniczką... – wspominał „Żyrafę”, jak nazywano Ruby za plecami, bo była wysoką i grubokościstą brunetką, mało kobietą. Bardzo nie lubiła tego przezwiska, kiedy Sergiej zaczął nadużywać go, złamała mu nos. Podobno poprzysiągł jej zemstę i coś tam knuł, jak twierdzili niektórzy znajomi. Ale trudno było ustalić, jak to się skończyło, bo ciała Sergieja nigdy nie odnaleziono a Ruby jakoś nikt nie odważył się o to pytać – Bardzo kompetentną najemniczką.

– A za co jej wiesz przeprosiny? – zainteresowała się, poszli dalej uliczką Kioto.

– Tak... – Paul skrzywił się – Kiedyś w akcji na zlecenie, w odbijaniu zakładnika pod Madrasem, miałem trochę za miękkie serduszko, za mało ludzi, za słaby zwiad... Przez słaby zwiad i obstawę na samotną Ruby i jej śmigłowiec, czekający na nas, wyszedł jakiś gówniany patrol, próbowali ją skontrolować, może dobierać się do niej, trudno powiedzieć. Kiedy dopadliśmy do maszyny, już ich trójkę rozwalila, stąd była w dosyć kiepskim nastroju...

– A potem leżeliśmy jak śledzie w kabinie, bo przez moje miękkie serce wyjęliśmy czworo zakładników, a nie tylko wnuka klienta... – wspominał monotonna, w tempie powolnego spaceru, a Nina słuchała bardzo uważnie – Ruby leciała przeciążonym zdezelowanym śmigłowcem, nad samymi drzewami i morzem, kiedy w eterze rozpętywało się piekło i ruszał za nami pościg na serio, dobrze, że nie parę ciężkich rakiet przeciwlotniczych. Klęła bez przerwy, imponująco, przez ten kwadrans czy około, zanim nie wylądowała raczej twardo, na naszym statku-bazie, za granicą

wód terytorialnych.

– No rzeczywiście... – Nina kręciła głowę.

– Taa... – Paul pogładził brodę – Więc kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, wymachiwała mi przed nosem pistoletem i bluzgała na mnie, jak już wypakowaliśmy się z pokieraszowanej maszyny na pokład, wszyscy w raczej kiepskim stanie. W sumie dobrze, że po chwili przyleciały indyjskie MiGi i przyszło się chować, i modlić, żeby nas jednak nie rozpieprzyły, bo może by mi strzeliła między oczy.

– Ty jednak masz barwny życiorys, Paul – Nina nadal kręciła głowę.

– Zapewne... – przytaknął jej grzecznie, wyszli koło jakiegoś kompleksu hotelowego na skrzyżowanie znacznie większych ulic; za poprzeczną od nich wyraźnie kończyło się Kioto, a zaczynał las i linia wzgórz – Pozornie zmieniając temat, co robimy z tymi dwoma, którzy nas śledzą?

– Hę?! – była zaskoczona, ale nie aż tak, żeby jawnie obejrzeć się, obserwował jej reakcję spod oka. Właśnie doszli do przejścia przez szeroką jezdnię, niby rozglądając się w umiarkowanym ruchu ulicznym dyskretnie obejrzała się na dwu typków, którzy nie bardzo mogli sensownie śledzić ich parę, na tak pustawych obrzeżach Kioto. Ale najwyraźniej próbowali.

– Od kiedy za nami idą? – zmarszczyła piękne brwi.

– Zauważyłem na wyjściu z tej wielkiej świątyni – wzruszył ramieniem Paul, przechodzili spokojnie przez ulicę – Ale stawiam pieniądze przeciwko kulkom ryżowym, że idą od hotelu...

- Mhm – zastanawiała się – Ty jesteś uzbrojony?
- Po zęby. Dokąd idziemy, tak w zasadzie?
- Chciałam iść tam na wzgórze, tam jest ładny las, pustawo, ścieżki, parę cmentarzyków, chciałam jeden odwiedzić, przy okazji...
- Okej – zdziwił się, niby dla kogo przedwieczna, wróc, przedhistoryczna bogini miała taki sentyment? Ale nie skomentował tego – Są tam jakieś inne drogi z powrotem, do naszego hotelu i okolicy?
- Tak – machnęła ręką na wzgórze – Tam jest pełno ścieżek, we wszystkie strony.
- Dobrze – doszli do zabytkowego przejścia pod nasypem, chyba torów kolejowych, równoległym do ulicy, kiedyś zapewne był to sklepiony łukowo przejazd z czasów wozów konnych i podobnych, ciemny i wąski – O, niezłe miejsce. Jeśli mam się ich pozbyć.
- Chcesz ich rozwalić?? – Nina zdziwiła się, zatrzymali się, rozmawiając przed wejściem do tunelu, kątem oka obserwowali śledzących ich facetów, którzy też zatrzymali się na rogu przed przejściem ulicznym i wymachując rękami udawali, że rozmawiają o czymś na północy, gdzie prowadziła ulica i tory.
- Nie wiem, ty decydujesz. Na moje oko, amatorzy – Paul niezbyt zerkał na tamtych, zanotował już wcześniej dość szczegółów – No może jakaś yakuza z dolnej półki. Jeśli wleżą za nami w ten tunelik, to są za głupi, żeby się nimi przejmować... Nie wiesz przypadkiem, skąd się wzięli?
- Trudno powiedzieć... – wzruszyła ramieniem, zastanawiała

się chwilę – A jebał pies, kropnij ich.

– Rozkaz – uśmiechnął się ponuro, dobrali się w korcu maku, jak tylko socjopata z socjopatką potrafią – Ty możesz biegać?

– Lepiej niż ty! – wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Chodźmy – weszli w półmrok krótkiego tunelu.

– Mam nadzieję, że po drugiej stronie nie ma za wielu świadków – ciągnął Paul, poprawiając płaszcz i wyjmując z jednej kabury pistolet a z drugiej magazynek, błyskawicznie zmienił amunicję na zwykłą policyjną i przeładował SIGa. Nina obserwowała go z zainteresowaniem – Po wyjściu odbiegnij w bok, kilkadziesiąt metrów co najmniej.

– Aha.

Wyszli z przepustu, w lewo blokowała przejście jakaś brama, asfaltowe alejki prowadziły na wprost i w prawo; mieli szczęście, najbliżsi ludzie byli o jakieś 100 metrów od nich.

– Zasuвай! – Paul machnął pistoletem, ruszyła biegiem wzdłuż murowanego nasypu, całkiem sprawnie. Podziwiał, jak Nina bardzo sprawnie „tłoczy”, nie jak byle kobieta z ulicy, ale raczej jak profesjonalistka, kiedy szybko wspinał się na skarpe koło murowanego wylotu tunelu, po ciężkiej bramie z lewej. Przysiadł–oparł się o ziemno–ceglany nasyp i czekał.

Widział kątem oka, że Nina zwolniła, obejrzała się, i skrzyła gdzieś, zanim spotkała się z ludźmi idącymi z naprzeciwka.

Dwu facetów ostrożnie wyszło z tunelu, z pistoletami w dłoniach. No proszę, nie byli zupełnymi idiotami i zupełnymi amatorami. Rozglądali się za celem, ale na poziomie ulicy i alejek.

Paul, siedzący nad nimi i nieco w bok, szybko strzelił obu w głowy; pociski, jednak sporo mocniejsze od byle 9mm, rozniosły dwie czaszki. Zsuwając się błyskawicznie ze skarpy do ciał, które padły w drgawkach, krzywił się niemiłosiernie, trzeba było załatwić coś z tłumikiem; dzwoniło mu w uszach i wydawało się, że echo poszło po połowie miasta.

Nie wyglądali estetycznie, podrygując w kałużach krwi i mózgu.

Paul nie musiał ich dobijać, zresztą nie miał zamiaru robić znowu tyle hałasu, ale wołał też nie brudzić miecza. Rozejrzał się błyskawicznie, w tunelu nie było nikogo, odlegli ludzie w dwu „ramionach” alejek zatrzymali się jak wryci, Nina gdzieś się schowała, świetna dziewczyna.

Przez ułamek sekundy zastanawiał się, ile ma czasu i czy ich przeszukać. Ale stwierdził, że lepiej nie ryzykować i nie zostawiać więcej śladów; tylko przykucnął i przez kilka sekund przyjrzał się bardzo dokładnie, mnemotechnicznie wypalając sobie w pamięci ich zniekształcone twarze, szczegóły ubiorów, broni. Po czym zerwał się, schował pistolet do kabury i pobiegł za Niną.

Czekała na niego w poprzecznej, jeszcze mniejszej alejce, raczej ścieżce, idącej przez coś na kształt parku, gdzieś w górę. Nikogo tu nie było, nie musieli przemykać się obok zamarych przy nasypie ludzi.

– Biegniemy? – zapytała, nie dyszała, nie miała żadnej reakcji na szybkie przebiegnięcie kilkudziesięciu metrów.

– Tak... jeszcze kawałek... – wysapał.

Nie mógł za nią nadążyć, była bardzo szybka, może nawet nieludzko szybka.

Dobiegli do dziwnej konstrukcji, zwolnili, to była jakaś kładka przez zabytek przemysłowy, czy ruiny?

– Czy wystarczy? – zapytała Nina, nadal bez jakiegokolwiek zadyszki.

– Pewnie tak... Uff... – wchodzili na górę schodków, Paul dyszał. Przechodzili po wąskiej kładce, ponad stalowymi konstrukcjami, nad wielkimi rurami. Rozpoznał coś na kształt przepustów i wielkich rur wodnych, podobne znał ze Szkocji, jakieś upusty wody, albo hydroelektrownia.

Szła przed nim, podziwiał jej grację; rozważał o sobie, co też wyprawia i które to mogą być zwłoki w jego karierze „prywaciarza”. Zgubił rachubę około trzydziestu trupów, lata temu.

Przeszli kładkę i wyszli na ścieżkę, obok jakiegoś przemysłowego budynku, chyba rzeczywiście zabytkowej hydroelektrowni.

Nina zatrzymała się na chwilę, rozejrzała się.

– Nie jestem pewna, ale chyba możemy iść tamtędy – machnęła ręką na dziwny kanał, z dwoma chodnikami przy „korycie” płynącej wody – To zdaje się jest kanał z jeziora Biwa i stara elektrownia, powinno nas wyprowadzić na Nanzen-ji i do celu. Chyba, że nie idziemy na wzgórze?

– Możemy iść gdziekolwiek, tylko nie możemy wracać tą drogą – pomachał kciukiem nad ramieniem.

– Oczywiście – uśmiechnęła się.

Poszli spacerkiem wzdłuż kanału–akweduktu około

dwumetrowej szerokości, po jego obu stronach, bo chodniczki były za wąskie, żeby wygodnie iść obok siebie. Mijali przejścia, barierki i przepusty, rozmawiali ponad płynącą wodą.

– Będzie trzeba wynieść się z hotelu? – na poły zapytała, na poły stwierdziła.

– Nie wiem – wzruszył ramieniem – Najlepiej byłoby zmienić lokal, mogą nam się zwalić na głowę jacyś ich kumple, i tak dalej. Ale nadal wydaje mi się, że to płotki, amatorzy z dolnej półki.

Objął jej z czego to wnioskuje, o istotnych szczegółach ich broni, ubioru, zachowania; o braku łączności, wsparcia, czy choćby towarzyszącego samochodu. Nina słuchała go uważnie, oglądała się na niego z półuśmiechem, coraz bardziej ją kochał.

– ... więc z jednej strony, prawie amatorzy, a nie jakaś porządna yakuza, czy wywiadowcy – Paul zastanawiał się, co począć z kobietą, która nadchodziła ścieżką nad kanałem, z przeciwka – Ale jeśli ktokolwiek wie, że za nami poszli, ktoś może trafić do nas prędziutko... Nina, zatrzymamy się na tamtym przejściu i niczym zachwyceni turyści będziemy oglądać widoki, żeby tej pani twarzy nie pokazywać.

– Aha – Nina skupiła się na kobiecie, która nadchodziła po jej stronie kanału i była coraz bliżej, wyglądało, że po prostu jest na spacerze – Nie trzeba, zajmę się nią.

Szła pewnie, prosto na Japonkę w średnim wieku, która zwalniała naprzeciw niej, nie wiedziała, jak minąć się z białą turystką na wąskim chodniczku.

– Domo, Hiroko-san, domo! – uśmiechnięta Nina prawie

zawołała do zszokowanej kobiety, która zatrzymała się jak wryta.

Paul zrozumiał, że Nina zwraca się do Japonki jak do starej znajomej i skądś zna jej imię, ale prawie nic nie rozumiał z szybkiego dialogu jaki nastąpił potem; a może raczej monologu, bo Nina mówiła dużo, szybko i półgłosem, a zdumiona Hiroko odpowiadała monosylabami.

W którymś momencie Nina przyjacielsko objęła ramiona Japonki i coś tam jowialnie cicho do niej mówiła, obróciły się przy tym na ścieżce.

Kobieta przestała odpowiadać, zapatrzyła się w dal kanału i ścieżek, po czym poszła przed siebie, w stronę z której przyszli, nie oglądając się na nich.

Paul kręcił głową.

– Nie ruszaj się przez chwilę – rzuciła mu Nina przez ramię półgłosem, patrząc za oddalającą się miarowo Hiroko.

– Mhm. Takie pytanie: po co ja odstrzeliwuję ludzi, kiedy ty ich możesz wysłać na spacer, pod jakąś hipnozą, żeby się przeszli stąd do Tokio? – zażartował cichutko.

– Nie da rady – pokręciła głową, obróciła się i podjęli wędrówkę w górę kanału – To jest prawie niemożliwe wobec kilku ludzi naraz... a jeszcze w stresie? uzbrojonych? przygotowanych na atak? Możliwe są bardzo przykre wypadki...

– Aha – pokiwał głową, magia magią, a robota robotą – I ta kobieta nas nie zapamięta?

– Owszem, ocknie się za parę minut i będzie miała dziurę w pamięci za ostatni kwadrans, czy około – odparła Nina,

uśmiechnęła się nagle – Dobrze pamiętałam, ten cały akwedukt i kanał, wyjdziemy na Nanzen–ji!

Kiedy przechodzili przez zespół świątyni Nanzen, gdy mijali piękny ogród zen, doszły ich echa policyjnych syren, gdzieś z dołu.

W półdzikim lesie poza linią świątyń i skrajem miasta było ciemniej, jakby już zapadał zmierzch, wilgoć i mrok rozpełzały się w cieniach pod wielkimi drzewami. Ale poszycie było dość rzadkie, a przy ścieżce, miejscami sztucznie umocnionej, rosły krzaki raczej ozdobne niż zupełnie dzikie, o ile Paul cokolwiek rozpoznawał z badyli i kwiatków.

Rozjaśniało się, kiedy wychodzili na cmentarzyki, zagubione na zboczu, było tu mniej drzew, więcej nieba. Może nie były to miejsca zapomniane, wiele japońskich nagrobków było wyczyszczonych, zadbanych, ale zagubione w lesie były na pewno.

– ... z drugiej strony, nasz hotel może wydaje się normalny, ale trochę jest fortecą, o ile mi wiadomo – ciągnęła Nina, maszerowali ramię w ramię, ścieżka była wystarczająco szeroka i zupełnie bezludna.

– O! – Paul zdziwił się, na ogół hotelarze unikali zaangażowania w jakiekolwiek działania „bojowe”, byli zbyt narażeni na ataki i kontrataki – Niczego nie zauważyłem.

– Tak, mam wrażenie, że mają małą ale wyborową ochronę na miejscu, i jakieś niezłe kontakty w policji, czy podobne – Nina pokiwała głową – To... nasz ulubiony hotel, ze dwa razy słyszałam od znajomych, że były tam, czy w okolicy, jakieś akcje. Ale nie byłam ich świadkiem.

– Zobaczymy – Paul zastanawiał się, czy to bardzo zmienia ich sytuację – Myślę, że jeśli chcesz zostać w tym hotelu, trzeba mocno rozważyć moją przeprowadzkę do ciebie, żebym był pod ręką, i żeby nas przypadkiem nie rozdzielono...

– Zobaczymy! – zaśmiała się pod nosem – To powinno być tutaj...

Wyszli na kolejny cmentarzyk w lesie, może trochę większy niż poprzednie, Nina zaczęła rozglądać się po grobach i tablicach informacyjnych. Paul, kilka kroków za nią, dopiero po dłuższej chwili zorientował się, co w tym całym obrazie jest niezwykle, jak na Japonię: niektóre nagrobki były płaskimi płytami, a nie japońskimi „kolumnami”, oraz było tu i ówdzie sporo krzyży wykutych w kamieniu.

– Jest! – Nina znalazła jakiś konkretny nagrobek – A niech to szlag...

Powiedziała to wolno, a zimny ton jej głosu skraplał powietrze.

Paul chciał ruszyć w jej stronę, ale nie mógł. W sekundach otoczył go narastający gwizd, las i cmentarzyk zaczęły tracić kolory i posrebrzać się, myślał, że coś mu się stało z oczami, ale to obraz wkoło zyskiwał srebrzyste wielokrotne powidoki, w różne strony, jak w wielokrotnych lustrach, w tysiącach luster.

A w centrum tej zmiany stała Nina, z pochyloną głową, wpatrująca się w nagrobek przed nią. Wyglądała jak przedtem, jej kolory były normalne, ale najwyraźniej była osiłą zmiany, rzucała cień na rzeczywistość, niczym świeca w mroku, to od niej rozbiegały się srebrzyste powidoki drzew, grobów, wszystkiego.

Gwizd podnosił się w tonie i wysokości w rejony bólu, zaśmierdzało dziwnie w powietrzu, ozonem? Paul nagle przestał szarpać się, a raczej próbować szarpać się, uspokoił się, był mróweczką, mróweczki nie mają szans, nie warto się szarpać.

Ale kiedy zjawisko raptownie zanikło, jednak prawie przewrócił się, nagle potknął się w przód. Utrzymał równowagę, Nina obejrzała się na niego, pustymi zielonymi oczami.

– Co... – wydukał wolno, robiąc do niej dwa kroki, skupiła się i jakby dostrzegła go. Śmierdzało jak po burzy czy wyładowaniu, to musiał być ozon.

– Przepraszam... – przyjrzała mu się, wyraźnie zaniepokojona – Jesteś cały?

– Chyba tak – nieznacznie poruszał się, ramiona, nogi, ocenił swój stan – Chyba nic mi nie jest. Co się stało??

– Wkurzyłam się, przepraszam... – obejrzała się z powrotem na nagrobek – Muszę Sinnie coś ładnego w prezencie wysłać, dobrze cię skraftowała...

Paul nie pytał ponownie, czekał.

– To jest grób starej znajomej, Yae Yamamoto – nie wiadomo skąd w jej dłoni pojawiło się kilka dużych pałeczek – kadzidełek – Ale pewne rzeczy przestały się zgadzać...

– Rzeczywistość się przetasowała? – obserwował, jak Nina klęka w mchu i zeszłorocznych liściach, czyści kamienny wazon obok nagrobka, brudząc sobie ręce ziemią i wilgotnym kurzem.

– Tak... – zapaliła kadzidła po prostu dotykając ich końce,

kiedy zadymiły, wstawiła je w kamień. Paul przykucnął przy niej, próbował odcyfrować napisy na nagrobku, ale za słabo znał japoński. Krzyż pomiędzy kanji rzucał się w oczy.

Lekki wiatr znosił w bok dym kadzideł i zapach ozonu.

– Nie tylko przetasowała SIĘ, ale została przetasowana – ciągnęła półgłosem Nina, złożyła dłonie na udach, klęczała w zazen – To mnie wkurzyło...

– Przez kogoś? – wyprostował się, patrzył na nią z góry, była śliczna.

– Tak... Jednak to jest różnica, kiedy świat się psuje, a kiedy ktoś go psuje...

– Na pewno! Nawet w naszym świecie... – próbował sobie wyobrazić, kto i jak mógł „zepsuć” świat takiej Niny i troszkę brakowało mu wyobraźni.

Zaczęła wstawać z kolan, odruchowo podał jej dłoń, ten dotyk... ten dotyk, podciągnęła się miękko, uściśnęli sobie dłonie, zanim je rozpletli.

Jednym ruchem strzepnęła ziemię z dłoni, drugim ze stroju, była idealnie czysta; Paul musiał znacznie dłużej czyścić dłoń, ubrudzoną ziemią, jej dotykiem.

– Na pewno wszystko w porządku? Pamiętasz dzisiejszy dzień? – zajrzała mu głęboko w oczy, zielone płomienie migotały.

– Chyba tak... Rano planowaliśmy posunięcia przeciwko bossowi Hisashi Matsudaira, poszliśmy na spacer, rozwaliłem dwu śledzących nas, doszliśmy tutaj?

– W porządku – rozejrzała się – Chodźmy stąd, tu jest niezdrowo dla ciebie.

– Czemu? – ruszyli nie z powrotem, ale dalej ścieżką lekko w górę, a potem zboczem, na południe.

– Czuleś ozon?

– Tak, właśnie miałem o to... i o wizję zapytać.

– Ozon, bo silne promieniowanie – pokiwała wolno głową, znowu wolno szli ramię w ramię.

– O!

– Tak – obejrzała się na znikający w lesie cmentarzyk – Jeśli kiedyś ktoś tu zajdzie z geigerem, to się cholernie zdziwi...

– Aż tak??

– Mhm. Ale nie powinienes dostać choroby popromiennej, jesteś tak mocno skraftowany, że... Zresztą, promieniowanie od... wizji, to szczegół, już samo przebicie czasoprzestrzeni, z takiej odległości, normalnego człowieka powinno zdekonstruować... Ale jak mówiłam, Sinna jest niezła, winna jej jestem coś miłego... za przygotowanie ciebie.

– Aha – niewiele rozumiał, ale coś tam rozumiał – Ale co to było, tak naprawdę?

– Przebicie – wyjaśniła, nic nie wyjaśniając – Kiedy awatar jak mój gwałtownie traci kohezję, z dowolnej przyczyny, na przykład „z nerwów” – zaznaczyła cudzysłów gestem – czasoprzestrzeń próbuje się dostosować, wywraca na nice, z czterowymiarowej robi się 4 i pół, a może 4 i trzy czwarte, nazywamy to „przebicciem”.

– No weź... – Paul kręcił głową, nie miał ochoty wracać do podręczników fizyki, ostatni raz miał z nimi do czynienia w średniej szkole. Ale znał się na tyle na pop–nauce i fizyce, żeby w międzyczasie zanotować w pamięci, że wobec takiej

Niny i takich zagrożeń, musi gdzieś kupić wygodny dozymetr radiologiczny.

– Bywa – wzruszyła ramieniem – Przepraszam.

Chwilę szli w milczeniu.

– Kim była Yae? – zapytał – Nie musimy o tym rozmawiać!

– Była niezwykła... – Nina zapatrzyła się na ścieżkę – Żyła na przełomie XIX i XX, spotkałam ją, kiedy była nastolatką, starszą nastolatką, z dobrego samurajskiego domu.

Dowieźliśmy do Japonii kupę towaru z demobilu po wojnie secesyjnej, tu się zaczynały zmiany na dobre...

– To „otwarcie Japonii” przemocą?

– Mhm. Wtedy już szło pełną parą, i zaraz zrobiła się z tego wojna domowa...

– Kojarzę, resztek szogunatu i opornych samurajów przeciwko nowemu cesarzowi, nowemu kapitałowi i nowej armii?

– Tak, dobrze powiedziane... – zaśmiała się sucho – Jakoś tak wyszło, że dowieźliśmy furę towaru tej samurajskiej stronie.

Uniosła śliczną twarz, zapatrzyła się w korony drzew.

– Wylądowaliśmy z częścią dostawy aż w Aizu, to jest na północ od Tokio, na zachód od Fukushima – ciągnęła miarowo – To znaczy ja i Jack. Tam spotkałam Yae, jej ojciec był szefem uzbrojenia i artylerii w prowincji, u tego tam daymio... nie pamiętam jak się nazywał. Negocjowaliśmy z nimi co i za ile, było ciekawie... A ona garnęła się do nas i do broni, chyba zagrzewało ją, że ja byłam w to wciągnięta i nie dawałam się odgonić „do garów”.

Paul pokiwał głową, znał mizoginię Japończyków, naocznie obserwował ją u Akita, u innych.

– To znaczy, kobiety z północy były bez wątpienia inne, niż te z Edo, nie mówiąc o Kioto, czy o współczesnych – ciągnęła – Znacznie twardsze i ciekawsze świata, znacznie bardziej bitne. Bo tam życie było twarde... i piękne. A Yae była jeszcze ciekawsza, w obu znaczeniach...

– Chyba rozumiem...

– Kiedy odjeżdżaliśmy po paru tygodniach, dałam jej na pożegnanie mojego spencera. Wyobrażasz sobie, że całe szczęście, że tu się przesiaduje na tatami, bo jej ojciec i reszta dworu Aizu pospadaliby z krzeseł – uśmiechnęła się blado – Jackowi też prawie łeb się odkręcił, mnie traktował inaczej, niż byle dziewczynę w Japonii, jakże to tak, z nowoczesnym karabinem. Ale w sumie jej ojciec był w porządku, podobno nauczył całą rodzinę strzelać. Przydało się, bo w parę lat wojna do nich zawitała na serio.

– Podobno normalnie walczyła w obronie Aizu przeciwko armii imperialnej, musiała uciekać po przegranej, jej braci, rodzinę, rozwalono albo powieszano do więzień – pokiwała głową – Potem robiła w edukacji, jakieś pierwsze szkoły dla dziewcząt, w międzyczasie nawróciła się na chrześcijaństwo, działała w Czerwonym Krzyżu, organizowała szpitale i sanitariuszki, nie pamiętam szczegółów. Tyle wiem, co mi opowiedziała, spotkałam ją po pierwszej wojnie, jeszcze żyła...

Dłuższą chwilę maszerowali przez leciutko szumiący las w milczeniu.

– Nieczęsto było mi tak ciężko, jak wtedy, kiedy... ona... staruszka... – cicho powiedziała, ale nie dokończyła zdania.

Paul pomyślał, że kiedyś zapyta o dzieci Niny, o ich ojca, ale, cholera, na pewno nieprędko.

– Czy przedwiecznym tak trudno znieść ulotność ludzi? – zapytał spokojnie.

Nina zbystrzała i obejrzała się na niego, ale jej spojrzenie złagodniało i uśmiechnęła się smutno.

– Najlepszych ludzi, tak, zawsze trudno... – przyznała – A przynajmniej mnie...

Zmarszczyła nagle brwi, pochyliła głowę wpatrując się w ścieżkę, idąc kopnęła kamień, aż z gwizdem zrykoszetował od pnia drzewa.

– ... i dlatego wkurwia, kiedy ktoś w tym wszystkim dodatkowo miesza.

– Czyli? – Paul dał jej dwie sekundy, zanim zapytał.

– Różne szczegóły się nie zgadzają. Jej mąż, tam obok, nie zgadza się; rozpoznaję tę maksymę na jej nagrobku, jest, powiedzmy, subtelną drwiną skierowaną do mnie. W... innych przestrzeniach też to widać.

– Ale co z tego wynika? – Paul nie rozumiał.

– Że to wszystko, co ci opowiedziałam o Yae najpewniej zaszło zupełnie inaczej, że tamta historia została wymazana... I to pomimo jej podwójnego spotkania ze mną.

16

Parę jesiennych dni upłynęło leniwie, nic ciekawego się nie działo.

Akita dał znać, że posuwa się z dossier do przodu, ale ostrożnie, więc wolno. Paul podziękował i odparł, że OK.

W japońskich mediach, szczególnie lokalnych Kioto, odstrzelenie dwu typków koło nasypu było dosyć głośne, bo jednak takich strzelanin prawie nie było w Japonii. Ale wszelkie, mniej i bardziej oficjalne teorie, wobec trupów dwu podrzędných bandziorów, uzbrojonych w nielegalne pistolety i rozwalonych w biały dzień, krążyły wkoło porachunków yakuz, czy bandytów. Nikt nie ścigał Niny i Paula, nikt nie dobijał się do hotelu. Świadkowie byli pewni, że zabójcami było dwu mężczyzn (Paul był w stanie zażartować, że Nina jest kobitą z jajami), ale nie byli w stanie podać jakichkolwiek sensownych rysopisów. Nie byli nawet zgodni, czy jeden z zabójców był gaijinem, czy Japończykiem.

Przesiadawali ze sobą, spacerowali po Kioto, jadali wspólne posiłki; Paul leniwie planował różne posunięcia, uczył się telefonu, zamawiał dodatkowe graty, te legalne (jak na przykład, mały geiger–dozometr...).

Po dwu dniach przekonał Ninę, że powinien się do niej przenieść, bo ochrona i w ogóle.

– Taa, a szczególnie „w ogóle” – śmiała się z niego, stali przy restauracyjce z yakitori, japońskimi szaszłykami grilowanymi na straganie, znowu poszli na spacer, przez Sannenzaka do Kyomizu–dera.

– Bardziej serio, to chyba nasze... losy... splątały się już i tak... – próbował znaleźć słowa – To znaczy, mój z twoim, oczywiście!

– Nie tylko, Paul, nie tylko – nagle przyłożyła dłoń do jego policzka, jej dotyk palił, uśmiechnęła się promiennie – Dobrze,

zamieszkamy razem, ale śpisz na sofie! – popchnęła go leciutko.

– Jestem dogłębnie rozczarowany! – zażartował, ale sam nie wiedział, co czuje.

Wracali do hotelu okrężną drogą, poszli w stronę centrum Kioto, jak to ujęła Nina, „obejrzyć stare śmieci”.

– Czy mogę cię pytać o rzeczy osobiste... ważne? – rozmawiali w tempie powolnego długiego spaceru.

– Oczywiście! – Nina obejrzała się na niego, wyraźnie zdumiona – Zrozum, jeśli jesteśmy razem, parą, to tak czy owak będziemy bardzo... blisko, w emocjach, uczuciach, nawet myślach! Możesz mnie pytać o co tylko zechcesz, najbardziej intymne rzeczy. Ale! Nie mówię, że na wszystkie pytania ci odpowiem, bo na niektóre odpowiedzi... nie jesteś gotowy. I niektóre rzeczy z... naszej rzeczywistości nie dają się łatwo opowiedzieć. I nie chcę cię straszyć... – wzięła go za rękę.

Było mu dobrze, z jej dłonią w jego dłoni, chociaż te „nie chcę cię straszyć” martwiło go.

– No właśnie chciałem cię zapytać nie o interesujące intymne szczegóły twojego pięknego ciała... – rozbawił ją, bo w tej samej chwili pomasaował delikatnie wewnątrz jej dłoni – ... ale o waszą rzeczywistość.

– Aha. Pytaj – pokiwała głową.

– Dlaczego wy... półbogowie powiedzmy, w ogóle tu jesteście? Jak rozumiem, „bawicie się” w awatary ludzi? Coś was tu trzyma, czy jak?!

– Taa... Nie jesteśmy tak wolni, wolnymi duchami, jak się wydaje. Albo jak niektórzy z nas pozuja – pokiwała poważnie głową, zastanowiła się chwilę i ciągnęła dalej.

– W uproszczeniu i z waszego punktu widzenia, my jesteśmy związani... czy mamy wspólną część... najbardziej z dwoma siłami waszego świata – mówiła wolno – Czas, nasz czas... A przynajmniej nasza teraźniejszość, jest zupełnie jak wasza, co nawet dziwne. Moja godzina i sekunda jest też twoją... Druga siła to grawitacja, masa, ale to już jest nieco inny związek, nie „zupełnie” jak wasz.

Paul przyglądał się jej zdumiony.

– Chmara... bytów naszego, naszej rzeczywistości... jest związana z Ziemią, z tym co rozumiecie jako grawitację, masę... i moment obrotowy, całej tej planety. Nie tylko „znajduje się na Ziemi”, ale jest w dosyć pogiętych zależnościach... Może o tym innym razem, sama wielu rzeczy nie rozumiem.

Obejrzała się na niego, wlepiła w nią oczy, próbował nie potknąć się na gładkim chodniku Kioto.

– Ale nie tylko z Ziemią. Jak domyślasz się, byłam związana z Księżycem... cała nasza rodzina...

Skinął powoli głową.

– Więc niby możemy robić cuda i przemieszczać się, nawet na skalach kosmicznych... mając ocean czasu, z waszego punktu widzenia, ale jednak jesteśmy ograniczeni przez, hm, „środowisko” – ciągnęła zapatrzona w prostą ulicę Kioto – A szczególnie homo-file, ci, którzy zdecydowali się na awatary, na byt wśród ludzi. Inni są mniej ograniczeni przez tą rzeczywistość, ale za to bardziej w tamtej... Są wady i zalety

obu rozwiązań, dlatego nie poszli wszyscy w jedną stronę... I może dlatego była o to awantura... Na przykład „braciszek Mróz”, on niby jest mocno związany z Ziemią, powiedzmy podobnie jak ja czy siostry, ale jednak nie utrzymuje całego tego cielesnego majdanu, przynajmniej na co dzień.

– Namtar? Na Antarktydzie?

Przytaknęła mu, jakby nieco roztargniona, chyba zamyśliła się o przeszłości.

– Sprawdziłem, że to imię z mitologii sumeryjskiej, stamtąd pochodzicie? – zapytał z pewnym wahaniem.

– A skąd! – ocknęła się i roześmiała w głos, aż stateczni i grzeczni Japończycy, mijający ich i maszerujący w swoich sprawach, obejrzeni się na turystkę – Po prostu tam i wtedy bardzo dużo plotek i wiele głupot naopowiadano o nas. Głównie dlatego, że Denel, mój facet, twój poprzednik, był trochę chwaliپیęta i rozповідаł drobiazgi, czasem jeszcze dodatkowo zmyślał. Albo nic nie rozumiał, ale i tak gadał głupoty a ludzie to podchwytywali. Jak te całe bajki o piekłach i zaświatach – znowu głośno parsknęła – To wyłącznie wasze, ludzkie, głupie pomysły, no może na podstawie jakichś wizji, niezrozumianych wizji...

– Aha, czyli ta mitologia jest na wasz wzór i podobieństwo? – uśmiechnął się pod wąsem.

– A bo to jedna! Ale „na wzór” przez głupi i głuchy telefon – zaśmiała się, nagle zatrzymała się – O rany, ale obrzydlistwo! Tego na pewno nie pamiętam!

Doszli do skraju „manhattanu” Kioto, na brzegu był jakiś ultranowoczesny kompleks trzech sporych wieżowców, jak trzy paskudne baryły – beczki.

– Ja też nie kojarzę, trudno takie coś zapamiętać... – mruknął Paul, oczy pękały od szarego betonu w dziwnej formie. Dobrze, że wyższe, też niezbyt ładne i nudne, ale przynajmniej klasyczne i stonowane szklane wieże maskowały w tle ten ohydny pomysł jakiegoś architekta i inwestora.

– Aż chciałoby się pstryknąć palcami i zniknąć takie gówno... – burczała Nina, minęli „eksponat” i szli dalej przez reprezentacyjne centralne ulice Kioto – Ale niestety, nie potrafię, nie potrafimy być wybiórczy i planować dokładnie takich zmian rzeczywistości, na wszelkich ścieżkach tak skomplikowanego świata.

– Znikną te „baryły”, za to pojawią się jeszcze gorsze ekspozyty po drugiej stronie Kioto? – próbował wyobrazić to sobie.

– To byłoby jeszcze całkiem spoko – mruknęła, uściśnęła jego dłoń – A jeśli zmieni się historia, ludzie, krainy, od Europy po Indie i pół Ameryki? Znikną albo pojawią się nie jakieś budynki, ale ludzie, ba, państwa, religie, wynalazki? Nie bawimy się w ten sposób, bo zaraz sami się w tym gubimy...

– Wracając do Namtara i kto utrzymuje awatary, a kto nie – zmieniła temat, mówiła wolno w rytm kroków – Zrozum, Paul, bardzo dawno temu wymyślił... wymyśliliśmy, że będzie nam lepiej w waszym skomplikowanym, ale przez to przebogatym świecie, pełnym MOŻLIWOŚCI, lepiej niż w naszej pustawej, za to groźnej i „potężnej” rzeczywistości. Oraz oczywiście łatwej i przyjemniej być prawie–wszechmocnym półbogiem czy demonem wśród ludzi, niż siódmym drzewem na trzecim planie jakiegoś Olimpu, czy innej mitologii...

Uśmiechnęli się do siebie.

– Zawsze uważałem, że to zabawne, że wszelkie religie i mitologie utrzymują, że ludzie są na wzór i podobieństwo bogów, kiedy to oczywiste, że ludzie zmyślili bogów na swój idiotyczny wzór, z emocji i mięsa małych naczelnych – Paul odpowiedział z namysłem – Trzecia droga jakoś mi nie przyszła do głowy...

– Taa, nie znam się na filozofii czy religioznawstwie, ale chyba masz rację... – Nina zapatrzyła się pod nogi, jej dłoń w tej chwili była dla Paula największym skarbem tego świata – Chyba mało kto rozważa, że bogowie, czy prawie bogowie, mogli wymyślić siebie na nowo, na wzór ludzi...

Szli parę minut w milczeniu szeroką arterią Kioto, solennie trzymając się za ręce. Ulica nagle jeszcze poszerzyła się, otwarł się widok na fosę i klasyczną narożną wieżę zamku Nijo.

– O, niektóre rzeczy wyglądają tak samo! – Nina wyraźnie ucieszyła się – Idziemy zwiedzać „stare śmieci”, i co w międzyczasie posprzątali!

W hotelu nikt nawet okiem nie mrugnął, kiedy Paul zwolnił pokój, ale ewidentnie nadal nie wyprowadził się, tylko przeniósł do apartamentu Niny (i tak dwuosobowego). Obsługa i menadżerowie najoczywściej to widzieli i wiedzieli, ale nie było takiej opcji, w tej klasy japońskim hotelu, by ktokolwiek zapytał o to klienta. A szczególnie takiego jak Nina Moon.

Kiedy zamieszkali razem, już pierwszego dnia trafiło Paula kolejne zadziwienie – okazało się, że Nina nie sypia.

– Tak, my nie potrzebujemy snu... – uśmiechała się do niego

z głębokości wygodnego fotela, siedziała przy stoliczku, pod panoramicznym oknem wychodzącym na dachy i pagody Kioto, kiedy on rozpakowywał swoje przeniesione bagaże – Co może ważniejsze, Paul, ty też będziesz coraz mniej spał...

– Hę? – zagapił się na nią wcześniej, na stwierdzenie o braku snu, ale teraz prawie upuścił wieszak z garniturem, z którym zmierzał do garderoby.

– Tak, do pełnej bezsenności, jak moja, powinienes dojść za kilka miesięcy, może pół roku...

– Aha – zmarszczył brwi, jednak podreptał do szafy, zastanawiając się nad tym wszystkim – To w zasadzie nawet fajne... Jakies inne niespodziewane bonusy, tej klasy? – wrócił do walizek.

– Przyspieszenie refleksu, motoryki... – oparła łokieć na szerokiej miękkiej poręczy turkusowego fotela, piękną twarz na dłoni – To na pewno, i też w krótkim horyzoncie czasowym... Inne zmiany, może będą, ale jakie, kiedy, trudno powiedzieć, mam za małą próbkę moich ulepszonych chłopów – uśmiechnęła się do naburmuszonego Paula.

– Aha – mruknął, wracając do rozpakowywania gratów – Czyli to naprawdę bonusy...

– Tak, minusów nie przewiduję... Wiesz co, ty jesteś bardzo mocno skryzalizowany, wszystko może stać się szybciej i bardziej – zamyśliła się przez chwilę – A propos braku snu i różnic awatara względem człowieka, może jeszcze jedna podpowiedź, bo chłopom to pytanie przychodzi do głowy najwcześniej po jakimś pół roku: ja nie miewam okresów.

Apartament miał dwa pokoje, Paul tak jakby zajął „pokój dzienny”, z wielką sofą i niskim stolikiem, z biureczkiem wbudowanym przy ścianie i krzesłem do pracy, i dwoma fantastycznymi fotelami pod wielkim oknem, przy małym stoliczku kawowym. Ninie pozostała piękna sypialnia, z wielkim podwójnym łóżem, mniejszym oknem i z komodą, od biedy udającą biurko. Mieli też śliczną dużą łazienkę i sporą szafę–garderobę.

Kiedy wrócili do apartamentu po kolacji, pierwszego wieczora razem, Paul zaciągnął wszystkie zasłony, a Nina wyciągnęła coś do picia. Rozsiedli się w wygodnych fotelach, sięgnęła po pilota i przyciemniła światło, do połowy.

– Czemu zaciągnąłeś zasłony? – zapytała, sącząc jakieś „standardowe czerwone wino”, jakie hotelarze wstawili do barku – Ten widok jest ładny...

– Odruchowo – obejrzał się na ciężkie zasłony, też wziął kieliszek wina, ale białego – Lubię ładne widoki, ale nie lubię być na widoku...

– Aha. Szczególnie po tych dwu bandziorach...

– Na przykład.

Siedzieli dłużej chwilę, pociągając wino.

– Paul... wyjaśnijmy coś sobie... – Nina przyglądała mu się uważnie, nie spuścił wzroku, z każdym dniem lepiej znosił jej nadnaturalnie silną obecność – Jesteśmy razem, tak?

– Tak...

– Na dobre i na złe?

– Tak – uśmiechnął się pod wąsem – Mam wygłosić tę małżeńską formułkę? „Póki śmierć nas...” i tak dalej?

– Nie, nie trzeba – błysnął jej uśmiech, ale spoważniała zaraz – Chodzi mi o to, że staram się na ciebie nie wpływać... na ile to możliwe... Ale jeśli mieszkamy razem... ciągle będziemy razem... to będzie coraz trudniejsze do opanowania.

– Stracę z miłości do ciebie resztki wolnej woli? – powiedział spokojnie, napił się wina.

– To nie do końca tak – kręciła głowę, aż czarne włosy zafalowały, w półmroku zielone iskry błyskały w jamach cienia pod jej pysznymi brwiami – Nie stracisz wolnej woli przy mnie, może raczej nawet coś zyskasz, ale niekoniecznie w sensie LUDZKIM.

– A w jakim?

– Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć – pociągnęła wina – Z pewnego punktu widzenia, owszem, różne rzeczy staną się „nie do pomyślenia”. Więc niby utracisz wolność w tym zakresie. Ale jeśli „stanie się do pomyślenia” pięć, dziesięć razy więcej, niż możesz pomyśleć teraz, to w jakim sensie coś utracisz?

– Aha... – nie wiedział, jak to skomentować.

Nina głęboko westchnęła.

– No nie umiem tego wytłumaczyć. Może dygresja... – uśmiechnęła się – My nie jesteśmy bardzo mądrzy. Ja na pewno nie...

– Wydajecie mi się całkiem mądrzy, ty, Sinna z dziećmiakami – zdziwił się.

– Ale jak na kogo? – leciutko prychnęła – Mając ten cały czas i zasoby powinniśmy być boscy także w zakresie wiedzy, mądrości, czy jak tam zwał, co nie?

– Tak mi się wydawało...

– No to ci się wydawało – napiła się wina – Zapewne, nie jesteśmy BARDZO głupi, no może poza niektórymi... ale najmądrzejsi z nas nie są wiele mądrzejsi od najmądrzejszych ludzi. Nadrabiamy to nadludzką szybkością, sprytem... magią. Mamy parę przewag...

– Jasne.

– Do czego zmierzam: ja mogę wiele, wiem wiele, ale niekoniecznie potrafię to wszystko wytłumaczyć, czy choćby opowiedzieć... A szczególnie w waszych językach.

Paul pokiwał głową troszeczkę zaskoczony, taka ontologia pół-bogów jakoś mu nigdy nie przyszła do łba.

– Wracając do problemu mieszkania razem... – przechyliła ślicznie głowę – Jeśli jesteśmy przekonani, że możemy być razem... że chcemy...

– Że dobrze nam razem – odpowiedział w półmroku apartamentu, który z każdą sekundą stawał się coraz bardziej Absolutnym Wzorcem Apartamentu Hotelowego w Półmroku.

– Tak... Jeśli dobrze nam razem, to w końcu NA PEWNO będziemy razem – z każdym uderzeniem serca Nina stawiała się Absolutnym Wzorcem Kobiety w Półmroku bardziej – Będą przytulanki, seks, będzie wszystko co sobie możesz wyobrazić, a nawet jeszcze więcej! Ale, szlag! Nie dziś, nie jutro, tylko za jakiś czas...

Nina odstawiła kieliszek na stolik, z trzaskiem; urok nieco zelżał, Paul przez chwilę jeszcze był Absolutnym Paulem, był sobą znacznie bardziej niż zwykle, wybuchło mu w umyśle parę małych oświeceń.

– ... bo jeśli zaczniemy zbyt ostro, nie przeżyję tego? – dokończył jej myśl.

– Nie aż tak, ale owszem, zepsułoby cię to. Bardzo. Ale to... czekanie... frustruje mnie jak cholera... – zacisnęła oczyska, zniknęły zielone iskry, dodała cicho – A ciebie pewnie bardziej...

– Mhm – inną nagłą myślą było, iluż facetów Nina „zepsuła” zanim ustaliła, hm, empirycznie, to o czym mówiła – Myślę, że dobrze wiesz, że... pragnę cię, jak żadnej kobiety w życiu nie pragnąłem... w każdym możliwym sensie.

Spojrzała na niego uważnie.

– ... ale chyba wytrzymam na sofie, co nie? – uśmiechnęli się do siebie, w ciepłym zwyczajnym półmroku luksusowego apartamentu – Rozumiem cię, nie mam pretensji, wytrzymamy trzymając się za rączki, utoniemy powolutku, prawda?

– Tak... – pokiwała głową – Dzięki Paul, jesteś taki inny...

Pomyślał, że albo jego poprzednicy byli jacyś nienormalni, albo on jest nienormalny; nie wiedział, która wersja jest bardziej prawdziwa.

Rano musieli się podzielić łazienką jak cnotliwa para przyjaciół, zaśmiewali się przez drzwi, że muszą uważać, żeby sobie kawałka ciała nie pokazać, bo się na siebie rzuca.

Ale to nie były żarty tak naprawdę, bo nawet od takich drobnych żartów Paulowi kręciło się w głowie z pożądania; Nina dla odmiany milkła i zacięła się w sobie, z frustracji. Poprosiła, żeby nie paradował bez koszulki, nie mogła oderwać wzroku od jego ciała, może nie był super-fit, czy

wyrzeźbionym siłaczem, tylko dobrze zbudowanym facetem, ale to wystarczyło, żeby było jej... ciężko.

Paul nieco dziwił się, że doskonała prawie–bogini musi korzystać z łazienki czy prysznic, ale w porannym zamieszaniu nie odważył zapytać się o to. Nina jakby wyczuła jego myśli, nieco opryskliwie wytłumaczyła mu, że może i awatary nie brudzą się i nie gniją aż tak jak ludzie, ale jednak nieco higieny im nie zaszkodzi.

Odżyli nieco na śniadaniu, poza apartamentem, przy ludziach i w rozmowie.

Na zewnątrz lało, jesień na dobre przybyła do środkowej Japonii.

Kiedy wrócili do pokoju, nie mieli pomysłu, co dziś będą robić. Paul stwierdził, że przejrzy sprzęt ponownie, może wyczyści pistolet, do którego nie zajrzał po strzelaninie; zajął wąskie biurko przyściennie.

Nina siedziała przy oknie z kawą i książką, tak śliczna na tle deszczu spływającego po szybie. Byli jak małżeństwo w średnim wieku na wycieczce, przerywanej przez paskudną pogodę.

Z dokładnością do pistoletu, który Paul rozkładał i przeglądał, nieco hałasując; w końcu Nina odłożyła książkę i wstała z fotela, przyszła do niego i zaczęła zaglądać mu przez ramię. Czuł jej obecność jak rozżarzony piec za plecami, choć tylko stała sobie, cichutko i spokojnie.

– Nina, a propos broni – zważył w rękę wyjętą z pistoletu lufę, nie obejrzał się – Mówiłaś, że miałaś karabin Spencera, czyli umiesz posługiwać się bronią?

– Trochę tak – słyszał, że zaśmiała się pod nosem – No nie sposób przeżyć tutaj tyle milleniów i nie nauczyć się strzelać, z łuku czy innego spencera. Ale nie przepadam za tym.

– Czemu? Cofam to, durne pytanie...

– Nie, już ci mówię – jej głos był taki miły – Kiedy używam normalnej broni, muszę cholernie uważać, żeby nadal była normalna, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Chyba tak... – sięgnął po notes i dopisał do listy zakupów cztery pozycje, jednak musiał wyczarować jakiś zestaw rusznikarski do czyszczenia, z towaru z byle sklepu motoryzacyjnego czy ślusarskiego. Albo przez Ninę. Dostał SIGa bez opakowania i narzędzi, a w Japonii nie mógł pójść do pierwszego z brzegu supermarketu, do działu z bronią, to nie był Teksas. Do normalnego sklepu z bronią może i mógłby pójść, pewnie jakiś był gdzieś w Kioto, ale to było proszenie się o kłopoty: gajjin kupujący rusznikarski zestaw narzędzi i do czyszczenia na pewno zostałby zapamiętany, to śmierdziało na kilometr, czyjaś nielegalną bronią.

– Czy zwykły karabin zamienia ci się w armatę? W karabin laserowy? – z uśmiechem obejrzał się na Ninę przez ramię; stała tak blisko.

– Może nie aż tak – rozłożyła ręce, również z uśmiechem – Raczej, włącza mi się... magia, powiedzmy, na zasadzie „chcę trafić tego tam”, a gość jest nie tylko na 200% trafiony, ale przy okazji... znika plus wszelkie skutki uboczne. No jakbym go zdmuchnęła i bez karabinu.

– Taa... – pokiwał głową nad rozebrany pistolet – Ja rozumiem, że nie potrzebujesz broni tak naprawdę, ale myślałem, że może to lepsze rozwiązanie, bo nie prowadzi do

eskalacji i... zaburzeń rzeczywistości. Ale jeśli i tak prowadzi, to po cholere zawracać sobie głowę.

– W sumie, nie zawsze – odpowiedziała zamyślona, przysiadła na krawędzi biurka po jego prawej, zapatrzyła się gdzieś ponad nim. Była w czarnych spodniach i niebieskiej bluzce, niby niezbyt obcisłych, ale musiał użyć całej siły woli, żeby się nie gapić na jej ciało, kwiatowy zapach oszałamiał – Czasem udawało mi się to opanować i normalnie postrzelać... No i broń przydawała się jako odstraszanie czy odwracanie uwagi, w niektórych miejscach i czasach. Wiele kobiet nosiło sztylety, ale wiesz, kobieta ze stalowym mieczem w epoce brązu, to dawało do myślenia, i często załatwiało sprawy bez użycia... magii. Albo, na przykład, wiele kobiet nosiło jakieś rewolwery, w jakimś bezbożnym San Fran w czasach gorączki złota, czy po wojnie secesyjnej, ale gdy zaczynałam bawić się spencerem, to jakoś wszelkim nagabywaczom, lowelasom i zbójom przechodziło zainteresowanie, nie musiałam psuć pół USA i pół historii...

Roześmiał się cichutko na jej tyradę, boże, powinien spisywać czy nagrywać jej opowieści, była kopalnią anegdot i ciekawostek. A skoro 50 tysięcy lat, to nie tylko sprzed epoki brązu, ale i sprzed zlodowaceń, o, to dopiero musi być ciekawe!

– Czy ty się ze mnie śmiejesz?! – skupiła się na nim, udawała naburmuszenie, ale też się uśmiechała po nosem.

– Nie z ciebie, raczej z moich myśli, powinniśmy wydawać książki... może nie tyle historyczne, co a–historyczne, z twoimi niewiarygodnymi anegdotami! – odparł.

– Możemy, i tak nikt nie uwierzy! – odstrzeliła beztrąsko – W sumie, może i warto się znowu uzbroić... Trochę ci pomóc,

bez czarów–marów...

– Można ci coś zgrabnego załatwić. Strzelałaś z pistoletów? Ale takich nowoczesnych! – wyobraził sobie Ninę, w jakiejś dworskiej krynolinie z XVIII wieku, jak pali do kogoś z eleganckiej zabytkowej króćicy, znowu uśmiechnął się do tej wizji.

– Zdarzało się – zapatrzyła się na rozebranego SIGa – Ostatnio raczej nie, ostatni raz w Angoli, w ‘70...

– Cholera, czy ty byłaś na każdej wojnie domowej za ostatnie tysiąc lat?? – zdumiał się.

– Na każdej to nie, ale owszem, jakoś tak moje życie się układa – nie wiedział, czy ona drwi, czy mówi serio – Czy to nie jest zwykła dziewiątka? Jakiś taki średni?

– Niby „compact” SIG Sauer, ale jak widać, z tych większych. Ten akurat jest na trochę mocniejszy nabój .40 cala Smith and Wesson. To znaczy są również inne wersje, 9mm też, ale ta rodzina była od początku nieźle zaprojektowana pod mocniejsze.

– Pewnie bym sobie poradziła – wzruszyła ramieniem, machnęła dłonią – W Angoli używałam ruskiej tetetki, też była mocniejsza od dziewiątek, kopiała jak koń.

– Aha – coraz bardziej kręcił głową, jak to mówił Adrian, „podróże z moją ciotką” i prawie boginią wojny? Zaczątek pomysłów, że załatwi jej przez Takao jakiś damski pistolecik, czy może podobnego SIGa ale na 9mm, przyszło błyskawicznie wyrzucić do śmieci. Skoro Nina używała wojskowego silnego pistoletu i na wojnie, to szkoda potencjału... – Nie strzelałem z TT, mam wrażenie, że ten kopie słabiej od tetetki, nie pamiętam dokładnie danych, ten

jest mniejszy z krótszą lufą, ale przy cięższej kuli.

Wzięła z biurka magazynek od SIGa, pełen naboji „policyjnych”.

– Tak, tam były dużo mniejsze, ale chyba cholernie silne – oglądała nabój w szczękach magazynka – Muszę spróbować gdzieś, czy pamiętam i dam radę, czy lepiej jakiś słabszy pistolet... Może na jakiejś strzelnicy?

– To raczej nie uda się zorganizować, nie w Japonii, o ile mi wiadomo – zaśmiał się pod nosem – Chyba, że coś się zmieniło ostatnio, i mam na myśli rzeczywistość, a nie tylko legislację.

– No tak. Czyli: gdzieś w lesie – wzruszyła ramieniem, odłożyła magazynek, poklepała go po dłoni i poszła pod okno, do swojej kawy i książki.

Już drugiego wieczoru popukali się w czoło oboje i że są głupi jak coś głupiego: dlaczego właściwie Paul spał na sofie, kiedy Nina nie potrzebowała wielkiego wygodnego łóżka? Bo nocami czytała książki, pracowała na eleganckim cienkim laptopie, medytowała nad sobą tylko wiadomymi sprawami. Na pewno nie spała.

Paul starał się dotrzymać jej towarzystwa, chodził spać bardzo późno, ale wstawał normalnie, rześki i wypoczęty. Nie wiedział, czy to zasługa komfortowego łóżka i... spokoju? przy Ninie, czy coś się zmienia i już nie potrzebuje tyle snu, co kiedyś. Myślał, jak bardzo jego życie się zmieniło, zmieniało, chyba już na zawsze...

– Ty jakoś dużo pracujesz, na laptopie? – zapytał któregoś wieczora, kiedy spokojnie siedzieli w fotelach, każde zajęte swoim komputerkiem. Uśmiechnęli się do siebie – Czym się zajmuje bogini w internecie?

– Różnie – zamknęła ekran – Planuję różne rzeczy, szukam, robię rozpoznanie co chcę, co chcemy robić w przyszłości... No i mam sporo przykrywek i biznesów wkoło świata, na ogół działają samodzielnie, ale też czasem trzeba coś tam załatwić, jakieś papierki, rozliczenia czy oświadczenia. Nawet jeśli staram się na co dzień być tylko „odległym udziałowcem”, czy podobnie...

– Czyli nie tylko potrafisz wyczarować majątek „z powietrza”, ale też masz zasoby na normalnym poziomie, biznesowo-bankowym? – pokiwał głową.

Odłożyła laptop i przegarnęła włosy, myślała chwilę.

– Tak, bo inaczej trudno jest funkcjonować bez... zaburzeń. Przez ostatnie 200 czy 100 lat wszystko się zmieniło, wasz świat zrobił się mniejszy i bardziej... uszczelniony? Strzeżony?

Sięgnęła po zdalne sterowanie pokoju, wyłączyła światło i odsłoniła zasłony. Nocne Kioto zajrzało do apartamentu, Paul też odłożył swój „tablet”. W półmroku i ciszy luksusowego hotelu atmosfera zrobiła się tajemnicza, intymna, rozmowa robiła się bardziej znacząca, a Nina jeszcze piękniejsza.

– Jeszcze ze 100, może 150 lat temu, mogliśmy się poruszać bez paszportów, na byle jakich dokumentach, wozić ze sobą wagony gotówki, albo nieco lżej, walizki kamieni szlachetnych – oparła głowę na zagłówku fotela, patrzyła na ciemne pagody Kioto – Mogliśmy handlować bronią albo narkotykami, i poza ewentualnymi łapówkami, czy małą albo i niemłą

konkurencją, nikomu powieka nie drgnęła... Można było kupować i sprzedawać nieruchomości dziesięć razy łatwiej. Podatki może były bardziej uznaniowe, czasem całkiem znaczne czy skomplikowane, ale też, bez porównania... Tamten świat przeminął.

– Stąd ustawiliśmy z Jackiem trochę biznesów i tak dalej, żeby nie walczyć z systemem przy każdym większym zakupie, przy kupowaniu czy wynajmie nieruchomości, i nie spierać się z kolejną skarbowką...

– Znam to z autopsji – pokiwał głową – Pewnie na niższym poziomie, bo milionów dolarów czy funtów najwyżej. Ale pranie pieniędzy to zawsze problem.

– Tak... – uśmiechnęła się nagle – Zresztą, to nawet nie „pranie”, bo przecież to, co wyjmę z nicości, niekoniecznie jest nielegalne czy „kradzione”. A i tak niesie sto pytań służb i urzędów. No ale Jack wpadł kiedyś na dobry pomysł i ustawiliśmy sobie jedno bardzo wiarygodne i bezpieczne źródło, plus trochę biznesów pomocniczych, w różnych jurysdykcjach.

– A jakie jest to główne? – zaintrygowało go mocno.

– O, jaki ciekawy! – uśmiechnęła się znowu – Najpierw zdradź swoją przykrywkę!

– Moja? – zdziwił się – Konsulting militarny i ochrona osób i mienia, spółka w UK, filie i bankowość przez Monako i Kajmany. W zasadzie „standardowa szara strefa” obecnie, mam wrażenie.

– Taa, wszyscy wiedzą, że lewizna, ale nikt nie rusza?

– Raczej: nikt nie rusza mikrobów, jak ja – poprawił ją,

wzruszając ramieniem – Przynajmniej dopóki nie idzie się w narkotyki i okolice, albo służby nie zrobią kogoś w narkotyki i okolice. I dobrze mieć dłużników–znajomych gdzieś w służbach, żeby czasem odwołali skarbówkę czy urzędników ze ścieżki pościgowej...

– Aha, znam to – pokiwała głową – Takie firmy też mam, ze dwie, ale trudno było przepychać przez nie góry szmalu, który czasem potrzebuję. Bo ja mieszkam kosztowne zachcianki!...

Prychnął śmiechem.

– ... Dlatego jako główne źródło postawiliśmy coś innego. Wpadliśmy na pomysł w czasie awantur w Angoli, bo trafiliśmy na cholernie agresywne konsorcja w temacie wydobywania diamentów. Spółki rodem z Antwerpii plus miejscowi skorumpowani politycy, znasz te motywy.

– Taa, czasem mnie podobni wynajmowali, do „ochrony biznesu” albo przekonania opornych miejscowych, na paru kontynentach – mruknął ponuro.

– No właśnie. Więc skoro oni mogli w czasie wojny domowej próbować wykroić sobie za bezcen kopalnię diamentów, to my też – uśmiechnęła się – Przy okazji nauczyłam się strzelać z TT, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Aha. Czyli to kopalnia diamentów na zadupiu Angoli? – pokiwał z uznaniem głową – Ładny pomysł. I nie próbują ci jej odebrać, to już parę dekad?

– Nie, bo mi nie zależy na zysku czy cenie, sprzedaję wszystko im na miejscu, w Luandzie, nie bawię się w eksport – odparła – I to ja najbardziej korumpuję miejscowych. A z tymi w Antwerpii dogadałam się bezpośrednio.

– Użyłaś swojego wielkiego uroku osobistego i charyzmy??
– zaśmiał się – Wszyscy przeżyli?

– Pewnie – prychnęła – I zapamiętali lekcję. No, zapewne trzeba ją będzie odświeżyć w następnym pokoleniu, ale na razie żyjemy w... symbiozie. Ja im dostarczam ładne diamenty za 2/3 ceny, oni zajmują się swoją wielką kopalnią i nie ruszają mojej malutkiej.

Zaśmiała się do swoich myśli.

– A najlepsze, że jeśli kiedyś mi tę kopalnię jednak zabiorą czy znacjonalizują, to się cholernie zdziwią, że nie ma tam żadnych diamentów...

– Jak to? – nie rozumiał.

– No jest tam rozgrzebana górka, i trochę instalacji i pracowników, jako maskowanie – śmiała się z niego – Ale przecież wolę co parę lat polecieć tam i zrobić zapas surowych, ładnych, „nie za dużych, nie za małych” diamentów na dekadę, niż grzebać w ziemi i liczyć na szczęście!

– No taaak... – nadal nie przestawił się na jej poziom myślenia o „zasobach” i „biznesach”.

Następnego dnia Akita dał znać, że przesyłka jest na miejscu, Paulowi udało się żartobliwie dopytać o drobiazg wskazujący, że skrytka i ich dawne ustalenia nie zmieniły się przy ostatnich zmianach świata – owszem, mieli zagrać w golfa. Przy okazji, ustalili ile gotówki Fraser ma zostawić w rozliczeniu, za wszystkie ostatnie usługi Akita-san, od kamizelki i skredytowania elektroniki, po dossier Matsudaira.

Omówili z Niną i zaplanowali wycieczkę „pod Fuji”, bo tam

była skrytka, a przy okazji postanowili sobie postrzelać.

17

Złapali wczesny ranny shinkansen do Tokio, ale wysiedli już w Nagoja, żeby przesiąść się w pierwszy „powolny” shinkansen, zwany Kodama, który zatrzymywał się na wszystkich większych stacjach – normalne poranne shinkanseny zasuwały na wschód co parę minut, w liczbie zastraszającej (gdzie to się mieściło na torach??), ale prawie nigdzie nie zatrzymywały się, wioząc tłum salarymanów i biznesmenów na 9 rano, do stolicy.

Zanim wysiedli z Kodamy w Mishima, założyli maseczki higieniczne; udawali zasmarkanych turystów, żeby nie zostawiać zbędnych tropów. Ten aspekt japońskiej kultury, nacisk na noszenie masek przez przeziębionych i chorych pasażerów, był tak bardzo wygodny „w szarej strefie”.

Spacerkiem przeszli kawałek przez miasto o poranku, pod pochmurnym niebem zwiastującym zapowiadane deszcze, do lokalnej stacji kolejowej, zaraz złapali pociąg do Gotemba.

Wyglądali jak rasowa para turystów w średnim wieku, po sezonie. Oboje byli w nierzucających się w oczy kurtkach i dresach. Paul zostawił miecz i płaszcz, miał lekki plecak i czapkę-bejsbolówkę, Nina związała włosy opaską, maseczki higieniczne mieli duże, „naciągnięte” pod oczy. Cały sprzęt i ubrania, wysokiej jakości, wyczarowała poprzedniego wieczora; nie musiał łązić do sklepu sportowego, dobierać ciuchów i tak dalej, logistyka z Niną była tak prosta i przyjemna!

Pociąg był względnie zatłoczony, było sporo ludzi jadących do pracy czy w interesach, mało turystów; wysiedli razem ze znaczną liczbą pasażerów w Iwanami, w dolinie na wschód od Fujiyama. Tłumek pasażerów pomachał setką parasolek i poszedł gdzieś sobie, ale przy okazji zgarnął parę taksówek spod niewielkiej nowoczesnej stacji.

– Tego nie przewidziałem... – mruzczał Paul, rozglądali się po opustoszałym parkingu, na skraju typowej japońskiej wsi czy miasteczka, pod zachmurzonym przedpołudniowym niebem – A powinienem...

– Niby czemu? – Nina była w szampańskim nastroju; zastanawiał się, czy tak po prostu, czy poprawiało się jej od jego obecności, tak jak tłumaczyła, że potrzebuje towarzystwa. Jemu też było z nią lepiej i lepiej.

– Bo tam gdzieś jest jakaś fabryka, bodaj wielki ośrodek Toyoty, stąd ten tłumek – wyjaśnił – Kiedy byłem tu ostatni raz, raczej wieczorami, ten tłumek wracał w drugą stronę, a nie: kradł nam taksówki!

– Aha. I co, będziemy tu tak stać, jak cieć przy hałdzie węgla? – śmiała się z niego.

Zanim zdążył wymyślić ciętą ripostę, czy skąd wziąć transport w góry, zajęła przypadkowa taksówka.

– Taxi raz! – pokazał jej język.

Starszy kierowca praktycznie nie rozmawiał po angielsku i nie rwał się do wożenia przypadkowych turystów w mgliste góry, ale kiedy Nina przeszła na japoński, rozjaśnił się i po nadwyreżeniu karku seriami tradycyjnych ukłonów zapakowali

się i pojechali pod masyw Mikuni, rozdzielający jezioro i kurorty w okolicy Hakone od doliny Gotemba i Fuji. A dokładniej, do jednego z wielu rozrzuconych na zboczach pól golfowych.

Zapłacili, wysiedli, poczekali aż taksówka zawróciła i odjechała, po czym szybciotko zmyli się w las, porastający góry.

Przeszli parę kilometrów zagubionymi ścieżkami, rozmawiając i przekomarzając się, Paul opowiadał o swoich pobytach w Japonii, w tej wielkiej dolinie, czasem służbowo, bo w okolicy Gotemba był duży poligon JSDF, a czasem w celach znacznie mniej legalnych... Zaczęło nieco siąpić, ale jeszcze nie lało porządnie i mieli solidne ciuchy przeciwdeszczowe. Ponownie zauważył, że włosy Niny nie mokną tak naprawdę i po prostu ignoruje ona pogodę, złą czy dobrą.

W lesie było cicho i pusto, pachniało mokrą jesienią w pełnej krasie.

Paul oglądał się na zachód, tam gdzie powinien być Fuji, ale tak samo jak przy jego poprzednich wояażach w tej okolicy, zachmurzenie sięgało 100% i zamiast wielkiej góry była tam szara ściana chmur.

W końcu rozejrzał się, próbował wybrać miejsce.

– Może gdzieś tutaj? – rzucił do Niny – Chyba nikogo nie ma, nie w taką pogodę.

– Mhm – przytaknęła – Czekaj, rozejrzę się...

Przyglądał się jej nieco zdumiony, zamknęła oczy i wyraźnie skupiła się.

– Trochę gryzoni... ptaków... jakiś większy, może sowa... o, chyba niedźwiedź... – mruczała na poły do siebie, nagle otworzyła oczy i uśmiechnęła się ciepło do Paula – Nikogo, nic ciekawego, w promieniu mniej więcej kilometra, poza miśkiem, gdzieś tam! – machnęła w górę zboczy, na północ.

Kręcił głową, miał wielką ochotę ją przytulić i pocałować, była tak cudowna oraz bardzo pożytecznym zwiadowcą! Powstrzymał się najwyższym wysiłkiem.

Ściągnęli maski i przeszli jeszcze kawałek, zaraz zeszli z ledwo widocznej ścieżki naprawdę w las, przedarli się na jakąś polanę; wkoło były niezbyt gęsto rosnące drzewa, niedużo poszycia.

– Chyba tu będzie dobrze – Paul rozejrzał się w mżawce, było wystarczająco dużo miejsca i wystarczająco jasno. Rzucił plecaczek i poszedł do pierwszego z brzegu drzewa, scyzorykiem wyrwał nieco kory, zostawiając dwucalową białawą plamę na pniu.

Wrócił 12 kroków do Niny, wyjął rękawiczki i zaczął je wciągać, solennie poprawiając każdy palec, poszła za jego przykładem. Nie rozumiała po co im to, kiedy, między innymi rzeczami, zamówił u niej wczoraj wieczorem profesjonalne czarne rękawiczki do golfa, najcieńsze jakie tylko zdołała „wyczarować”, ale po małym wykładzie przyznała mu rację. Nie zostawia się śladów palców na broni i amunicji, nie zostawia się śladów prochu na dłoniach. Jak też nie używa się markowego czy profesjonalnego sprzętu komandosów czy surwiwalowców, my tu tylko gramy w golfa!

Wyciągnął pistolet, rozładował go, sprawdził i podał jej. Zważyła SIGa w ręku i dokładnie obejrzała.

– To jest jak browning? – zapytała.

– Mniej więcej – który raz zdziwił się przy niej, tysięczny? – Ale nie do końca. Ogólna zasada działania, czy spust i kurek jest podobny jak w browningach, double albo single, ale nie ma żadnych zabezpieczeń zewnętrznych, poza spustem.

– A co to jest? – zapytała o wystającą dźwignię, rzeczywiście podobną do tradycyjnych bezpieczników w pistoletach.

– Zwalniacz kurka.

– Aha, czyli tak... i tak... – dość sprawnie operowała pistoletem, napinając i zwalniając zamek, napinając i zwalniając na różne sposoby kurek, zwalniaczem i samym spustem. Paulowi podobało się, że przy tym bezpiecznie kierowała broń gdzieś w bok, jak zawodowiec. Najwyraźniej jednak miała spore doświadczenie i „pamięć mięśniową” do tego, nawet jeśli jej zdaniem tylko okazyjnie używała broni. I, zapewne po zaprawie ze starym ruskim TT w środku Afryki, wcale nie zaskakiwały ją silniejsze sprężyny i cięższe operowanie zamkiem SIGa .40 S&W, niż jakiejś damskiej dziewczątki.

– To jest zwalnianie magazynka? – potwierdził – Chyba rozumiem... – przyglądała się przyrządom celowniczym, z zainteresowaniem obejrzała podwieszony zestaw latarka–laser – Takich zabawek nigdy nie miałam, Jack miał coś podobnego pod koniec...

– To potem, teraz spróbuj zwykłymi, muszką i szczerbinką, jak kopie i czy ci leży w dłoni – podał jej magazynek i zatyczki do uszu – Na początek masz załadowane 6 zwykłych kulek, to te które „wyczarowałaś” za sofą.

– Aha – pokiwała głową z zapalem – Zatyczek nie

potrzebuję!

– Ja raczej tak... – wetknął miękkie pianki w uszy, Nina wetknęła magazynek w SIGa i przeładowała go.

Przejaśniło się jeszcze bardziej, mżawka była raczej rzadką mgłą, doskonale było widać białawe kółko, korę odlupaną przez Paula.

Nina wymierzyła; oceniał, jak trzyma oburącz spluwę i w ogóle jej postawę. Było nieźle, może nie idealnie, ale skądinąd wiedział, że sam też nie trzyma broni czy strzela „idealnie”, zgodnie z widzimisię różnych guru i instruktorów. Jego zdanie było, że ma być skutecznie i wygodnie strzelcowi, a dopiero potem „idealnie”, przeważnie wystarczyło mu, żeby nie było „bardzo źle” w temacie.

Nina była co najmniej na poziomie półzawodowym, mierzyła mało–wiele, wypaliła, huknęło aż poszło echo po górach, całkiem nieźle opanowała odrzut, kora posypała się jakieś 10cm po przekątnej od „tarczy”. Wymierzyła i strzeliła jeszcze raz, trafiła prawie w to samo miejsce na drzewie.

– Ej, on jest w ogóle ustawiony?? – opuściła spluwę, obejrzała się na Paula.

– O tyle, o ile, nie strzelałem z niego, poza tymi dwoma typkami – Paul wzruszył ramieniem – Dostałem go od zawodowca, ale nie miałem okazji skorygować.

– No to pomyśl o tym... – podrzuciła SIGa do oka i wywaliła szybko trzy razy, opanowywała odrzut pistoletu bez większego problemu. Wszystkie trzy kule trafiły w okolicy „tarczy”, która zrobiła się trochę większa.

Paul tylko westchnął, ciekawe, czy kiedyś przestanie się przy

Ninie dziwić.

– Fajna zabawka! Dokładny, tylko słabo ustawiony – obejrzała SIGa przed sobą, ze wszystkich stron, lufą do góry, pistolet nieco dymił, a może parował w mżawce – Kopie jakby podobnie, ale znacznie fajniejszy niż tamta tetetka. Ale a propos, to jest skuteczne jak tetetka, czy mniej, czy bardziej?

– Powinien być bardziej, to są dużo cięższe pociski, przy podobnej energii. Może przebijalność TT była lepsza, ale skądinąd mam na wszelki wypadek jakieś przeciwpancerne do niego – Nina uniosła brew, Paul wahał się – Na krótkim dystansie, z tym nabojem powinien być trochę lepszy, bardziej morderczy niż stara tetetka, czy jakaś normalna 9mm, dlatego go wziąłem.

– Aha – rozejrzała się, ważąc w rękach SIGa – To teraz może spróbujmy na dystansie nieco dalszym...

Podrzuciła pistolet do oka, mierzyła nieco dłużej, wystrzeliła. Z drzewa ze 30 metrów od nich odpadła gałąź.

– Nina, ty weź mi wytłumacz, ale jakoś prosto, na cholerę ci najemnicy czy ochroniarze!? – Paul rozłożył ręce, na pewno nie trafiłby tak, z praktycznie nieznanego nieustawionego pistoletu, z tak krótką lufą.

Odchyliła SIGa w bok, przysunęła się do niego błyskawicznie i cmoknęła go w brodaty policzek, zanim zdążył zareagować.

– Bo ich lubię! – odsunęła się równie błyskawicznie od Paula, któremu mowę odjęło, na wszelkich możliwych poziomach. Zastanawiała się nad pistoletem – Ile mówiłeś, sześć zwykłych? Zamek nie zostaje w tyle, czy tam coś jeszcze siedzi?

– Zamek zostaje na zaczepie pustego magazynka... – z trudem odzyskał mowę – Masz jeszcze sześć policyjnych, jeden w komorze.

– Mogę je wystrzelać?

– Nie mam za wiele amunicji...

– Okej. Czyli to jest 12+1? – powoli i rozważnie, trzymając pistolet „w bok”, wyjęła magazynek i podała mu. Po czym przerzuciła zamek opróżniając komorę, ledwo udało się jej złapać nabój, w końcu zwolniła zamek i kurek, odpowiednimi dźwiękami – Nic nie pomyliłam?

– Nie, Nina, jesteś w tym bardzo dobra...

– Mhm, jak na cywila... – oddała mu nabój, zastanawiała się nad pustym pistoletem – Czy mi się wydaje, czy nowsze pistolety mają znacznie większe magazynki?

– Tak, ale to jest nieco zmniejszony model i na nieco większy nabój.

– No tak – oderwała się od pistoletu, zrobiła parodię słodkiej minki do Paula, który mało nie parsknął śmiechem. Jej zielone oczy błyszczały radością? Podnieceniem? – Zajrzyj do plecaka i doładuj mi magazynek, chcę jeszcze postrzelać!

W plecaku znalazł dwa dodatkowe pudełka FMJ .40, postrzelali sobie do woli. Pistolet rzeczywiście bił trochę w lewo i górę, Paul stwierdził, że szkoda, że nie ma narzędzi, bo przy okazji ustawiłby przyrządy celownicze.

Teraz Nina załamała się zadziwiona i spytała czy go rozum opuścił, że marudzi, zamiast jej wytłumaczyć jakie mu narzędzia potrzebne, no chyba, że chce mikroskop

elektronowy...

Do końca drugiej paczki naboju wyzerowali przyrządy, łącznie z laserem.

– Nina, powinniśmy już stąd spływać, robimy huk na całą górę, w końcu po nas policyjne śmigłowce przylecą – Paul ładował ostatnie cztery pestki, podał jej magazynek.

– Tak – przeładowała SIGa, parującego na serio, bo deszczyk był coraz bardziej serio a broń gorąca. Nina bawiła się pistoletem z włączonym widzialnym laserem, którego tak naprawdę nie potrzebowała, ale było to bardzo efektowne, szczególnie w mżawce – No to na deser...

Odstrelili cztery gałązki z drzewa głębiej w lesie, jakieś 40 metrów. Sprawdziła i „złożyła” pusty pistolet, oddała mu broń.

– Dzięki, Paul...

– Nie ma za co – zmienił magazynek na pełny przeciwpancernych, zapakował gorącego SIGa do kabury – A mówiłaś, że nie lubisz strzelać.

– Lubię, nie lubię... – pokiwała w zamyśleniu głową. Uśmiechała się delikatnie, miała leciutkie rumieńce, podkreślone przez jej normalnie bladą cerę i ciemne włosy – Powiedzmy, lubię być z tobą, robić coś Z TOBĄ.

– Też cię kocham! – niby rzucił to żartobliwym tonem, zbierając plecaczek i ściągając rękawiczki, ale oboje nagle spoważnieli.

Po czym uśmiechnęli się do siebie i pomaszzerowali dalej.

Trochę się zgubili, musieli wyjść wyżej, na otwartą

przestrzeń, żeby złapać sygnał nawigacji satelitarnej. Nina była znacznie lepsza w operowaniu nowoczesnym telefonem, Paul pracował nad tym, uczył się w wolnych chwilach cały czas, ale jeszcze nie ogarniał szczegółów.

Kiedy znaleźli sygnał, pozycję i drogę, pomaszerowali do klubu golfowego, ale nie tego normalnego, do którego przyjechali taksówką.

Ten, do którego dotarli, był prawie normalny. Wszystko wyglądało zwyczajnie i naprawdę można tu było pograć w golfa, z pięknymi widokami na Fuji (ale nie w tej pogodzie), tyle, że na boku klub prowadził też inne usługi.

Już w bramie przechwycił ich odzwierny, solidny Japończyk, oczywiście w uniformie i rękawiczkach, witając grzecznie acz oschle, w niezłej angielszczyźnie. Poinformował, że jest to klub wyłącznie dla członków, a jeśli się zgubili, wezwie im taksówkę, albo muszą iść o tam, w dół.

Paul odklonił się oszczędnie, i machnął mu przed nosem kartą, którą dawno temu dostał od Akita.

Atmosfera ociepliła się co najmniej o sto stopni, ukłony Japończyka zrobiły się trzy razy głębsze, przeproszał, że nie rozpoznał, mało kto przychodził tu na piechotę. Co dobitnie wskazywało kilka bardzo porządných wozów, na parkingu przed głównym budynkiem. Ale było ogólnie pustawo, co zrozumiałe, przy tak paskudnej pogodzie.

Paul na recepcji omówił z „klonem” odzwiernego ich przybycie, Nina rozglądała się zaciekawiona. Zaprowadzono ich do szatni i przechowalni na zapleczu, wskazano szafkę i obsługa się ulotniła, łącznie ze sprzątaczką, która pracowała przed ich przyjściem.

– Ładnie to macie rozwiązane... – Nina skomentowała, zaglądając przez ramię Paula, który wyciągnął ze schowka, otwartego kartą, dużą torbę z kijami golfowymi, a z niej zafoliowane płaskie pudełko – Cały lokal jest wasz? Nie przeglądają towaru, nie podglądają?

– Raczej nie – w miejsce wyjętej przesyłki włożył kopertę z kasą, rozliczeniem z Akita. Zaczął składać torbę i schowek, pakować plecak – Zdaje się, to jest dziupla weteranów japońskiego wywiadu, dorabiają sobie na boku przechowalnią. Władze ich chyba nie są w stanie ruszyć, a z tego, że robią to od lat i nikt jeszcze nie wysadził budy razem z właścicielami, wnoszę, że są wystarczająco dyskretni...

– Aha.

– Tu jest niezła restauracja, jeśli otwarta, zjadłbym coś i ogrzał się?

– Pewnie!

Restauracja była otwarta, jedzenie smaczne, goście nieliczni w dyskretnym luksusowym klubie. Tylko widok za oknem był słaby: ściana mglistej mżawki, zamiast widoku przez wielką dolinę prosto na Fujiyama; ledwo widzieli ogrodzenie ośrodka.

Zastanawiali się nad kawą i deserem, czy wracać od razu do Kioto, czy przy okazji zawracać głowę znajomym o dodatkowy sprzęt dla Niny. Sprawdzili, że są tylko o jakąś godzinę jazdy od Kliniki Harada, zdecydowali zapytać o możliwości i kontakt z Takao-san.

– Nie chcesz przy okazji spotkać się z Sinną? – spytał, kiedy Nina już dzwoniła.

– Nie, to zbyt ryzykowne... – odparła i zmieniła ton – Cześć, Sinna!... Co? Oj przestań, to ja ci dziękuję za Paula, jesteś najlepsza!... Aha, w pewnym sensie przetestowałam, przetrwał średniej klasy przebiecie, bez najmniejszego uszczerbku!... Cieszę się, że oni też się cieszą... Skąd przebiecie? – nagle zmieniła ton, jej głos stwardniał – Nie chcesz wiedzieć, ktoś mi spieprzył kawałek i jeszcze pokazał faka, z bezpiecznej odległości. Jak się dowiem, który to, urwę mu wszystkie łby, razem ze wszystkimi wątrobami... ale jeszcze nie szukałam... Wiem, wiem... Ale ja teraz nie o tym – wróciła do pogodniejszego tonu – Sin, czy możemy skontaktować się z twoim człowiekiem od sprzętu, który obsługiwał Paula, złupić trochę dodatkowo?... Super, to daj mu znać, za chwilę czy dwie Paul do niego zadzwoni... Dzięki, pa, kochana!

Paul siorbał gorącą kawę z cynamonem i zastanawiał się nad pomysłem, który przyszedł mu nagle do głowy, kiedy wspominał „obsługę” przez Takao-san.

– Nina, pytanie – ostawił delikatną filiżankę – Jak to jest z twoją... reakcją na ostrzał, jak wtedy w Meksyku... Czy to zachodzi od naruszenia twojego ciała, czy od uderzenia, czy jeszcze inaczej?

– O co dokładnie ci chodzi? – zmarszczyła brwi, chowała telefon.

– Pomyślałem, że ja mam na sobie porządną kamizelkę kuloodporną, ty też możesz mieć – wyjaśnił – Ale czy to coś zmieni?

– Aha – przegarniała ciemne włosy, zastanawiała się – Nie mam pojęcia... Nidy nie używałam kamizelek. Jack też nie był ich fanem... może jakby był, pożyłby dłużej – westchnęła.

Zastanawiali się dłuższą chwilę, Paul zaczął sięgać po telefon i wizytówkę Takao.

– Wiesz co?! – nagle Nina rozjaśniła się – Może i warto! Bo przecież parę razy przypieprzono mi bardzo porządnie i nie było udaru rzeczywistości!

– A w jakich okolicznościach?! – pokiwał głową, no właśnie!

– W zbroi!

Dobrze, że nie pił kawy, bo by się opluł.

Takao był powiadomiony, przywitali się ciepło. Japończyk pamiętał dokładnie, co Paul pobrał poprzednio, więc Fraser nie musiał referować szczegółów przez telefon (nigdy nie wiadomo, kto jeszcze słucha...). Półsłówkami omówili, że Paul chce dokładnie ten sam „zestaw ręczny”, z tym samym „załadowaniem” i „opakowaniami”, ale nie potrzebuje elementów „rozrywkowych”. Kamizelkę musiał omówić nieco bardziej jawnie, ale to było mniej ryzykowne. Takao pamiętał który model polecał, miał dwa rozmiary od ręki; Paul przeprosił go na chwilę.

– Ile ty masz wzrostu? – zasłonił dłonią mikrofon, zaskoczył Ninę, spokojnie skupioną na pysznym ciastku.

– 170 – odparła, z widelczykiem zatrzymanym w pół drogi.

– A obwód w biuście? – uśmiechnął się.

– Chyba jakieś 95 – pokręciła głową, głupie chłopcy!

Paul wrócił do rozmowy.

– 170 centymetrów wzrostu, czyli pewnie mniejszy rozmiar?

– Tak, to będzie ten mniejszy, mam od ręki – odparł Takao w

słuchawce.

Ustalili, że stacja kolejowa Gotemba nadaje się na punkt kontaktowy i że Takao może podrzucić tam wszystko o 6 wieczorem, czyli zdążą z powrotem do Kioto. To zresztą nie miało znaczenia, po sezonie hotele były pustawe, mogli przenocować gdziekolwiek.

– Rany, Paul, czemu nie ściągnąłeś go na tamto pole golfowe?? – Ninie pogoda nie przeszkadzała, ale nudziła się, czekali na przystanku autobusowym przy stacji Gotemba, w coraz bardziej paskudnym deszczu i zapadającym zmierzchu.

– Nie zdradza się skrytek niepotrzebnie, nawet przyjaciołom – mruknął, sprawdzając godzinę. Dlatego z klubu pojechali zamówioną taksówką z powrotem do Iwanami i kawałek pociągiem do Gotemba. Stacja i okolica wyglądała nieco inaczej, niż Paul pamiętał; ale może to nie były zmiany rzeczywistości, tylko prozaiczny upływ czasu, minęło tyle lat...

Zauważył czarną toyotę Century, wjeżdżającą na parking obok przystanków i zatok autobusów i minibusów. To musiał być Takao.

– Zdaje się przyjechał, zaczekaj tu może, lepiej niech ci się nie przygląda... – Paul wstał i ruszył na parking.

– Zaufanie to nie jest twoje drugie imię!? – rzuciła za nim, pomachała jej dłonią nad ramieniem.

To był Takao-san, otworzył zdalnie tylne drzwi cesarskiej toyoty, Paul wsiadł do ciepłego suchego wnętrza.

– Dobry wieczór, Paul-sama! – Takao był przyjazny, jak poprzednio.

– Witam, Takao–sama! Dzięki za ekspresowe przybycie i pomoc! – obaj gięli się w ukłonach ponad centralną konsolą wozu.

– Nie ma problemu! – Japończyk nadal się kłaniał, ale nagle obejrzał się gdzieś przez przednią szybę. Paul zdał sobie sprawę, że Nina jest nieźle widoczna, pomimo deszczu, siedziała na przystanku, pod wiatą i słabą lampą, i nikogo, ale to nikogo nie było w promieniu wzroku. Po chwili Takao rzucił nagle – Zrobimy dla nich wszystko...

Zamilkli na bardzo bardzo długo, obaj wpatrywali się w znudzoną kobietę na przystanku, która grzebała w małym plecaku.

Paul pomyślał, że nie wygrał loterii, ale loterię pomnożoną przez loterię, skoro był na pozycji o tyle... wyższej? niż Takao. Bo może kochali je tak samo, ale jednak był znacznie bliżej Niny, niż tamten Sinny... i może Nina odwzajemniała jego uczucia.

A może tylko mu się wydawało i obaj byli dokładnie w tym samym miejscu.

Ocknęli się, Japończyk obrócił się z powrotem do Paula, uśmiechnęli się do siebie kwaśno, porozumiewawczo. Wrócili do biznesu.

– Torba w bagażniku. Ten drugi SIG P229, trzy magazynki, laser, 20 policyjnych i 20 przeciwpancernych, te same kabury – mówił półgłosem Takao – Kamizelka do 175 centymetrów, rozumiem, że to dla niej?

– Tak.

– Jeśli nie pasuje dajcie znać, mam też od ręki takie z

lepszymi regulacjami dla kobiet, w tym rozmiarze, ale nieco gorsze balistycznie.

- Dla Anny i Sinny? – Paul bardziej stwierdził, niż zapytał.
- Tak.
- I zdawały egzamin?
- Nie wiem, jeszcze ich nigdy nie używały.
- Ale masz je...
- ... na wszelki wypadek.

Paul pożegnał się z Takao-san w deszczu i zmroku, parking był słabo oświetlony; lewicę obciągała mu duża sportowa torba, prawą podał po europejsku Japończykowi, który opuścił szybę w drzwiach wozu. Mocno uścisnęli sobie dłonie, bez słowa. Paul pomaszerował do Niny, zaraz minęła go wielka toyota, cichutko mruczająca 12 cylindrami, wypłynęła na ulicę i tyle ją widział.

Złapali pociąg z powrotem do Mishima, gdzie na stacji Tokaido poczekali trochę dłużej, żeby złapać wieczorny shinkansen Hikari, który jakoś wyjątkowo stawał na „małej” stacji i zawiózł ich bezpośrednio do Kioto. W hotelu byli późnym wieczorem.

Nina stwierdziła, że to był bardzo udany dzień.

18

– Dzisiaj nic z tego, właśnie odjeżdżają – Paul opuścił

lornetkę, obejrzał się na Ninę, która robiła kawę na kuchence.

– Rany, ile jeszcze... – burknęła w odpowiedzi, przyniosła mu kubek i usiadła obok niego, na sąsiednim krześle, przed oknem wychodzącym na słynną dzielnicę Tobita. Popijali kawkę i przyglądali się z wyciemnionego pokoju rozrywkowemu kwartałowi Osaki, coś koło 150 burdeli na kupie, mieli bardzo ładny widok z ósmego piętra wieżowca, górującego na starą Tobita Shinchi.

Wielki mercedes bossa Matsudaira właśnie ruszył z końca Głównej, jednej z trzech głównych ulic kwartału, odpłynął wolno, przeciskając się może nie aż przez tłum, ale przez sporą liczbę klientów, pijaczków, turystów kręcących się wieczorem po wąskich ulicach dzielnicy czerwonych latarni (a raczej: białych lampionów). Noc była względnie ciepła i miła, a nie mokra i paskudna, jesienna pogoda bardzo się poprawiła.

Wszystko to były, rzecz jasna, „tradycyjne japońskie restauracje”, po wejściu prawa przeciwko prostytutce 1 kwietnia 1958 dzielnica Tobita poczuła ducha Prima Aprilis: wszystkie burdele zamknęły się na jedną noc, a następnego dnia otwały się jako ryoutei, tradycyjne japońskie restauracje. I nawet można było w nich dostać jakąś herbatę i przekąskę, poza ofertą zaspokajającą zupełnie inne potrzeby klientów.

Hisashi Matsudaira był wtedy szeregowym mafiozo, od tego czasu jego status, wpływy, biznesy wzrosły stukrotnie. Miał pojęcie o robocie w fabryce zwanej „yakuza”, no i dużo szczęścia; Nina twierdziła, że dzięki „kamieniowi”. Obecnie pół Tobita siedziało w jego kieszeni, trzy czwarte obrotów rzędu pół miliarda dolarów rocznie dawał mu handel żywym towarem w skali Japonii, Tajwanu, Korei i okolic, resztę przynosiły narkotyki. Na samych legalnych przedsięwzięciach

mógłby wyciągnąć bardzo przyzwoitą emeryturę i odpuścić sobie yakuzę, ale z tego, co mówiło dossier od Akita i co zaobserwowali, najwyraźniej nieduży żwawy starzec lubił swoje zajęcie. I najokrutniejszą przemoc.

Po dokładnym zapoznaniu się z dossier oboje nie mieli najmniejszych skrupułów, żeby Matsudaira rozwalić w drzazgi, byłaby to przysługa dla Japonii i świata. Ale mieli odzyskać jego kamień, i rzeczywiście, tak jak mówił Akita, boss był bardzo dobrze chroniony i trudny do ruszenia.

Jego rezydencja pod Osaka była twierdzą, biura w praktyce też, normalnie poruszał się dwoma lekko opancerzonymi mercedesami, jego i obstawy. Niby można go było bez większego problemu odstrzelić, mogli pożyczyć od Takao półcalowego barretta, ale niewiele by im to dało w temacie broszy–kamienia.

Po tygodniu rozglądania się i przyglądania ruchom mafioza, Paul uznał, że najlepszym miejscem zamachu i rozboju jest dzielnica Tobita. Matsudaira bywał tu często, zjeżdżał tylko jednym mercedesem, z mniej niż połową obstawy, był nieco wyluzowany i „u siebie”.

Ale kręciło się tu mnóstwo ludzi, gangsterów i zwykłych ochroniarzy też, plus lokal–biuro w którym urzędował i zabawiał się Hisashi Matsudaira, miał stały posterunek yakuzy, w górnym pokoju dwupiętrowego budynku, u zbiegu dwu uliczek w skrzyżowanie T – Paul postawiłby dolary przeciwko jenom, że są tam dobrze wyposażeni w broń, i tak dalej.

Kiedy okazało się, że czasem mafiozo zostaje w Tobita do rana albo prawie do rana, Fraser zaczął planować na serio, bo akcja nad ranem, przy nieco opustoszałej dzielnicy (nieco, bo Tobita nie zasypiała) i rozluźnionej obstawie dawała lepsze

szanse, nie tylko zamachu, ale i ucieczki.

Ale mieli pecha – kiedy pierwszy raz Matsudaira praktycznie nocował w Tobita, nie byli gotowi. Parę dni później, kiedy już wydawało się, że ruszą, w środku nocy zaczęło się jakieś mordobicie i wielka awantura, ze trzy lokale od celu, pokazało się nagle wkoło dużo ochroniarzy i trochę młodych ludzi w ciemnych okularach i trzymających ręce pod połami modnych marynarek, i nawet dojechała w końcu policja.

Mogli obserwować może nie aż współpracę policji i yakuzy, ale jak wygląda liberalne podejście władz Osaki do zagadnienia „Tobita”. Awanturujący się ludzie zostali jeszcze przed przyjazdem policji porządnie skuci, zarówno w sensie kajdanek, jak i po ryjach, a policja pokazała się od razu z minibusem „więźniarką”, musiała być uprzedzona – yakuza i ochrona poszła sobie, policja udawała, że się rozgląda, ale głównie zapakowała i wywiozła kupkę nieszczęśników.

Po takiej akcji nie mogli ruszyć od razu, a kiedy tylko się uspokoiło, Matsudaira odjechał.

Nina zaczynała się niecierpliwić, jej nastrój zmieniał się, stawała się oschła; często nieobecna myślami. Przekonywała Paula, żeby odstrzelić bossa z daleka, albo rozwalić jego wóz odpowiednią bombą, i nawet jeśli nie dopadną kamienia, to łatwiej będzie odebrać go następcy czy spadkobiercom, niż cwanemu okrutnemu dziadkowi.

Paul argumentował, że niekoniecznie łatwiej, bo jeśli spadkobiercy, czy policja, czy ktokolwiek, włoży cenny talizman do sejfu czy depozytu, to oni zobaczą go znowu dopiero kiedy Nina użyje magii, a tego przecież nie chcieli. A było pewne, że Hisashi Matsudaira kamień nosi, był to znany fakt i plotka–ciekawostka, w dossier były zdjęcia, z

charakterystyczną wypukłością pod koszulą, wystarczyło go obezwładnić i odebrać wisior.

Ale dziś znowu odjechał przed północą, siedzieli jak dupki, w pustawym mieszkaniu japońskiego wieżowca, udając, że ich tu nie ma. Bo największym ich wrogiem w tym momencie nie była yakuza, ale ciekawscy sąsiedzi.

Paul był zmęczony.

Nie tylko zmęczony ryzykownym planowaniem i akcją, to akurat było prawie normalne, ale też ciągłymi zadziwieniami i zaskoczeniami. Okazało się, że jego „rozrywkowe” życie w okresach kiedy robił za najemnika czy ochronę, nawet jeśli pełne ryzyka i adrenaliny, było tak naprawdę łatwe, w porównaniu z obecnym okresem. Który przypominał najtrudniejsze zadania z poprzedniego życia, ale dodatkowo na wielkim polu minowym zmiennego świata czy światów, o nieznanym regułach i zagrożeniach. I jeszcze pomnożone przez próby zapamiętania i zrozumienia setek nowych faktów i drobiazgów, jakby znowu był w szkole. A humory Niny nie pomagały, kiedy stawiała się niecierpliwa czy oschła, czy „odsuwała się” od niego mentalnie, było mu znacznie ciężiej.

– No dobra Nina, do trzech razy sztuka – Paul dopił kawę – Jeśli w ciągu paru dni nie dopadniemy go tutaj, zmienimy plany na „spuszczamy na niego atomówkę i zobaczymy co dalej”.

– Mhm – oparła głowę o jego ramię – Skończmy to.

Następnego wieczora zaczęło wyglądać, że będzie się działo.

Pogoda załamała się po południu, przyszedł deszcz, który

spłukał z Tobita klientów i turystów, ruch był niewielki. Znowu przyjechał Hisashi Matsudaira. Koło północy nieco się przejaśniło oraz wydawało się, że boss zostanie do rana; jeśli nie odjeżdżał przed północą, to zostawał minimum do 4–5 rano, pewnie był zajęty i pewnie lepiej było nie wiedzieć czym, znając jego sadystyczne skłonności.

O drugiej nad ranem zebrali i sprawdzili sprzęt, przebrali się w ciemne ciuchy a la ninja. Sprawdzili, czy nic nie zostało w mieszkaniu, które niby wynajęli od nieobecnych właścicieli (a przynajmniej tak Nina wmówiła paru sąsiadom; tak naprawdę włamali się).

Wymknęli się schodami ewakuacyjnymi, większość rzeczy mieli w samochodzie; przestawili go na upatrzone miejsce, na ulicy nieco ponad Tobita, z dobrym wyjściem z miejsca akcji. Wóz stał nielegalnie, nieco blokując poprzeczną uliczkę; mieli nadzieję, że nie napatoczy się tu jakiś patrol policji czy wkurzony mieszkaniec, w środku nocnej mżawki.

Nina wrzuciła na siebie, na czarno–szare sportowe ciuchy, obszerną kolorową sukienkę.

– Gotowa?

– Pewnie. A ty?

– Dla ciebie, zawsze – uśmiechnął się w półmroku, poszli do Tobita.

Przekradł się w kucki i ustawił pierwszą minę kierunkową na dole schodków, prowadzących na ulicę, gdzie był ich samochód. Wrócił na górę, przecisnął się w krzaki na skraju małej skarpy od strony dzielnicy burdeli, dał znak Ninie.

Zeszła na dół po tych samych schodkach, jawnie, udając pijaną, asekurował ją z góry z SIGiem w dłoni. Surfował na wznoszącej się fali adrenaliny, miał w tym spore doświadczenie.

Na oko Paula, co najmniej czterech ludzi przyglądało się jej uważnie – dwu przy mercedesie, ktoś wyrzwał z otwartych drzwi, coś drgnęło w ciemnym oknie, gdzie był posterunek yakuzy.

Poszła chwiejnie wzdłuż skarpy, opierając się o murek, coś tam mamrotała, zgięło ją, jakby miała rzygać. Była względnie daleko od merola i obstawy, najdalej, na ile pozwalała wąska uliczka; szła w poprzecznym kierunku, nikt do niej nie podszedł, wszyscy ją uważnie obserwowali.

Kiedy udawała, że będzie wymiotować, ustawiła drugą minę kierunkową, na tył merola i drzwi lokalu.

Jakby się jej poprawiło, zataczając się poszła dalej za róg, na sąsiednią uliczkę, w stronę parkingów. Wszyscy odprowadzili ją wzrokiem, ktoś coś powiedział, ktoś cicho się zaśmiał, nikt się zbytnio nie ruszał. Z niektórych lokali dochodziły głosy czy muzyka, Tobita nie zasypiała, ale było względnie cicho i pusto.

Dobrze.

Jedyne, co wcześniej martwiło Paula, to czy przypadkiem ktoś tu nie ma termowizora (bo on na przykład, przy takim stałym posterunku ochrony, pewnie by jakiś miał) i czy będą w stanie zacząć się z Niną, w tych krzaczkach, aż do momentu kiedy boss wyjdzie do wozu.

Ale skoro tu siedział i nikt go nie próbował z tych krzaków wyciągnąć, czy zejść od tyłu, to znaczyło, że go nie widzą.

Warto było zepsuć tę jedną latarnię.

Po paru minutach Nina zaszła go od tyłu jak duch, mało nie dostał zawału. Ruszała się jak kot, uważała na krzaki; jak zwykle nie miała żadnej zadyszki, pomimo obiegnięcia pół kwartału, po wyjściu na parkingi i zrzuceniu sukienki.

Pokazali sobie wystawione kciuki, cichutko sprawdzili pistolety i sprzęt, pozostało czekać.

Zaraz przed czwartą, kiedy Paul już porządnie przemarzł i zdrętwiał w jesiennej nocnej mgle, zaczął się ruch koło lokalu i mercedesa. Popatrzyli na siebie z Niną, skinęli sobie głowami, bardzo chciał ją pocałować. Zamiast tego zaczął ćwiczenia izometryczne, żeby trochę się rozgrzać i przygotować przed akcją.

Ochrona wyprowadzała Matsudaira z budynku.

Wycelowali w staruszkę, Nina była pierwszym strzelcem, była w tym lepsza niż Paul, w pierwszym uderzeniu on asekurował.

Nie dawali sobie znaków, nie było odliczania, Nina wypaliła do dziadygi trzy razy, bardzo szybko.

Zanim echo pierwszego strzału przebrzmiało, Paul zdalnie odpalił minę kierunkową na mercedesa, huknęło jak diabli i zdmuchnęło dwu mafiozów przy wozie i jednego przy drzwiach. Przy jej trzecim strzale włączył leżący obok niego jammer, w promieniu kilkuset metrów powinny zostać zagłuszone wszelkie telefony i cywilne pasma łączności.

Zaskoczeni bandyci zachowywali się jak amatorzy, a nawet jak muchy w smole. Hisashi Matsudaira padł, Paul strzelił dwa

razy do ostatniego całego gangstera, zamarłego nad bossem.

Nina przeniosła ogień na okna posterunku yakuzy, nie były pancerne, leciało tam szkło. Zgodnie z planem waliła nie za często, miała utrzymać ludzi z daleka od okien.

Paul ruszył i zsunął się w dół skarpy, dostrzegł dwu facetów poranionych „śrutem” miny kierunkowej, którzy próbowali się wolno pozbierać przy merolu. Z tak bliska przeciwpancerne pociski .40 od Takao przechodziły przez nich na wylot, koziołkując wyrywały pecyny mięsa.

Nina nadal waliła ponad nim, nieco rzadziej. W całej dzielnicy zrywały się krzyki i zaczynały się ruszać okiennice, drzwi.

Biegnąc parę kroków do grupki Matsudairy rzucił flashbanga na górę, przez wystrzelane okno, błysnęło i rąbnęło bardzo porządnie. Ktoś tam ruszył się w dymie, Nina zastrzeliła kogoś.

Kiedy przyskoczył do charczącego bossa i jego dwu przybocznych, z których jeden się podnosił, z drzwi lokalu wypadła dziewczyna w stroju japońskiej uczennicy. Wybiegła jak w zwolnionym tempie, Paul opuścił pistolet.

Dziewczyna miała w dłoni spluwę, chowała ją za swoim bokiem, zaczęła unosić broń. Zanim Paul zareagował, Nina strzeliła i młoda kobieta padła jak ścięta, trafiona w oko, nie zdążyła wystrzelić.

Paul strzelił dwa razy do podnoszącego się przybocznego, bandzior wyjąc zwinął się w kłębek. Fraser rozejrzał się wkoło i rzucił świecę dymną wгłęb ulicy, Nina przestała strzelać, pewnie zmieniała magazynek.

Dopadł do bossa, który rzucał się jak ryba wyrzucona z wody, Matsudaira pluł krwią, dostał od Niny trzy razy w klatkę, ścisnął w dłoni wisior na piersi.

Kiedy Paul przyklęknął i sięgnął, żeby wyrwać mu kamień, czas jakby się zatrzymał. Widział w półmroku jesiennej nocy tylko dwie ciemne studnie pustych oczu Hisashi Matsudaira, śmierdziało prochem i śmiercią.

Ocknął się, Nina obok niego wywaląca pół magazynka w łeb bossa, niewiele zostało z głowy, cała dzielnica krzyczała. Na ulicy, zadymionej przez świecę syczącą niczym wściekła żmija, zaczęli pojawiać się jacyś ludzie, inni ostrożnie wyglądali z okien.

Wyrwał jadeitowy wisior z martwej dłoni, zerwał łańcuszek.

– Masz?! – rzuciła Nina, oburącz błyskawicznie celując SIGiem w drzwi, w okna na górze, ale nikogo nie było widać. Przyboczny obok nich znieruchomiał, dziewczyna leżąca w drzwiach w agonii kopała chodnik, postukiwały jej buciki.

– Mam! – poderwał się.

Poszła po nich seria z peemu.

Paul oberwał w łopatkę, obróciło go, Nina dostała dwie kule w plecy, rzuciło ją na twarz.

Obracając się i tracąc równowagę, zdążył wypalić cztery razy zanim upadł, trzy razy trafił małego gówniarza w błyszczącym garniturze, z MP5 czy podobnym pistoletem maszynowym, który wyskoczył z budynku za ich plecami. Młody nie miał kamizelki kuloodpornej, dwa wolframowe rdzenie poszatkowały mu płuca, a na przeciwpancerne pociski w policzek żadna kamizelka nie pomoże. Gangster z łoskotem

poleciał z drzwi w tył, w ciemne wnętrze, upuścił peem.

– A to mały skurwiel! – warknęła Nina, obejrzał się, leżeli obok siebie na plecach, obok kupki trupów, też celowała w drzwi, z których wypadła niewczesna młodociana odsiecz.

– Okej?! – rzucił, podrywając się, łopatką bolała, ale umiarkowanie. Sprawdził czy może ruszać ramieniem, pomyślał, że ich kamizelki były warte każdego dolara. Podniósł i schował talizman, znowu rozejrzał się w koło, ulicę wypełniał gęsty biały dym, świeca od Takao była profesjonalna; kątem oka widział, że Nina też się podrywa.

– Okej!

– Spieprzamy! – wypalił dwa razy ponad ulicą, gdzieś w ścianę lokalu, krzyki jeszcze się wzmogły, ciekawscy i ochrona nieco się pochowali.

Ruszył do schodków, zmieniając magazynek, Nina poczekała chwilę, też wypaliła dwa razy wzdłuż ulicy i pobiegła za nim, świetna dziewczyna. Po drodze zwinął drugą minę kierunkową, nie była potrzebna. Na górze wyrwał spod krzaczków jammer, w biegu obejrzał się, czy nikt ich nie goni.

Dopadli samochodu, po czym wolno i ostrożnie pojechali do mariny, na północy portu Osaka.

19

Szyper ich łodzi nazywał się Furuya i nie był idiotą, potrafił dodawać dwa do dwustu, a dokładniej: dwoje gaijinów, którzy zamówili czarter i postojowe za gotówkę a potem odpłynęli z Osaki nad ranem, do dwustu sensacyjnych doniesień o bitwie

w Tobita Shinchu i zamachu na Hisashi Matsudaira, o tej samej porze.

Mieli go cały czas na oku, ale okazało się, że nie przepada za yakuzą; już przed południem twardy postarzały wilk morski przemógł się i szczerze porozmawiał z pasażerami, wyrzucił z siebie, że tak czy owak, jest po ich stronie i nie boi się śmierci, nawet jeśli mają zamiar go na końcu zabić.

Zaimponował im. Bardzo pomagało, że Nina dobrze mówiła po japońsku, pewnie Paul tak łatwo by się nie dogadał, choć szyper po angielsku mówił porządnie. A jeszcze bardziej pomagało, że wystarczyło żeby podali sobie ręce i Nina już wiedziała, że chudy, wysoki jak na Japończyka Furuya-san, który wyglądał jakby mu wszystkie kruczoczarne włosy emigrowały z tysego czerepu na brodę, mówi szczerą prawdę i że z jakichś powodów nienawidzi yakuzy z całego serca.

Przekonali go, że nie dybią na jego życie i obiecali mu dopłatę do normalnej ceny – dał im duży upust na początku, po sezonie. Jego 40 stopowa łódź była wygodna i zadbana, ale postarzała zupełnie jak właściciel, nie mogła konkurować z dwa razy młodszymi i znacznie bardziej luksusowymi łajbami, stojącymi obok. Choć z drugiej strony, wielkiej konkurencji i chętnych na pływanie Osaka – Tokio nie było, pierwszy szyper którego zaczęli, odmówił. Nina musiała troszkę wyczyścić mu pamięć.

Ustalili razem z Furuya-san jakąś w miarę spójną wersję zeznań, na wszelki wypadek, kiedy i gdzie wsiedli na jego łódź: w Hiroszimie, potem zwiedzali Seto, tak zwane Morze Wewnętrzne. O tej porze roku było to dosyć głupie alibi, bo nikt normalny tysiąca wysp i zatok nie zwiedzał jesienią czy zimą, ale kto im zabroni. Po sezonie było tanio! I łódź

naprawdę tam pływała niedawno.

Wykapali się w mini-lazience, przebrali w dresy i koszulki, bo wewnątrz łodzi było względnie ciepło; zostali w centralnej kabinie. Na zewnątrz pogoda była słaba, padało, było 100% zachmurzenia i trochę wiało, dobrze, że morze było niezbyt wzburzone. Szyper sterował na górze, dwa diesle mruczały, płynęły do Tokio bez pośpiechu. Paulowi oczy kleiły się ze zmęczenia, adrenalina opadała.

– Zadowolona? – kamienny talizman leżał na dnie walizki, zastanawiał się, co Nina z nim robi.

– Tak, Paul, jesteś świetny – siedziała na boku wygodnej sofy w kształcie U, on zajął kąt.

– Bez przesady, z tobą to wszystko jest łatwe – ziewnął – Znasz język, masz górę szmalu, strzelasz jak zawodowiec, potrafisz wmówić każdemu cokolwiek... Ja tu jestem piątym kołem u wozu.

– Nie, Paul – uśmiechnęła się, oparła policzek na dłoni – Bez ciebie nic by nie zaszło...

– Mhm – przeciągnął plecy, rozciągnął bark (na łopatkę miał zaskakująco niedużego siniaka) – Z jeszcze innej strony, niby legendarna uber-yakuza, a tak naprawdę dali się rozwalić jak dzieci...

Roześmiała się.

– Ty nie zauważyłeś?? – rzuciła, ciągle się śmiejąc.

– Czego?! – nie rozumiał.

– Że to nie oni byli słabi i wolni, ale ty znacznie szybszy i sprawniejszy?

– Eee... – zrobiło mu się głupio, próbował przypomnieć sobie szczegóły. Może faktycznie, nie tyle niektórzy ruszali się zaskakująco wolno i niezgrabnie, co jego percepcja była wyostrzona... Nagle uderzyło go wspomnienie, kiedy strzelał do szczyła z pistoletem maszynowym, padając w półobrocie na plecy wystrzelił cztery razy. To rzeczywiście było jakby o wiele za szybko – Pewnie masz rację...

– Mówiłam ci, będzie wyostrenie i przyspieszenie zmysłów, motoryki.

– Tak...

Siedzieli długą chwilę w milczeniu.

– Jeśli mogę zapytać: co to było, kiedy próbowałem odebrać mu kamień? – Paul masował zmęczone oczy. Wspomnił pustkę w żrenicach umierającego Matsudaira, pustkę która wsysała i która zatrzymała czas; może wsysała i zatrzymała tylko Paula, ale jednak...

– Jakby to wytłumaczyć... – Nina w zamyśleniu oparła głowę na dłoni, drobnymi ruchami przeczesywała włosy – Klątwa? Zaklęcie? Zaklął się, żeby w momencie jego śmierci każdy, kogo będzie widział, też umarł. A przynajmniej taki był plan. Czy może obietnica, bo sam się tak nie zaklął, ktoś mu w tym pomógł, może mu to obiecał.

– Taka „zemsta znad grobu”? To jakaś mistyka...

– Owszem, to jest bardzo głupi pomysł i nie działa, raczej byś od tego nie umarł – Nina uśmiechnęła się ponuro – To znaczy, nawet nieskraftowany i nieskrystalizowany, tylko odchorowałbyś ciężko. Ale zamroziłoby cię na znacznie dłużej, pewnie byś zemdłał, może jakaś śpiączka... W tych okolicznościach, to byłby wyrok śmierci, nieprawdaż?

– Aha – Paul znowu ziewnął.

– Gdybym mu nie rozwalila łba razem z mózgiem, którego gasnąca aktywność wyzwalała... klątwę, w twoim ulepszonym stanie pewnie ocknąłbyś się po minutach, tylko z migreną czy kacem gigantem – ciągnęła – Ale i tak za późno, w takiej akcji... Więc może ogólnie takie zaklęcia to bajki i obiecanki–cacanki, ale w szczególe, faktycznie mogą „uziemić” napastników wkoło celu na wystarczająco długo, żeby gorzko pożałowali...

– Jasne – Paul przytakiwał w zamyśleniu – To jest powszechne... w twoim świecie? Mam na takie zaklęcia uważać, brać to pod uwagę przy każdym celu?

– Nie – odparła, wolno kręcąc głową – To ekstremalna egzotyka i tylko parę... osób potrafi skonstruować takie zaklęcie, i „zawiesić” je na człowieku. Do głowy mi nie przyszło, że takie coś możemy spotkać. Muszę się zastanowić, skąd i jak on to dostał, czy sobie załatwił.

Przeciągnęła się, rozciągnęła szeroko ramiona, była taka śliczna.

– I skądinąd to było „w twoim świecie”, w moim takie drobiazgi działają inaczej – skrzywiła się – Nasze klątwy są znacznie bardziej skuteczne... A czy ja mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście... – zdziwił się, nieczęsto szczerze pytała go o pozwolenie.

– Dlaczego prawie dałeś się zabić tej dziwce z pistoletem? – spokojnie patrzyła mu w oczy.

Zmarszczył brwi, zastanawiał się długą chwilę.

– Dobrze pytanie... – westchnął, rozmyślając, że to nie

pierwszy raz. Wspomniał parę innych akcji, kiedy zawahał się, tę dziewczynę, a raczej dziewczynkę u Tuaregów, z UZI, czy starszkę–zamachowca w Nowym Jorku. Ba, przecież nawet Ruby, wymachująca mu bezkarnie pistoletem przed nosem, liczyła się to tej kategorii – Mam pewien... problem, z rozwalaniem kobiet czy dzieci. Za miękki jestem.

Uniosła brew.

– To znaczy, w końcu działałam... – ciągnął coraz ciszej – Ale czasem się waham, albo...

Zapadła długa cisza.

– Skoro nadal żyjesz, to znaczy, że nie jesteś zbyt miękki – równie cicho odpowiedziała Nina – Ale nie podejmuję się pouczać cię co do etyki, czy robić ci psychoterapię...

Nagle diesle zaczęły zwalniać obroty, podnieśli głowy, jakieś kłopoty?

Ale okazało się, że to tylko szyper musi do toalety, była tylko jedna i zaraz przy saloniku, giął się w ukłonach i stukrotnie przeproszał.

– Nie przejmuj się, Furuya–san! – pogodnie rzuciła Nina i zażartowała – Mamy przejąć stery?!

– Jeśli możecie! – stary szyper zdecydowanie kiwał łysą głową i zamknął się w kiblu.

Kiedy w końcu wrócił na górny pokład, natychmiast uciekli na dół do kabiny, pogoda była przykra. Paul znowu zmókł, ściągnął mokrą bluzę i rzucił na grzejnik, Nina nalała im obojgu herbaty z termosu, znowu rozsiedli się na U–sofie.

– Mam jeszcze tyle pytań... – Paul popijał gorącą pachnącą herbatę i ziewał – Ale chyba nie wytrzymam, muszę się zdrzemnąć.

– Aha – Nina zamyśliła się.

Kiedy dopił kubek herbaty i miał zamiar ją przeprosić i iść do łóżka w kabinie–sypialni na dziobie, nagle wstała, zebrała naczynia i wrzuciła do mini–zlewu, i zgasiła światło. Palila się tylko lampka nad kuchenką i oświetlenie przy progach drzwi do przedniej i tylnej kabiny, trochę popołudniowego światła wpadało przez zamglone okienko za sofą. Widział jej bladą twarz i jasną koszulkę, ale niewiele ponadto.

Zbystrzał, wyprostował się, serce mu zabiło żywiej, co ona wyprawia, na co tu się zanosi, dostał znowu strzał adrenaliny, nie był w formie...

Ciemna postać przysunęła się szybko do niego, Nina usiadła mu na kolanach, wtuliła się w niego.

Myślał, że serce wyskoczy mu z piersi, od jej ciała i kwiatowego zapachu kręciło mu się w głowie. Objął ją, chciał ją mocno, bardzo mocno przytulić, ale zdołał tylko delikatnie, jak najdelikatniejszą porcelanę.

Oparł twarz o jej czarne włosy, też go objęła, zamarli w półmroku, tylko dwa serca dudniły.

Ocknął się, nie wiedział gdzie jest i jak długo spał, poderwał się. Nina uspokajająco gładziła go po głowie, jego policzek leżał na jej udzie.

Zrobiło mu się okropnie, straszliwie głupio, jak mógł zasnąć z ukochaną w ramionach!

Leżał na sofie, w saloniku łodzi, niewygodnie, ścierpnięty, chyba to nie była chwila czy dwie. Bezsenna Nina siedziała, trzymając jego głowę na kolanach, nadal gładziła go po włosach.

– Przepraszam... – wyszeptał, ale jeszcze nie wstawał, zamknął oczy, mógł tak zostać na zawsze, na jej udzie, z jej dłonią we włosach.

Poczuł, że pochyliła się nad nim.

– Nie przepraszaj, Paul – szeptała – To ja przepraszam... zmęczyłam cię dodatkowo. Dobrze, że zasnąłeś.

Pocałowała go w skronie.

Obrócił się na plecy, spojrzał na nią z dołu, ale widział tylko cień jej włosów ocieniających twarz, zarys biustu, było za ciemno. Musiało być późno, w oknie za sofą nie było żadnego światła.

Zdał sobie sprawę, że pomruki z rufy, to nie diesle, ale czyjeś pochrapywanie, zza cienkiej ścianki i drzwi tylnej kabiny.

Poderwał się zdziwiony, usiadł koło niej.

– Stoimy?!

– Tak, zgodnie z planem – uśmiechała się, widział ją lepiej, bo wyżej było trochę światła od lampki nad kuchenką.

– Pół dnia przespałem??

– Mniej więcej.

Przetarł oczy. Miał wrażenie, że tylko śniło mu się, że miał ją w ramionach, to była jakaś niewysłowna tajemnica.

– Chcesz coś zjeść? – zapaliła światło, uśmiechała się ciepło.

– Chyba tak... – tajemnice rozwijały się w świetle jarzeniówek; ona była przepiękna i w znacznie lepszym nastroju niż wczoraj czy przedwczoraj, on piekielnie głodny.

Rozmawiali leniwie pół nocy, drugie pół Paul jeszcze dodatkowo odsypiał obie akcje bojowe, „rozwał yakuzę” i „przytul boginię”.

Wstali o siódmej rano, to znaczy on i szyper, Nina przesiedziała noc w saloniku.

Furuya-san był doświadczony i obowiązkowy, zebrał się błyskawicznie, zjadł jakieś śniadanie w swojej tylnej kabinie (Paul później zajrzał tam z ciekawości, stary zainstalował lodóweczkę, mikro-kuchenkę i zlew, zamiast drugiego łóżka; jedyne czego mu brakowało, to łazienki). Zaraz poleciał na górę, oporządzać łódź i załatwiać sprawy.

Oni nie spieszyli się, zajęli się toaletą, przebrali się, zjedli spokojnie śniadanie. Słyszeli jakieś pompy i stukania, dochodził różne odgłosy budzącej się maryny Omaezakiko, gdzie stanęli na noc, mniej więcej w połowie drogi.

Zatrzymali się głównie dlatego, że szyper musiał spać, zresztą pływanie 40 stopową łupinką, nocą, na zatłoczonych wodach wzdłuż Japonii, było proszeniem się o katastrofę.

Przekomarzali się, czy i jak potrafili sterować czy pływać różnymi łajbami, odkładając na bok temat jakichkolwiek uprawnień.

– ... ale co ty wiesz o sterowaniu, każdy potrafi kręcić kółkiem, kto nie pływał na żaglach, ten kierowca, a nie marynarz! – Nina wołała nad tosterem, podnosząc swoje

przewagi żeglarskie, to nic, że sprzed dwu czy trzech wieków.

– Czyli im gorszy sprzęt, tym lepszy marynarz?! – Paul drwił i zapychał się tostami – To może ci od dłubanek i kanoe powinni admirałami być, lotniskowcami dowodzić! Liczy się jak dużym, na jak trudnych wodach, w jakich warunkach, i na końcu, może, może, jak trudnym statkiem!

– Taa, i zaraz okaże się, że pływałeś większymi, na trudniejszych wodach, w większych sztormach niż ja? – śmiała się, robiąc więcej kawy.

– Pewnie! – też śmiał się – Nie po to ustalam reguły gry, żeby w nią przegrać!

Było im dobrze razem.

– Ogólnie lubię takie łódki, i większe, i pływanie – Paul spoważniał, rozsiedli się z drugą kawą – Mieszkałem sporo na statkach i okrętach w czasach służby, potem parę razy używaliśmy jakichś statków jako baz, najlepiej na otwartym morzu.

– Jak pod Madrasem? Jak ta znajoma się nazywa? – przypomniała sobie jego rozmowę telefoniczną w Kioto.

– Tak, tak jak wtedy z Ruby – kawa była niezła, miło pachnąca; łódź była zaskakująco dobrze zaopatrzona – Bardziej serio mówiąc, tylko bawiłem się w nawigację czy sterowanie takimi dziesięcioletnimi typami „kapec”, jeśli mi kapitan pozwolił. Oczywiście, na pustym otwartym morzu, najwyżej przy średniej pogodzie...

– Ja podobnie, też gry i zabawy a nie na serio, tylko znacznie dawniej – odparła – Ostatni raz czymś większym, to przed drugą wojną... W XIX wieku częściej, jakieś szkunery,

parowce. Nie dość, że dla zabawy, to nic już nie pamiętam i nie umiem.

– Aha, tak jak ze strzelaniem? – zapytał z uśmiechem.

– No nie, serio – pokręciła głową – Nic nie umiem i nie pamiętam. Ale może kiedyś nauczymy się i sprawimy sobie taką łajbę? – rozejrzała się wkoło.

– To ma sens – zastanowił się głęboko – Ale większą, lepiej wyposażoną... Fajny pomysł! Ale to już zależy, jakie masz plany...

– Tak.

Kiedy Paul kończył sprzątanie po śniadaniu, a Nina słuchała radia i przeglądała wiadomości (nadal byli z zamachem na Matsudaira na pierwszym miejscu serwisu, przed katastrofą samolotu na około dwieście trupów i zamachem stanu w Iraku), do saloniku zajrzał szyper i grzecznie zapytał, czy może odpływać.

Przez otwarte drzwi schodni wpadła za nim kakofonia hałasów mariny, krzyków mew, odgłosów jakiegoś przemysłu. I sto zapachów morza i nabrzeża.

– Oczywiście, Furuya-san, cała naprzód! – śmiała się Nina – A w ogóle to jaka jest pogoda?

– Znacznie lepsza! – odstrzelił szyper i zniknął na górze.

Złapali bluzy i z niedowierzaniem wyszli na górny pokład – było chłodno, rześko i słonecznie, wspaniała japońska jesień na cyplu na skraju oceanu.

W Tokio zatrzymali się dyskretnie, a może nawet schowali się, żeby sprawdzić, czy nie są poszukiwani i jak wygląda sytuacja.

Szyper, z którym jakoś szybko zbliżyli się, może pod urokiem Niny a może zupełnie normalnie, deklarował, że może ich wyrzucić na brzeg zupełnie nielegalnie, w dowolnym zdatnym miejscu, ale grzecznie podziękowali. Ich najlepszą przykrywką była normalność a nie: rzucanie się w oczy jakiegokolwiek policji wodnej, czy byle śmigłowcowi w Zatoce Tokijskiej. 40 stopowa biała łódka przy „dzikim” brzegu, czy nabrzeżach komercyjnych portu Tokio, rzucałaby się w oczy jak wykrzyknik, szczególnie poza sezonem, i mogła przynieść niepotrzebne pytania.

Dlatego dopłynęli zgodnie z planem, powolutku, drugiego dnia wieczorem, do mariny Yumenoshima. Furuya-san pożegnał się wylewnie i polecał na przyszłość; ale nie w ciągu najbliższych tygodni, bo za premię, którą mu wrzucili, planował zrobić w Tokio duży przegląd silników i łodzi.

Mieli znajome miejsca czy hotele w metropolii, Paul od Shinjuku po Shibuya, Nina w centrum, ale ustalili, że przemkną się gdzieś blisko i przyczają. Padło na hotelik w Shin-kiba, spodobała im się lokalizacja, dyskretnie zakamarki koło starego portu Tokio, pełnego podupadłych firm i magazynów, a nie policji czy turystów. Było blisko do mariny, przy samej stacji końcowej linii metra Yurakucho, w rezerwie mieli stację normalnej kolei. A kiedy Paul odkrył, że na tej samej wyspie jest też spory Heliport Tokio (którego jakoś wcale nie pamiętał, z poprzednich wersji rzeczywistości),

który przy „zasobach” Niny mogli traktować jak wielki przystanek latających autobusów, uznał, że trafili w dziesiątkę, i że w ogóle trzeba zapamiętać tę lokalizację na przyszłość.

Były też pewne wady, okolica była brzydka i ponura, hotel przeciętny a nie luksusowy, okna ich apartamentu wychodziły na wielką autostradę i na wielką spalarnię śmieci.

Pomysł, żeby nie brać taksówki i dyskretnie przejść wieczorem z mariny do hotelu też miał pewne wady, bo okazało się, że centymetry na mapie to pół godziny dreptania przez ponurą dzielnicę przemysłową i pod autostradą, przy nieco za dużej ilości bagażu. Nina zaczęła marudzić, żeby wszystko wyrzucić, i że robi wszystko od nowa, i że gdzie niby napis „dyskrecja” pasuje do tego obrazka, dwojga gaijinów ciągnących walizy przez port Tokio po zmroku. Ale Paul jakoś ją przekonał i w końcu dotarli do hoteliku w Shin-kiba.

W japońskich mediach nadal było głośno o ich akcji, doniesienia o zamachu trafiły nawet do światowych gazet i portali, choć raczej na drugie strony. Ale wydawało się, że udało im się oderwać od mafii i policji doskonale, aktualna medialna wersja była, że na yakuzę Matsudaira uderzyła konkurencja czteroosobowym komandem, doskonale przygotowanym i wyposażonym. Niektórzy teoretyzowali o motywach zemsty czy osobistych, wobec zmasakrowania bossa, rozstrzelania mu głowy DODATKOWO pięcioma kulami – trudno było to podważyć, Matsudaira skrzywdził kolosalną liczbę ludzi, to wszystko gmatwało teorie i śledztwo. Nie było żadnych rysopisów, nagrań z akcji, nic, tylko materiały z jej pokłosia i sprzątania kawałka Tobita, wyglądało

to jak reportaż z Libanu po wojnie domowej.

Koło południa Paul uznał, że jest bardzo dobrze, ale miał jeszcze parę punktów na liście do sprawdzenia i „posprzątania”. Może mając pod ręką Ninę i jej możliwości przesadzał, ale wolał pozostać nudnie metodyczny, niż wpaść na jakiejś głupocie.

Dlatego około lunchu zadzwonił do Akita.

– Moshi-moshi, Iceprick! – odezwał się znajomy głos w słuchawce.

– Cześć Akita! Możesz rozmawiać?

– Owszem – Akita był dziwnie poważny – Widziałem newsy, Paul. Gratulacje, jesteś cały?

Troska Japończyka zdziwiła Paula.

– Tak, jestem cały... Skądinąd, dzięki za tamtą kamizelę! Dostałeś kasę?

– Wszystko się zgadza – Akita milczał chwilę – Nie myślałem, że porwiesz się na to... A tym bardziej, że ci się uda... Przepraszam, ale tak myślałem.

– Spoko... Było ciężko, fuksem się udało – Paul wolał nie wchodzić w szczegóły, zresztą, to naprawdę było fuksem. Równie dobrze mógł leżeć teraz w kostnicy, z kulą w potylicy, zamiast rozmawiać sobie z Akita, mając mały siniak na łopatce. Ryzyko zawodowe, jak to mawiają – Mogę ci zawrócić głowę drobiazgiem?

– Dawaj.

– Prześlę ci zaraz dokładny adres i dane wózka, srebrna mazda familia sedan, stoi przy marinie w Osaka, kluczyki tam

gdzie zwykle. Zniknij go.

– Jak pilnie? – Akita nie pytał skąd Paulowi wziął się samochód wymagający „zniknięcia”, miał dość wyobraźni, szczególnie wobec tego, co wszelkie serwisy informacyjne plotły o akcji w Osace.

– Im szybciej tym lepiej.

– Poczekaj sekundę... – Akita musiał zasłonić mikrofon, ale niedokładnie, wyszczeakał parę rozkazów po japońsku; wrócił do rozmowy – Nie mam nikogo w Osaka, ale, powiedzmy, jesteśmy w drodze... wyślij mi szczegóły.

– Dzięki, Akita.

– Coś jeszcze potrzebujesz?

– Nie, to wszystko w tej chwili.

– Nadal jesteś w kraju?

Paul zawahał się, ale nie chciał okłamywać Miasawa, nie wyobrażał sobie, że Akita go sprzeda.

– Tak, jeszcze tak.

– Może spotkamy się... jak się uspokoi?

– Zobaczymy... Jeszcze raz dzięki za wszystko, Akita.

– Jeszcze raz, szacunek, Paul–sama.

Przez pierwsze dni prawie nie wychodzili z apartamentu, na wszelki wypadek. Paul chciał wyskoczyć po zakupy, żeby nawet na posiłki do restauracyjki hotelowej nie chodzili za często, ale Nina go łagodnie wyśmiała, i zaraz „swoim sposobem” pomału zapełniła wiktuałami mini–lodówkę i

szafkę pod biurkiem.

Droczyła się z nim, odtwarzając jego ulubiony gruyer: zawsze kiedy sięgał do lodówki, był tam cały nienaruszony kawałek sera, nieważne, ile poprzednio odkroił.

Trochę się nudzili, ale jeszcze nie ruszali dalej; Paul zaczepiał Ninę o dalsze plany, czy o co chodzi z kamieniem, ale bez przekonania, poza „tu i teraz z nią” jakoś niewiele go obchodziło.

Nina zbywała temat dalszych planów, a co do kamienia, ciągle spoczywającego na dnie torby z elektroniką, mówiła, że musi się zastanowić i znaleźć spokojne miejsce. Nie dopytywał o szczegóły.

Nie przytulali się, jakby wrócili do stanu intymności jak na początku, w Kioto.

Na trzeci dzień zaskoczył go telefon od Takao-san. Akurat przekomarzali się z Niną, spierając się, które lepiej zna historię wojny stuletniej, on z zawodnej pamięci książek, czy ona z zawodnej pamięci wydarzeń, kiedy aparat zadzwonił.

Paul pokazał Ninie wyświetlony i opisany numer, oboje spoważnieli i zmarszczyli brwi.

– Słucham – rzucił po odebraniu połączenia, ustawił aparat tak, żeby Nina słyszała rozmowę.

– Tu Takao Kohei – Paul uśmiechnął się pod nosem, w końcu poznał imię Takao-san.

– Witam, Paul z tej strony.

– Paul-sama, przepraszam, że zawracam głowę, może

niepotrzebnie... Jest pan nadal w kraju?

– Tak... – Takao też raczej ich nie sprzeda, ale...

– Chciałem przekazać, że nadzór dopytuje się o unikalne narzędzia, jakich pan używa. Nie pyta mnie konkretnie! ale powiązano narzędzie użyte w Kioto z tym z Osaka.

Popatrzyli na siebie, no tak, gdy używa się nietypowej amunicji i tego samego pistoletu, policja jak japońska powiąże fakty raz–dwa. A jeszcze szybciej kiedy władze Osaki strzelają nad nią z bata, bo Nina już zauważyła, sprawdzając japońskie media, że politycy wyrażali raczej ubolewania, kondolencje i oburzenia, niż jakąś ulgę czy wdzięczność, że Matsudaira odszedł.

– Rozumiem – odparł Paul – Najmocniej przepraszam za kłopot. Dziękuję za informację. Pozbędę się narzędzi.

Takao milczał chwilę.

– Rozumiem, że narzędzia przydały się?

– Tak, oboje bardzo je lubimy.

– Oboje?! – przez suchy i zawodowy ton Takao przebiło zdumienie. Paul zdał sobie sprawę, że może Kohei nie przyszło do głowy, że drugi przyciężki SIG jest dla Niny, może myślał, że to zapas dla Paula. A może, że Paul uprawia jakieś zwariowane strzelanie dwoma spluwami na raz.

– Tak, oboje.

Zapadła długa cisza w słuchawce.

– Czy pan jest w okolicy Tokio?

– Tak...

– To proszę ich nie wyrzucać. Skontaktuję się niebawem. Do

widzenia.

I rozłączył się zanim Paul odpowiedział.

– O co chodzi? – Nina nie do końca zrozumiała. Siedzieli na dwu końcach zwykłej małej hotelowej sofy, zwróceniu do siebie, trudno mu było ignorować śliczne krągłości Niny, siedzącej na podciągniętych nogach.

– Idzie o pistolety, a bardziej o mój – odparł, odkładając telefon – Powiązali broń, pewnie łuski z Kioto, tych dwu bandziorów przy tunelu, z akcją w Osace.

– Aha – zastanawiała się – Ale i tu, i tam nie mają dalszych śladów?

– Chyba nie. Ale kolejne użycie coraz bardziej ryzykowne, a jeśli wpadniemy z nimi w rękę czy w bagażu, będzie burdel. A jeszcze nietypowej amunicji mi się zachciało, nie wyłgamy się z tego – westchnął – Ja wiem, że pewnie nas wyciągniesz w razie czego, ale mieliśmy tego unikać.

– Tak – pokiwała wolno głową, ciemne włosy opadły jej na twarz, odgarnęła je – Powinniśmy je wyrzucić?

– Tak, już dawno – przyznał – A jeśli plotka dotarła do Takao, nawet tylko w formie „ludzie, skąd się wzięły dwa nielegalne pistolety .40 S&W z przeciwpancerną amunicją na zamówienie, i zabójcy biegający z nimi od Kioto po Osaka?!” to należałoby je wyrzucić zaraz. Tylko właśnie nie rozumiem, czemu on kazał ich nie wyrzucać!

Milczeli długą chwilę.

– Nie wierzę, że chce nas wydać policji, że niby: złapią nas z gorącym towarem w rękę... – wolno powiedziała Nina – To jest w zasadzie niemożliwe, jeśli jest tak dawno z Sinną...

– Tak, też mi się nie chce wierzyć w tę wersję – Paul wzruszył ramieniem – Nie rozumiem tego.

– Chyba mogę spróbować wyczarować kolejne dwa takie pistolety, jeśli te wyrzucimy – ciągnęła zamyślona – Fajne są. Nie wiem czy dam radę, może w częściach... mogę spróbować...

– Poczekajmy, co on wymyślił, a broń gdzieś schowam na razie...

Paul schował pakunek z bronią i amunicją pod zewnętrznym wymiennikiem klimatyzatora, wiszącego na ścianie hotelu, do zasięgnięcia ze schodów ewakuacyjnych. Nie było to dobre miejsce na dłużej, ale na kilka dni powinno wystarczyć.

Trochę nudzili się, fala informacji o zamachu zaczęła opadać, wieści o dochodzeniu i szczegółach spadały na coraz dalsze strony.

Jedyną istotną dla nich ciekawostką, którą Nina pokazała Paulowi, było kiedy ktoś w końcu podniósł temat kamienia: że Matsudaira nosił zawsze taki artefakt i to coś zaginęło. Ale nikt nigdzie nie podchwycił tej kwestii, a to, że talizman mógł być głównym motywem bitwy yakuzy, z minami kierunkowymi i amunicją przeciwpancerną, i ósemką trupów na liczniku, nie zmieściło się w głowie ani policji, ani dziennikarzom.

Następnego dnia wieczorem znowu zadzwonił Takao.

– Czy może pan notować, Paul-sama? – zapytał po wstępnych ceregielach.

– Oczywiście – Paul złapał notes i długopis.

– Takaosanguchi.

– Takao–san–guchi?? – Paul kręcił głową, zapisując nazwę, a Nina musiała mocno zacisnąć sobie usta dłonią, bo rżałaby jak koń.

– Tak. Koło stacji kolejowej Takaosanguchi, zachodni skraj wielkiego Tokio. Kolejka linowa Alfa Lift na górę, słup numer 8, zapasowe śruby i drobiazgi. Do narzędzia.

– Rozumiem. Alfa Lift, numer 8.

– Przepraszam, że na takim wygwizdowie, ale nie mam dobrych składów w Tokio.

– Absolutnie proszę nie przepraszać, Takao–sama! Dziękuję serdecznie za pomoc.

Nina entuzjastycznie przytakiwała, zielone oczyska błyszczały w bladej pięknej twarzy.

– Nie ma za co – Takao zawahał się, dodał cichutko – Dla nich...

– Dla nich... – Paul też szepnął, Nina przyjrzała mu się uważnie, z ciepłym uśmiechem.

– Poza tym, jeszcze jeden szczegół, czy pan zużył oba „narzędzia kierunkowe”?

– Nie, jedno...

– To niech pan nie da się złapać z drugim, nadzór przygląda się w zdumieniu i draży tę sprawę...

– A nie mówiłem, że to ryzykowne! – Paul skrzywił się, przecież dokładnie tego się obawiał, kiedy pobierał od Takao eksperymentalne miny.

– Troszeczkę – przyznał Kohei – Ale ja poradzę sobie,

proszę uważać na siebie. I na nią...

– Oczywiście. Dziękuję.

– Do zobaczenia, Paul–sama.

Rozłączył się.

Popatrzyli po sobie.

– Takao–san–guchi? Kim jest ten Takao, komikiem?? – Nina śmiała się perliście.

– Byłem komandosem i to niezłym – Paul też się śmiał – Ale żartować też umie, jak widać.

– A co to są „śruby i drobiazgi do narzędzia”? – zapytała.

– A skąd ja mogę wiedzieć, dowiemy się na miejscu!

21

Następnego dnia wybrali się na wycieczkę na zachodni skraj Wielkiego Tokio. Ubrali się jak rasowi turyści w góry, podobnie jak przy wyprawie „na strzelnicę” i do Gotemba. Zostawili trefne pistolety, Paul wrzucił drobiazgi do plecaczka, zawiesił sobie miecz pod pachą dłuższej kurtki.

Przejechali metrem na Ginza, zamiast prostej szybkiej przesiadki Nina po drodze zaciągnęła Paula do swojej ulubionej kawiarni, jeśli była już otwarta.

Była otwarta, w pierwszej chwili starszy kelner rzucił się do nich, jakby chciał ich wypchnąć z lokalu, tak bardzo nie pasowali do ultra–luksusowego wnętrza w kurtkach i dresach, zamiast garniturach i sukienkach; w turystycznych trepach

zamiast pantofli. Ale kiedy w ułamku sekundy rozpoznał Ninę Moon, zamiast tego prawie rzucił się do jej stóp.

Posiedzieli w łukowo przeszklonym boksie ponad Chuo–dori, przyglądając się skrzyżowaniu, na którego narożnikach były domy towarowe Cartiera, Chanel, Louis Vitton i Bvlgari. Wysączyli genialną kawę, zeżarli najlepszy sernik, jaki Paul w życiu jadł. Po czym ruszyli dalej przez Tokio, metrem do Shinjuku i na pociąg linii Keio.

Podziwiali jak bajeczne miejsce wymyślił Takao–san, jednocześnie dostępne, łatwe do zapamiętania, i wystarczająco dyskretne: Takaosanguchi i Shinjuku były końcowymi stacjami prywatnej linii kolejowej Keio, nie dało się na niej zgubić. Nie dało się zgubić stacji Keio na Shinjuku, bo była pod sporym domem towarowym Keio. Zgubić kolejek linowych na górę Takao też się nie dało; okazało się, że Takao–san „posiada” nie tylko miasteczko czy stację kolejową, ale też sporą górkę nad Hachioji, z pięknymi widokami na wschód i na Tokio, i wieloma atrakcjami dla dzieci i dorosłych.

Ale było po sezonie, kolejka krzesełkowa nie chodziła na szczyt, większość atrakcji była pozamykana.

Rozmawiali, że to jest tak bardzo bez sensu, może pogoda była nieco gorsza niż w lecie, ale nie padało, było w miarę rześko i słonecznie przy 50% zachmurzeniu; wkoło była przepyszna, złoto–czerwono–zielona japońska jesień. Kolory lasu były nie z tej ziemi, zapachy i dźwięki koły duszę.

Pomaszerowali przecinką pod wyciągiem kolejki, w górę zbocza.

– Nie mógł nam wysłać tego do hotelu?! – Nina burczała

pod nosem, ślizgała się na mokrej trawie, jej buty były mniej „zębate” niż Paula.

– A podałaś mu, i wszystkim którzy go śledzą, którzy mu mogą zajrzeć przez ramię, którzy znajdą kartkę z odciskiem zapisanego adresu, nasz adres? – Paul śmiał się pod nosem – Uciekinierów po zamachu? Do wysyłki trefnego towaru?

– Mhm, no wiem... Ale moglibyśmy się gdzieś spotkać, jak w Gotemba!

– Teoretycznie, owszem.

– A praktycznie? – skrzywiła się, bo znowu się poślizgnęła.

– W praktyce, to było PRZED zamachem roku. Nie zwalniamy, idziemy dalej!

Bo właśnie dochodzili do słupa numer 8, rurowej podpory lin niskiego wyciągu.

– Czemu?

– Rozbijamy piknik pod dziewiątką i zobaczymy.

Na wysokości słupa numer 9 rozsiedli się na trawie pod lasem, na podkładkach, które Paul wyciągnął z plecaka. Z przecinki było niewiele widać w dół, na wschód, byli jeszcze bardzo nisko. Obie kolejki (druga niedaleko nich, niewidoczna za lasem, nie była wyciągiem krzesełkowym, ale większa, lepsza, kabinowa–naziemna) wjeżdżały na półkilometrową górkę Takao, widoki stamtąd musiały być fantastyczne.

Siedzieli, rozmawiali, Nina chrupała herbatniki a Paul rozglądał się przez lornetkę, w górę i w dół przesieki; popijali herbatę z termosu. Wzorcowe małżeństwo w średnim wieku na wycieczce po sezonie, piękny jesienny las szumiał wkoło.

Tak normalnie, Paul miałby ze sobą poza lornetką także skaner radiowy i termowizor, przynajmniej powinien mieć, do zwiadu przy podejściu do improwizowanej skrytki, mogącej być prowokacją.

Ale w nowym życiu z Niną wszystko było łatwiejsze. Może wyžerała herbatniki i nudziła się, ale przy okazji „skanowała” żywe organizmy wkoło. Nie była pewna, jak to działa, ale zgrubnie wyczuwała aktywność, według niej neurologiczną, żywych stworzeń. Nie było to dokładne, rozpoznanie było powolne, sięgała na kilometr–dwa najwyżej, grupy ludzi, jak pracujących koło dolnej i górnej stacji kolejki, zlewały się jej „w płamę”. W mieście nie była w stanie nic ciekawego „zobaczyć”, wszystko jej się zlewało, ale w pustkach, jak te góry, przydawało się.

Na przykład, bez termowizji, z samą lornetką, Paul już dawno uznałby, że jest tu pusto i poszedł do słupa numer 8.

Nina wyczuwała kogoś, kto zatrzymał się na skraju lasu, poza przecinką wyciągu, i obserwował ich.

Nikogo więcej nie było, więc uznali, że nie jest to obława czy wywiad, tylko przypadek. Ale nie mogli podjąć przesyłki.

Przeczekali obserwatora, po paru minutach znudził się i poszedł w górę, tak twierdziła Nina.

Po kolejnych 10 minutach, kiedy nikogo nie wyczuwała na przesiece i wkoło, zebrali się i poszli na dół. Nina niosła plecak, Paul założył rękawiczki. Kiedy mijali słup numer 8, szybko wspiął się po wąskiej przemysłowej drabinie umieszczonej na podporze, rozglądając się uważnie za przesyłką.

Znalazł ją na szczycie rury–słupa, spore zawiniątko, jakby

saszetka w folii. Szybko zszedł z nim na dół, wolno poszli dalej; od razu dyskretnie sprawdził co jest w środku, czy niespodzianka jest przyjemna, czy przykra.

Była przyjemna, na oko kolejne 40 naboí przeciwpancernych do ich pistoletów, ale zawinięte luzem, bez pudełek, oraz dwie zapasowe lufy. Obmacał saszetkę i resztę zawiniątka, wydawało się, że nie ma tam nic więcej, żadnych pułapek, nadajników, czy innych niespodzianek.

Wrzucili to do plecaka, rozmawiali, że są dłużni Takao przysługę czy prezent, albo może taniej: rekomendację u Sinny do orderu, jak żartował Paul, wspominając czasy służby wojskowej.

Kiedy wolno schodzili po pochyłości przecinki i już widzieli dolną stację wyciągu i wieś w dolinie, nagle zaczęło szybko ściemniać się.

Zatrzymali się jak wryci, rozejrzeli się oboje.

– To jest atak! – rzuciła Nina.

Paul zrzucił plecak z ramienia, sięgnął po miecz ale jeszcze go nie wyciągnął.

Niebo wprost nad nimi i przecinką było jeszcze w miarę normalne, ale z trawy, z lasu i ponad nim rozpełzały się coraz głębsze cienie, przypominające wielowarstwowy dym, ale znacznie bardziej płaskie, jakby „dwuwymiarowe”.

Strefa mroku, cieni przypominających jakieś nieokreślone potwory czy wielkie zwierzęta, zacieśniała się wkoło nich, las znikał, światło umierało.

Nina obracała się, pozornie spokojnie, rozglądała się wkoło, marszcząc brwi.

Paul czekał, rozumiał, że nic nie rozumie, że zagrożenie nie jest z tego świata, dostał gęsiej skórki ze strachu i od adrenaliny. Pomyślał, że dawno się tak nie bał, nawet kiedy było źle, nawet kiedy już padał trafiony, lata treningu i życia na krawędzi znieczuliły go bardzo. A tu proszę, zaraz będzie dygotał.

– Nie dam rady... bez zniszczenia... – powiedziała z wysiłkiem Nina, Paul przyjrzał się jej, najwyraźniej walczyła z czymś, w jakichś innych przestrzeniach. Obejrzała się na niego, zmarszczone brwi, przepiękne zielone oczy, pełne obawy – Spróbujmy odskoczyć, będzie bolało... nie chcę cię stracić!

Podawała mu dłoń, mrok był coraz bliżej. Dotknął jej palców, świat wywrócił się na nice, ale co gorsza ciało Paula jakby też.

Stali w zielonkawym bezcieniowym półmroku, równo prześwietlającym całą przestrzeń, na dnie niewielkiej dolinki czy żlebu, pod milionem odległych gwiazd nocnego nieba.

Wkoło były szklisto-zielonkawe góry, trochę podobne do tych, które Paul pamiętał z wizji, jaką narzuciła mu Sinna z dziećmi.

Ale nie kontemplował szczegółów, był zajęty próbami opanowania kolosalnego zawrotu głowy i wrażenia przeciążenia, chociaż stali nieruchomo obok siebie. Usiłował nie zwymiotować i nie zemdleć.

– Trzymasz się, Paul!? – Nina cicho zawołała, ścisnęła jego palce.

– Tak... – ledwo żył, ale chyba żył.

– Uciekliśmy im, szkoda, że nie mogę im przypierdolić... –

polepszyło mu się na tyle, że zauważył, że skrzywiona Nina patrzy pod nogi.

Kiedy podążył za jej spojrzeniem, z wrażenia zapomniał o strachu, o zawrotach głowy i że trudno mu oddychać.

Pod stopami, w zielonkawym szkliwie na dnie dolinki, zobaczył ich odbicie, jakby stali na prawdziwym szkłe. Ale tamte odbicia stały w japońskim lesie „do góry nogami”, wkoło tamtych postaci wirował drapieżny mrok, sięgający po ich sylwetki pazurami cieni.

Tamto był prawdziwy świat na skraju Tokio, pod wyciągiem krzesełkowym, a ten – jakiś inny.

– ... gdybym miała choć latarkę, dałabym im nauczkę! – wysyczała Nina, była zła, ścisnęła jego dłoń, było mu od tego uścisku znacznie lepiej.

Pasma mroku sięgały ich odbić, a może – ich prawdziwych ciał, Paul pogubił się, gdzie jest prawdziwa rzeczywistość. Ale nieco odżywał, w aurze Niny jego doświadczony umysł wszedł w „tryb bojowy”.

– Zwalczanie mroku światłem? – warknął.

– Tak... – Nina zaskoczona spojrzała na niego.

– Mam flashbanga.

– DAWAJ! – prawie podskoczyła z emocji.

Paul wyrwał z kabury dysk jak krążek hokejowy, wytrenowanym ruchem kciuka zahaczył o zawleczkę; drugą dłonią rozpaczliwie trzymał się Niny.

– Gdzie go rzucić?!

– Pod nogi, na tamtą stronę, małe opóźnienie! – zawołała.

Paul wyrwał zawleczkę, odliczył dwie sekundy i cisnął krążek pod nogi; Nina wyraźnie skupiła się na ruchach Paula i na granacie błyskowym.

Dysk przeleciał przez szklivo pod ich stopami, pod powierzchnię świata, tam, gdzie pasma ciemności, niczym wielkie szpony nadludzkich potworów, próbowały rozerwać ich odbicia.

Walnęło bezgłośnie, huk nie przeszedł na ich stronę, za to błysk nie przypominał zwykłego granatu hukowo–błyskowego, ale wybuch małej bomby atomowej.

Paul za późno zamknął oczy, oślepiło go zupełnie, wirowały mu w umyśle fioletowe i zielone plamy powidoków. Znowu było mu gorzej, nadal miał wrażenie spadania i przeciążeń. Ale nadal czuł dłoń ukochanej.

– ZAJEBIŚCIE!! – taaak, zdecydowanie Nina nadal była obok.

Paul rozglądał się, zaczął coś widzieć. Stała jak przedtem, wpatrywała się pod nogi w niemożliwe odbicie, ich pary, i lasu, i kolejki Alfa Lift.

– Kocham cię, Paul – zajrzała mu w oczy, błyskawicznie przytuliła się do niego, objął ją odruchowo, choć nadal było mu strasznie ciężko – Wracamy...

Zamknął oczy, zawirowało mu w głowie jeszcze gorzej, ale nagle jakby wszystko się uspokoiło, zmusił się do otwarcia powiek.

Stali pod wyciągiem, na przecince w lesie, w poprawiającej się pogodzie.

Rozejrzał się wkoło, obolały, ponad głową wtulonej w niego

Niny, nigdzie nie było śladu mroku, ani śladu granatu błyskawowo – hukowego.

– Trzymasz się? – Nina przyglądała mu się z troską, z tak bliska.

– Tak – odparł, odetchnął głęboko – To nie koniec. Biegnij do następnego słupa!

Lekko ją odepchnął, miała znacznie lepszą percepcję niż zwykły człowiek, zamiast pytać czy zastanawiać się ruszyła fenomenalnym sprintem w dół zbocza. Paul pobiegł na wprost-lewo, w stronę lasu, tam, gdzie ktoś się czał.

Padł strzał, kula z trzaskiem przeleciała gdzieś między oddalającą się błyskawicznie Niną a Paulem.

Dopadł linii lasu, w cieniu za dużym drzewem japoński dziadek, w ciemnym turystycznym ubraniu i sportowym kapelutku, mierzył z jakiegoś starego pistoletu do pleców biegnącej Niny, ale zmienił zdanie i zaczął celować do Paula.

Nie miał szans.

Fraser w biegu wyciągnął miecz, dopadł staruszka i uderzył w drżącą dłoń, zanim tamten porządnie wymierzył czy pociągnął za spust. Miecz gwisnął i z okropnym zgrzytem ostrza i kości zmasakrował dłoń, palce, pistolet poleciał w bok razem z mięsem i odłamkami dłoni. Paul zwolnił, ale płynnym ruchem kontynuował, drugim obrotowym uderzeniem dosięgnął dziadka z góry, w okolicy szyi, z paskudnym trzaskiem pękającego obojczyka czy mostka przeciął mu klatkę. Wyrwał miecz z ciała i zatrzymał się nad padającym na plecy staruszkiem.

Dziadek runął prawie bezgłośnie, tylko cicho charczał i

jęczał, zatrzepotał wszystkimi kończynami i zaraz zwinął się w kłębek na leśnym poszyciu, niczym zabity pająk.

Paul cofnął się, żeby nie zachlapać butów krwią, tryskającą z wątego ciała. Rozejrzał się błyskawicznie, najwyraźniej zamachowiec był sam.

Począł chwilę, żeby upewnić się, że rozrabany staruszek zszedł. W galopie myśli zastanawiał się nad setką problemów: co ze śladami, co z Niną, czy przeszukać cichnącego dziadka...

W końcu zdecydował. Po prostu poszedł sobie; nie dotykał zamachowca, usiłował wyjść z lasu po swoich śladach, żeby zobaczyć co tam z Niną. Nie chował zakrwawionego miecza, starał się nie ubrudzić nim ciuchów, niósł go w dłoni jak najdyskretniej. Po drodze zgarnął porzucony plecak.

Był strasznie zmęczony.

Znalazł Ninę spokojnie czekającą za kolejnym słupem, oparła się plecami o wielką chropowatą stalową rurę, założyła ręce na piersi.

– Przepraszam Paul – powiedziała kręcąc głową, patrzyła na miecz w jego dłoni – Rozproszyłam się, nie wyczułam go... dobrze, że go zauważyłeś.

– Nie ma za co – Paul odetchnął, przyjrzał się mieczykowi – Dasz radę wyczarować butelkę perhydrolu albo amoniaku, w jakimś średnim stężeniu?

– Chyba tak...

Stracili mnóstwo czasu na zacieranie śladów, nieco dalej i poniżej miejsca ataku schowali się na skraju lasu po przeciwnej stronie przesieki, gdzie zaczynał się chodnik

między dolnymi stacjami kolejki.

Słyszeli ludzi wychodzących nad stację, na dół wyciągu, komentowano wystrzał i błysk światła nad doliną. Ale chyba nikt nie poszedł wyżej, nie przeszukiwał lasu, może miejscowi uznali to za piorun z jasnego nieba. Nic nie było widać, nic się nie dymiło, wszyscy zaraz rozeszli się.

Umyli miecz, Nina z trudem „wyczarowała” im nowe buty i łopatkę–saperkę, zakopali wszystkie resztki i odpadki w lesie i pomaszerowali na dół, ale inną drogą; nie przy stacji kolejki krzeselkowej i Takaosanguchi, gdzie przyjechali, tylko od północy, żeby wyjść na następną stację kolei, w centrum miejsciny Takao. Kolej nadal była najdyskretniejszy sposobem ucieczki z doliny.

Nina była podekscytowana, może nawet zadowolona? A Paul był obolały i zmęczony, człapał ścieżkami i potem uliczkami noga za nogą, w zapadającym zmroku coraz późniejszego popołudnia. Dobrze, że nie padało, było tylko coraz ciemniej, chłodniej, las nie pachniał piękną jesienią ale raczej wilgotną japońską zimą.

Ale był to zwykły zmrok i zwykła wilgoć, a nie mistyczne cienie z innych światów. W mniej niż godzinę doszli do stacji Takao, poszli na linię JR Chuo, a nie firmy Keio.

Nina próbowała wyjaśnić, co im się przytrafiło: że to dziadek był kotwicą czy osią ataku w tym świecie, zapewne był „opętany”, i prawdopodobnie to właśnie on im się przyglądał, kiedy szli w górę, i w pewnym sensie „rozpoznał” Ninę. Ale nie potrafiła tego stwierdzić na pewno, bo Paul go za szybko zabił, żeby mogła mu się mentalnie przyjrzeć.

Według poszlak: staruszek wrócił (może poszedł po broń?), a

w międzyczasie wezwał czy raczej zauważyły ich, „przez niego”, pół-zwierzęce demony z innych stron rzeczywistości (nie potrafiła wytłumaczyć związku czy komunikacji staruszka z bytami innych światów), stąd obruszyła się na nich Ciemność.

Ale kiedy Mrok zaatakował w normalnym świetle, świetle Paula, był podatny na światło, a dokładniej na różne oddziaływania elektromagnetyczne. Stąd flashbang zmiotł go, czy jakieś jego demony, w niebyt; Nina przyznała, że podkreśliła jasność błysku magnezji, na ile dała radę.

Nie zatrzymali się na obiad we wsi, chociaż Paul był naprawdę głodny i zmęczony, złapali pierwszy pośpieszny pociąg linii Chuo i zrobili postój dopiero na stacji centralnej Tokio. Do hoteliku w Shin-kiba dotarli późnym wieczorem, bez żadnych dalszych przygód.

Poprzednie przygody Paul odsypiał przez 10 godzin.

Nina medytowała nad nim, strzegąc jego snu: że przeżył praktycznie bez uszczerbku atak Mroku i jej próbę ucieczki, podobne jak te, które zniszczyły Bogdana, szlachetnego rycerza Bohdana z Wojnicza, w Grodnie, dnia 22 września roku pańskiego 1793.

22

Nareszcie mogli zakończyć sprawę amuletu złupionego z bossa Matsudaira.

Nina w końcu wytłumaczyła Paulowi, że jadeitowego wisiora nie da się zniszczyć w żaden normalny sposób, a

sposobów nienormalnych wołała nie używać, stąd jedyną opcją było tak go ukryć, żeby nikt nigdy nie zdołał go odnaleźć.

Spędzili pół dnia, rozmawiając o tym bardzo szczegółowo, chciał dobrze zrozumieć wszelkie detale, jak przed każdym poważnym zadaniem; widział, że to nie są żarty, Nina traktowała sprawę bardzo poważnie. Ustalili, co oznacza „nikt” (na przykład: czy ma być także poza ich własnym zasięgiem...) i jak się odnajduje takie magiczne artefakty. Szczególnie, kiedy SAME chcą być znalezione...

Paul dopytywał jak należy rozumieć, że taki pozornie nic nie znaczący kawałek jadeitu może „przynosić komuś szczęście” i to rzeczywiście, a nie jako placebo czy w bajkach, był tego bardzo ciekawy. Nina próbowała działanie kamienia wytłumaczyć, ale w części nie potrafiła, w części nie chciała; jakby oszczędzała mu co mroczniejszych czy straszniejszych szczegółów jej świata. A może wcale nie szczegółów.

Z tego co rozumiał, talizman zmieniał prawdopodobieństwa w ludzkim świecie, w kierunku wyznaczanym przez uczucia i wolę sprzężonego z klejnotem nosiciela. Był też awatarem, czubkiem góry lodowej, podobnie jak Nina była awatarem czegoś znacznie większego „po tamtej stronie”, ale wisior był raczej urządzeniem, niż osobą czy półbogiem.

Nieco zmroziło go, kiedy Ninie wysnęło się, że w sumie to spektrum i skala awatarów jest ciągłą, od drobnych artefaktów, takich jak „kamień”, po coraz wyższe byty. Nie dał po sobie nic poznać (a przynajmniej miał taką nadzieję), ale wpisywało się to w nawiedzające go czasem myśli, z KIM tak naprawdę się zadaje, CZEGO awatarem jest jego ukochana.

Ale odsuwał od siebie takie pytania, bez wątpienia była

wspaniałą, piękną, doświadczoną, mądrą kobietą (zawsze),
czułą i miłą (czasem), pewnie już nie potrafił przestać jej
kochać. Zdumiewało go, że może naraz trzymać w umyśle tę
miłość i te obawy, i jakoś nie bardzo kolidowały, nie
przeszkadzała mu ta sprzeczność.

– Przy twoich zasobach, możemy wystrzelić to gównem w
kosmos! – zażartował na drugi dzień po Wielkiej Dyskusji o
Kamieniu. Rozpogodziło się troszkę, stąd wyrwali się z
hoteliku i poszli na spacer na południe, arterią dawnego
przemysłowego portu Tokio, w stronę następnej sztucznej
wyspy Wakasu.

Nina prychnęła.

– No nie, w kosmos to nie! – odparła, wiatr od Zatoki
Tokijskiej rozwiewał jej włosy – W kosmosie NIC NIE GINIE,
i za milion lat da się ten kamyczek znaleźć...

– No to wystrzelić w słońce, czy na inną planetę! – rzucił, w
ostatniej chwili łapiąc czapkę-bejsbolówkę, którą podmuchy
wiatru usiłowały mu zabrać.

– A to jest NAPRAWDĘ zły pomysł – odparła przez zęby,
zapatrzyła się w dal prostego chodnika – Nie wyobrażasz
sobie, w jakie łapy może wtedy wpaść, ludzkie rączki to jest
nic, w porównaniu...

– Musisz mi kiedyś dokładniej objaśnić ksenomorfologię
Układu Słonecznego – rzucił beztrosko, obejrzała się na niego
czujnie, marszcząc brwi. Czyżby trafił w jakiś punkt? Ale w
jaki?

– Tak, kiedyś musimy jakoś to wszystko przepracować,

może podręcznik astrologii napisać, takiej naprawdę działającej! – roześmiała się – Ale może innym razem.

– A co można jeszcze zrobić? Zakopać?

– To, co zakopane, zawsze można odkopać... – mruknęła Nina – Próbowалаm tego, nie działa... A czasem przynosi pierdzielone katastrofy.

– O?!

– Mhm – westchnęła – Wiesz, ja pamiętam, kiedy Fujiyama był ze dwa razy mniejszy. A potem zachciało mi się wrzucić artefakt do wulkanu.

– Czekaj, to jakieś tysiące lat temu??

– Coś koło 12 tysięcy – poprawiła go – Inna sprawa, że tamten fajans był o rząd wielkości „mocniejszy” od naszego kamienia. Od tamtego czasu nie wrzucam nic do wulkanów. A stare kopalnie są słabe, bo zaraz, znaczy, zaraz w skali geologicznej, ktoś tam znowu włazi. Przeważnie próbuję chować miejscach niedostępnych dla ludzi... i nie-ludzi... geograficznie, bo inne opcje słabo działają. I zanim na to wpadniesz: nie, Antarktyda też odpada, zdecydowanie NIE.

– Aha...

Szli przez długą chwilę w milczeniu, pod wiatr, splekli dłonie; wyszli na wyspę Wakasu, między niedobitki przemysłu a pole golfowe. Na całej długiej wielopasmowej arterii nikogo nie było, nikt tu nie chodził na piechotę, podniszczony chodnik był pusty; tylko samochody i ciężarówki mijały ich sporadycznie.

– A jak z głębinami morskimi? – zapytał – A w ogóle to jakie bóstwo rządzi oceanem, nie ma problemów z Posejdonem?

– Nie, nikt nie bawi się we władcę mórz i oceanów, to wymyśliliście sami, z zassania brudnego kciuka rybaka czy żeglarza – zaśmiała się – Co do wyrzucania artefaktów do wody, próbowałam, ale zaraz, no dobra, „zaraz”... – zaznaczyła cudzysłów gestem – ...ktoś to wylawia, jakiś pierdzielony nurek szczęściarz, czy rybacy sieciami.

– Ale ja nie mówię o wyrzuceniu do byle zatoki, jak wyrzuciliśmy lufy pistoletów – doprecyzował – Mam na myśli GŁĘBINY, jakieś kilometry wody. U Sinny rozmawialiśmy o tym, że ciśnienie w głębinie i tak dalej, nawet wam sprawia trudności?

– Faktycznie... – mruknęła, przegarniając niesforne włosy, którymi igrał wiatr – Może warto spróbować.

W parę dni przygotowali „przesyłkę” i zorganizowali logistykę, Paul działał jak zwykle, metodycznie i dokładnie. A może jeszcze bardziej metodycznie i dokładnie, niż kiedyś? Ciągłe próbował analizować, czy i co się w nim zmienia, w kontekście bycia z Niną, tego co zrobiła Sinna. Był tym namysłem zmęczony, ale nie potrafił przestać roztrząsać te kwestie.

Potem jeszcze musieli poczekać na lepszą pogodę.

Teraz lecieli z Tokio na wschód, w kosztownym przelocie, kosztownym śmigłowcem Bell, kosztownie ubrani, z kosztownym wieńcem pamiątkowym, leżącym między nimi na wolnym siedzeniu.

Podawali się za milionerkę z USA i jej sekretarza. Pani Nina, w efektownej czarnej sukni i płaszczu, w czarnym kapeluszu i woalce, leciała rzucić wieniec na oceanie, w przybliżonym

miejscu zaginięcia jej wyimaginowanego dziadka, podwodniaka z czasów drugiej wojny. Paul udawał jej sekretarza, kochanka, ochroniarza, wszystko w jednym; był pod krawatem, w swoim porządnym garniturze i płaszczu.

Obsługa Heliportu i piloci byli zainteresowani bardziej niż zwykle, był to na pewno ciekawszy przelot, niż wożenie band VIPów po Tokio, czy między lotniskami. Paul wynajął duży kosztowny śmigłowiec bo potrzebowali jego zasięgu, postanowili wyrzucić kamień na najgłębszą wodę w okolicy, jakieś 200 mil od Tokyo.

Na Mariany, do rowów ponad 10km głębokich, nie chciało im się latać.

W okolicy wskazanych współrzędnych była całkiem znośna pogoda, Bell 412 zniżył się nad niskie długie fale Pacyfiku. Piloci upewnili się, że wszyscy są porządnie przypięci i ostrożnie otwarto drzwi, pani Nina efektownie się rozplakała i, z niewielką pomocą Paula, wyrzuciła kwiatowo – wiecznozielony wieniec na morze. Widzieli jak tańczy na falach, bez końca, zupełnie przypadkiem nad dziewięcioma kilometrami głębiny.

Pozamykali śmigłowiec i ruszyli w drogę powrotną, pani Nina pocieszała się przytulaniem do pana sekretarza i nieco rasistowską tyradą do pilotów, jak to wybacza Japończykom i flocie imperialnej utopienie jej dziadunia. Piloci nieco się krzywili, ale przytakiwali z szacunkiem; nie polemizuje się z kobietą w żałobie, szczególnie jeśli płaci ona około 10 tysięcy dolarów.

Spod pięknego pamiątkowego wieńca, kiedy rozpuścił się klej roślinny, odpadł płaski zwykły kamień i szybko opadł na dno oceanu. W środku tej betonowej atrapy kamienia, w

zawiniątku z grubej blachy ołowianej, zalali pozornie jadeitowy klejnot, wyrwany z dłoni umierającego bossa Matsudaira. Który najwyraźniej jednak miał mniej szczęścia niż wszystkim się wydawało.

Kiedy pozbywali się żałobnego kamuflażu i okreśną drogą maszerowali do hoteliku w Shin-kiba, Nina jakby odżywała z każdą minutą, z każdym krokiem. Wytłumaczyła Paulowi, że kamień w pobliżu, a raczej starania o jego zamaskowanie i ukrycie na wielu poziomach rzeczywistości, dużo ją ostatnio kosztowały. Teraz czuła się wolna.

Tego wieczoru pierwszy raz spali ze sobą. A właściwie nie spali wcale, bardzo bardzo dokładnie zajmowali się sobą, w ścisłym zjednoczeniu ciał i umysłów. Paul był zdumiony jak bardzo ta noc przekroczyła to, co kiedykolwiek doświadczył z kobietą; czego kiedykolwiek oczekiwał; co antycypował w związku z piękną Niną, jego boginią.

Po tej nocy zupełnie przestał sypiać.

23

Jak to mawiają, „nisko lecieli zamiast szybko jechać”, w nocnej ciemności. W ryku V-ósemki napęd quattro i opony nie dawały rady; na zakrętach przytrafiały się leciutkie czteropapowe poślizgi, od których Paulowi za kierownicą zamierało serce, i tak już utopione w adrenalinie. Musiał uważać, to mogło się naprawdę źle skończyć.

Nina śmiała się w głos, trzymała dłoń na jego udzie, drugą

przyciskała słuchawkę w uchu.

Pościg zostawał w tyle jakby normalnie odjeżdżali od niego samochodem, zwykle fiaty polizia di stato nie miały szans dogonić ich audi na tej drodze, z Paulem za kierownicą, który parę razy nieco trenował ten „odcinek specjalny”.

– Ściągają śmigłowiec! – zawołała beztrasko. Fraser nie próbował zrozumieć włoskiej kakofonii i przekrzykiwania się pościgu, które miał zmiksowane ze skanera radiowego, w prawej słuchawce, tak samo jak Nina. Skupiał się na prowadzeniu audi i czy w lewej słuchawce nie odezwie się Lucas z jakimiś problemami, których wolałby, żeby teraz nie było.

Ale wszystko szło zgodnie z planem, wypadli na prostą między murem a żywopłotem, to już było zaplanowane miejsce podmiarki. Paul rozejrzał się w ciemności w lusterkach, dobrze, pościg był ze trzy zakręty w tyle.

Daleko w przodzie zauważył czerwone światła hamulcowe stojącego na poboczu wozu, to musiał być Lucas.

Zamrugnął długimi zanim wpadł we wjazd w murze, w dawno zdjętą bramę zrujnowanej rezydencji czy willi, zdążył zauważyć, że tamten wóz ruszył. Paul zgasił światła i zaraz przelecieli opuszczone place i podwórka. Ledwo widział gdzie jedzie, z lekkim poślizgiem na omszałym bruku zatrzymali się pod murem, oddzielającym ich od drogi, za ruiną szopy czy stajni, schowali się zgodnie z planem.

Po chwili z wyciem silniczków przeleciały za murem trzy fiaty włoskiej policji, tylko, że teraz goniły audi A6 z Lucasem, a nie ich w S6.

Rozluźnili się minimalnie, oparli się wygodniej i

uśmiechnęli do siebie, w półmroku pogodnej wiosennej nocy, w mruczeniu V8. Paul otworzył przednie okna, zapachniało ziołami porastającymi cały teren za murem. Nadal było słyszeć pościg, cichnący w oddali, i staccato po włosku w słuchawkach.

– Całkiem nieźle! – rzuciła Nina – Śmigłowiec leci nad wjazd autostrady, będą go odcinać ze wszystkich stron. Ciekawe, czy wyjdzie z tego...

– Ma wprawę. I płacimy mu tyle, że to naprawdę nie nasz problem – Paul rozciągnął kark, obolały od tej szalonej jazdy. I szalonej akcji przed nią. Bark też go ćmił, poruszył ramieniem, zajrzał w mankiet, czy nie leci krew – Jeszcze minuta czy dwie i ruszamy.

Nina magiczno–telepatycznie „rozejrzała” się po swojemu, rozejrzeli się też normalnie, z wyjazdu–dziury w murze; nikogo nie było w okolicy. Wolno i statecznie potoczyli się z powrotem w stronę z której przyjechali, ale już pół kilometra dalej zjechali na jeszcze mniejsze drogi, żeby objechać ewentualne blokady i zamieszanie. Musieli dotrzeć do garażu pod Rzymem przed świtem, zmienić samochód i przełożyć fanty.

Wyszedł po długiej gorącej kąpieli, z ręcznikiem na biodrach poczłapał po pięknej posadzce do okien apartamentu, zostawiając mokre ślady stóp. Kosztowny płaski telewizor na ścianie pokazywał jakiś kanał informacyjny, ale fonia była wyłączona.

Nina odsunęła wielkie szklane panele wysokie do sufitu, stała w świetle późnego poranka oparta o kamienną balustradę,

ciemna kobieca sylwetka na tle błękitnego północnego nieba i panoramy Rzymu. Wielki pokój zamienił się w taras, z balkonem w typie francuskim, na całej ścianie. Gdyby nie zsunięte tafle szkła, fasada i ościeża penthouse'u wyglądałyby jak sprzed paru wieków. Może po prostu były sprzed paru wieków.

Opierała się obiema dłońmi o kamienny parapet balustrady, po prawej stał wysoki kieliszek, chyba z czerwonym winem. Była w szmaragdowej prześwitującej sukience, podobnej do tej, którą miała na sobie kiedy pierwszy raz zobaczyli się w Meksyku. Zorientował się, że Nina chyba nie ma nic pod sukienką, inaczej niż w Meksyku.

Podszedł powoli, objął ją od tyłu i przytulił, stali zapatrzeni na zamek świętego Anioła, i most do zamku, i panoramę za Tybrem. Wystarczyło nieco wychylić się za balustradę, żeby po lewej zobaczyć kopułę bazyliki świętego Piotra i budynki Watykanu, albo po prawej masyw Pałacu Sprawiedliwości, gdzieś daleko willę Medyceuszy, i sto innych zabytków Rzymu.

Czuł jej ciepłe ciało przez cienką tkaninę, oparł policzek o ciemne włosy, jak zwykle lekko pachnące kwiatami. Gapił się na zamek ponad jej głową, mauzoleum Hadriana, ile to wieków, pierwszy, drugi naszej ery? Przedwieczna wspaniała budowla, a 10 razy mniej wspaniała od 10 razy starszej piersi, którą pieścił.

– Jeśli nie przestaniesz, będziemy mieli bardzo dużo zdjęć...
– mruknęła Nina, słyszał w jej głosie uśmiech.

Wyjrzał ponad jej barkiem na dół, na moście świętego Anioła i na skrzyżowaniu było już trochę turystów, paru zauważyło ich przy balustradzie na górze kamienicy, na tle

ciemnego pokoju. Jakaś matrona zaczęła gniewną tyradę do zagapionego męża, jakiś młodzieniec wycelował w ich stronę spory teleobiektyw.

Zabrał łapę z jej biustu, ale nie wypuścił jej zupełnie z objęć; obróciła się w jego ramionach i popchnęła go w cień pokoju, dalej od okna. Zajrzał jej w oczy, utonął w zieleni, pocałowali się bardzo mocno.

Nadal zupełnie tracił poczucie czasu, kiedy całowali się czy kochali, ale przynajmniej nie odchorowywał przytulanek. Prawie.

– Jak bark? – zapytała, kiedy rozluźnili objęcia i odzyskał pełną przytomność. Prawie – Pokaż go.

Obejrzelি prawy bark Paula, na mięśniu naramiennym miał paskudny siniak, sino–czarną pręgę, pamiątkę po odłamku z ostatniej nocy.

– Idiotyczna omyłka – kręcił głową nad swoją głupotą. Jak jakiś początkujący terrorysta, źle ocenił kąt winkła, za którym się chowali i zaraz okazało się, że nie schował się dostatecznie głęboko. W huku eksplozji przypadkowy odłamek cegły z gwizdem wyrznął go w bark, poza kamizelką, jakby chciał powiedzieć „Możesz planować wybuchy i wyburzanie tygodniami, a i tak wszystkiego nie zaplanujesz”.

– Chcesz do lekarza? – zapytała, przyglądając się prędze.

– Nie, raczej nie, to tylko siniak – odparł – Jakaś maść na obrzęki wystarczy, może coś sportowego, czy coś przeciwbólowego, i tyle. Bo chyba odpoczywamy chwilę? Zakładając, że nas nie znajdują.

– Tak... – pocałowała go w bark, koło siniaka, od jej

gorących ust przeszedł go dreszcz – Nalej sobie wina, jeśli chcesz – machnęła ręką na drugi kieliszek i butelkę, stojące na niskim stoliku, między dwoma wielkimi wygodnymi fotelami. Zgarnęła swój kieliszek z balustrady i poszła do kuchenki w głębi penthouse’u.

Paul nalał sobie wina i rozsiadł się w fotelu, zastanawiał się, że chyba i tak ma wyższą odporność na ból i szybciej mu się wszystko goi, niż ponad pół roku temu, przed spotkaniem z Niną. A może raczej z Sinną. I że chyba zrobił się bardziej odporny na zimno, ranek był wiosennie rześki; kiedyś chyba nie czułby się tak komfortowo, zaraz po gorącej kąpieli, w zasadzie siedząc półnagi na tarasie, w chłodnym poranku.

– Posmarować ci, czy poradzisz sobie? – Nina wróciła z kuchni z kieliszkiem i dwoma tubkami maści, zapewne magicznie znalezionymi w pierwszej z brzegu szafce.

– Po namyśle, nie trzeba... – skrzywił się – Tylko co się kąpałem, nie chcę się lepić.

– Smaruj, nie pyskuj! – roześmiała się, rzuciła mu tubki po jednej, złapał je i niechętnie zaczął smarować bark. Jakąś maścią mega-super-sportową na obrzmienia, sam siniak, i przeciwbólową cały naramienny i kapturowy. Nina rozsiadła się w fotelu naprzeciw niego, obserwowała go znad kieliszka.

– A propos „czy nas znajdą” – poczekała aż skończył mazać się maścią i wytarł dłonie – Kiedy się kąpałeś, przejrzałam serwisy i tak dalej... – machnęła kieliszkiem na telewizor – ...zdaje się, nie mają za wiele tropów. A Lucas odwała niezłą szopkę. Wiesz, że rozbił wóz, kiedy próbowali go zatrzymać?

– Tego nie było w planie – Paul zmarszczył brwi, pociągnął wspaniałego wina – Ale to trochę do niego podobne...

– Mhm. No więc wygląda na to, że sprawa wysadzenia willi znanego zbieracza antyków przez nieznanych sprawców to jedno, ale sprawa pomyłki głupiej policji, i ścigania nie tych co trzeba, i spowodowania wypadku i poważnego uszczerbku na zdrowiu pana Lucasa, to znacznie ważniejszy problem! – uśmiechała się kręcąc głową – Z tego co piszą i mówią, to rozwalił wóz bardzo efektownie, między nami mówiąc: dbając, żeby policji nie uszkodzić. A czołowego prawnika, który ma na pieńku z polizia od lat, i właśnie robi dym w mediach na maksa, chyba miał naszykowanego w blokach startowych...

– A to bardzo podobne do Lucasa – pokiwał głową Paul – I nie: jednego prawnika, ale kilku. To Szwajcar, planuje wszystko jak w zegareczku, a po tym ile mu zapłaciliśmy, miał za co. I wiedział, że nie idzie o kradzież torebki, ale że wskakuje w pościg z jakąś grubszą historią...

Oboje zapatrzyli się na wino w swoich kieliszkach, czerwone jak krew, wspominali ostatnie miesiące.

Po kolejnych akcjach w Japonii, zuchwałej kradzieży rękopisu z IX wieku, który był potrzebny Ninie bóg wie do czego, i wysadzeniu kawałka laboratoriów Mitsubishi Semiconductors, z którymi najwyraźniej Nina miała na pieńku, Kraina Wschodzącego Słońca zaczęła palić się im pod nogami. Nina ustaliła cel: przenoszą się do Europy, najlepiej do Włoch, Paul planował i organizował nielegalny wyjazd, bo chcieli zabrać ze sobą różne zabawki.

Dobrze, że byli już prawie przygotowani, kiedy zadzwonił Akita, że dotarła do niego plotka o nich, mężczyźnie i kobiecie, parze gajinów, stojących za różnymi ostrymi akcjami ostatnio. I że yakuzy, szczególnie spadkobiercy Matsudaira,

właśnie rozpuszczają wici, ustalają nagrody, i zaczynają szukać ich na serio. Bo złapały ich kamery przy fabryce Mitsubishi.

Mogli zaraz wyrzucić wszystko do zatoki i pojechać na lotnisko, ale rozzuchwalili się i postanowili z grubsza trzymać się planu jak najszybszego odpłynięcia z Japonii, razem z zabawkami.

Prawie się spóźnili, później okazało się, że minęli się z yakuzą o godziny – z małym bagażem, późnym wieczorem odpłynęli na świeżo wyremontowanej łodzi Furuya-san, który był szczęśliwy, że może im znowu pomóc (i znowu zarobić). A rano w newsach były wzmianki o nocnej zadymie w hotelu w Shin-kiba, pobiciu ochrony i obsługi przez komando yakuzy, i tak dalej. Na 100% chodziło o ich parę, to nie był przypadek.

Akita zostawił kodową informację, w specjalnym rezerwowym „miejscu” internetu, żeby Paul nie próbował się z nim kontaktować.

Płynęli wolno, znowu wzdłuż Japonii, ale teraz w drugą stronę.

Zastanawiali się, czy ich plan dotarcia na zachód wysp, może aż na Okinawę, i łapania jakiegoś statku dalej, ma sens. Ryzyko było znaczne, nie mogli łatwo ukryć się w tym kraju w jakikolwiek sposób, w jakimkolwiek tłumie, a na zadupciach poza miejscami pełnymi turystów biali zawsze zostaliby zapamiętani, piękna kobieta i postawny mężczyzna.

W napomknięciach i rozmówkach w czasie podróży zorientowali się, że szyper jest byłym oficerem marynarki wojennej, i ma znacznie rozleglejszą wiedzę i kontakty, niż przyjmowali poprzednio.

Paul wahał się, ale Nina bez ceregieli wciągnęła Furuya-san w sprawę, wyczuwała, że nie zdradzi ich, że głęboko nienawidzi yakuzy; z premedytacją roztaczała taki urok, że stary wilk morski w zasadzie już był w niej zakochany.

Po paru godzinach dyskusji, jak mogą wydostać się z Japonii dyskretnie, jak daleko 40 stopowa łódź może dopłynąć, i tak dalej, Furuya machnął ręką i wszedł na wyższy poziom knucia. Zaczął wydzwaniać po jakichś znajomych i zaraz odpłynęli dalej od lądu, znaleźli się ponad 20 mil od brzegu na trawersie Hamamatsu, w praktyce na pustym morzu.

Pod wieczór przyleciała po nich stara Catalina, spora łódź latająca z czasów II wojny światowej. Może zbudowana zaraz po wojnie, ale tak czy owak, okaz muzealny.

Paul nie wierzył w poprzednie zapewnienia szypra i że to naprawdę się dzieje, że polecą tym zabytkiem tysiące mil. Nina śmiała się z niego, że ma dysonans poznawczy, bo nagle trafił na starszą, nieźle zorganizowaną, głębszą warstwę archeologii najemniczo-bandyckiej, niż jego własna warstwa.

Zacumowali do 10 razy malowanej i odrapanej Cataliny, nagle ich łódź wydała się nieduża, przy wielkim samolocie. Zebrali się na małą naradę, z Japończykiem, niskim okrągłutkim staruszką, kapitanem – pierwszym pilotem i młodym drugim pilotem, białym Australijczykiem, sądząc po akcencie.

Paul myślał o Manili, Filipinach, jeśli zasięg samolotu pozwoli. Furuya zdradził pilotom, że para zmierza na zachód, że chcą złapać jakiś statek „stopem”. Pilot–kapitan długo masował gruby podbródek, po czym przyznał, że Manila to nie problem, a za odpowiednim wynagrodzeniem i przy małym obciążeniu mogą osiągnąć nawet Singapur. Okazało się, że

Catalina była nieco ulepszona i z powiększonymi zbiornikami, kosztem ładowni i kabiny, i właśnie zatankowana do pełna zgodnie ze wskazówkami Furuya-san. A w Singapurze powinno być 10 razy więcej statków płynących na zachód, niż w Manili.

Jak później rozmawiali, ciekawe co robiła na co dzień stara pozornie zaniedbana Catalina, o zwiększonym zasięgu, z unowocześnioną awioniką i w doskonałym stanie technicznym, z miejscami sypialnymi i mini-ładownią, na Dalekim Wschodzie. Paul stawiał na trasę Australia – Japonia i że nie wożą misiów koala, ale co najwyżej ich figurki, z wkładką z czystej kokainy. Nina uważała, że latają z Indochin we wszystkie strony, z figurkami buddyjskim, z wkładką z czystej heroiny.

Przełożyli nieduży bagaż, spłacili szypra, pożegnali się ciepło (a nawet – czule, w wykonaniu Niny) i już 24 godziny później byli w Singapurze. Może dwa razy wolniej niż samolotem rejsowym, nieco ogłuszeni od ciągłego huku silników i obolali od słabych foteli i łóżeczek zabudowanych w łodzi latającej, ale o jakichkolwiek kontrolach czy problemach na granicy nie było mowy.

Australijski drugi pilot chyba coś knuł w czasie lotu, ale pokrzyżował jego ewentualne plany ich brak snu i kiedy doliczył się, że oboje są uzbrojeni; może nie wymachiwali pistoletami, ale nie ukrywali kabur i broni w samolocie.

Spłacili kapitana Cataliny, był pod urokiem solidnych bioder Niny i solidnego pliku dolarów, giął się w zasapanych ukłonach i polecał się na przyszłość.

Zaraz złapali kontenerowiec, który kończył załadunek, płynący do Europy i przez La Spezia, ale dla zmylenia tropów

podali inny cel i opłacili podróż aż do następnego portu, Walencji w Hiszpanii. Wynegocjowali z portugalskim kapitanem normalne warunki, Paul miał w tym wprawę, nieraz korzystał z „przejazdów cargo” statkami. Może było wolno, ale za to maksymalnie dyskretnie i podróż pozwalała przeczekać aż kurz opadnie, w zadymach zostawionych za rufą.

Dołożyli kapitanowi wystarczającą korupcyjną „premię” do ceny transportu ustalonej przez armatora, żeby przy dopisywaniu ich do manifestu, czy mikro–kontroli paszportowej, nikomu nie przyszło do głowy pytać co mają w bagażu, albo skąd wzięli się w Singapurze bez wiz, albo dlaczego nie mają wyjazdowych stempli na wizach z Japonii...

Podróż zajęła 24 dni, przez Sri Lankę i Suez. Nie nudzili się, bo pogoda była niezła, mieli w miarę wygodną kabinę i siaki–taki internet przez satelitę, mała załoga kontenerowca była sympatyczną bandą gawędziarzy, a szef kuchni i posiłki były zupełnie przyzwoite.

Odpoczywali, opracowywali plany dla Włoch i Europy, rozmawiali i przekomarzali się, ze sobą i z marynarzami. Od czasu do czasu zajmowali się sobą bardzo dokładnie, poznając swoje ciała; aczkolwiek, jak ciepło żartowała Nina, bardzo ostrożnie, żeby Paul nie zepsuł się od nadmiaru gier i zabaw erotycznych.

Kiedy statek dotarł do La Spezia i zaczął przeładunek, poinformowali kapitana, że zmienili plany i chcą zwiedzić Włochy, więc wysiadają. Nie chcieli zwrotu nadpłaty, więc nikt nie miał z tym problemu, nikogo to specjalnie nie zdziwiło; pozwali na małżeństwo bogatych rentierów w

średnim wieku, w leniwej „podróży dookoła świata”.

Co nie było bardzo dalekie od prawdy.

Kontrolę wjazdową na posterunku w porcie przeszli bez problemu, oficer – pogranicznik wygonił podwładnych i najwyraźniej oczekiwał odpowiedniej łapówki. Przeliczył się, zamiast pieniążków dostał od Niny lekkiego magicznego kopniaka w hipokamp, stąd obyło się bez kolejnego pliku banknotów. Jak zahipnotyzowany podbił im wizy i papierki, i wypuścił; do wieczora snuł się po porcie w trybie „zombie”.

Złapali pociąg do Rzymu i pod wieczór wysiedli na Roma San Pietro, spacerkiem w pogodnym zmierzchu dotarli do „mieszkania”, jak Nina określała luksusowy penthouse na szczycie kamienicy nad bulwarami Tybru, naprzeciw zamku świętego Anioła. Paul, kiedy już otrząsnął się ze zdumienia i prób skalkulowania, ileż to „mieszkanie” może kosztować, dopytywał, czy pozostałe jej „mieszkania” o których wspominała, w Kaliforni i w Luandzie, też są tak skromne i w nieciekawych lokalizacjach??

Przyznała, że może i owszem, nie są to zwykłe mieszkania, ale pałace też nie, ot, odrobina dyskretnego luksusu, która każdemu się należy.

Kiedy troszkę odsapnęli i rozejrzeli się w Rzymie, dokupili różne drobiazgi. Jak na przykład zwykłą BMW „piątkę”, starszą ale zadbaną, w biznesowej czerni i bez jakichś głupich tuningów czy przyciemnianych szyb, pasującą do ich wizerunku bogatych dyskretnych rentierów. A przy tym zbliżoną do wozu jakiego Paul używał na co dzień w UK.

W zasadzie nie potrzebowali wcale łóżek, tylko do

wygodnego odpoczynku czy seksu, więc jedną z dwu sypialni w penthousie, i tak praktycznie pustą poza zapasowym łóżkiem i szafką, Fraser zaanektował na pokój sportowy. Odpowiednia firma dostarczyła kupkę gratów, wstawił sobie budżetową mini-siłownię, bo nadal lubił czasem poćwiczyć. Nina krzywiła się, że w jego wielostronnie ulepszonym stanie to nie ma większego sensu, ale nie oponowała; były to drobne zarówno w sensie pieniędzy, jak i kłopotu.

Zaraz poszczuła Paula na duży i zaległy, według niej, problem włoski, czyli kolekcję ustosunkowanego bogatego zbieracza antyków, a dokładnie: jeden szczególny obraz z tej kolekcji, ani najważniejszy historycznie, ani najdroższy, ale ważny dla niej.

Paul rozpracowywał temat metodycznie, przygotowanie akcji zajęło mu prawie dwa miesiące. W trakcie wciągnął w sprawę znajomych: Lucasa, który załatwił samochody i na końcu zabawił się w przynętę-kaskadera w policyjnym pościgu, oraz Matteo, przez którego załatwił różne drobiazgi, jak też wcale nie drobiazg: nieco ponad 300kg materiałów wybuchowych od albańskiej mafii, pewnie spadły komuś z wojskowej ciężarówki, ale jeszcze nie wybuchły.

Chciał też wciągnąć do pomocy Dużego Francisa, z którym parę razy pracował we Włoszech i w Afryce, monstrualną maszynę bojową zbudowaną w Legii Cudzoziemskiej, ale okazało się, że Francis nigdy nie istniał.

Akcja była wyjątkowo „rozrywkowa”, gdyż po małym rozpoznaniu zorientowali się, że willa Augusto Fabiano Colombo, podstarzałego handlarza dziełami sztuki, bardziej znanego jako Antyk, była po prostu twierdzą. A jego kolekcja nie była trzymana w byle sejfie, a tym bardziej w galerii, ale w

głębi wielkiego domu, w sporym skarbcu za pancerną służą. Na deser rezydencja miała stały posterunek profesjonalnej ochrony na bramie i porządne wielokanałowe połączenie alarmów z policją.

Nawet Ninie, kiedy to analizowali, dostanie się do, a tym bardziej wyniesienie towaru i ucieczka z obiektu wydawały się dość trudne.

Paul zaimponował jej nieco (albo, jak sobie tłumaczył, przynajmniej tak zareagował jej cudowny awatar), kiedy zauważył błąd projektu skarbcza Antyka, ujawniły go plany willi, zdobyte przez znajomych Matteo, za ciężkie pieniądze.

Tylna ściana skarbcza była też zewnętrzną ścianą od sąsiedniej ulicy mikroskopijnego miasteczka, ślepą, jak w wielu wielkich domach włoskich, zwróconych tyłem od ulicy czy drogi, a frontem do własnego podjazdu czy podwórza. Ale sądząc po dokumentacji wzmocnień i przebudowy rezydencji, nie została dopancerzona jak wejście, stropy, i ściany od frontu domu. Oczywiście, była to gruba stara ceglana ściana, ale – tylko ściana.

Miesiąc Paul bawił się w mechanika i sapera, w wynajętym pod Rzymem garażu, tworząc „otwieracz do puszek”, jak Nina nazwała jego pomysł. Potem parę dni czekali, aż Antyk wyjedzie z willi do Rzymu, razem z rodziną i obstawą, żeby zminimalizować ofiary w ludziach.

Na końcu, ciemną nocą, 300 kilo plastiku udające ładunek kumulacyjny, wklejony w kształcie poziomego V w trzytonowej ścianie zbrojonego betonu tworzącej „lustro” dla fali uderzeniowej, umieszczonej na pace przedłużonego forda transita, zaparkowanego przy samej ścianie rezydencji, „dmuchnęło” przez atrapę burty vana zrobioną z pomalowanej

na białą tektury, i podcięło starą ścianę niczym gigantyczna siekiera.

Po eksplozji z vana niewiele zostało, a kawek cegły czy betonu szczęśliwie trafił Paula w bark, a nie w łeb.

Po złożeniu się ściany spodziewali się, że będzie trudno rozeznaczyć się w dymie i kurzu, nocą, i dostać się przez rumowisko do domu; ewentualnie, że cała strona rezydencji może zawalić się zupełnie, na miejsce eksplozji. I tak było, ale zgodnie z planami Willi i przewidywaniami Paula – „skrzynka” skarbcza, z pancerną podłogą i stropem (ktoś odrobił lekcję w temacie przebijania się do sejfów przez podłogi), wbudowana na solidnej stalowej konstrukcji w stary dom, wytrzymała i została na miejscu. Tyle, że bez tylnej ściany.

Byli przygotowani, mieli odpowiedni sprzęt, uzbrojenie i oświetlenie, drabinę, byli gotowi na dodatkowe fajerwerki, gdyby przyszło „rozzrzucić” rumowisko przygotowanymi rurowymi ładunkami wybuchowymi.

Ale okazało się, że nie potrzebowali tego wszystkiego, chyba, że chcieliby wybierać całą kolekcję Colombo, rozrzuconą w gruzowisku i ruinach skarbcza – interesujący ich obraz, w charakterystycznej zamkniętej kasecie, z frontem z pancernej szkła, które zamieniło się w pajęczynę ale nadal pozwoliło sprawdzić zawartość, przypadkiem leżał prawie na wierzchu dymiącego rumowiska.

Wystarczyło go wygrzebać i uciec do zaparkowanego nieco dalej audi S6, którym zwiali z miejsca zdarzenia, zanim na dobre zareagowała ochrona i policja. Jednak nie udało im się oderwać w 100%, gdyż w nocnych pustkach gór Łazio, na wschód od Rzymu, ktoś wypatrzył ich światła, podejrzenie szybko oddalające się ze wsi gdzie złożyła się willa Colombo,

i policja ruszyła za nimi.

Ale podmianka z Lucasem „na przynętę” zadziałała zgodnie z planem i mogli się wyluzować w apartamencie, oglądając doniesienia w telewizji i internecie o efektownej kradzieży, zamiast oglądać ściany celi aresztu.

Wróć, pomyślał Paul, „ściany celi” nie wchodziły przy Ninie w grę, więc raczej „zamiast nieprzewidywalnej nieznanej zmiany świata” po której pościg zniknąłby jak sen i wszystko by się zmieniło, a oni nie. Wróć do kwadratu, ONA nie, on, miejmy nadzieję, też nie zmieniłby się.

Skradziony obraz, nadal w kasecie zawiniętej w czarny koc, leżał w szafie, w garderobie apartamentu. Musieli jeszcze sporo rzeczy załatwić, posprzątać, nadal było gorąco, ale chyba im się znowu udało.

Nina ocknęła się, przyjrzała się półnagiemu Paulowi, rozwalonemu w fotelu naprzeciwko, zapatrzonemu w iskry światła, igrające w czerwonym winie. Nadal nosił brodę i wąsy, tak jak na początku... zapuścił nieco dłuższe włosy do ramion, wyglądał bardzo dobrze.

Przyjrzała się jego starym bliznom, na piersi, na zębatych mięśniach na żebrach, na przedramieniu ręki, w której trzymał kieliszek z wolno wirującą zawartością.

Czy miał bardziej ostre, orle rysy, niż na początku?

Czy miał szerszą klatkę, węższe biodra, niż na początku?

Czy właśnie ujrzała przeszłość, i, być może, małą, mikroskopijną szansę na przyszłość?

Dopiła wino i odstawiła kieliszek na stolik, Paul ocknął się,

spojrzała w jego ciemne niebieskie oczy.

– Masz trzy sekundy na decyzję – rzuciła, prostując się na fotelu – Albo się ubierasz, albo rozbierasz.

24

Zrobili sobie małe rzymskie wakacje. Obijali się, spacerowali, Paul zwiedzał z przedwieczną przewodniczką nieznane mu zabytki przedwiecznego Rzymu (bo kiedyś był w interesach tylko we wschodniej części, z małutkimi wypadami turystycznymi do Koloseum czy Forum Romanum).

Śródziemnomorska wiosna była na przemian lazurowo zalotna i deszczowo przelotna.

Tego ranka to Paul stał przy oknach, z kawą w lewej dłoni, zagapiony na zamek świętego Anioła za ścianą deszczu i zasuniętymi taflami zapłakanego szkła.

Nina sprzątała po śniadaniu. Zastanawiał się, że bogini zajmuje się takimi drobiazgami jak miliardy kobiet, jak „porządna żona”. Nie był flejtuchem, przyzwyczał się do życia w samotności, sprzątał po sobie i wkoło, bez entuzjazmu, bo niby kto miał entuzjazm do sprzątania, prania czy zmywania, ale Nina przeważnie go wyprzedzała w zabieraniu się za prace domowe.

A może jednak był przeciętnym facetem, zawsze flejtuchem, zawsze za wolnym w pracach domowych, „nie trzeba mi przypominać co pół roku o tym, co miałem sprzątnąć za miesiąc”.

Ale nawet jeśli był stereotypowym bucem, któremu tylko wydaje się, że jest metodyczny i schludny, to nie tłumaczyło, czemu ONA jest kobieco schludna i „zajmuje się domem”. Bo ani nie musiała, ani w pewnych aspektach nie była choćby w pobliżu stereotypowej kobiety sprzątającej, zabiegającej o, strzegącej ogniska, i tak dalej.

Ale w wielu aspektach była Absolutną Kobietą, tylko nie mógł zrozumieć, dlaczego w tych a nie w innych, to był jakiś misz–masz. Odpędził od siebie te jałowe rozważania, nie miały najmniejszego sensu; ma czas ją lepiej poznać i zrozumieć, jeśli będzie uważał na siebie, ma lata, wieki na to.

Zaraz podeszła do niego, dzisiaj ona objęła go od tyłu, mało nie rozlał kawy. Próbował obejrzeć się na nią, cmoknęła go w policzek, i zaraz stali obok siebie, przytuleni, zapatrzeni na starożytną twierdzę, i panoramę Rzymu w falach deszczu.

– W tym mieście czuje się ciężar wieków... – mruknął Paul, siorbnął kawy.

– O tak... – Nina pokiwała głową – Wiele wspomnień...

– Wszystkie drogi prowadzą do, i tak dalej? – przyglądał się jej spod oka, zamiast zamkowi–mauzoleum, na który ona się zapatrzyła.

– Taaak, akurat jak najbardziej „i tak dalej” – parsknęła śmiechem – Wszystkie drogi prowadziły do Rzymu, do Babilonu, do Luoyang, do Cuzco... do Knossos... do Eguskiarea...

– Dokąd?

– Stare historie! – machnęła ręką, nieco odsunęła się od

niego. Oskarżycielsko wycelowwała palec w zamek świętego Anioła – Z tym mam znacznie nowsze wspomnienia...

– Opowiedz – poprosił ciepło, w zasadzie zawsze lubił studiować historię, a szczególnie, kiedy Nina ją opowiadała.

– Nie wiem... – obejrzała się na niego, zajrzał w zielone oczyska – Przeważnie wiążą się z moimi... z twoimi poprzednikami. A porównywanie się obecnych z eks– i różne głupoty z tym związane, to zdaje się ulubiony sport chłopów.

– Nie mój! – zapewnił, może nawet szczerze.

– Taa, patrz bo ci uwierzę – pokiwała mu palcem przed nosem – Ale faktycznie, pod tym względem też jesteś nieco wyjątkowy...

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odparła, znowu zapatrzyła się na zamek świętego Anioła, deszcz jakby słabł – Widzisz, tutaj poznałam poprzednika Jacka, a raczej, tu mnie uratował...

– Ciebie?? Zwykły facet? – zdziwił się.

– To skomplikowane. I trudno powiedzieć, że to był „zwykły facet”... – pokiwała głową, nie spuszczając oczu z zamku – Tak, typowo to ja was ratuję, ale wtedy byłam bardzo długo w dołku... sama... osłabiona... Nie pamiętam jak to było dokładnie, ale jakieś ciule zrobiły ze mnie niewolnicę, głównie seksualną...

Paul dostał gęsiej skóry i czerwona mgła zaczęła mu przesłaniać panoramę Rzymu. Ale nie przerywał jej.

– W końcu trafiłam w łapy młodego Krescensjusza, wtedy już nie takiego młodego, miał haremik, skurwiel – ciągnęła monotonicznie – Cenił mnie, bo nie sposób było mnie zepsuć, nie

chorowałam, w zasadzie nie trzeba mnie było karmić, a odziewać nie miał zamiaru. Ale słabo to pamiętam... To znaczy, mój... właściwy umysł i pamięć prawie straciły... łączność z awatarem... w waszym świecie...

– A co pamiętam, to wielkiego Bogdana, kiedy zdjął ze mnie jakiegoś śmierdzącego woja, chyba Niemca, wkoło był festiwal gwałtu, kiedy zamek padał – znowu wycelowała palec w mauzoleum Hadriana – Tamten się ciskał, z majtami i nogawicami spuszczoneymi do kolan, na co Bogdan wziął go za twarz i roztrzaskał jego głowę o ścianę. Reszta gwałcicieli zaczęła łapać za miecze, ale Bogdan z dwoma kumplami wybili ich w jakieś dziesięć sekund. Wszystko było we krwi i mroku, dziewczyny płakały i krzyczały, a on mnie okrył swoim płaszczem... przytulił. Byłam tak słaba, że przetrwał to... zresztą, był twardzielem... I tak się zaczęło...

Stali długą chwilę w ciszy, tylko deszcz ledwo słyszalnie szumiał za ścianą szkła, milion łez spływał po wielkich szybach.

– Kiedy to było?

– Bodaj 998, drugie przybycie cesarza Ottona do Rzymu, tym razem nie miał litości – nadał mówiła monotennie – Ja też nie miałam, po „ocknięciu się” i odzyskaniu kohezji awatara szybko wróciła mi forma. W sumie przeze mnie prawie natychmiast wybito Krescensjusza i jego pomagierów, tam wisieli – znowu wskazała zamek – A w mojej aurze 300 Niemców i Franków bało się uderzyć na 60 Polaków, po incydencie z wybiciem gwałcicieli do nogi. Jeden czy dwu odważyło się ruszyć, tam ich Bogdan z kumplami zrzucili z murów... – wskazała miejsce u podnóża mauzoleum.

Obejrzała się przytomniej na Paula, który zamarł w

zasłuchaniu i gniewie.

– Tak, wkurzyłam się wtedy, w tej aurze Bohdan z Wojnicza i jego ekipa, na co dzień banda dość prymitywnych kafarów w rozmiarze XXL, wyglądała i walczyła jak mięśniaki z kreskówki – uśmiechnęła się blado.

– I źle się wszystko skończyło dla buntowników w Rzymie, z Ottona i Bruno zesła w tej aurze cała neo-imperialna ogłada, a wylazły średniowieczne potwory... – ciągnęła kiwając głową – No i sprawa wybicia gwałcicieli przez Polaków zaraz przyschła, bo Otton wściekł się i zapowiedział, że powiesi na Monte Mario nie tylko każdego gwałciciela, ale też każdego, kto będzie bronił gwałcicieli, nie ważne jak wysokich rodem i z jakiego plemienia.

– Zresztą, lubił tę doborową setnię, dostał ją w prezencie od polskiego księcia. Chyba to był kamyczek do jego ogródka zabaw w wymarzoną odbudowę Imperium Romanum, choć bardziej na wzór Bizancjum – ziewnęła i przeciągnęła się uroczo – Uważał ich za „barbarzyńską gwardię”, jak cesarze Rzymu mieli Germanów, jak Bizancjum miało Wikingów. I w ten sposób zostałam z Bogdanem na dłużej...

Paul odstawił kawę na stolik (dobrze, że kubek był mocny i nie rozleciał się, palce go bolały od nieświadomego ściskania naczynia) i przytulił mocno Ninę, jakby troszkę zaskoczoną.

Tulił ją w ramionach, oddała uścisk, wtuliła twarz w jego obojczyk.

Stali tak bardzo długo. Od strony Watykanu pokazała się olbrzymia tęcza.

Doniesienia po ich akcji „wyjęcie obrazka pana Antyka wybuchowym otwieraczem do puszek” robiły się coraz bardziej zagmatwane, co było dla nich dobre, a nawet – zabawne.

Mieli nadzieję, że wybuch i zawalenie się ćwiartki willi nie zabiło czy poraniło nikogo (pomieszczenia służby były po drugiej stronie domu, a Antyk z rodziną i ochroną wyjechał do Rzymu), ale okazało się, że były pewne ofiary. Obrażona na dziadka wnuczka Colombo została w domu, a kiedy złożył się dach i kawałki ścian, została lekko ranna. Razem z dwoma kochankami, których ściągnęła sobie na noc.

Włoskie brukowce rzuciły się na ten wątek niczym szczeniak na szynkę.

Z drugiej strony, policja i służby, a zaraz potem media i sam Antyk, były skonfundowane, że celem zamachu klasy poważnego terroryzmu albo dzieła dużej mafii, ewidentnie w celu otwarcia skarbcza, nie była kradzież. Praktycznie nic nie zginęło, nawet złote artefakty i biżuteria, łatwe do „przerobu” i sprzedania, co najwyżej sporo rzeczy zostało uszkodzonych.

Z trzeciej strony, zaraz wybuchła kolejna bomba, w przenośni, kiedy okazało się, że może i niewiele zostało ukradzione, ale z tego, co wysypało się ze skarbcza Colombo, bardzo wiele BYŁO ukradzione w ostatnich dekadach, w całej Europie i w połowie Rosji po upadku sowietów. Nagle Antyk znalazł się w niewygodnej pozycji czołowego pasera kradzionych dzieł sztuki, a nie – biednego poszkodowanego antykwariusza.

Z czwartej strony, Lucas z prawnikiem robili z mediów i policji idiotów, bardzo malowniczo i bardzo dokładnie, aż po oświadczenie ambasadora Szwajcarii, groźby procesów i serie

artykułów satyrycznych, pewnie sponsorowanych, na przykład o konieczności badań wzroku policjantów włoskich, którzy nie odróżniają czarnego audi od granatowego, albo żarty, że nocą wszystkie audi są czarne.

W końcu nawet Paul i Nina nieco dziwili się, jak to możliwe, że w ciągu paru dni pytanie „ale kto, jak i po co to zrobił?” jakby zeszło na dalszy plan.

Oczywiście taki obrót sprawy nie spędzał im snu z powiek, mówiąc w przenośni, gdyż nie sypiali.

Któregoś dnia Paul ogłosił, że sprawa jest zakończona; Nina śmiała się, że nawet rzymska pogoda zgodziła się z Fraserem, bo właśnie wróciła pogodna ciepła wiosna.

To był dobry dzień – przy pomocy właściwego planowania i właściwej perswazji Niny, wywartej na kierowniku złomowiska, zniknęli ostatni oczywisty ślad, trefne audi S6, zbyt unikalne, żeby je zatrzymać. Trochę szkoda było fajnego wozu, ale jednak zniknęli go, nie tylko „na szrocie” czy na części, ale byli świadkami jak od razu poszedł do wielkiego szredera–niszczarki na złomowisku. Jego oryginalne i kradzione tablice, numery, i tak dalej, sami pocięli i rozrzucili fragmenty po śmietnikach, w połowie Rzymu.

Analiza „prasówki” i wieści od Matteo i Lucasa mówiły, że nikt nic nie wie i nie ma żadnego tropu. A Matteo i Lucas wiedzieli, że jeśli ktoś wpadnie nagle na trop, to Paul albo jego kumple rozliczą się z nimi, za zdradę lub nieostrożność.

Ninie troszkę nie podobało się, że aż tylu ludzi „coś” wie o nich i o akcji, i może ich sprzedać służbom, ale Fraser zapewniał, że choć może lojalność Lucasa i Matteo, czy albańskich gangsterów, czy starego Włocha od którego

wynajmowali wielki wyposażony garaż, nie jest klasy jak Akita czy paru bliższych przyjaciół, wydaje się wystarczająca. A ich instynkt samozachowawczy najlepszą gwarancją sukcesu.

A propos Akita Misawa i wieści z Japonii, tego samego dnia, ze strony internetowej nieistniejącego japońskiego schroniska dla zwierząt, z pewnej konkretnej podstrony, zniknęło zdjęcie wyszczerzonego wściekłego wilczura, a pokazało się z powrotem zdjęcie miłego słodkiego kociaka, o czym doniósł Paulowi odpowiedni newsletter schroniska. Akita zdjął „czerwoną flagę”, można było się z nim kontaktować. Czyli najprawdopodobniej sprawy w Japonii też przysychały.

Wieczorem poszli na pyszny obiad do ulubionej restauracji Niny, troszkę upili się, w domu poprawili szampanem, ale potem, zamiast kochać się jak szaleni, przesiedzieli całą noc razem. A dokładniej, Nina przesiedziała noc na kolanach Paula zalegającego w wielkim fotelu; szeptali do siebie swoje historie, w półmroku apartamentu oświetlonego tylko przez pogodne nocne niebo, i panoramę Rzymu, i iluminację zamku świętego Anioła.

25

Któregoś dnia Paul zabawiał się ćwiczeniami w mini-siłowni a Nina pracowała na laptopie w salonie – nagle usłyszał, że zakłęła i to nie do końca pod nosem, ale całkiem głośno, gdzieś tam obok balkonu.

Już miał iść do niej, ale to ona zaraz przyszła do niego.

– Coś się stało? – zapytał, przerywając ćwiczenia na

maszynie wielofunkcyjnej.

– Małe co nieco... – założyła ręce na piersi i oparła się barkiem o framugę drzwi pokoju–siłowni, zmarszczyła brwi – Dostałam wiadomość od administratora mojego domu w Kalifornii. Wspominałam ci, mam chatę w Pismo, okolice Santa Barbara. Mieszka tam za darmo w służbówce para emerytów, pilnują mi majdanu. Piszą mi z przerażeniem, że sąsiad, który już wcześniej się przypieprzał, taki bogaty burak–redneck, grozi im i tak dalej. Nieraz chciał odkupić dom, mnie się boi, ale nachodził tych dziadków, czasem z prawnikiem, a teraz podobno bardzo eskaluje... Masz kogoś w Stanach, żeby mu pogroził paluszką? Bo nie chce mi się tam lecieć, wolę tu popracować.

– Kwestia ceny... – rozciągał mięśnie klatki po ćwiczeniach – I co tak naprawdę chcesz z nim zrobić. Gość jest tylko bogatym redneckiem, czy coś więcej? Znany? Ustosunkowany?

– Nie wiem, zdaje się tylko bardzo bogaty. Z tego co mi opowiadał kiedyś Sam, ten administrator, to gość odziedziczył czy może wygrał duże pieniądze, jakiś nuworysz. Pewnie ciągle mu mało... Nie miałam czasu go naprostować, kiedy byłam tam ostatni raz – wzruszyła ramieniem.

– Mhm – wstał z ławeczki i przeciągnął się – I co życzysz sobie z nim zrobić? Oberżnięta głowa jego konia czy kotka w nogach jego łóżka, i słowo ostrzeżenia, czy po prostu zniknąć go i zapomnieć? Koszt będzie podobny...

– Sama nie wiem – zastanawiała się – Żeby NA PEWNO Sam i Edna mieli spokój, to pewnie zniknąć?

– Aha.

– No to zniknij go.

– Rozkaz – pokiwał głową – Muszę skołować czysty telefon i kartę, żeby to zorganizować. No i potrzebuję dane celu.

Nina sięgnęła gdzieś za drzwi, na blat kuchenny za rogiem korytarza.

– Proszę – z uśmiechem dała mu jakiś najprostszy telefon, który tam „znalazła” – Chodź po dane.

Paul wybrał numer z nieopisanej wizytówki, którą nosił w portfelu. A raczej: skonstruował właściwe cyferki, bo numer był też zależny od bieżącego roku i miesiąca. Przeczekał parę dzwonek, zanim ktoś odebrał.

– Halo? – odezwał się męski głos, jakby znajomy.

– Witam, dzwonię w sprawie dostawy czekanów wysokogórskich – powiedział.

– Cześć, Paul – odparł Stephen – Co słychać?

– Nic ciekawego, życie płynie należycie. Jak tam Jenny?

– Macha do ciebie entuzjastycznie.

– Również pozdrawiam! Macie czas na robotę w Kalifornii? Odstąpiłbym wam, bo jestem zajęty po drugiej stronie planetki.

– Jak pilnie i jak duża?

– Jeden homo–niesapiens, do dyskretnego zniknięcia. Nie na wczoraj, ale raczej prędzej niż później.

– Znany? Obstawiony?

– O ile wiem nic specjalnego, zwykły bogaty buc.

– Poczekaj chwilkę... – pewnie coś tam omawiali.

Paul czekał, Nina kręciła głową w jakimś zdumieniu.

– Czy to jest Murder Inc. i właśnie wpisują nas w terminarz?? – szepnęła.

Fraser uśmiechnął się ponuro i pomachał dłonią, że nie, wcale nie.

– Hej – odezwał się telefon – Damy radę, w około tydzień, może nieco ponad. Będzie dobrze?

– Pewnie. Jeszcze powiedz mi za ile?

– Jeśli normalny, bez obstawy, to dwieście.

– Podrożało? – Paul się skrzywił.

– Aha – słyszał, że Stephen się śmieje; wiedział, skubany, że w tej branży podaży rządzi – Inflację mamy!

– Jaasne... Ale niech ci będzie. Czy możesz notować?

– Dawaj.

Paul przedyktował dane i adres sąsiada Niny.

– Jedna uwaga, nie róbcie mu nalotu na chałupę czy okolicę, okej? Bo właśnie o to idzie, żeby okolica miała od niego spokój, na wieki wieków, amen.

– Rozumiem, jeśli się da, znikniemy go „na miękko” – Stephen był zawodowcem i to nie od dziś – Płatność jak zwykle. Coś jeszcze?

– To chyba wszystko...

– Możemy na ten twój numer... włoski?? zgłaszać problemy albo rezygnację?

– Tak, powiedzmy przez tydzień.

- Okej. Życz nam powodzenia.
- Życzę nam powodzenia!
- Trzymaj się, Iceprick.
- Cześć wam.

Paul rozłączył się i rzucił telefon na stół.

– Tłumacz się! – Nina nadal kręciła głową.

– Najlepsza para zabójców, jakich znam – wzruszył ramieniem i rozciągał kark, coś mu w nim skrzypiało, albo po ćwiczeniach, albo ze starości – Będzie nas to kosztowało 220 tysięcy dolarów.

– Wiele to nie jest... – zastanawiała się – I masz ich ot tak, pod telefonem? Twoja „sekcja USA” czy „sekcja Ameryka”?

– Nie mam ich, są niezależni – ziewnął – I globalni. Nie mam pojęcia, gdzie teraz są, przeważnie nikt nie ma. Wymyślili sobie trudną, ale genialną przykrywkę. Jeszcze lepszą niż nasze pomysły na pływanie po świecie statkiem: mają jakiś spory prywatny odrzutowiec i wszelkie uprawnienia na niego, pozują na małżeństwo – parę pilotów, mieszkają w nim, latają tu i ówdzie. Przeważnie twierdzą, że czekają na jakiegoś arabskiego szejka czy innego VIPa. A w międzyczasie pracują...

– Faktycznie, genialnie – kiwała z podziwem głową – Ale to rzeczywiście kupa zachodu, nauczyć się latać, wszelkie papierki, jakieś rejestracje „na lewo”, utrzymanie samolotu...

– Mhm, chyba wolę statki – roześmiał się – Papierków i uprawnień pewnie tyle samo, ale przynajmniej statki nie

spadają nagle na ziemię. No ale przez to oni są szybsi a nie, że pomaluszku, pół świata w miesiąc. Zresztą, kiedyś Jenny śmiała się, że z legalnych czarterów „pod przykrywką” też sporo kasy wyciągają. Ale z mokrej roboty na pewno z dziesięć razy więcej... Muszę się napić.

Poszli do kuchni, Paul wychlał butelkę piwa. Nina zastanawiała się.

– A co to znaczy „zniknąć na miękko”? – zapytała.

– Coś w stylu „zniknął, ale zostawił żonie list – podstawę rozwodu, oznajmił, że wyjeżdża z kochanką w anonimową podróż dookoła świata”, czy co tam wymyślą dla niego – Paul machnął ręką – W przeciwieństwie do „zniknął bez wieści pewnej nocy i cała Kalifornia go szuka”.

– Aha... – nadal była nieco zdumiona podziemiem bandycko–najemniczym, w którym Paul obracał się tak sprawnie – Mam ci jakoś przelać te pieniądze?

– Możesz mi coś podrzucić, żebym nie opróżniał dziwnych kont–zaskórniaków, dam ci namiary. Ale razie zapłacę ze swoich – pokręcił głową – Tak będzie prościej, mam ustawione pewne konta i fundusze na takie okazje. Stąd te 10 procent górą, pralki pieniążków w Monako czy Luksemburgu tanie nie są.

– Ale to chyba nadal względnie tanio, za czyjeś życie...

– Nie, to względnie drogo i u profesjonalistów – prychnął – Zresztą, jeśli ma obstawę albo okaże się gwiazdorem, to jeszcze przyjdzie nam dopłacić jak za prezydenta, albo odwołać... Normalnie to jakiś zbir kropnąłby go za dychę. Ale nie chcemy śladów, dochodzenia, zbira w areszcie i zamieszania w Kalifornii, prawda?

- Prawda.
- Właśnie za unikanie tego tak dużo się płaci, życie jest tanie.

26

Wracali z długiego spaceru, Paul pierwszy raz był w bazylice świętego Piotra i w Kaplicy Sykstyńskiej. Zrobiły na nim pewne wrażenie, ale monumentalna architektura czy ultra super wielkie znane dzieła sztuki nie były jego ulubionymi. Sam przyznawał, że nie zna się na tym, ale wołał bardziej kameralne, mniej „emocjonalne” czy „barokowe” dzieła, wydawały mu się doskonalsze.

Przekomarzali się o to, idąc przez pustawy plac świętego Piotra, między kolosalnymi kolumnadami obramowującymi słynne miejsce. Nina oponowała pół żartem, że wielkość i „emocje” dzieła mogą przecież przechodzić w jakość, na co Paul burczał, że kolosalna piramida czy kolumnada to tylko kupa kamieni, i działa tylko na głupków pozbawionych dobrego smaku, przygniecionych samym ogromem obiektu, ale nie na wyrobione artystycznie umysły. Jak jego własny, oczywiście.

Rozmawiali wracając do domu, szli spacerkiem w stronę zamku świętego Anioła, szeroką aleją della Conciliazione, zabudowaną starymi wielkimi kamienicami, w stylu od renesansu po neo-klasycyzm; w połowie zajętyymi przez biznesy około-turystyczne (w sezonie musiały tu być tłumy pielgrzymów), w połowie przez różne ambasady.

- Pewnie dla ciebie nawet największe dzieła ludzi, to

niewiele... – Paul zmienił ton na bardziej serio. Zerkał na profil Niny, która jak zwykle emanowała nadludzko silną OBECNOŚCIĄ. Poza apartamentem, poza kameralnymi okolicznościami kiedy byli razem, „na mieście”, zauważał to znacznie łatwiej. A może wyrażało się to znacznie mocniej. Bruk, kamienice, Rzym w jej przestrzeni stawał się bardziej, nieliczni przechodnie oglądali się za nią – Zgaduję, że... wasze dzieła... są zupełnie innej skali?

Szła przez chwilę w milczeniu, włożyła dłonie w kieszenie niebieskiego designerskiego płaszczyka. Zapatrzyła się na koniec alei, gdzie widać było niskie baszty zamku świętego Anioła.

– Dzieła... – mruknęła – To dobre pytanie, jakie są nasze dzieła, tak naprawdę... Widzisz, my niewiele tworzymy, w waszym sensie „tworzenia”. Nie mamy sztuki. Nie mamy nauki, techniki czy technologii w waszym rozumieniu. To znaczy, wpływamy na rzeczywistość... na różnych poziomach... ale nie przez zmienianie jakichś materiałów, tworzenie obiektów... systemów...

– Inżynierię – odpowiedział Paul.

– Nie przez inżynierię czy technikę, czy sztukę, tylko raczej przez manipulację istniejącymi... systemami czy obiektami – wzruszyła ramieniem i wyjęła ręce z kieszeni, ujęła jego dłoń – Raczej wykorzystujemy to, co zastaliśmy... zastajemy, naginamy do naszej woli, niż tworzymy nowe rzeczy, czy obiekty, czy miejsca... Nie potrafię tego wytłumaczyć! – zdenerwowała się, uściśnęła lekko jej dłoń.

– Tworzycie, tak jak mnie? – zapytał cicho, nie spojrzawszy na niego, ale nagle oddała jego uścisk.

– Owszem, przecież wiesz, że się zmieniasz, że wszystko się zmienia wkoło mnie – ciągnęła spokojniej, zapatrzona w dal – To nie do uniknięcia. Ale czy uważasz, że wykorzystuję cię, masz żal o to?

– Absolutnie nie – poczuł lekki skurecz w brzuchu, nie wiedział, czy na zwierzęce wspomnienie rozkoszy, jakich z Niną doświadczał, czy ze strachu, że mogłaby go porzucić – Jestem w najlepszej formie w życiu, chyba... najszczęśliwszy w życiu. Jak miałbym cię o to OBWINIAĆ? Próbuję tylko zrozumieć skalę zmian, możliwości... zagrożeń, w twoim świecie... Czy na przecięciu naszych światów.

– Tak... – szli dłuższą chwilę w milczeniu, trzymając się za ręce – Skala... Jesteśmy karzełkami, Paul. Nawet jeśli ludzie przez millenia opowiadają o nas legendy i tworzą całe mitologie na podstawie plotek o nas, tak naprawdę: wegetujemy na popiołach naszych księżycowych królestw.

Smutek w jej głosie był porażający, wydało mu się, że Rzym wkoło traci kolory i staje się monochromatycznie srebrzysty, ale może miał przywidzenie, mrugnął i wszystko wróciło do normy.

– Największym naszym... moim i męża dziełem czy manipulacją byliście, jesteście wy, ludzie – obejrzała się, doskonale spokojna, na zdumionego Paula – Wiele nas to kosztowało.

– W jakim sensie „manipulacją”? – wydukał.

– W sensie „niech się stanie homosapiens” – zaśmiała się sucho – A głównie w sensie eksplozji waszego języka, trochę też inteligencji.

– Wpływaliście na ewolucję naczelnych? Przez miliony lat??

– Nie, około 50 tysięcy lat temu... odcisnęliśmy nasz wpływ, na waszych mózgach, rozumach – ciągnęła miarowo, w rytm kroków na rzymskim bruku – Umysłach całej „ludzkości”, tak naprawdę, „ludzkości” małą naczelnych.

– I co to zmieniło? – próbował sobie gorączkowo przypomnieć okruciny popularnonaukowej paleontologii i wiedzy o przodkach człowieka, nie znał się na tym, ale chyba według nauki 50 tysięcy lat temu byli już zupełnie normalni nowożytni ludzie.

Spojrzała na niego, w jej oczach migotały zielone płomienie.

– Zaczęliście nie tylko być ciekawscy, czy pohukiwać do siebie w protojęzykach, jak byle szympansy czy orangutany, ale też zadawać pytania. I udzielać na nie odpowiedzi.

W milczeniu wyszli na plac przed zamkiem świętego Anioła, rozpletli dłonie i podeszli do kamiennej barierki, ponad niższym bulwarem nad samym Tybrem. Widać stąd było ich penthouse, na szczycie kamienicy po drugiej stronie rzeki.

Nina oparła się ciężko na łokciach, na parapecie murku, zapatrzyła się na wodę, wolno płynącą w prawo, spod mostu świętego Anioła. Paul stał obok, miał tysiąc pytań, ale... sam nie wiedział czemu woli ich nie zadawać, czego się obawia.

Spod mostu wypłynął mały stateczek wycieczkowy z turystami, prawie łódka, spłynął w dół Tybru.

– Szlag by trafił pamięć i wspomnienia! – z uczuciem rzuciła Nina, splunęła za barierkę.

Paul zdumiał się, teraz na pewno wołał się nie odzywać.

– Przepraszam cię! – obejrzała się na niego – Ja nie o

prehistorii ludzkości, czy o kosmosie, tylko o tym wszystkim wkoło, nawet ta durna łódka mnie wkurwia, bo COŚ przypomina.

– Po milleniach wszystko jest znajome?? – udało mu się wykrztusić.

– Żebyś wiedział! – pokiwała głową, patrzyła za stateczkiem, znikającym za zakrętem rzeki – Przypomniała mi, jak spieprzaliśmy właśnie stąd, za Marka Aureliusza. Zaczynała się epidemia, wkręciliśmy się z Danelem do poselstwa na Wschód, żeby stąd uciec, coś koło 165 roku.

Paul sprawdził, czy ma zamknięte usta, bo mentalnie szczęka opadła mu do ziemi, na takie nagłe przeskoki księżycowej Niny, od 50 tysięcy lat przed naszą erą do historii starożytnego Rzymu.

– Za TEGO Marka Aureliusza?!

– Tak, tego, tego – obróciła się i oparła biodrami o kamienną barierkę; zapatrzyła na zamek świętego Anioła, górujący nad nimi – Już wtedy pozował na retora i filozofa, ale... był w porządku.

– Nie było tu tych murów i baszt, mauzoleum było znacznie ładniejsze... Na szczycie nie było tego anioła, tylko wielka złota kwadryga, świeciła się w słońcu – patrzyła w górę, na korpus zamku, obejrzała się w lewo, przez ramię – Od Zatybrza śmierdziało jak... ależ śmierdziało. Wszędzie było słyszeć wycie płaczek i rodzin, coraz więcej ludzi umierało, jakaś odmiana ospy przywleczona z Persji. Wywozili zwłoki poza mury, za rzekę, tu wszędzie były cmentarze. Nie chciałam ryzykować, że Danelowi coś się stanie... choć pewnie był odporny, byliśmy ze sobą bardzo długo. Tak czy owak,

dokładnie stąd spacerkiem spłynęliśmy do Ostii i dalej na Wschód, aż do Chin.

– DOKĄD??

– Do Chin, z oficjalnym poselstwem Senatu i Ludu Rzymskiego – obejrzała się na Paula i uśmiechnęła na jego minę – Co, nie uczyli w szkole? Do Indii pływało się rutynowo, no, do Chin trochę mniej, ale też dopłynęliśmy bez większych problemów. W sumie gorsze były trzy miesiące lądem, z Wietnamu do Luoyang, niż trzy miesiące morzem, z Ostii do Wietnamu. A mogliśmy popłynąć aż do właściwych Chin, czy pod Koreę, przecież znałam prawdziwą mapę świata na pamięć...

– Ale nie dało się przekonać wielce poważnych i odważnych posłów, nawet ja nie dałam rady po dobroci. Gdy tylko okazało się, że jesteśmy przy brzegu chińskiej prowincji, przyszło wysiadać i zasuwać lądem, przez pół Wietnamu i Chin, tak bardzo nienawidzili morza...

Rozejrzała się po placu, po zamku.

– A i tak nie uciekliśmy zarazie, może nawet zawlekliśmy ją tam... – zmarszczyła brwi – Ale raczej nie, przybyła swoim tempem, Jedwabnym Szlakiem.

Paul próbował sobie wyobrazić półroczną podróż stąd, spod tego mostu i zamku, do centralnych Chin, przez Egipt, Arabię, Indie i Wietnam, w czasach Marka Aureliusza, ale trochę nie starczało mu wyobraźni i wiedzy.

– Mniejsza z historią, bliższą i dalszą – mruknęła Nina po długiej chwili milczenia – Wróćmy do teraźniejszości i przyszłości.

Paul pokiwał głową, tak, lepiej zapomnieć o oceanie pamięci, który stał obok niego, skoncentrowany w postaci ukochanej kobiety.

– Słucham cię z najwyższą uwagą, jaki jest następny cel? – zażartował, prawie naturalnie.

Nina założyła ręce na piersi, przyglądała mu się bardzo długo, z lekko kpiącym uśmiechem na bladej twarzy, w cieniu ciemnych włosów jej oczy błyskały zielonymi iskierkami.

Zdecydowanie wskazała palcem, dyskretnie ponad swoim łokciem, coś po jego prawej.

Obejrzał się, nie zrozumiał od razu, ale zaraz go oświeciło.

– Żartujesz, PRAWDA?? – wykrztusił.

Najwyraźniej wskazywała bazylikę świętego Piotra w perspektywie via della Conciliazione, i na Watykan.

27

Wiosenne rzymskie wakacje zmieniły się w pracowite tygodnie.

Paul miał nadzieję, że nie będą kraść kolejne dzieła sztuki, czy włamywać się do wielce tajnych Archiwów Watykanu, niczym w głupich książkach czy filmach sensacyjnych. I owszem, okazało się, że zadanie postawione przez Ninę jest inne, znacznie dziwniejsze.

– ... w zasadzie chodzi tylko o to, żeby się tam fizycznie dostać, w tym świecie... z resztą sobie poradzę. No może też: żeby się wydostać. Ale nigdy mi się nie udało – Nina pociągała

pachnącą kawę z dużego kubka. Siedzieli nad starą dużą papierową mapą Watykanu, przy rozsuniętych oknach penthouse'u, włoska wiosna była coraz przyjemniejsza. Rozpraszała go jej bluzka, a raczej brak stanika.

– A kiedy ostatnio próbowałaś?! – zbystrzał, ładowanie się na włam zaraz po nieudanym poprzednim to było proszenie się o kłopoty. Ale może czasem dawało się w ten sposób zaskoczyć cel czy ochronę, chamskim tupetem.

– W siedemnastym wieku – odparła pogodnie, troszkę śmiała się z Paula, którego nadal zaskakiwała rozpiętość jej historii i działań – Przez Bogdana wkręciliśmy się w orszak i imprezy związane z wizytą polskiego następcy tronu, jak on się nazywał... Władysław? To była poważna wizyta, on był koło trzydziestki, na grand tour po Europie czy może na pielgrzymce, z poważnym orszakiem. Było hucznie, papież mu sprzyjał, wydawało się, że w tym zamieszaniu spokojnie dostaniemy się do podziemi Watykanu, szczególnie, że Bogdan przecież był Polakiem... Ale nie daliśmy rady. Gwardia i jezuici zauważyli nasze manewry, i pogonili nas, i zaraz polskie tajne służby też się włączyły, i przyszło spieprzać z Rzymu ciemną nocą.

Paul kręcił głową nad swoim kubkiem kawy, ech, „podróże z moją ciotką”!

– A przedpoprzednio w czasie budowy nowej bazyliki – obejrzała się odruchowo przez ramię, ale nie widzieli z foteli bazyliki świętego Piotra, musieliby nieco wychylić się z balkonu – Ale za późno się dowiedziałam, kiedy dotarliśmy do Rzymu to już był jeden wielki plac budowy. Rafael już dawno nie żył, dotarliśmy kiedy rządził wszystkim Michał Anioł. Niby było jeszcze widać znaki i resztki po starych budynkach i

grobach, niby coś tam pamiętałam, ale gówno znaleźliśmy, wszystko było przekopane parę razy i przebudowane. Zresztą, już przy starej bazylice wszystko rozwalono i przebudowano. A tak naprawdę nie wiem, na ile legendy i opowieści coś mówią o rzeczywistej... studni i jej położeniu. A raczej Studni, z wielkiej litery.

– To skąd wiesz, że ta Studnia, że cel tam jest?

– Och, wyczuwam go od zawsze, to znaczy odkąd tu się załagał – skrzywiła się – Jeszcze kiedy Rzym był wiochą a za Tybrem było jedno wielkie bagnisko i gówniana górka, obecny Watykan, i było tam tak niezdrowo, i taka skarłała roślinność... W sumie, niezdrowo przez jego aurę. Trudno go przeoczyć.

– I kto tam siedzi?

Przyglądała mu się długą chwilę w zamyśleniu, bujając kubkiem.

– Powiedzmy, smok...

Paul prawie udławił się kawą.

– ... ale nieduży!

Odstawił ostrożnie swój kubek na stolik, koło krawędzi mapy, i założył demonstracyjnie ręce za głowę, wyciągnął nogi.

– Przepięknie! – rzucił z westchnieniem, Nina uśmiechała się szeroko, drapieźnie – No bardzo się cieszę, że malutki.

– A pewnie. Na przykład za tego zagrzebanego pod Moskwą nie planuję zabierać się na razie, o nie! Nie w przewidywalnej przyszłości... – wykonała odrzucający, „pański” gest szczupłą dłonią – Ale tego tutaj można by w końcu ubić.

– I co ja robię w tym planie?! – jakoś nie wydawało mu się, że Nina żartuje, nie po tym co wyprawiała, nie po ataku w Japonii pod górką Takao. Przelatywało mu przez głowę z dziesięć wizji, jak może wyglądać i czym grozić „smok”, którego Nina wyczuwa od tysiącleci, zagrzebany pod Watykanem.

– Pomagasz mi się tam dostać. I wydostać. Ewentualnie dbasz o ręczniki, masujesz, dopingujesz na ringu – śmiała się do niego samymi zielonymi oczami, znad krawędzi kubka – A propos masażu...

– Podobno Studnia była pod obeliskiem, a może odwrotnie obelisk postawiono na miejscu bardzo dawnych ołtarzy, budowanych wiele razy, przez tysiąc lat, nad Studnią – Nina referowała; zatrzymali się na „rozpoznawczym” spacerze, w cieniu pod kolumnadą lewego portyku bazyliki świętego Piotra.

Było piękne rzymskie południe, prawie bezchmurnie. Na placu bazyliki było sporo turystów i pielgrzymów, najwyraźniej sezon turystyczny zaczął się na dobre.

Paul skupił się na słynnym egipskim obelisku, stojącym w centrum placu świętego Piotra.

– I niby gdzie tu jest jakieś wejście do podziemi? – zmarszczył brwi – Jakieś dojścia pod placem, tunele? Czy studzienka kanalizacyjna i mityczne kanały pod Watykanem?

– Nie! – Nina roześmiała się, objęła go nagle z boku, oparła głowę o jego ramię i przytulili się do siebie. Zaczęła mówić ciszej i wolniej – Widzisz, obelisk został przesunięty tutaj, kiedy kończono nową bazylikę. Oryginalnie stał na środku

cyrku Nerona, *circus Neronianus*, który był między wzgórzem watykańskim a wzgórzami Ianiculum, w stronę Zatybrza. Gdzieś tam za nami – obrócili się i poszli przez portyk, na południe, w stronę skrzyżowania na via Porta Cavalleggeri.

– Czy „cyrk” oznacza taki stadion do wyścigów konnych, jak *Circus Maximus*? – dopytywał Paul

– Tak – Nina rozglądała się po budowlach, szczególnie po prawej stronie ulicy – Niby Nerona, ale postawiony jeszcze za Kaliguli, bodaj on kazał ustawić obelisk. Ciekawe, KTO go zainspirował... i nie tylko w tej sprawie... Ja nie pamiętam dokładnie, co tu stało za Kaliguli czy Nerona, bo poprzednio bujałam się tutaj jeszcze przed budową cyrku. Po tej stronie rzeki dopiero stawiano pierwsze wille arystokracji, podmiejskie, na północ od starego Zatybrza. Byłam rezydentką u Agryppiny. Hmm... – zamyśliła się – W sumie to chyba po niej Kaligula odziedziczył ten teren pod cyrk... A w czasach Piusa i Marka Aureliusza nie łaziliśmy tutaj, cyrk był już prawie w ruinie, a ponad nim na zboczu Watykanu były cmentarze, chyba to, co teraz nazywają „nekropolią pod bazyliką”.

Przeszli na drugą stronę via Porta Cavalleggeri, rozglądali się wzdłuż sporej ulicy, po murze i zabudowie od strony Watykanu. Zza dużego renesansowego budynku i nowoczesnej płaskiej budowli wyglądała wielka kopuła bazyliki świętego Piotra.

– W 998 też tu nie bywałam, tylko na mszach i imprezach w starej bazylice, po cyrku już ślad nie został – ciągnęła zamyślona – Ale wydaje mi się, że pamiętam obelisk, stał pod lewą nawą, gdzieś tu – machnęła dłonią – Nowa bazylika stoi prawie w tym samym miejscu, więc to powinno być gdzieś

między nami a kopułą. Tylko nie wiem, gdzie dokładnie. A jak ostatni raz chciałam tu pomyszkować z Bogdanem około 1625, pogonili nas, jak mawiał: psubraty...

– I teraz też nas pogonią – mruknął Paul.

Nina zagapiła się na niego, zdziwiona.

– Ta terenówka w kolorach maskujących, w załomie bastionu – kiwnął brodą w stronę kiosku z prasą pod wysokim murem Watykanu, za kioskiem był zaparkowany samochód – I jest tego, jest ich o wiele więcej. I o ile pamiętam, Gwardia po zamachu na papieża podciągnęła się mocno, policji i żandarmerii też widzę tu sporo.

– Właśnie dlatego cię potrzebuję! – błyskawicznie cmoknęła go w policzek, z tą żywiołową radością, od której serce mu zamierało z miłości – Ale masz rację. Gwardia, Żandarmeria Watykańska, zwykła policja i żandarmeria, plus jakieś dziwne organizacje, w spadku po dawnych siłach specjalnych jezuitów...

Milczała chwilę.

– Smoki wpływają na ludzi – zajrzała mu głęboko w oczy – I nie jest to dobry wpływ.

Poszli powoli wzdłuż ulicy na zachód.

– To wygięte pamiętam z mapy, Aula Pawła VI, a tamto pudło wcześniej? – Paul oglądał się na budynki, notował w pamięci szczegóły, topografię, rzeczywistość.

– Pałac Świętego Oficjum, czyli Kongregacji do Spraw Wiary – Nina też się obejrzała – O ile pamiętam, był tu już w XVII wieku. A to mniejsze przed nim tylko udaje dawną

bramę, Porta Cavalleggeri, oryginalna była raczej tam gdzie wyszliśmy ulicą.

Doszli do ostrego załomu, na oko do tego miejsca sięgała Aula Pawła VI za murem; przeszli na drugą stronę ulicy, pod bastiony Watykanu.

– Poprosiłam kiedyś starego znajomego, fachowca od historii Rzymu, żeby mi znalazł właściwą topografię i podpowiedział gdzie stał oryginalnie obelisk w cyrku Nerona – weszli w małą uliczkę, wznoszącą się wzdłuż muru – Ale nie wiem czy coś znalazł... nie wiem nawet czy jeszcze żyje, może potem sprawdzimy.

Uliczka rozszerzyła się w parking u podnóża bastionów, w których załomie była solidna brama wjazdowa, z gwardzystą szwajcarskim, który pobieżnie kontrolował samochody wjeżdżające na teren Państwa Papieskiego. Posterunkowy był w uniformie „ćwiczebnym”, nie w renesansowo–paradnym, ale nieco–renesansowym, granatowym, w berecie i w białych rękawiczkach. Bardzo różniącym się od nowoczesnego munduru jego kolegi, w normalnym kamuflażu; kolega stał nieco dalej, w cieniu pod ścianą, z pistoletem maszynowym na piersi.

Nie musieli się umawiać, Paul nie musiał Niny „naprowadzać”, bez najmniejszego zawahania czy gapienia się na strażników przeszli przed bramą jakby nigdy nic i poszli dalej, przyglądając się posterunkowi spod oka.

– Obstawieni są... – mruknął Paul.

– Mhm – odmrugnęła Nina – Ingresso del Perugino, jedna z trzech oficjalnych bram Watykanu. A to paskudne pudło za nią, to hotel kardynalski. Ale to już na pewno za daleko, widziałeś

wzdłuż tamtej uliczki za bramą koniec bazyliki?

– Aha.

– No więc stara bazylika była krótsza, i na pewno miejsce którego szukamy, było na jej boku – ciągnęła, nagle wzięła go za rękę.

– Czyli to gdzieś za Aulą?

– Chyba tak. Ale to Studnia według legend, a gdzie jest dojście czy wejście, to jeszcze inna kwestia... – zabawnie podrapała go paznokciami we wnętrzu dłoni – Idziemy na lunch! A potem poszukać, czy mój antykwariusz jeszcze żyje.

Niechący wyszli poza koniec uliczki, prawie na początek wiaduktu kolejowego watykańskiej bocznicy kolejowej. Paul zdumiał się na widok potężnego starego wiaduktu, przekraczającego dolinę i parę ulic poniżej; wiaduktu na którym była poprowadzona jednotorowa linia kolejowa i uliczka–deptak.

– Imponujące! – Nina też była zaskoczona. Oglądali wiadukt i kolosalną bramę w murze Watykanu, zamykającą tory i dostęp do wnętrza twierdzy – Nie pamiętam tego. Ta linia musi wychodzić na stację San Pietro.

– Tam gdzie przyjechaliśmy z La Spezia? – Paul rozglądał się po torach, po bramie, rozważał dziwne plany.

– Tak, po tej stronie nie ma innej stacji – Nina też rozglądała się, obejrzała w tył – Chodźmy na dół tamtymi schodami.

Zjedli niezły lunch w pierwszej z brzegu restauracyjce przy placyku, przytłoczonym wysokim wiaduktem papieskiej kolejki, po czym pomaszerowali na południe.

Nina halsowała w kierunku kościoła, którego nazwa rozbawiła Paula, Matki Boskiej Łaskawej przy Piecach. Zaraz wyjaśniła mu, że nie szło o zapiecek czy ogrzewanie, ale o cegielnię, które tutaj wypalały góry cegieł, zużyte przy budowie obecnej bazyliki świętego Piotra i całej okolicy.

Wyszli na miły placyk przed barokowym kościołem, perspektywę ulicy po lewej zamykała wielka kopuła bazyliki watykańskiej. Nina rozejrzała się i przyklasnęła, antykwariat po drugiej stronie skweru nadal istniał, to już była połowa sukcesu.

We dwu witrynach leżało trochę książek i rękopisów, weszli między nimi w ciężkie drzwi, dziesiątki razy malowane na ciemnozielono.

Spore wnętrze było przyciemnione, kinkiety były za słabe. Światło pochłaniały tysiące starych książek, na regałach i w kupkach; książ w większości oprawionych w ciemną, brązową, zieloną, czerwoną skórę. W kątach i na blatach stało też parę ładnych, niedużych rzeźb, przeważnie odlewów. Było cicho i przytulnie, zapach starych książek i skóry nie był przykry, w paru pasmach słonecznego światła, wpadających przez przybrudzone okna witryn igrał stuletni, może tysiącletni kurz.

Jedyne mocne światło paliło się nad wielkim biurkiem w głębi antykwariatu, dwie lampy stołowe i pochyleni przy ich

wysoki siwy staruszek i mały smagły chłopiec.

Obaj podnieśli głowy i nieco zaskoczeni przyjrzeni się przybyszom, jakby klienci nigdy nie zaglądali do tego przybytku.

Starzec o ostrej, pomarszczonej twarzy i przenikliwych ciemnych wpadniętych oczach, z resztkami siwych włosów do ramion i elegancką siwą brodą, która najwyraźniej nie poddawała się entropii jak jego czupryna, złapał się za serce i wymamrotał „madonnamia!”. Po czym z trudem wstał i wymaszerował zza biurka, na spotkanie Niny.

Chudy chłopiec też zeskoczył z krzesła, prawie przepadł za blatem, tylko okrągłe ze zdziwienia ciemne oczka świeciły ponad biurkiem, pod grzywą kruczoczarnych włosów.

Staruszek podpierając się o blat poszedł do Niny, która uśmiechała się do niego ciepło, nagle w połowie antykwariatu zatrzymał się i upadł na kolana. Pochylił głowę i rozplakał się, szloch wstrząsał jego chudą klatką i wąskimi ramionami, pod starą marynarką.

W ułamku sekundy, zanim nie tylko chłopiec, ale nawet ulepszony Paul zauważył co się stało, Nina zrobiła trzy kroki, uklękła przy starcu i objęła go.

Jak on szlochał...

Dzieciak przestraszył się, usta wygięły mu się w podkówkę.

Paul ruszył, niewiele wolniej niż Nina, nachylił się przed chłopcem, który cofnął się odruchowo.

– Pour favore! – zasłaniał chłopcu widok na Ninę i staruszka; zastanawiał się, skąd pamięta aż tyle włoskiego, pewnie ze stresu – Siamia amici...

– Nonno!! – chłopiec zawołał, kręcąc przecząco głową.

Zza Paula, dziadek przez szloch i łzy odpowiedział – Tutto bene, Gianluca! To znajomi, wzruszyłem się! – przeszedł na angielski.

Chłopiec uspokoił się nieco, wyjrzał zza Paula, który też się obejrzał.

Na podłodze na środku antykwariatu Nina nadal tuliła staruszkę w ramionach, widzieli jej bladą twarz ponad jego ramieniem, miała zamknięte oczy, zaciśnięte usta.

Plecy dziadka nadal drżały, płakał, tylko ciszej, coś tam cichutko mamrotał w bark Niny, „...tanti anni, decenni...”.

– Cześć Gianluca, jestem Paul – obrócił się z powrotem do chłopczyka.

– Cześć Paul – dzieciak skupił się na nim.

– Pomagasz dziadkowi w antykwariacie?

– Tak...

– I co tam macie? – zajrzał w otwartą księgę na biurku, między dziesięcioma innymi starymi tomami.

– Tukidy... Tukide... Tukidydesa.

– „Historię wojny peloponeskiej”?

– Tak! – zyskał ze 20 punktów szacunku w oczach chłopczyka.

– Wspaniałe dzieło! – uśmiechnął się do Gianluca, który też minimalnie się uśmiechnął, ale zaraz zachmurzył się z powrotem, bo w tle jego dziadek nadal popłakiwał, coraz ciszej.

Obaj znowu obejrzeni się na parę na podłodze, Nina nadal miała zamknięte oczy, mówiła coś najcichszym szeptem, prawie w ucho staruszka.

Dziadek Gianluca zaczął uspokajać się, wyprostował się nieco, Nina otworzyła niewidzące zielone oczy, wypuściła go z objęć.

Staruszek próbował wstać, Paul poderwał się razem z Niną, podnieśli lekkiego jak szkielet dziadka i zaraz posadzili go na krześle, za biurkiem. Z trudem wycierał nos, oczy, staromodną chusteczką, nieporęcznie jedną ręką, bo wnuczek trzymał go za lewą dłoń i zagładał mu z niepokojem w twarz.

– Gianluca, możesz zamknąć drzwi? – starzec uśmiechnął się do chłopca; poza zaczerwienionymi oczami, wyglądał prawie normalnie.

– Si, nonno! – Gianluca śmignął do drzwi wejściowych, przekładał tabliczkę „zamknięte” i próbował poradzić sobie z ciężko obracającymi się kluczami.

– Na pewno chcesz, żeby chłopiec tu został? – Paul cicho odezwał się do starca.

Zaskoczeni Nina i dziadek zagapili się na niego.

– Czemu nie?... – wydukał starzec.

– Bo za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat to on będzie tu płakał na podłodze...

Zaskoczony staruszek wciągnął metr sześcienny powietrza i zaniemówił.

Nina błyskawicznie objęła Paula i pocałowała w usta, mocno, do głębi, z prędkością atakującej kobry. Roztopiał się w rozkoszy i bólu klatki piersiowej, zgniatała go z nadludzką

siłą. Tracił przytomność z miłości i braku powietrza. Gdzieś z daleka dochodziły go głosy.

– Nonno, czemu oni całują się jak we filmie?! – Gianluca był zadziwiony.

– Bo pewnie kochają się, jak we filmie – staruszek westchnął głęboko.

Po odklejeniu się Niny od Paula na moment zanim zszedł z tego świata, i docuceniu go troszeczkę, przeprosili kibicujących im dziadka i wnuczka, za swoje niestosowne zachowanie.

– Arcangelo, jaka jest odpowiedź na to pytanie, które zadał Paul? – Nina przyglądała się uważnie chłopcu, który uspokoił się, teraz składał się w około 93% z czystej ciekawości.

Staruszek pomyślał przez chwilę.

– Tak, zostaje... – odparł całkiem pewnym głosem – Bo... może i płaczę... przez 46 lat... ale nie ma większego szczęścia niż...

Zapadła długa cisza, tylko Gianluca wodził zdumionym wzrokiem po wszystkich zamarłych dorosłych.

– No dobra... – Paul ocknął się; rzucił niezbyt głośno, ale swoim „wojskowym” tonem – Gianluca, ile masz lat?

– Dziesięć! – odstrzelił chłopiec.

– Ukończone?! –

– Tak jest!

– Czy chcesz być wierny pani Ninie, jak przez lata i lata był twój dziadek, jak ja jestem?

Wszyscy trzej obejrżeli się na Ninę, która stała spokojnie, w słabym świetle, w szmaragdowej sukience, nieco prześwietlonej od okien, z opuszczonymi dłońmi. Wpatrywała się w nich zielonymi oczyskami i z każdym uderzeniem serca stawiała się bardziej, boginią, matką, kobietą; Paul w nadnaturalnie wyostrożonej uwadze dostrzegał każdą zmarszczkę tkaniny na jej biodrze, najlżejszy ruch jej oddychającej piersi, mikroskopijne zmarszczki koło oczu. Antykwariat w tle osiągał stan Absolutnego Antykwariatu, którego mogłyby mu pozazdrościć pobliskie kolosalne archiwa Watykanu. Każdy pyłek kurzu, wirujący w promieniach słońca od witryn, poczuł się nową gwiazdą.

– Tak... – powiedział Gianluca i czar nieco prysł. Paul był pod wrażeniem, chłopiec wyraźnie zastanowił się i rozumiał sytuację.

– Przysięgasz?! – Paul uniósł prawą dłoń.

– Przysięgam! – chłopiec równie poważnie uniósł prawicę.

Staruszek kręcił zdumiony głową, Nina uśmiechała się leciutko.

– Dziękuję, spocznij! – Paul rzucił najbardziej sierżanckim tonem, na jaki było go stać.

Kiedy później Nina nabijała się z niego, że odegrał tę farsę z Gianluca, kazał jej się wypchać i że nie była to farsa, ale jedna z najsolidniejszych przysiąg, jakie w życiu od żołnierza odebrał. Przeprosiła go szczerze.

– Jestem Paul – wyciągnął dłoń do staruszka, który nieco ochłonął.

– Arcangelo Soleti – miał bardzo kruchą i suchą dłoń – Z Gianluca już się znacie...

– Tak...

– Czym mogę służyć, po latach? – Arcangelo zwrócił się do Niny.

– Szukam odpowiedzi, na to samo pytanie, o którym rozmawialiśmy... wtedy – była bardzo spokojna, mówiła wolniej, jakby cieplej, niż kiedy była tylko z Paulem – O obelisk i to co znajdowało się pod nim, w czasach cyrku Kaliguli, albo i wcześniej. Co było pod nim i jak się można tam dostać.

– Tak... – staruszek pokiwał głową – Zgrubną odpowiedź znalazłem 31 lat temu. A szczegóły, cóż, można ich szukać bez końca. Gianluca, możesz sprzątnąć biurko, proszę?

Po czym wolno pomaszerował na zaplecze antykwariatu, zaczął tam szurgać jakimiś szpargałami.

Chłopiec zaczął zbierać tomy z blatu, Paul mu pomagał, szczególnie odstawiać niektóre na zbyt wysokie półki.

Nina usiadła na jednym z dwu wysokich krzeseł przy biurku, jak na tronie.

Arcangelo wyniósł z zaplecza starą grubą teczkę, pełną papierów, przysiadł na swoim starym krześle. Paul posadził Gianluca na krawędzi biurka, patrzył na wszystkich z góry.

– Nie będę wam opowiadał, jakimi drogami doszedłem do tego, i ile ślepych zaułków zwiedziłem – staruszek metodycznie rozkładał na wielkim biurku stare karty pergaminowych map, jakieś szkice w rysunku technicznym i

zupełnie nowoczesne kartki A4, maszynopisy – Chyba, że zechcecie? Praktycznie w 100% pewnym jest, że obelisk stał na środku tego, co obecnie jest placem Pierwszych Męczenników Rzymskich, o tutaj.

Wskazał na mapie Watykanu placyk pod lewą nawą bazyliki, za skrzydłem frontonu, przechodzącym w portyk placu świętego Piotra.

– Trudno powiedzieć z dokładnością do metrów, ale raczej stał w centralnej części tego placu – ciągnął Arcangelo – Kwestia, co tam jest pod spodem i jak się tam dostać, to zupełnie inna kwestia...

Nina w zamyśleniu pokiwała głową, wpatrując się w papiery.

– Im bardziej to studiowałem, tym jaśniejsze zdawało mi się, że to przekłete miejsce... – staruszek wyciągnął jakieś kolejne karty – Od najdawniejszych czasów po teraźniejszość.

– Tu są odpisy listów, gdzie pokłócili się profesorowie archeologii z profesorami watykańskimi, kiedy Watykan kazał zasypać dostęp do jakichś komór pod nekropolią, datowanych na epokę brązu, cytuję „...niedopuszczalne jest cenzurowanie tak ważnych znalezisk, nawet jeśli dotyczą ofiar z ludzi”. Epoka brązu, Etruskowie albo wcześniej! – spojrzał znacząco na Ninę, na Paula. Gianluca zaczął dostawać wypieków z emocji.

– Płaskorzeźby etruskie, takie jak na tym obrazku, typowe potwory podobne do Meduzy z mitów greckich, ale na dwu co najmniej specjaliści doszukują się inskrypcji VATICA, czyli najdawniejszej nazwy wzgórza....

– Za Republiki starożytnej, jako między innymi Tacyt rzecze, na Ager Vaticanus, tam gdzie cyrk był później, tylko

desperaci, wypędzeni i obłąkani pomieszkują...

– Tu urywek zapisków prawdopodobnie z czasów Sulli, kiedy tam w zasadzie nic nie było, że „podnóże Watykanu nic dobrego ludziom a bydlu nie czyni, albowiem pod wzgórzem złe drzemie, które sercem ludzkim się żywi”...

– Jakaś anonimowa polemika z traktatem Warro, z jego etymologią nazw rzymskich, z pierwszego wieku przed naszą erą, że „Vaticanus” to nie od bóstwa tego wzgórza, oseskom mowę i płacz, *vagire*, dającego, ale że mężowie płaczą tam jak oseski...

Przełożył parę kart, Nina westchnęła – Taa, w czasach Tyberiusza mawiano, że na zboczu Watykanu tylko kwaśne wino i kwaśne myśli powstają.

– Tak – Arcangelo pokiwał głową – Za Nerona, wiadomo, pożar, pogromy, igrzyska w cyrku, Pierwsi Męczennicy Rzymscy, dokładnie w tym miejscu.

– Tu opis inskrypcji, z czasów upadku Rzymu, z grobu w Neapolu, „Centurionowi Markowi, nieustraszonemu w boju, zmarłemu na miejscu Pierwszych Męczenników w Rzymie”, ale inni twierdzą, że nie na miejscu, „territorium”, ale od „terreorim”, „terreor”, zmarłemu od terroru i przerażenia u Pierwszych Męczenników...

– Tu zapiski z około 1000 roku, że na Cmentarzu Niemieckim, *Campo Santo dei Teutonici e dei Fiamminghi*, straszny i przeklęty jest miejscem.

– A faktycznie, to było zaraz obok – Nina zbystrzała – Ten ekskluzywny cmentarz i kościółek przy bazylice?

– Tak – pokiwał głową Arcangelo, dźgnął chudym palcem na

mapie, prostokąt na południe od placu Pierwszych Męczenników.

– A potem, słynna ostatnia walka Gwardii Papieskiej, w czasie Złupienia Rzymu...

–...1527... – wyszeptał z zachwytem zarumieniony Gianluca.

– ... dokładnie. Miejsce i czas, w którym zabito Renesans – starzec westchnął ciężko – I zabito tysiące ludzi, obrońców i uciekinierów. „Niemcy byli źli, Włosi jeszcze gorsi, a Hiszpanie najgorsi”. Kiedy 147 gwardzistów szwajcarskich zginęło właśnie tam, na Placu Pierwszych Męczenników i Cmentarzu Niemieckim, w beznadziejnej osłonie ucieczki papieża do zamku świętego Anioła, padli do ostatniego człowieka. Papież przeżył...

– I ponownie w 1870, w wojnie papieża z Królestwem Italii, znowu Gwardia tam padała, pochowani na Cmentarzu Niemieckim, list z 1872 znaleziony w Lucernie, „... niech wždy pamiętają, że nie w świętej ziemi, ale w przeklętej naszych braci na obczyźnie watykańskiej pochowano”.

– Przy wykopaliskach pod nekropolią, lata ‘50, stanowiska południowe, od strony o której mówimy, wypadek śmiertelny. 5 robotników i doktorant nadzorujący, wszyscy umarli w podziemiach, znaleziono ich na drugi dzień. Obwiniano siarkowodór, inne ciężkie gazy, że się podusili jak w kopalni. Ale wizje lokalne i autopsje nic nie znalazły, tu jest kopia raportu z prokuratury: dwa zawały, dwa wylewy, dwa zupełnie niewyjaśnione.

– Umarli z przerażenia? – mruknął Paul, ale nikt nie odpowiedział. Arcangelo kontynuował po chwili.

– I całkiem niedawno, przy restauracji grobów na Cmentarzu

Niemieckim, dwu robotników znalazło jakiś znacznie starszy grobowiec pod spodem, pewnie chcieli po cichu splądrować. Według dochodzenia i świadków wyszli stamtąd, z pustymi rękami. Ale daleko nie zaszli, jeden padł na serce pod lewym portykiem bazyliki, drugi doszedł, według świadków „jak pijany”, aż do mostu Wiktora Emanuela i rzucił się do Tybru, ciała nigdy nie odnaleziono... I brak informacji, GDZIE oni wleźli. Zaraz wkroczyła Stolica Apostolska, to jest teren eksterytorialny w ich władaniu, chociaż poza granicą Państwa Kościelnego. Wszystko zatuszowali, zamknęli...

Staruszek odchylił się na wysokim krześle, przyjrzał się Ninie, Paulowi.

– Pani, panie... nie na mój rozum... nie na ludzki rozum, co tam jest – powiedział z drżeniem w głosie – Proszę was, nie idźcie tam!

– Nie martw się o nas, Arcangelo – ciepło rzuciła Nina, oglądając się z tajemniczym uśmiechem na Paula – W końcu ktoś musi stawić czoła... przerażeniu i terrorowi, który pożera serca i umysły.

Gianluca westchnął w uwielbieniu, to było lepsze niż „Indiana Jones i ostatnia krucjata”, bo był w samym środku filmu.

Starzec pochylił głowę, poruszał ustami coś tam do siebie mówiąc, zamartwiał się.

– Ale musisz nam najpierw zdradzić, jak można tam się dostać... – zauważyła, kładąc dłoń na dłoni staruszka.

Paul zanotował potknięcie się czasu, zmianę oświetlenia. Ciekawe, czy badała dziadka, czy wspierała? Arcangelo i Gianluca jakby nic nie zauważyli.

– Tak, pani... – starzec przetarł oczy – Już w zasadzie wam powiedziałem. Wydaje się, że są dwie drogi... w dół. Przez nekropolie pod Watykanem, a w zasadzie na dawnym zboczu wzgórza, i gdzieś przez Cmentarz Niemiecki. Może być ich więcej, ale te wydają się... najpewniejsze. Wybiorę wam papiery...

Zaczął wybierać karty i szkice z pobojuwiska na wielkim biurku, pod dwoma jasnymi lampami.

Paul opierał się o fasadę między antykwariatem a drogerią, był wczesny miły wieczór, czas – upłynął. W ręku miał teczkę z papierami i pilnował Gianluca, którego mieli odprowadzić kawałek do domu. Nina została na chwilę ze staruszką sam na sam.

Miał nadzieję, że Arcangelo przeżyje tak bliskie spotkanie z boginią. Spychał tę myśl głęboko; trochę zabawiał rozmową rezolutnego chłopczyka, który pomału ochłonął z nadmiaru emocji i tajemnic, zamilknął na dłużej.

– A ja też całowałem się z dziewczyną! – nagle oznajmił zamyślony Gianluca – Ale się z nią nie kochałem.

Paul mało nie parsknął śmiechem na naiwność dziecka, które użyło „kochać się” w zupełnie innym sensie, niż rozbestwieni seksem dorośli. Ale zaraz pomyślał, że chłopiec ma znacznie trzeźwiejsze spojrzenie na sprawę, niż większość znanych mu dorosłych.

– Taaak, całowanie się czy... przytulanie to jedno, miłość, szczególnie do dziewczyny, to zupełnie co innego – Paul powiedział całkiem poważnie, patrząc na iluminację kopuły bazyliki po prawej, daleko nad końcem uliczki – Kochać

kogoś to znacznie trudniejsze, niż się wydaje.

– Ja kocham dziadka! – rzucił Gianluca – I mamę. I trochę tatę. I... Biankę – zastanawiał się głęboko – To siostra. Ale ją tak trudno kochać...

– Tak, niektórych jest trudno kochać! – Paul parsknął śmiechem, rozczołował czuprynę chłopca – A szczególnie tych, którzy wydają się nie odwzajemniać uczucia, którzy może nas nie kochają nawzajem.

– Właśnie! – Gianluca pokiwał z rozmachem głową – Ja bym Biance zawsze pomógł, nawet czasem deser oddał. Nawet przed psem bym bronił... Ale ona mnie chyba nie...

– A wiesz, co jeszcze trudniejsze? – Paul rzucił, rozważając, że chyba go rozum opuścił, skoro bierze się za wychowanie syna, którego nigdy nie chciał – Nie tylko kochać, kiedy nie ma się, nie jest się pewnym wzajemności, ale kochać przez zaniechanie. Nie przez robienie czegoś, ale przez NIE robienie.

Gianluca zagapił się na niego z dołu, świdrował go ciemnymi oczkami, w niezrozumieniu.

– Nie tylko kiedy działasz jak bohater, jak brat, kiedy... bronisz ukochanej przed psem, przed złymi ludźmi, to jedno – próbował wyrazić tę myśl, ale nie był pewien, czy potrafi, był żołnierzem, najemnikiem, a nie filozofem czy poetą. Szczególnie poetą dla dzieci, z angielskim jako drugim językiem – Ale co drugie: kiedy NIE działasz. Nie dokuczasz siostrze, nie kłócisz się z mamą, czy kiedyś z dziewczyną, żoną. Nie dokuczasz dziadkowi. Nawet im NIE POMAGASZ, jeśli tego nie chcą. I tak dalej. I to dzień za dniem, nie tylko od święta, bo z dni składa się życie...

– Aha... – Gianluca zamilkł, zastanawiał się głęboko,

próbując dopasować puzzel „zaniechanie” do swojej dziecięcej wizji romantycznej miłości.

Zadumę ich obu przerwała Nina, która po cichu wyszła z ciemnozielonych drzwi antykwariatu. Rzymski wieczór stał się pięć razy bardziej wyrazisty, dźwięki, zapachy, świat, wszystko stało się bardziej.

Gianluca objął szerokie biodra zaskoczonej Niny, wtulił twarz w jej przeponę.

– Ja też panią kocham, proszę pani! – wymruczał.

– Ech, Gianluca, lepiej znajdź sobie normalniejszą dziewczynę! – dobroduszenie uśmiechnęła się Nina, poklepała chłopca po plecach. Paul z trudem odkleił go od ukochanej i poszedł do domu, odprowadzając dzieciaka na ulicę świętego Telesfora.

– Nieczęsto kontaktujesz się ze swoimi ludźmi... – Paul przerwał zamyślenie Niny, gdy w coraz późniejszym wieczorze wyszli w końcu nad Tybr, okrężną drogą, bo na przeszkodzie stały im bastiony siedemnastowiecznych murów wzdłuż Ianiculum – Ile staruszek mówił, 46 lat?

Ocknęła się i obejrzała się na niego, zmarszczyła brwi.

– Tak, a czego się spodziewałeś? – zapatrzyła się na perspektywę mostu Księcia i kopułę bazyliki Jana Chrzciciela.

– Nie wiem... Że jeśli komuś zlecasz jakieś prace, to zależy ci na wynikach? – rzucił oględnie, choć miał na końcu języka „to nie zapominasz o nim”.

– Zależy, nie zależy... – potrząsnęła głową, ciemne włosy zafalowały – Paul, spotykałam dziesiątki, setki tysięcy ludzi,

„zlecałam” czy „pracowali” dla mnie, czy po prostu znałam ich. Nie wszyscy i wszystko jest... równie ważne.

Przechodzili spacerkiem przez most, przyglądał się jej ocienionej twarzy kątem oka. Miała zaciśnięte usta.

– Pewnie, że mi trochę przykro, że... zapomniałam o Arcangelo. I tysiącu innych... – westchnęła – Ale co mam ci powiedzieć, że to wyrzuty sumienia, jakbyś psa zamknął na noc i zapomniał wypuścić rano, i przypomniał sobie wieczorem? Co poradzę, że takie skale czasu i... wagi nas dzieli. A pies, który ma wodę i żarcie, jednak nie umrze z tęsknoty.

– Ale cierpi...

– Wiem, nie jestem zupełni pozbawiona empatii – skrzywiła się – Ale nie mam jej wiele na zbyciu...

Szli chwilę w milczeniu, tylko samochody warczały i zgęszczający się tłumek turystów, i ich różnorakiej „obsługi” gadał i przekrzykiwał się, w wieczornym włoskim podnieceniu.

– Mnie też zapomnisz... – stwierdził Paul, zapatrzony pod nogi, kłębiły mu się w głowie coraz ciemniejsze myśli.

– Ciebie nie – wzięła go za rękę – Póki śmierć mnie nie zabierze.

Zapaliły się latarnie na moście i bulwarach, umysł Paula też pojaśniał, a jej dotyk wystrzelił go na orbitę miłości.

Kiedyś zapyta o jej oczekiwaną długość życia. Ale nie dziś.

Dziś jednak nie mógł zapomnieć szlochającego staruszka.

Paul przygotowywał wszystko metodycznie, jak zwykle. A może nawet bardziej niż „jak zwykle”; nie wiedział, czy z powodu zmian w nim, po ostatnich miesiącach z Niną, czy przez Sinnę, czy z powodu wagi celu. Jednak włam do Watykanu to było coś większego, niż rozwalenie bossa jakuzi czy wysadzenie skarbca handlarza dziełami sztuki.

A propos skutków obrabowania Antyka: w mediach sprawa ucichła, dochodzenia toczyły się nadal, ale wydawało się, że są bezpieczni. Paul zastanawiał się ciągle, po co Ninie był ten obraz, nadal leżący w szafie garderoby, w porysowanej metalowej kasce z popękaną pancerną szybą, zawinięty w koc. Któregoś dnia w końcu zapytał ją o to na spacerze.

– Taa, obrazek... – zamyśliła się Nina, wracali spod Panteonu, który Paul chciał w końcu zobaczyć, to cudo starożytnej inżynierii. Wolno szli przez uliczki Rzymu pełne turystów i miejscowych, w ciepłym pogodnym zmierzchu. Zastanawiali się nad obiadem, właśnie wyszli na efektowny Piazza Navona, monumentalny plac pełen fontann i otoczony zabytkami.

Przyglądał się jej spod oka, była bardzo piękna. Nie opalała się wcale, nadal miała bladą cerę, kontrastującą z jej prawie czarnymi włosami. Niby była w sukience typowej dla niej, turkusowej, za kolana, z minimalnym dekoltem, ale dzisiaj zupełnie odsłaniającej piękne ramiona i jakby elastycznej, nieco obcisłej w talii i piersi. Wyglądała jak wolno krocząca rzeźba dojrzałej kobiety w turkusie – mężczyźni, chłopcy, ulicznicy, ale też kobiety, wszyscy oglądali się za nią jeszcze bardziej niż zwykle. Piazza Navona w jej sferze ożywała,

zapachy, dźwięki, barok budynków i fontann, ludzie, wszystko istniało bardziej.

Paul, niby w miarę przystojny, ale szary przy niej, w zwykłych letnich spodniach i białej koszuli, też czuł, że istnieje bardziej. Pomyślał, że przy niej każdy dzień przypomina ten dzień, kiedy miał 14 czy 15 lat i ze zdumieniem nagle zdał sobie sprawę, że już nie jest niezgrabnym i brzydkim grubaskiem – dzieciakiem, popychadłem rówieśników, nieporadnym i nieśmiałym, ale niespodziewanie jako jeden z pierwszych, może pierwszy w swoim roczniku i okolicy wyrósł, zmężniał, stał się nastolatkiem. Nagle, bez żadnego świadomego wysiłku, treningu, poświęcenia, był KIMŚ WIĘCEJ, może nadal nieśmiały, niezgrabny i niezbyt przystojny, ale – nadczłowiekiem względem wszystkich dzieci, chłopaków z klasy, i tych normalnych, i tych którzy go prześladowali... Teraz też miał to uczucie, że jest KIMŚ WIĘCEJ i że dostał to zupełnie darmo.

Uderzyła go zupełnie inna myśl: czy w ogóle potrafiłby być o nią zazdrosny?

– Obrazek to jest, hm... interfejs? – obejrzała się na niego spokojnie, skupił się na tym, co mówiła – To też jest rodzaj awatara, dającego dostęp do... urządzenia, w innych... wymiarach rzeczywistości.

– I co to urządzenie robi?

– Jest rodzajem komputera... a może raczej przelicznika? Nie znam się na tym – ujęła go za dłoń i wolno poszli do fontanny Czterech Rzek – To nie jest komputer z programem czy bazą danych, to chyba bardziej jak układ analogowy, który może budować modele i na tej podstawie dostarczać odpowiedzi.

– Aha. Rozumiem, że to ważne i skomplikowane modele, skoro warto się po nie schylać?

– O tak! Bardzo BARDZO skomplikowane i KOŁOSALNE modele – odparła z uśmiechem – Tyle, że trzeba mu dostarczyć, hm, dane? Wejściowe? No wiesz, z pustego i Salomon nie naleje na pochyłe drzewo.

Parsknął śmiechem na jej głupawkę, uściśnął jej ciepłą dłoń.

– A gdzie jest haczyk? – zapytał.

– Haczyk... – zapatrzyli się na fontannę, zapadał zmierzch, zachodzące słońce wyłączało już tylko górne piętra fasad i dachy po wschodniej stronie placu – Główny jest taki, że to interfejs, który ma... swoje zdanie i bywa nieprzewidywalny. I ma pewne możliwości wpływania na tę rzeczywistość, już nie mówiąc o wpływaniu na ludzi, czy na nas...

Paul obejrzał się na nią zdziwiony, zmarszczył brwi.

– Jak to rozumieć? Taki program, aplikacja, która działa jak chce? To nie ma sensu...

– Trochę tak, ale chyba nie dało się inaczej tego skonstruować – wzruszyła ślicznym ramieniem – To znaczy, nie wyobrażaj sobie programu, który się chrzani... Jakby to wytłumaczyć... Wiem! Wyobraź sobie, że masz półświadomego dzina, takiego z arabskich bajek, i spełnia on życzenia w zakresie wiedzy i danych, i tak dalej, ale miewa humorki, bywa przekorny, a okazjnie miewa złą wolę.

– Aha... Teraz rozumiem, czemu nie używasz tego.

– Och, mam zamiar użyć! – uśmiechnęła się promiennie – Ale na razie, hm, zbieram dane dla niego. I przygotowuję się, w różnych zakresach. A jak już się przygotujemy i ustawimy

go, zadamy mu parę pytań.

– Jakich?

– Na przykład: KTO i JAK psuje mi ten świat... Tamta knajpa wygląda fajnie i nie ma tłoku, ładujemy się?

Restauracja okazała się wyspecjalizowana w daniach rybnych, wylądowali z obfitym włoskim obiadem, po solidnej zuppa di pesce szukali miejsca na baccalà arracanto, zapiekanego dorsza z dodatkami. Jedli i rozmawiali jak zwykle, bez pośpiechu. Paul uwielbiał, że przy Ninie, poza ścisłym akcjami bandycko–bojowymi, już nigdzie nie musiał się spieszyć.

– ...Skoro obrazek jest „interfejsem urządzenia”, to ktoś te urządzenia buduje? – dopytywał, między polowaniem na pomidorki i kawałki dorsza – Macie swoich inżynierów? Fabryki? Rzemieślników chociaż? Rozmawiałem o tym nieco z Adrianem Harada...

– W waszym rozumieniu, nie mamy – odparła, równie zawzięcie grzebiąc w swoim talerzu – Pyszności! To znaczy, może paru „rzemieślników” by się znalazło, nieco lepszych niż moja magia, czy podobne „stoliczku nakryj się”, ale jakoś nikt nigdy nie poszedł w magiczną inżynierię i przemysł – zaśmiała się do swoich myśli.

Obejrzała się na Paula, otarła piękne usta chusteczką.

– Takie „urządzenia” raczej powstają, czy tworzą się, jako odpryski... naszych zasobów – pokiwała głową – Nieco podobnie jak... nasze dzieci.

– Aha, coś mi wspominali w Japonii – zmarszczył brwi – Że

zawsze tracicie... zasoby?

– Tak... Tylko dzieci są znacznie bardziej kosztowne – uśmiechnęła się bez radości – Ale w istocie, od najprostszych artefaktów czy „urządzeń”, po następne pokolenia, to wszystko efekty... rozpadu.

– Dlatego młodsze pokolenia są słabsze?

– Tak. Każde następne. Niektórzy wierzyli... wierzą, że to można zmienić, że nasza... „przestrzeń” nie jest skończona i może nie tylko dzielić się na coraz mniejsze i słabsze domeny... Ale że można ją tworzyć, czy odtworzyć – westchnęła – Fajnie by było. Ale te teorie czy prace, to pieśń dawnej przeszłości. Choć zawsze trzeba mieć nadzieję, że świat może być, że będzie lepszy.

– Pomimo entropii... – mruknął Paul.

– Właśnie, pomimo... różnych gatunków entropii – przytaknęła i ponownie zabrała się za solonego pieczonego dorsza.

Wracając po obiedzie do domu poszli na północ, wyszli nad Tybrem naprzeciw mostu Umberta i Pałacu Sprawiedliwości, i bez pośpiechu pomaszerowali górnym bulwarem, w dół rzeki.

Z tematu obrazka, złupionego na Antyku, skreścili w rozmowę o różnych rodzajach inteligencji, i czy i jak stopniuje się ją, i czy „urządzenia” mogą być inteligentne tak jak ludzie... czy nad-ludzie. Śmieli się i przekomarzali, zastrzegając się co chwila „nie znam się na tym” albo „nie jestem profesjonalistką”, po czym rzucali tezy wyjęte z SF albo zupełnie z czapy, i odpowiadali jeszcze głępszymi kontr-

tezami.

Kiedy byli w jednej trzeciej drogi do przyczółku mostu świętego Anioła i „ich” skrzyżowania, Paul przestał się śmiać i przerwał w pół słowa. Nina natychmiast to zauważyła.

– Co jest??

– Nie zwalniam – rzucił skupiony – Czekają na nas... ale jawnie...

Szli równie wolno jak przedtem, Nina wypatrywała o co mu chodzi. Na bulwarze prawie nie było ludzi, było spokojnie, świeciły się latarnie, od Tybru wiało nieco chłodem i zapaszkiem ścieku.

Koło ich BMW, zaparkowanej wzdłuż bulwaru, na trawersie turystycznej mini-przystani nieco przed mostem świętego Anioła, siedział na murku spory facet i nudził się.

– Ten koleś przy wozie? – mruknęła.

– Tak. I jego bliźniak na winklu.

Zauważyła drugiego znudzonego gościa, na rogu przecznicy bulwaru.

– Co robimy? – była zaciekawiona.

– Pewnie trzeba zagadać... – skrzywił się – Wyglądają mi na służby. Tam dalej, samochód, z trzecim facetem. Ty nie masz broni?

– A gdzie miałabym ją trzymać? – szczerze zdziwiła się – W dupie?!

– Zawsze masz dużo kieszeni! – wyszczerzył się do niej – Liczyłem na jakieś magiczne!

– To się przeliczyłeś! – prychnęła – Mogę ich oczywiście

załatwić, ale zepsuję pół Rzymu albo i pół Europy, no wolałabym nie, lubię ten apartament i to miejsce...

– Ja też wolałabym nie robić tu strzelaniny – rozglądał się dyskretnie, oceniał drogi ucieczki, czuł ciężar SIGa w kaburze – Bo nawet jeśli wyjdziemy z tego cało, nie będziemy mieli spokoju, nie tylko tu, ale i w połowie Europy... Spróbujmy spytać, o co im chodzi, trzymaj się o krok z tyłu.

W międzyczasie podeszli do ich BMW i siedzącego na murku typa, przyglądał się im beznamytnie. Paul stanął przed nim, oceniali się nawzajem, uśmiechnęli się do siebie samymi oczami – dwu spoconych idiotów, w za grubych koszulkach z długim rękawem, wybrzuszonych tu i ówdzie, i w długich spodniach. Niełatwo pochować sprzęt w cieple włoskiego lata!

– Buonasera signore agente, o co chodzi? – zagaił Paul po długiej chwili ciszy.

Agent też człowiek, i nieco parsknął.

– Szef chciał z wami porozmawiać – odparł po angielsku i kiwnął kciukiem w stronę mostu świętego Anioła – Przy wejściu na most, mały nalany łysy grubas – nagle agent zamarł, po czym przewrócił oczami – Przepraszam, szefie...

Teraz oboje z Niną parsknęli, jak można tak opisać własnego szefa rodzonego, na kanale ogólnym łączności!

– Oj, długo nie będzie awansu! – Paul szepnął do agenta, który w milczeniu rozłożył ręce; kiwnęli sobie głowami.

Pomaszerowali z Niną do mostu, na schodkach koło przyczółka, prawie naprzeciw ich penthouse po drugiej stronie ulicy, zastali małego nalanego łysego grubasa. Facet palił papieroska i wpatrywał się w nich błękitnymi oczkami,

ginącymi w fałdach tłuszczu; oczka błyskały mu w świetle latarni, ale poza tym twarz miał z grubo ciosanych cieni. Miał wielki brzuch i krótkie rączki i nóżki, i dokładnie wygolony łeb, też błyskający w świetle latarni. W przeciwieństwie do swoich ludzi (Paul wypatrzył jeszcze co najmniej dwu, jednego po przekątnej skrzyżowania, drugiego na moście) grubas był w cienkiej letniej koszuli i krótkich spodniach, i w sandałach. Dobrze być szefem i nie musieć nosić i ukrywać sprzętu i broni! Zupełne jak Nina przy nim.

– Buonasera – rzucił Paul, Nina trzymała się po lewej, krok za nim, jak wielokrotnie ustalali. Rozejrzał się demonstracyjnie po agentach, obejrzał się na tych z tyłu, przy BMW. Na moście i bulwarach poza nimi było kilkanaście osób, jakaś młodzież, jacyś wieczorni turyści.

Grubasek pstryknął peta przez ramię, daleko ponad barierą przyczółka mostu, gdzieś na dół. Na oko był o głowę niższy od Paula, brzuch miał naprawdę okazały, w rodzaju „test wytrzymałościowy guzików letniej koszuli”.

– Buonasera... Uwaga, wyłączam radio – mruknął łysol i sięgnął za pazuchę – Porozmawiajmy – wskazał miejsce na kamiennych schodach obok siebie. Przysiedli pod wysoką figurą świętego Piotra, zdobiącą wjazd na most; Fraser z metr od grubaska a Nina za Paulem, przyglądali się z ciekawością facetowi, który pochylił głowę, cienie na jego twarzy stały się jeszcze głębsze. Też przyglądał się im spod oka, ale nie patrzył w oczy.

– Kapitan Nazzari, NOCS – mruknął w końcu grubasek – Nie musicie się przedstawiać.

Paul coś tam skojarzył: włoscy antyterroryści?

– Antyterror? Ci od uwolnienia VIPa spod Czerwonych Brygad? – upewnił się.

– Tak – gruby wyprostował się nieco, brzuch niebezpiecznie napiął guziki koszuli – Panie Fraser, chciałem się spotkać, żeby was powstrzymać.

– Przed czym? – obejrżeli się na siebie z Niną, skąd niby miejscowe służby miałyby się dowiedzieć o ich planach? Przez Arcangelo??

– Przed wszystkim – Nazzari wygiął grube wargi w namiastce uśmiechu – Nie wiem co knujecie, ale macie ustaloną... opinię. Pan wiadomo jaką, pani Moon może głównie złożoną ze znaków zapytania, ale też ustaloną. Nie będę pytał, co knujecie, żebyście nie musieli łąć, ale bardzo, BARDZO sugeruję, odpuśćcie sobie awantury w tym kraju. Bo mamy na was oko.

Paul pokiwał głową, no tak, prewencyjna demonstracja, to się zdarzało.

– A czemu po prostu nas nie zakujecie i nie wywalicie na zbity pysk za granicę? – zainteresował się.

– A dacie się po dobroci zakuć i wywalić?! – parsknął Nazzari.

Popatrzyli po sobie z Niną i wolno pokiwali głowami.

– No właśnie – podsumował kapitan – A my mamy w tym roku bardzo dobre statystyki i niskie straty, ja nie chcę ryzykować zadymy, i wy też nie chcecie. ALE! jeśli będzie trzeba, spadnie wam na głowę cały NOCS, razem ze specjalami od polizja, tymi od Carabinieri, od lotnictwa, zbiorę wszystkich, aż po wodniki–szuwarki i ochronę kolei. Czy to

jest jasne?!

– Taa, rozumiemy, że macie nas na oku – mruknął Paul – Ale dlaczego akurat tu i teraz?!

Grubas pomyślał chwilę, wyciągnął z kieszeni na piersi papierośnicę i bez pośpiechu zapalił kolejnego papierosa.

– Bo myślę, że zrobiliście Antyka.

– Kogo?! – Paul zdziwił się całkiem wiarygodnie.

– Może z dziesięciu ludzi w tym kraju dałoby radę to zrobić... – gruby zignorował jego odzywkę, zaciągnął się i ciągnął dalej – ... ale, jeśli BARDZO głęboko pogrzebać, tylko jednego z nich da się powiązać z Lucasem Staheli. Pana – wskazał Paula żarzącą się końcówką papierosa.

Fraser milczał.

– Czas na pytanie, czemu ja bawię się hobbystycznie w śledczego a potem z wami rozmawiam, zamiast zadzwonić do inspektora polizia di stato, który siedzi nad włamem do Antyka, i zarobić dług wdzięczności, nieprawdaż? – Nazzari obrócił nieco kałdun i spojrzał w końcu wprost na nich, w cieniach od wysokich latarni ledwo było widać jego jasne oczy.

– Prawdaż – przyznał Paul.

– Trzy powody – kapitan zaciągnął się papierosem – Macie ustaloną opinię w różnych teczkach i bazach danych, ale... w moich oczach to niekoniecznie bardzo zła opinia.

Paul obejrzał się z pewnym zdumieniem na Ninę, uśmiechała się zagadkowo, jej oczyska, też w cieniach pod łukami pysznych brwi, migotały zielonymi ognikami.

– Dwa, wolę zarobić dług wdzięczności u was, niż u jakiegoś

dupka z kryminalnej – znowu zaciągnął się głęboko – Trzy, w zasadzie, to może oddaję dług wdzięczności. Zapewne pamięta pan ochronę Anny–Marii Bertini, parę lat temu?

Paul zmarszczył brwi, trudno było zapomnieć zamach w Nowym Jorku, prawie, prawie udany. Ale jednak babci, która genialnie przeszła przez całą ochronę konferencji i służby, z rewolwerem 38 w pieluchomajtkach, nie udało się. Paul zasłaniając klientkę wziął na klatę trzy kule, z czego jedna nieco minęła kamizelkę; z babci nie bardzo było co zbierać, po skoncentrowanym ogniu jego i dwu innych ochroniarzy.

– Pamiętam – burknął.

– Kuzynka ze strony żony – lakonicznie wyjaśnił Nazzari.

Paul zdumiał się jeszcze bardziej, rany, po dekadach walk i zabójstw, i setce trupów, dorobił się też fanów i wdzięcznych ludzi, kto by pomyślał. A przecież odcinał się i zacierał ślady, nawet jeśli media, do których wyciekły dane z dochodzenia po zamachu na Annę–Marię, usiłowały zrobić z niego bohatera; gwiazdorzenie nie było w jego stylu i nie było dobre dla biznesu. Nina nagle przysunęła się i objęła go czule, wkoło torsu, oparła się mocno o niego.

– Rozumiem – Paul położył dłoń na jej dłoniach, splecionych po stronie kapitana, który przyglądał się im beznamietnie – Cóż, ten... Antyk? to nie my, oczywiście...

– Oczywiście – Nazzari wszedł mu w słowo.

– ...i po prostu jesteśmy na wakacjach w Rzymie.

– Mhm – kapitan dopalił papierosa i pstryknął kolejnym petem ponad ramieniem, w stronę rzeki; wyglądało, że ma to pstrykanie nieźle wytrenowane – I tej wersji radzę się trzymać,

w myśli, mowie i uczynkach.

Wstał ze schodków, też wstali, Paul górował nad grubasem o głowę, Nina o pół głowy. Kapitan patrzył na nich spode łba, a raczej spod świecącej łysiny i wałów brwi.

– Do zobaczenia – rzucił Nazzari – Ale lepiej nie...

Nina nagle wyciągnęła do niego dłoń. Minimalnie zawahał się, ale delikatnie ujął jej palce w mięsistą łapę.

Czas zwolnił, ale nie zatrzymał się dla Paula, zauważył, że oddycha niezwykle wolno, że meszki i komary latające nad bulwarem w świetle latarni drastycznie zwolniły. Trwało to bardzo długą chwilę.

Wszystko ruszyło nagle.

– Bardzo panu dziękuję – rzuciła ciepło Nina i zabrała dłoń.

– Nie ma za co... – Nazzari był wyraźnie rozbity, potrząsał głową, aż mu nalany kark zafalował. Sięgnął za pazuchę – Uwaga, tu szef, zwijamy się.

Obrócił się na pięcie i poszedł w stronę Zatybrza, inni agenci też, zaraz pojechała za nimi ciemna lancia.

Paul z Niną objęli się i odprowadzali ich wzrokiem, bardzo długo.

– Zauważyłeś, że jak na takiego grubasa, nie śmierdział, ani nie był zapocony? – rzuciła nagle.

– Co??

– Lubię go. Chodźmy do domu.

Zaczęli robić zwiad i planować akcję „Studnia” jeszcze ostrożniej, ale nie zmienili celu czy odpuścili sobie. Poddanie się woli służb specjalnych raczej nie było w stylu Paula, i na pewno nie było w stylu Niny.

W okolicy placu Pierwszych Męczenników Rzymskich i bazyliki świętego Piotra chodzili nie częściej niż co parę dni, w międzyczasie planowali, jeździli na wycieczki w okolicy Rzymu, żeby odebrać od Matteo zamówiony sprzęt, którego Nina nie dała rady „wyczarować”, jak też po prostu odpoczywali na wakacjach.

Przy okazji, Paul kazał Matteo sprawdzić kapitana Nazzari z NOCS – wszystko się zgadzało, i rzeczywiście Anna–Maria Bertini była kuzynką jego żony.

Po zwiedzeniu dostępnej dla turystów części nekropolii pod Watykanem, dokładnym obejrzeniu placu Pierwszych Męczenników pod pretekstem oglądania paradnej zmiany warty Gwardii Szwajcarskiej, i równie dokładnym zwiedzeniu Cmentarza Niemieckiego, ustalili, że najłatwiejsza droga w dół wiedzie przez groby ponemieckie. Rozważali też różne drogi ewakuacji i ucieczki, to też było ważne.

W międzyczasie Akita dał znak z Japonii, okrężnie przez internet, że jest nieźle – yakuza po bossie Matsudaira podzieliła się na dwie frakcje, które właśnie poszły ze sobą na wojnę, dołączyło do bijatyki parę mniejszych mafii, które chciały wykroić sobie kawałki tortu w handlu żywym towarem. Policje i yakuzy były zbyt zajęte, żeby sensownie prowadzić dochodzenie po zamachu na Matsudaira.

Na zapomnianą prostą komórkę walającą się na barze w apartamencie nagle przyszedł któregoś dnia SMS z zastrzeżonego numeru, z linkiem do artykułu – nekrologu o wypadku sąsiada Niny z Kalifornii. Facet rozbił się i spalił w swoim nowym ferrarii, nie wydawało się, że ktoś go bardzo żałował, nawet jego nagle wzbogaconą konkubina; dzieci nie miał. Sam i Edna powinni mieć święty spokój, a Stephen i Jenny może nie byli tani, ale jak zwykle byli maksymalnie skuteczni.

Z domu, z Anglii, upomniała się o forszę „wtyczka” Paula w strukturach Royal Marines: że znowu musi tuszować niestawienie się Frasera na wezwanie rezerwistów, i laboga. Wysłał uspokajającą odpowiedź do sierżanta Powella i bardzo uspokajający przelew.

Któregoś dnia zadzwonił na zwykłym telefonie Frasera numer opisany jako „Sung” – facet gadał jak stary kumpel i pytał, czy może Paul chce się przejść do Laosu i z powrotem. Problem był taki, że on żadnego Sunga w temacie Indochin nie kojarzył, ale bez trudu wymówił się zapracowaniem.

A propos działań najemników, wojna na Zachodniej Saharze, na którą werbowowała go Ruby, rozkręcała się coraz bardziej. Rezolucje ONZ i organizacji afrykańskich były ignorowane a Maroko, Algieria i watażkowie Sahary przechodzili ze stanu wojny partyzanckiej do stanu wojny pogranicznej.

Któregoś ciepłego ranka, w przerwie planowania i zbierania sprzętu, Nina stwierdziła, że mogą się zająć zapomnianym w szafie obrazkiem, bo skonstruowała dość danych.

– Mam jakoś specjalnie przygotować się? – zapytał Paul.

– W zasadzie, nie – zmarszczyła brwi, siedziała w fotelu w koszulce i spodenkach, bardziej rozebrana niż ubrana – Do odpalenia... interfejsu potrzebujemy światło w ultrafiolecie. Jakieś lampy, albo wystawić go na słońce.

– Akurat mamy okna prawie na północ... – obejrżeli się na śliczny widok Rzymu z otwartego balkonu. Zastanawiali się dłuższą chwilę.

– Jest parę opcji – rzucił Paul – Lampy do opalania raczej nie wyczarujesz?

Nina pokręciła głową.

– Czyli musiałbym pójść gdzieś i kupić taką. Ewentualnie, niech pomyślę... – próbował sobie przypomnieć dawno zapomniane szczegóły ze szkoły – Albo jakieś metalowe lustro i wystawić je za okno, póki słońce jest nisko.

– Aha! – Nina pokiwała głową z entuzjazmem – Przy kasecie w szafie powinien być arkusz blachy, może wystarczy taka?

– Już wyczarowałaś??

– Tak. Blacha cynowana, chyba jest błyszcząca? Największy jaki dałam radę.

– Sprawdźmy!

Wyciągnęli z garderoby pokiereszowaną kasetę z obrazem i arkusz lśniącej blachy, cieniutkiej, wielkości około formatu papieru A2.

– Powinno być dobrze! – stwierdził Paul.

Oparli kasetę pionowo o fotel, ale Nina kazała postawić obraz na razie „plecami” do światła. Ustawili metaliczne lustro na barierce ich balkonu, wystające na zewnątrz na ile się dało,

i rzucili „zajaczka” we właściwe miejsce.

– Bardzo ładnie – Nina przyglądała się rozświetlonej kasecie, stała przed nią, kiwając się na piętach – Włączy się, kiedy obrócimy i otworzymy, bo pewnie ta szyba nie puszcza UV, już nie mówiąc, że potrzaskana. Wyłącza się zamknięciem szyby, albo zgaszeniem UV w inny sposób.

– Aha. Mamy jakiś kwadrans, zanim słońce nam zajdzie za dom – odpowiedział.

Zajrzała mu głęboko w oczy.

– Paul, nie daj mu się sprowokować ani omamić – powiedziała poważnie – On niewiele może... fizycznie zbroić w tym świecie, ale może marudzić i bawić się w wojnę psychologiczną, nawet ze mną. One strasznie szybko zbierają informacje... Przeważnie to je bawi... więc ignoruj wszystko, co będzie ci wmawiał, poza głównym tematem.

– Rozumiem – chociaż niewiele rozumiał.

– No to obróć go i otwórz!

Paul przyklęknął i obrócił płaską kasetę, ustawił ją dokładnie w świetle, odblokował zamek i otworzył popękaną i częściowo zmatowiałą szybę.

Zapatrzył się na obraz, jakby renesansowy, bardzo ładny, a jeszcze rozświetlony silnym światłem od lustra: zamyślony złotowłosy młodzieniec w bogatym stroju, siedzący w fotelu przy stole nakrytym koronkowym obrusem, na którym stał jeden piękny kielich; wszystko w jakimś pałacowym czy zamkowym wnętrzu.

– Fajna chata! – powiedział młodzieniec, który wszedł z korytarza do salonu – Rzym, prawda?

Paul zaniemówił.

– Rzym, Rzym... – mruknęła Nina – Miano i rząd, poproszę!

– Ale czemu tak od razu, do roboty... – nastolatek wydał wargi i przeszedł między Paulem a Niną, do balkonu – Fantastyczny widok!

Paul zauważył, że chłopak jest nieco przezroczysty na tle nieba i balustrady.

– Ty chcesz koniecznie z powrotem do pudła!? – Nina wzięła się pod boki – Miano i rząd!

– Ale po co tak nerwowo, proszę pani! – młodzieniec odwrócił się do Niny, miał strój jak na obrazie, haftowany kaftan, obcisłe rajtuzy, kosztowne miękkie buty – Enesh, czternastka!

– Bardzo dobrze. Enesh, uwaga, współrzędne danych 329–197–002–661, ruszaj! Wynik możesz mi wydrukować.

– Ech, a gdzie „lustereczko, powiedz przecie...”, zero szacunku... – chłopak kręcił głową, aż złociste włosy zafalowały.

– Wiesz co, Paul? Zamknij kasetę! – warknęła Nina.

Paul już wyciągał ramię, ale chłopak błyskawicznie obrócił się i pochylił nad nim.

– Cześć Paul! Jak tam mamusia, nadal pije? – uśmiechnął się przyjaźnie – A brat nadal nie żyje?

Paul zamarł w połowie ruchu.

– Pani nowy piesek? – młodzieniec obejrzał się na Ninę – Ale wilczur czy pudelek? Nie lepiej adoptować sobie jakieś dziecko, bo ja wiem, córkę?

Nina wciągnęła powietrze, w wyostrzonej percepcji wkurzony Paul widział jak uniosły się jej piękne piersi, zaczęła podnosić lewicę, od której szły srebrzyste powidoki jej ramienia. Młodzieniec wyprostował się i obracał się do niej.

Paul błyskawicznie wstał, nieco zdumiony stwierdził, że też unosi lewicę i też idą od niej zaburzenia optyki i światła, ale nie srebrne, tylko błękitu i ciemności. Znacznie mniejsze niż od Niny, ale jednak...

Był od niej szybszy, chlasnął widmo chłopaka po tyłku i plecach, otwartą dłonią i błyskami lazuru zanurzonymi w falach ciemności.

Złotowłosy młodzieniec zawył, dłoń Paula przeszła na wylot jak przez widmo czy hologram, ale obraz nastolatka gwałtownie się i splątywał z błękitno–obsydianowymi mirażami ramienia Frasera.

Nina zamarła w zdumieniu.

– Lustreczko, powiedz przecie, jaki wpierdol dostać chcecie?! – warknął Paul.

– Przepraszam, proszę pana! – młodzieniec stał na baczność, obrócił się tak, żeby mieć na oku i Paula, i Ninę. Oboje popatrzyli na siebie, uspokoili się, zniknęły dziwne wielokrotne powidoki ich lewych ramion, wielkie Niny i skromniejsze Paula.

– Ruszaj, Enesh! – teraz Nina warknęła, kręciła głowę w niedowierzaniu.

– Tak jest, proszę pani! – odparł chłopak – Wyniki są na stole w kuchni!

– Idę sprawdzić – rzuciła Nina – Jeśli będzie ci dokuczał,

wyłącz go albo daj mu jeszcze raz po dupie!

Popatrzyli sobie z młodzieńcem w oczy, kiedy Nina poszła do kuchni.

– Bardzo się nudzisz w pudle? – zapytał niespodziewanie Paul.

Młodzieniec wyraźnie się zdziwił.

– Tak... proszę pana – grzecznie odpowiedział – A nawet gorzej, to jest... koszmar. Błędzenie w echach pamięci i nie-rzeczywistości, brak nowych danych... Nie do opowiedzenia – pokręcił głową, posmutniał.

– To czemu zachowujesz się jak ostatni cham, kiedy masz okazję wyrwać się na świat?

– Nie wiem... proszę pana – Enesh zmarszczył złociste brwi – Może dlatego, że i tak zaraz mnie wyłączają.

– To może się zmienić, ale na pewno nie wtedy, kiedy będziesz takim...

Przerwało im wejście Niny, z cienką książeczką, prawie zeszytem, w rękę.

– To wszystko? – zapytała.

– Tak, proszę pani! – młodzieniec znowu stanął na baczność – Reszta jest poniżej założonego przez panią progu ufności!

– Aha – Nina zamyśliła się, ważąc tomik w rękę – To byłoby na tyle... tym razem. Wyłącz go, Paul.

Enesh pochylił głowę, zrezygnowany, aż mu złociste włosy opadły na twarz.

– Może niech zostanie chwilę włączony? Będzie miał miłsze wspomnienia – rzucił Paul. Nina zdumiała się nie mniej, niż

kiedy rozwinął nowe możliwości swojej lewicy.

– To bez sensu... – rzuciła wolno – Ale jak chcesz.

– Enesh, masz czas dopóki słońce nie zajdzie za lustro – Paul wskazał kasetę, „zajączek” już sporo się przesunął.

– Dziękuję, proszę pana! – chłopak ucieszył się – Będę grzeczny, mogę wyjść na balkon?

– Tylko dyskretnie!

– Oczywiście, proszę pana – widmo błyskawicznie przesunęło się, młodzieniec do bioder zlał się z kamienną barierką, wychylił się na świat, jakby napawał się świeżym powietrzem, i wiatrem, i słońcem, ponad Tybrem i Rzymem.

Paul nie potrafił sobie wyobrazić, czy i co Enesh odczuwa, ale pomyślał, że ktoś, kto wygląda na zadowolonego, być może JEST zadowolony.

Kiedy „zajączek” od lustra skurczył się do około jednej trzeciej powierzchni obrazu, widmo chłopaka na balkonie zniknęło jak zdmuchnięte.

Pozamykali kasetę i schowali ją razem z blachą, znowu na dno szafy. Nina troszkę podśmiewała się z niego, że powinien teraz laptop położyć na kamiennej barierce balkonu, niech też się napawa pięknym Rzymem. Kręcił głową na jej sarkazm, ale nie spierał się, pewnie miała rację, że to było bez sensu.

Ale nie mógł przestać myśleć, że może w hierarchii bytów bliżej mu, pieskowi Niny, do takiego konstruktu jak Enesh, niż do niej. I nie mógł przestać myśleć o swojej matce. I co mogło się stać z córką Niny.

Przeszło mu natychmiast kiedy objęła go, pocałowała, zatracił się w jej ramionach.

Kochali się parę godzin, zmęczył się bardzo; w końcu odpoczywali, Nina leżała na nim, wtulała się w niego, przyciskała policzek do jego policzka. Na przemian nuciła jakieś nieznane melodie z najodleglejszych miejsc i czasów, i szeptała, jaki to cud i dobra wróżba, że jego krystalizacja z innej rzeczywistości objawiła się także w tej, tu i teraz.

Jak bardzo jest wyjątkowy.

31

Siedzieli w kiblu, czekając na zamknięcie budynku.

– To był durny pomysł! – szepnęła Nina.

– A czyż nam tu źle? – Paul wyszczerzył się w odpowiedzi.

Byli gotowi do akcji „Studnia”, teraz tylko trzeba było się tam dostać. I wydostać.

Przez tydzień rozkładali sprzęt po zakamarkach Cmentarza Niemieckiego na Watykanie, przygotowali wszystko. Rano Paul, po raz kolejny zwiedzający budynek Domu Niemieckiego w kolejnym przebraniu, zablokował drzwi tej toalety i wywiesił fachową tabliczkę „ZEPSUTY”, żeby przyzwyczaić miejscowych czy turystów.

Przed samym zamknięciem Domu, kaplicy i Cmentarza Niemieckiego przemknęli się do kabiny, nikt nie zdjął tabliczki, nie zweryfikował, czy kibel jest naprawdę zepsuty. Zrzucili i spakowali przesadnie kolorowe ciuchy turystów,

zmienili się w dwoje pseudo–ninja, zaraz schowali się w „zepsutej” toalecie.

Na szczęście kabina była nowoczesna, całkiem duża, ale i tak nie było łatwo w niej wytrzymać, przez godzinę, z uroczą Niną.

– Moglibyśmy siedzieć gdzieś znacznie wygodniej, nikt tu nic nie sprawdza! – znowu szepnęła.

– A jakby ktoś sprawdzał, to mam zastrzelić, czy tylko kneblować i wiązać? – uśmiechnął się do niej.

– To go wyślę w pizdu na przechadzkę aż do Neapolu! – szepnęła – W końcu kto...

Pokazał jej gwałtownie „cisza!” i „na górę!”, ostrożnie weszli na pokrywę klozetu, skulili się, ktoś wszedł do łazienek, dwie osoby.

Paul położył dłoń na chwycie SIGa w kaburze.

Na zewnątrz zaczęły rozmawiać po włosku dwie kobiety, normalne głosy, Paul niewiele rozumiał. Nina przytakiwała im leciutkimi kiwnięciami głowy, z półuśmiechem.

Drgnęli, kiedy ktoś z zewnątrz potrząsnął klamką, ale zablokowany zamek nie puścił.

Kobiety wymieniły ze dwa zdania i wyszły z łazienki.

– Kierowniczka i sprzątaczką, nie rozumieją kto powiesił tabliczkę, jutro wezwą konserwatora czy hydraulika – szepnęła Nina, śmiała się – Zwracam honor.

– Mhm – zeszli z muszli – Kiedy pozamykają drzwi na dole, wyjdziemy do łazienki.

W łazience przeczekali do północy, nic ciekawego się nie wydarzyło, tylko wynudzili się setnie.

Na malutki Cmentarz wyszli przez okno parteru, bo drzwi miały alarm. Okna nie miały, najwyraźniej był to bardzo zaawansowany system, w stylu włoskim.

Powoli i ostrożnie pozbierali swoje rzeczy na Cmentarzu, zza pomników, zza szafki elektrycznej, zza skrzyni z narzędziami ogrodowymi. Była ciepła cicha noc, przez plac Pierwszych Męczenników zaraz za ogrodzeniem przeszły ze dwie zapóźnione osoby, i raz przeszedł patrol Gwardii.

Paul sprawdził dokładnie czy wszystko mają na miejscu, czy niczego nie zapomnieli, szczególnie: porządnie zafoliowanych mapek–instrukcji, skompilowanych z danych od Arcangelo i z sieci.

– Gotowa?

– Pewnie.

Ostrożnie zdjęli płytę z nagrobka, który wskazywały notatki antykwariusza. W środku było wąskie zejście między trzypoziomowe „regały” na trumny, pięć z sześciu półek było zajęte, przez trumny w różnym wieku i stanie.

Na wprost zejścia mieli to, co ich interesowało, czyli ceglana ścianę, już na pierwszy rzut oka znacznie nowszą niż kamienna konstrukcja grobowca w którym siedzieli. Paul ustawił słabiutką niebieską lampkę, żeby widzieli co robią w tej jamie.

– W twoje ręce! – rzucił, tak jak się wcześniej umawiali. Bo Nina była jednak nieskończenie bardziej odporna niż on na działanie kwasu fluorowodorowego z dodatkami, którego

zamierzali użyć. Nie mogli przecież w środku cichej watykańskiej nocy kuć tej ściany.

Nawet Nina wciągnęła ciężkie przeciwchemiczne rękawice, głównie, żeby nie zniszczyć ciuchów, zanim zaczęła polewać ze specjalnej butelki z rurką, cienkim strumieniem, ceglaną ścianę, a szczególnie zaprawę.

Paul odsunął się do zejścia, wciągnął maskę gazową, też wciągnął rękawice.

Zaprawa i cegły nie dymiły bardzo, za to rozpadały się prawie w oczach.

Po zużyciu dwu butelek odczekali pół godziny i ostrożnie rozebrali ściankę, na tyle, żeby się przecisnąć. Był za nią następny regał–grobowiec, ale pusty, a dalej wąziutki doskonale ciemny korytarzyk.

Z najwyższą uwagą Nina przecisnęła się do niego, starali się nie dotykać resztek ściany i nie łązić po gruzie. Omiotła korytarzyk latarką pod swoim pistoletem: tylko nierówne kamienne ściany i podłoga, kurz, pajęczyny, cisza.

Paul podał jej lampkę i resztę sprzętu, wcisnął się za nią, sprawdził czas.

– Optymistycznie: trzy godziny.

Zaczęli wciskać się w nekropolię Watykanu.

Dotarcie do Studni zajęło im prawie dwie godziny, zabłądzili dwa razy.

Niby w poziomie przemieszczali się tylko po trzydzieści – czterdzieści metrów na boki, ale w pionie zeszli może i

dwieście metrów wgłąb. To był labirynt katakumb, mauzoleów, korytarzy, schodków i szybów, przez 2000 lat wszystko było dziesięć zarazy przebudowane, pięć razy zasypane i zawalone, i tylko cztery razy odkopane.

Najpierw prawie udało im się wyjść na oficjalne muzeum i wykopaliska nekropolii watykańskiej, nagle w wąziutkiej szczelinie kamiennej ściany, przechodzącej w mur, zobaczyli słabe światło, nocne oświetlenie jakiegoś chodnika i szyby osłaniające wykopaliska.

Paul sprawdził mapkę, najwyraźniej mniej więcej tutaj była opcja wejścia od strony muzea nekropolii, o której wspominał Arcangelo.

Drugi błąd, to kiedy wcisnęli się w zakamarek, który biegł prawie dokładnie jak na ich mapie i zaczynał się optymistycznie, ale potem stał się kiską popękanych spiętrzonych kamiennych płyt i okazało się, że trzy razy łatwiej się w niego wcisnąć, niż wycofać, w ich strojach i ze sprzętem.

– NIENAWIDZĘ speleologii! – syczał Paul, właściwy zaulek był kondygnację niżej.

Potem już nie błądzili, poruszali się raczej w dół, niż poziomo. Najdziwniejsze, że powietrze nie było zatęchłe, nie śmierdziało, wskaźnik zagrożeń gazowych, w który Paul się zaopatrzył, pokazywał czyste powietrze.

W którymś momencie coś cichutko zawyło pod wzgórzem, powiał przez nich lodowaty przeciąg, ale wzięli się za ręce i przeczekali to. Paul prawie się nie bał, nie kiedy miał Ninę przy boku.

– To on?

– Możliwe – odpowiedziała.

Teraz stali nad cembrowiną studni prawie trzymetrowej średnicy, w małej komorze przypominającej kapliczkę, podkręcili latarki, podziwiali fizyczny absurd.

Zamiast gorąca pod ziemią i zastalego powietrza, kamienna zerodowana cembrowina była grubo obrosnięta lodem, było tu zimno, Paulowi biła para z ust, a ze studni ciągnęło mroźnym świeżym powietrzem, jak z lodowca.

Nad środkiem studni był ciężki kamienny zwornik sklepienia, z osadzonymi w nim paroma solidnymi zardzewiałymi hakami. Z jednego z nich zwieszał się w głąb czarnej studni gruby łańcuch, płaczący łzami rdzawego lodu.

Paul bez słowa zaczął wyciągać liny z plecaka, nie miał zamiaru testować ten łańcuch. Chyba, że nie starczy im lin...

Zjechali jakieś 30 metrów w głębi studni, kiedy zaczęła otwierać się otchłań. Paul był przygotowany przez Ninę, rozmawiali o tym, na ile rzeczywistość w piekielnej Studni może być inna niż ich własna rzeczywistość, jakich wizji mogą się spodziewać, ale i tak był zaskoczony.

Wkoło otwarła się większa przestrzeń, czarny mrok zwykłej kamiennej studni oświetlanej przez ich latarki zaczął zmieniać się w fioletowy półmrok, za to ich światła słabły, jakby pożerane przez cienie.

Było bardzo zimno.

Ale najdziwniejsze było podskórne wrażenie, nie do opisanego, że ta przestrzeń robi się coraz większa, że ściany,

których i tak nie widzieli, są coraz dalej i dalej, że wiszą na linach w puchnącej bańce coraz większej otchłani.

Nagle wisieli z pół metra nad powierzchnią spękanego żużla z żyłami błękitnego lodu, w pieczarze kilometrowej średnicy, wypełnionej wszechobecną fioletową fluorescencją.

– Trafiliśmy – powiedziała Nina – Przypinamy się! JUŻ!

Rozwinęli cienkie stalowe linki, które mieli zwinięte przy pasach, po parę metrów najlepszej certyfikowanej linki, fabrycznie okutej, jaką Paul znalazł w Rzymie. Zapięli ich specjalne zatrzaski na linach z góry, drugie końce mieli dopięte do uprząży do prac na wysokościach, do uchwytów bezpieczeństwa na karku.

Sprawdzili dwa razy zaciski, odblokowali asekurację zjazdową i zeskoczyli na zamrożony żużel, rozejrzeli się.

Paul zobaczył go.

Z nadludzkiego przerażenia nie mógł wydać głosu ani drgnąć, w wielkiej odległości zobaczył w ciemności dwa żółte punkty, wiedział, że to wpatrujące się w niego oczy, ślepiec potwora.

Zbliżały się.

Bał się tak, jak chyba nigdy w życiu się nie bał. Nina zauważyła, że na coś się zagapił, obejrzała się i też zobaczyła żółte oczy, zbliżające się w fioletowej ciemności.

– Witam, witam... – powiedziała cicho.

Oczyska były już blisko, wydawały się metrowej szerokości, jak szczeliny wielkiego pieca rozżarzonego do żółtego żaru, z wąziutkimi pionowymi żrenicami, doskonale czarnymi. Pod nimi Paul zaczął dostrzegać coś jakby wielkie kły, i zębiska

uchylonej paszczyki, jakby łeb jakiegoś gada.

Zrobiło się jeszcze zimniej.

Na pewno miał zawał serca, ale dostrzegał coraz więcej szczegółów, to był chyba kolosalny wąż, stali wewnątrz ledwo widocznych splotów jego tytanicznego cielska, przysuwał do nich łeb z żółtymi ślepiami. Jego sploty o kilkanaście czy kilkadziesiąt metrów wkoło, na granicy pola widzenia, też wolno przesuwwały się.

Fioletowa poświata nie zmieniała się, ale wąż był coraz bardziej widoczny, wyrazisty, szczególnie jego łeb, tak jakby wzrok Paula przyzwyczajał się do ciemności. Ale wiedział, że to nie tak, to była wizja, a nie optyka.

„Wąż z Cheshire”, pomyślał.

Ta myśl nieco otrzeźwiła go, zaczął troszkę myśleć, choć nadal ociekał adrenaliną i pierwotnym zwierzęcym przerażeniem.

Smok przyglądał się im, był chyba w błękitno–szmaragdowe łuski, ale roztopiał się we wszechobecnym fiolecie.

– Zniszczę – Paul usłyszał głos w głowie; głośny, ale nie ogłuszający, bardzo wyrazisty, głęboki bas. Nie myślał, że da się w... ludzkim głosie, języku, zawrzeć tyle nienawiści. I nie myślał, że może bać się jeszcze bardziej.

– Nie przesadzaj – Nina wzięła się pod boki, przechyliła głowę ze ściśle związanymi zakurzonymi włosami – Wiesz, że nie dasz rady mnie zabić.

– Czy ja powiedziałem „zabić”? – zapytał głos w głowie Paula, bas ociekał sarkazmem. Wąż podniósł łeb wyżej, skośne szczeliny żółtych oczu patrzyły na nich bardziej z góry –

Zniszczę.

– Bardzo dobrze gadasz – odparła Nina spokojnie – Musiałeś strasznie dużo... spoufalać się z ludźmi, nieprawdaż?

Paul zdał sobie sprawę, że w dnie pieczary, we wszechobecnym fioletowym półmroku, między żyłami błękitnego lodu, daje się też z trudem zauważyć czarne czaszki, żebra, resztki szkieletów, wprasowane w ciemny żużel.

Nagle coś uderzyło ich, kojarzyło mu się z falą wybuchu, jakby granat eksplodował przed nimi. Ale cios spadł głównie na Ninę, rzuciło ją krok w tył, prawie przewróciła się na plecy, ale wytrzymała. Kiedy próbowała utrzymać równowagę a fala uderzeniowa zelżała, upadła do przodu, na kolana.

Paula też szarpnęło, ale słabiej, przyskoczył do niej, oglądając się na węża, który przypatrywał się im bez drgnienia.

Podał jej dłoń, poderwała się na nogi, sycząc – Ty chamie...

Nagle zamarła, wpatrując się w oczy Paula, odsunęła się o krok i rozejrzała się wkoło.

– Nina?!

– Nie ruszaj się! – rzuciła półgłosem, ledwo zanotował kiedy błyskawicznie wyrwała z kabury SIGa i wycelowała mu między oczy.

Zamarł.

Obracała się w ułamkach sekund, w koło, celując pistoletem do rzeczy, których nie potrafił dostrzec.

Nie wiedział czemu, ale wolno podniósł lewą pięść,

panionowo, na wysokości piersi. Jakby samą siłą woli usiłował stworzyć barierę między zdezorientowaną ukochaną, niestety, z silnym pistoletem w rękach, a jego sercem.

Nagle coś zamigotało między nimi, iskry błękitu w mrocznych cieniach.

Kiedy Nina poderwała się na nogi, odkryła, jakie „zniszczenie” miał na myśli przedwieczny smok i dlaczego zdezorientował ją tym prostackim uderzeniem – dobrze wiedział, że nie da jej rady; dobrze wiedział, że Nina nie pozwoli mu na zabicie Paula. Ale mógł spróbować ją zniszczyć, zmuszając JĄ SAMĄ do zabicia Paula.

Wkoło miała sześciu identycznych Fraserów, jak w sześciu lustrach. Dobrze to skonstruował, wąż znał się na rzeczy: nie potrafiła ich odróżnić, byli identyczni w każdym zakresie, każdej rzeczywistości, które dostrzegała.

W panice obracała się, celując w twarz zaskoczonych Paula, wiedziała, że ma sekundy, zanim uderzą, może pięciu, a może sześciu. Może wszyscy byli konstruktami smoka.

Nie mogła zdobyć się, żeby zacząć strzelać im w twarz. Nie miała wyrzutu adrenaliny, łomot serca awatara nic nie znaczył, ale jej umysł płonął niczym supernowa, kolosalny stres rozwałił jej wolę, płatał wszelkie ścieżki możliwości.

W spowolnionym czasie Fraserowie wolno podnieśli lewice, zacisnęli dłonie w ciężkie pięści, na wysokości serca. Zdumiała się.

A jeszcze bardziej, kiedy między nią a JEDNYM z nich zauważyła leciutkie powidoki błękitu i mroku.

Poczuła nadludzką ulgę, nie do opisanía.

Zmysły i umysł Paula ledwo zanotowały kiedy Nina w piruecie wypaliła pięć razy, w pustkę pieczary wkoło nich, po czym uśmiechnęła się do niego.

– STARCZY TYCH ZABAW! – krzyknęła, rzucając mu dymiącego SIGa, którego z trudem złapał. Zdołał zauważyć, że tytaniczny wąż cofnął łeb jeszcze wyżej, jakby w zdumieniu czy przestachu.

Teraz Nina zacisnęła lewą pięść, świat wybuchł srebrem, niczym eksplozja rtęci.

Rzeczywistość, razem z całą kolosalną otchłanią, wywróciła się na lewą stronę, zabołało, przeciążenie wycisnęło mu powietrze z płuc. Paul skulił się, prawie tracił przytomność, próbował nie upaść na kolana i nadal mieć na oku otoczenie.

W znacznie mniejszej pieczarze, wielkości może dziesięciu kroków, ale nadal wypełnionej tym przenikliwym mrocznym fioletem, parometrowy wąż próbował uciec gdzieś w mrok. Nina skoczyła i spadła na niego niczym ciemny anioł śmierci, wbiła mu kolano w solidnym ochraniaczu w nasadę łba, aż żużel na dnie komory zakurzył i coś chrupnęło bardzo niezdrowo.

– Już! – poderwała się, stali nad zeszywniałym gadem z otwartą paszczą, wyglądającym jak średni wąż z zoo. Ale różnił się od normalnych pobratymców, upiorny żółty błysk gaś w jego ślepiach, ciało zaczęło czernieć i rozpadać się błyskawicznie, w żużel i popiół podobny do pokrywającego podłoże.

Pieczara zatrzęsa się, dmuchnęło gorącym powietrzem.

– Zaraz będziemy zwiewać! – zawołała do Paula z uśmiechem, wsadził jej SIGa do kieszeni – I lepiej żeby naprawdę szybko!

Kiedy komora zatrzęsa się po raz drugi, otchłań wkoło nich zgasła i spadli w studni pod Watykanem, na dwumetrowych linkach przypiętych do lin zjazdowych.

– Uch! – jęknęli oboje, ale liny i uprząże wspinaczkowe nie puściły; żadne nie spadło w głąb studni, tylko dyndali jak dwa pajacyki powieszone na szubienicy.

– Na górę, zanim wszystko złoży się nam na łeb! – wrzasnęła i bardzo sprawnie zaczęła się wspinać.

Oszołomiony Paul potrząsnął głową i też zaczął się wspinać po linie. Omawiali to wcześniej, wiedział, że w razie czego Nina osłoni ich i wyciągnie spod zawałów, ale konsekwencje byłyby na pół świata, a nie pół Europy, a tego chcieli uniknąć.

Prawie im się udało, pomimo kurzu i ciemności, pomimo kolejnych wstrząsów. Ale kiedy byli już wysoko, tylko piętro czy dwa od powierzchni i poziomu grobów Cmentarza Niemieckiego, kolejne tąpnięcie zupełnie zawaliło chodnik–szczelinę, w który mieli się właśnie wcisnąć.

– Pięknie, cholera! – rzuciła Nina, kiedy Paul rozkaszał się, ich latarki nie mogły przebić ciemności i kurzu – I co teraz?!

– Khy... z powrotem – wyciągając mapkę oddał jej SIGa, usiłował wypatrzyć coś na kartce – Do tego... khy... przejścia... od muzeum...

– Aha!

Pognali z powrotem, Paul mniej więcej pamiętał drogę, trafiły ich jeszcze dwa tąpnięcia zanim dopadli do ścian dzielących wykopaliska i muzeum, od reszty nekropolii.

Tu mieli trochę szczęścia, byle jaka ceglana ścianka między nimi a wykopaliskami już rozsypała się od wstrząsów, pewnie rozwaliliby ją paroma kopniakami, takiej była jakości, ale nie musieli tracić na to czasu.

Przebiegli po pomostach muzeum – wykopalisk, wszędzie zgasły światła, leciało gdzieś szkło, ale przynajmniej powietrze było czystsze. Rwali na górę.

Wypadli do łącznika między bazyliką a Zakrystią świętego Piotra, ciężkie drzwi były jakimś cudem otwarte.

Ale tu ich szczęście się skończyło, brama od strony placu Pierwszych Męczenników Rzymskich była zamknięta na solidną kłódkę, przy portykach bazyliki błyskały latarki, pewnie patrolu Gwardii. Cmentarz Niemiecki był pozornie na wyciągnięcie ręki, zaraz za placem.

– Tędy! – syknął Paul, brama na zachód, za bazylikę, była otwarta.

Wstrząsy były jakby rzadsze i coraz słabsze. W hotelu kardynalskim i Domu świętej Marty zapalały się światła, za to latarnie nagle zgasły, co im akurat sprzyjało. Tym wyraźniej widzieli latarki zdezorientowanych strażników po lewej, przy bramie, którą kiedyś oglądali z zewnątrz.

Dopadli do klombów i fontanny w mini-parku na środku placu świętej Marty, skulili się, mogli tu chwilę odsapnąć w zupełnych ciemnościach.

Jacyś ludzie przebiegli zza bazyliki w stronę Zakrystii i placu Męczenników, latarki strażników przy bramie na południe nadal tańczyły.

– I co teraz? – pogodnie zapytała Nina, była wyraźnie zadowolona, że wyrwali się z podziemi bez jej interwencji. A może dlatego, że załatwiła smoka...

– Albo uderzamy na nich – machnął ręką na bramę – Albo do kolejowej, albo po murze i siup na dół, ale moje kolana i kostki mogą tego nie wytrzymać...

– Zniosę cię na rączkach! – szepnęła – Może koleją, bo ci tutaj są cholernie nerwowi, stoczymy bitwę...

– ... a za bramą będzie polizia, Carabinieri, wojsko, będą nas witać z kwiatami i rozpylaczami – mruknął – Sprawdźmy rozkład jazdy...

Przemknęli się jak dwoje fachowych ninja, między budynkami Watykanu, po schodach w dół, w stronę stacji kolei papieskiej.

Na placyku przed budynkiem zastali zamiast wyszkolonych młodych Gwardzistów z dłuższą bronią, dwu podtatusiałych ochroniarzy czy strażników, którzy wyszli z budynku i przestraszeni komentowali wstrząsy.

Po chwili mieli jeszcze większe powody do strachu, kiedy z ciemności wychynęły dwa cienie w kominiarkach i wzięły ich na muszkę.

– Fermo, non muoverti! – rzuciła Nina półgłosem, ale nadnaturalnie wyraźnie, ciecie w mundurach zamarli jak im kazała, unieśli ręce.

Szybko przekonała ich, że jeśli nie chcą stracić kolana albo dwu, mają słuchać rozkazów, a nikomu nie stanie się krzywda.

Strażnicy nie mieli broni, zwinęli ich w cień za budynkiem. Nina zaraz poprowadziła jednego pod lufą, żeby uchylił ciężką bramę kolejową w murze watykańskim, przełącznikiem z dyżurki. Na szczęście to zasilanie jeszcze działało.

Brama zaczęła odsuwać się, Nina wróciła z ochroniarzem, jego kolega trząśł się pod lufą Paula.

– Biegniecie do tunelu! – mówiła po włosku, wskazała wlot tunelu końcowej bocznicy towarowo – pocztowej, wykutej pod wzgórzem – Jeśli zobaczę twarz któregoś, dostanie kulę w pysk a drugi kulę w plecy! JAZDA!

Strażnicy obejrzelі się na siebie i niepewnie pobiegli wzdłuż torów, ale zaraz zaczęli zasuwać całkiem sprawnie.

Nina i Paul też obejrzelі się na siebie, wbili pistolety do kabur i pobiegli w drugą stronę, na zewnątrz muru.

Dobiegli tylko kawałek po wiadukcie, do pierwszych większych krzaków. W ciemności z trudem zrzucili z siebie kombinezony i osprzęt, pod spodem Paul miał cieniutkie letnie ciuchy, Nina była w sportowej bieliźnie, wyciągnęła z kieszeni kombinezonu ciasno złożoną krótką kolorową sukienkę.

– Uff – wciągnęła na siebie koszmaremnie pognieciony, półprzezroczysty zielony materiał – Jesteśmy tak wygnieceni, jakbyśmy leżeli pod tym zawałem z tydzień...

– W nocy wszystkie koty i tak dalej – burknął Paul próbując zebrać to, co musieli zabrać, a resztę zwinąć w jakiś kłęb, do schowania – Ciesz się, że nie musisz nosić wszystkiego, czyli

koszuli...

Bo jego strój był nie tylko wygnieciony, ale też przepocony. Założył na siebie część sprzętu, część wrzucili do zwykłej reklamówki, a resztę schowali w krzakach. W międzyczasie Nina wyczarowała jakieś klapki, bo o tym jakoś nie pomyśleli wcześniej – taktyczne buty nie pasowały do ich przebrań, a na bosaka jednak rzucaliby się mocno w oczy, nawet nad ranem.

Wstrząsy były coraz słabsze, zanikały, za to wszędzie wkoło było słychać syreny i alarmy.

Sprawdzili wszystko i zeszli na dół, pod wiadukt; poszli spacerkiem daleko na południe, ulicą świętego Innocentego. Bładym świtem ostrożnie przeszli wielkim łukiem, w stronę Tybru i apartamentu.

Nikt ich nie gonił.

32

Po wspólnej kąpieli i odrobinie pieszczot wszystko wracało do normy, po szalonej nocy pod Wzgórzem Watykańskim. Paul zrobił na śniadanie furę misternych kanapeczek, nadal lubił uspokoić się po akcji prostymi zadaniami manualnymi, sprzątaniem, gotowaniem. Nina suszyła się po kąpieli; naga sprzątała bałagan, który zrobili wpadając do mieszkania po akcji, porozrzucali rzeczy, ubrania, broń.

– Śniadanie!

Usiedli w kuchence, przy centralnym blacie, pałaszowali kanapki i rozmawiali o nocnej akcji, nadal nieco nakręceni i pełni emocji.

Kiedy skończyli i posprząтали, Paul zrobił kawę a Nina w końcu wrzuciła na siebie jakąś koszulkę. Usiedli przy otwartych szybach balkonu, w wygodnych fotelach, wystawiali twarze na poranny wiaterek. Z mocno ściszonego telewizora dochodziły najświeższe doniesienia o wstrząsach pod Watykanem.

– ... ale na razie nic nie mówią o włamaniu, czy osobach trzecich... – zauważyła Nina, oglądając się na ekran, gdzie perorowali jacyś włoscy eksperci, molto staccato – Mówią rozsądnie, że coś oberwało się w spiętrzonych przez millenia katakumbach na poziomie dawnego wzgórza, i że uszkodzenia placów czy murków tu i ówdzie to nic wielkiego... Najważniejsze, że bazylika i dawne budynki nie mają pęknięć czy rys, że ich fundamenty nie doznały uszczerbku.

– Mhm – mruknął Paul, pociągnął kawy, pólleżał rozwalony w fotelu i oglądał bark obity w poprzedniej akcji, czy się dobrze goi – Ale pewnie dojdą do tego, że ktoś tam był, zostawiliśmy za dużo śladów na Cmentarzu, a ci kolejarze też nas nie zapomną...

– Jasne, ale przecież to nie ma znaczenia – zaśmiała się nad filiżanką – Przecież nikt nie uwierzy, że ktoś tam wszedł i potrząsnął fundamentami Watykanu.

– Nie mów „hop”, mogą drażnić temat... i grunt – też uśmiechnął się – Na przykład szukać śladów eksplozji, wiesz, „włamali się przez groby i próbowali wysadzić katakumby, żeby dostać się do skarbów, ale im nie wyszło”.

– I to jest bardzo dobra teoria, w sam raz, żeby ją ewentualnie podrzucić służbom! – zauważyła – Ale chyba nie musimy sobie zawracać głowy...

Kiedy Paul doniósł więcej kawy, tym razem o aromacie migdałowym, zastał Ninę zatopioną w lekturze cienkiego zeszytu, tego wyczarowanego przez złotowłosego młodzieńca.

– Proszę – podał kubek i zajął w jej lekturę, zdziwił się – Czy to jest pismo klinowe, czy tylko podobne?!

– Powiedzmy, klinowe. Dzięki! – oderwała się i siorbnęła pachnącej kawy. Przez balkon wpadały odgłosy budzącego się Rzymu, ruchu ulicznego i turystów znad Tybru, z mostu świętego Anioła.

– Opowiesz mi kiedyś o tym? – rozsiadł się obok, przyglądał się jej, była taka śliczna, półprzezroczysta koszulka pastelowo podkreślała jej ciało. Pochyliła piękną twarz i zapatrzyła się na niego, zeszyt opadł jej w dłoń.

– Wspominałam ci, to odpowiem na pytania, kto i jak... psuje mi świat. To znaczy, zmienia związki przyczynowe, deformuje rzeczywistość... tak, że zamiast prostować i wygładzać historię, mam, mamy pod górkę – wzruszyła ramieniem – Niewiele nowego tu wymyślił, rzuca podejrzenie na starego... wroga.

– Czyli? – napił się kawy.

– „Braciszka Mroza”, nie mylić z „dziadkiem mrozem” – uśmiechnęła się ponuro – Wspominałam ci chyba, Namtar, z mojego pokolenia?

– Wspominałaś. Wgnany na Antarktydę?

– Mhm – rzuciła książeczkę na stolik – Kiedy trafiłam na Ziemię, zrobiło się tu trochę ciasno... A Bau nienawidzi... zimy. Więc wzięliśmy się za niego i wypchnęliśmy go na

bieguny. I zaraz puściło złodowacenie... no może nie zaraz, ale puściło, zrobiło się całkiem przyjemnie.

– Zaraz, masz na myśli glacja? Całe kontynenty pod lodem??

– Aha – założyła ręce za głowę, zagapiła się w sufit. Oczu nie mógł oderwać od jej piersi i szczęki domknąć, na jej wykład – Kiedy się wycofał, w parę tysięcy lat zrobiło się fajnie, zostały tylko jeziora i te tam różne, moreny i inny gruz. Przez prawie 20 tysięcy lat był spokój, ale Enesh twierdzi, że podobno Namtar wraca... Tyle, że nie w sensie domeny, ale punktowych działań. Jak te smoki, które od jakiegoś czasu, znaczy, paru tysięcy lat, pokazują się tu czy tam. Czy wiry ciemności, Mrok, opętujący miejsca, ludzi... jakby więcej tego ostatnio. To znaczy, od kilkuset lat.

Spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się na jego zadziwienie.

– Ale jednak to może być fałszywa ocena. Bo nie wyobrażam sobie skąd brałby do tego energię... On raczej jest od rozpraszania energii, mistrzem entropii, a nie jakichś aktywności, czy planowania – zmarszczyła brwi – Chyba że...

– Chyba że co? – zapytał w przeciągającym się milczeniu.

– Że ktoś mu pomaga, ktoś o znacznie bardziej aktywnym... profilu – wolno kręciła głowę – Ale to też nieprawdopodobne. Bo niby kto, Bau na 200% nie, Lammia na 100% nie...

– A zmowa „pomniejszych bóstw”? – odpowiedział.

– W sensie „chęci”, powiedzmy, może w młodszych pokoleniach znalazłoby się dość frustratów, czy chętnych na nowy podział rzeczywistości. Ale w sensie „możliwości”, no nie – rozłożyła ręce – Spadek możliwości idzie w rzędach

wielkości, to nie oni... To już łatwiej wytłumaczyć pomocą z zewnątrz, spoza tej Ziemi, czy z innych płaszczyzn rzeczywistości. Ale to tak daleko... i tak kosztowne...

Milczeli chwilę.

– Niewiele ci podpowiem, oczywiście, ale zawsze trzeba brać pod uwagę, że absurdalne odległość czy koszt, nieważne jak rozumiane, nie powstrzymają niektórych... upierdliwych liderów przed działaniem – Paul wspominał swoje przygody i jak daleko były Falklandy od Wielkiej Brytanii.

– Prawda – zmarszczyła brwi, zamyśliła się głęboko – Ale to już są skale... kosmiczne. I lepiej żeby nie... bo to się źle skończy.

Szybko dopiła kawę.

– Z innej beczki, skasowaliśmy mu szczeniaczka – najwyraźniej miała na myśli przedwiecznego węża pod Watykanem – Niby to maluch i niezbyt ważne... nasienie Mrozu, w porównaniu z innymi konstruktami, ale zawsze to coś. Jeśli Namtar jakoś zareaguje na to, i na tyle szybko, że w ogóle da się powiązać akcję–reakcję, może czegoś się dowiemy... Może doprecyzujemy te wydumki – machnęła ręką na zeszyt – Bo przecież nie uderzę na Antarktydę na podstawie jednej analizy! Szczególnie, że na niego dosyć trudno uderzyć w tej rzeczywistości, on raczej nie utrzymuje awatara, czy całego „zaplecza” jak ja, czy siostry. Nie jest fanem bogów na podobieństwo ludzi... zresztą, ludzi na podobieństwo bogów też nie jest. Malkontent pierdzielony...

Kręcił głową na te wywody, „uderzyć na Antarktydę”.

– Co?? – zagapiła się na niego.

– Dlaczego ty nie masz jakiegoś średniego kraju i sporej armii w kieszeni? – zapytał z uśmiechem.

– Za dużo zachodu – odparła, też śmiejąc się – I nie wyobrażasz sobie, jak szybko armie i kraje przemijają.

Pochyliła się do niego ponad stolikiem, spoważniała.

– I jak niewiele mogą zdziałać przeciwko takim jak my. Jak ja, jak Namtar.

Odpoczywali przez cały dzień, rozmawiali i oglądali newsy – nawet jeśli ktoś, jakieś służby, znalazły ich wejście przez Cmentarz Niemiecki i wyjście przez wrota kolejowe, nie było o tym żadnej wzmianki. Media skupiały się na uszkodzeniach budynków, relacjach świadków i hipotezach, od normalnego trzęsienia ziemi po zawał czy tąpnięcie, z powodu nawarstwienia chwiejnych rumowisk, w nekropolii pod Watykanem.

Pod wieczór wybrali się na lepszą kolację, ubrali się nieco bardziej elegancko i spacerkiem pomaszerowali aż pod most Garibaldiego, sprawdzić, czy pewna znajoma restauracja Niny nadal tam istnieje. Istniała, choć miała inną nazwę i chyba innego właściciela, ale jedzenie i obsługa były rzeczywiście bardzo zacne, i bardzo włoskie.

Późnym wieczorem wracali nieco okrężną drogą, bulwarami Tybru na północ. Rozważali następne posunięcia, żartobliwie spierali się. Paul namawiał Ninę, żeby już zmienili kraj, przenieśli się gdzieś indziej. Ona niby przytakiwała, ale śmiała się, że lubi Rzym i mogą tu zostać na chwilę wakacji, nikt ich

nie goni, nikt nie znajdzie, nie ma pośpiechu.

Zatrzymali się na chwilę przy Ponte Sisto, w cieniu przedwiecznej wieży mostowej, znacznie starszej niż renesansowy most, obecnie kładka dla pieszych zamknięta dla ruchu kołowego. Obie masywne wieże na obu brzegach Tybru, przed wiekami broniące dostępu do miasta od strony rzeki i mostu Pons Aurelius, będące częścią dawnych fortyfikacji Wiecznego Miasta, były ruinami, ale nadal imponującymi. I imponująco iluminowanymi w ostatnich latach.

– Bez starego mostu i murów ten obrazek jest niekompletny... – rzuciła Nina, kiedy oparli się o kamienną barierę bulwaru, nieco w górę rzeki, i zapatrzyli na ciemny Tybr, ponure resztki wież i renesansowy most między nimi. Wszystko było wymalowane ciemnością, w pogodnej nocy cienie wsysały światło iluminacji zabytków. Nagle dodała – Ale po wiekach, po milleniach, każdy obrazek wydaje się niekompletny...

– To chyba jedna z większych różnic między wami a nami – obróciła się od Tybru, przysiadła na barierze i rozejrzała się po bulwarze w prawo i lewo, po renesansowych czy pseudo–renesansowych kamienicach, górujących nad ulicami. Paul słuchał jej bardzo uważnie – Wy chyba macie poczucie... kompletności? Spójności? Przynajmniej na co dzień, normalni ludzie. Zdaje się mało kto uważa, że jest niekompletną częścią, odłamkiem czegoś większego...

– Chyba tak... – przyznał jej rację, z namysłem – Poza jakimiś zaburzeniami psychologicznymi czy neurologicznymi, chyba macz rację, ludzie uważają, że są... spójni. Nawet jeśli niby racjonalnie wiedzą, że się zmieniają, że na pewno się zmieniają... że dorosną czy zestarzeją się, to nie zachowują się,

jakby to miało znaczenie. Chyba nie wierzą w to na co dzień.

– Tak... – odrzuciła głowę, zapatrzyła się w czarne niebo, prawie nie było widać gwiazd w światłach wielkiego miasta – My zawsze mamy poczucie, WIEMY, że jesteśmy niekompletni... Bardzo rzadko udaje się nam o tym zapomnieć, czy zatracić w... związku z kimś, czasem w działaniu. Żeby poczuć, przeważnie przez chwilę „jestem jaka jestem, może częścią, ale teraz CAŁOŚCI”.

– Ale to chyba podobnie jak ludzie – mruknął – Przeważnie wszyscy mają poczucie samotności i, rzadko, bycia CAŁOŚCIĄ z kimś, albo czymś.

– Nie mówię o samotności – potrząsnęła głową – To trudno wyjaśnić. Może tak: ludzie, przynajmniej tak normalnie i dorastając, stają się indywidualnymi jednostkami, prawda? My, dorastając, nie zmieniamy się w ten sposób... Tak jak... powstajemy w parach, czy w grupach, tak pozostajemy na zawsze, CZĘŚCIĄ tej pary czy grupy. Kiedy tracimy kohezję z naszymi... „drugimi połówkami”, czujemy to zawsze i nigdy nie daje się zupełnie zasypać tej dziury...

Przysunęła się do niego, objęli się czule, w cieniu prastarej ruiny.

– A szczególnie kiedy nasze „drugie połówki”... przepadły – wtuliła piękną twarz w jego bark – Ale nadal próbuję...

Pomyślał, że robi w tej scenografii za opakowanie zastępcze. Ale stwierdził, że i tak woli to, niż swoje poprzednie życie.

Kiedy wrócili do apartamentu była już ciemna noc, zapalili małe światła. Nina stała przy balkonie i obserwowała

panoramę i rozświetlony zamek świętego Anioła, Paul wyciągnął butelkę przedniego wina i kieliszki.

Nalał i podał jej krwiste wino.

– Za co pijemy? – zapytała z uśmiechem.

– Za nas?

– Za nas!

Napili się, nagle zmarszczyła brwi.

– Coś się dzieje... – odstawiła kieliszek na kamienną barierkę, rozejrzała się.

– Co jest? – też odstawił naczynie, wydało mu się, że panorama Rzymu nieuchwytnie zmienia się, jakby powietrze na zewnątrz drżało i miał mroczki przed oczami, ale chyba były naprawdę, a nie w jego umyśle.

– Odsuń się... – Nina cofnęła się od okien, Paul też przesunął się błyskawicznie.

Nastąpiła implozja rzeczywistości.

Paul zniósł ją nieźle, stali na kosmicznej równinie czarnego żwiru czy żużla, jak w jego dawnej wizji w Japonii, stali przed kolosalnym łańcuchem góskim z zielonkawego szkliwa.

Rozejrzał się, Nina wpatrywała się w coś odległego w ciemnościach pod rozgwieżdżonym czarnym niebem, w żółto-czerwony rosnący punkt.

– Co... – powiedział.

– Nie wiem. Ktoś albo coś przybywa – przerwała mu, zmarszczyła brwi. Nie była ubrana w niebieską sukienkę, jak

w Rzymie, ale w dość mocno przylegający do ciała strój, srebrny, trochę jakby kombinezon z pogniecionej folii aluminiowej.

Zapatrzyli się w ogniste znamię, ciągle rosnące w nieskończonej przestrzeni.

Nagle w ułamku sekundy mieli przed sobą monumentalnego olbrzyma, naraz smoliście czarnego i przepalanego ogniem.

– Ja pierdolę, Niszczyciel! – zawołała zdumiona Nina i uniosła lewą pięść.

Nie zdążyła.

Demon, który w wizji Paula giął się i ciągle zmieniał wygląd, od muskularnego olbrzyma z ognia i obsydianu, przez płonącego potwora – orangutana do wielkiego łba–twarzy i ognistych łap, bez ciała, tylko z geometrycznymi płaszczyznami światła i pożarem „za nim”, był szybszy. Chwycił ją za gardło nadludzkimi płonącymi ramionami, zdusił ją i chyba uniósł nieco, przysunął blisko płonącą i dymiącą „twarz” do jej wykrzywionej twarzy, szarpała jego łapy, wydzierając wielkie dymiące bruzdy, ale nie potrafiła się wyrwać.

Spanikowany Paul próbował się ruszyć, pomóc jej, ale był wolny, jak mucha zatopiona w miodzie.

Skupił się, przestawił umysł, to nie była PRAWDZIWA rzeczywistość; wmawiał sobie, że tutaj może wszystko, to była JEGO wizja.

Kiedy uwierzył w to, zorientował się, że w lewej dłoni trzyma płonące błękitne ostrze z czarną oprawą, nieco podobne do jego unikalnego japońskiego miecza, ale ze trzy razy

większe.

Mógł się poruszać, błyskawicznie uderzył mieczem, z dołu, w monstrualne łapy Niszczyciela, trzymające Ninę za gardło.

Błękitno—czarna błyskawica przeszła przez nie bez żadnego oporu, aż zaskoczony Paul się zachwiał. Ramiona demona wybuchły jak ciemny dym, Nina upadła na kolana.

Potwór, górujący nad nim ze dwie głowy, obrócił się w jego stronę, skondensował się z powrotem w JAKĄŚ postać. Paul patrzył z bliska w morfujące twarze, pyski, oczy ognistego demona. Nie czuł zbytnio strachu, nie jak przy smoku pod Watykanem, to nie było nadludzkie przerażenie, a zwykła, prozaiczna panika w walce.

Monstrum przyglądało mu się beznamiętnie, wiedział, że nie ma szans, skoro Nina nie miała.... pewnie zaraz zginie. Próbował przygotować się na uderzenie, zastawić płonącym mieczem, ale w głębi czuł, że to nic nie da.

Niszczyciel przez chwilę zmieniał się podobnie jak poprzednio, ale Paul mentalnie wyczuwał coś, jakby demon brał zamach, czy wciągnął powietrze przed uderzeniem.

Ale nie zdążył.

Nina, klęcząca na piętach, z pochyloną głową i włosami zasłaniającymi twarz, prawą dłoń wpartą w czarny żużel, uniosła i zacisnęła lewicę.

Zamiast eksplozji rtęci, jak pod Watykanem, nastąpiła wszechświatowa implozja lustrzanego blasku i srebra, wyładowała się w punkt, w centrum, w ognisku którego był Niszczyciel.

Potwór zdążył minimalnie obrócić się w stronę Niny, kiedy

milion rtęciowych błyskawic oplótl go i zdusił jego ogień w ciemny punkt, który zrobił ciche „puff!” i zniknął.

Byli zupełnie sami, na zimnej ciemnej równinie, na przedpolu zielonkawych gór.

– Uciekaj... z Rzymu... zabierz mnie... – powiedziała Nina nie podnosząc głowy.

Upadła na twarz.

Świat jęknął i znowu byli w apartamencie.

33

Stał nad leżącą na podłodze Niną, przyskoczył do niej, ruszała się, żyła.

Błyskawicznie obracał w myślach dziesiątki planów i szczegółów, próbując wymyślić jakieś wyjście z sytuacji, gdzie i jak ma ją zabrać.

Nina zaczęła niezdolnie podnosić się z podłogi, pomógł jej usiąść. Była półprzytomna, ale nie przewracała się, zachowywała się nie jak pijana, ale jak dziwnie naćpana, jak lalka.

Zostawił ją na chwilę, pogasił światła i błyskawicznie zebrał ich dokumenty, podstawową „elektronikę” i broń, w torbę sportową po Elenie. Rozejrzał się z okien penthouse’u, bulwary Tybru nocą były puste, wyglądały zwodniczo spokojnie.

Nagle przyszedł wstrząs, trzęsienie ziemi, zaskrzypiały wielkie szyby i coś jęknęło w konstrukcji kamienicy. W

okolicy zapalały się światła, było słychać zaniepokojone głosy.

Nie mogli tu zostać.

Ubrani byli całkiem sensownie, w stroje na poły wizytowe, to dobrze, założył na siebie ciemną kurtkę. Z wysiłkiem podniósł ją na nogi, stała w miarę pewnie, dawała się prowadzić, doskonale, nie dałby rady dyskretnie wynieść ją z apartamentu, musiałyby załatwić jakiś transport medyczny.

Z trudem ubrał ją w płaszcz, ale ogólnie nie było tak źle, jak się obawiał. Wyszli prawie normalnie, pozamykał mieszkanie i zaholował ją do schodów, zeszli noga za nogą, znaleźli się na ulicy.

Może miał paranoję, ale wydawało mu się, że ktoś, COŚ obserwuje ich od strony via Paola i dworca autobusowego. Wolno poszli w przeciwną stronę, do Tybru, na bulwarze kawałek dalej stała ich BMW.

Kiedy wyszli na skrzyżowanie, wydało mu się, że po tamtej stronie wiruje ciemność, gdzieś koło ich wozu, nie odważył się iść w tamtą stronę. Ale też nie chciał się tu zatrzymywać, na otwartej przestrzeni bez żadnej osłony; podtrzymywał kurczowo Ninę pod ramię, szli prosto na bulwary koło mostu świętego Anioła. Zajrzał w jej bladą twarz, miała otwarte niewidzące oczy, nieznacznie poruszała ustami, jakby coś żuła.

Zaczął tracić nadzieję, nie widział szans na wydostanie się stąd, zanim ktoś albo coś ich dopadnie.

Przeszedł kolejny wstrząs, wrażenie było niesamowite, głównie od błędnika, jakby stali na nadmuchiwym materacu, który zabujał się, a nie na solidnym kamieniu i asfalcie. Gdzieś poleciały szyby, rozległy się krzyki, zgasła iluminacja na zamku świętego Anioła.

W jego umyśle coś przeskoczyło, jakaś zapadka, na wspomnienie tego mostu i płynącej wody, i „wszędzie były płaczki, a my spłynęliśmy do Ostii”. W sekundach skonstruował nowy plan.

Mogło się udać, jeśli cały Rzym i świat nie zawali się im w międzyczasie na głowy.

Sprowadził Ninę ostrożnie do małej przystani na Tybrze, powyżej mostu świętego Anioła, stąd łódki i stateczki wycieczkowe zabierały turystów, dwie małe łodzie były przykute łańcuchami do pomostu.

Z trudem zapakowali się do ciemnej łódki, położył Ninę na dnie, podłożył jej torbę pod głowę; zamknęła oczy, jakby spała. Sprawdził, że jest w łodzi jakiś pagaj, po czym kawałkiem pręta, wyłamanym wcześniej ze starej barierki, ukręcił łańcuch.

Odepchnął pagajem łódkę od pomostu i zaczęli spływać z prądem Tybru. Zastanawiał się, ile czasu zajmie im wydostanie się poza miasto, i czy ktoś zainteresuje się ich parą i łódką. Ale może wobec wstrząsów i tak dalej, służby i mieszkańcy mieli inne rzeczy na głowie. A wrogowie z innych płaszczyzn rzeczywistości chyba skupili się na ich miejscach, a nie na osobach...

Kiedy byli pod drugim mostem, przyszedł kolejny wstrząs, prawie nie poculi go na wodzie, ale coś ryknęło za nimi, od strony Watykanu. Wszędzie zgasty światła, po obu stronach Tybru, a z mostu spadła do rzeki spora rzeźba; zahuczały gromowo echa na ulicach, musiały spadać jakieś kawałki budowli, a może składały się domy. Gdzieś daleko było słychać syreny.

Położył się w łodzi koło półprzytomnej Niny, wolno spływali w ciemnościach z nurtem Tybru; starał się nie wychylać, żeby wydawało się w ciemnościach, że to pusta łódka urwała się z cumy. Obserwował rzekę i ledwo widoczne mosty, gotowy do lichego sterowania, czy odpychania się marnym pagajem, od konstrukcji czy na zakolach rzeki.

W okolicę ujścia Tybru dopłynęli po prawie czterech nerwowych godzinach, zaczynało świtać.

Ostatnie wstrząsy zaliczyli na granicy Rzymu, potem było względnie spokojnie.

Paul fizycznie nie zmęczył się zbyt, myślał, że spływ będzie znacznie trudniejszy. Pilnował nawigacji na telefonie, nie chciał, żeby przypadkiem wypłynęli na morze, to byłoby strasznie głupie. Celował w okolice lotniska da Vinci na wybrzeżu, przez które miał zamiar wydostać się z tej zasranej okolicy.

Co jakiś czas sprawdzał zasięg sieci komórkowej, który wrócił nieco poza granicą miasta, i sprawdzał hiobowe newsy o katastrofie w Rzymie. Zastanawiał się, czy nie wezwać kogoś znajomego na pomoc, ale wszystko w nim krzyczało, żeby nie ryzykować jakichkolwiek miejscowych kontaktów i spieszyć stąd jak najdalej.

Dobił do prawego brzegu na wysokości lotniska, na jakimś spłachetku między trzcinami, półdzikiej przystani pełnej łódek i desek surfingowych. Błogosławił mapy i nawigację w telefonie, w poprzednim życiu nie dałby rady wypłatać się w takich okolicznościach, łódką czy na piechotę.

Z trudem wypakował Ninę na brzeg, dobrze, że robiło się

coraz jaśniej, w ciemności byłoby 10 razy trudniej.

Zastanawiał się chwilę, co zrobić z bronią i amunicją, nie mogli z tym iść na lotnisko. Myślał o wyrzuceniu wszystkiego do rzeki, ale nagle zauważył spore drzewo obok dzikiej przystani, chyba wierzbę, z niedużą dziuplą wysoko nad ziemią. Z trudem dosięgnął dziury, wrzucił tam wszystkie trefne fanty, i zaraz pomaszerowali, noga za nogą, w tempie zombie–Niny, na lotnisko.

34

W samolocie prawie drzemał ze zmęczenia i od kisańcej adrenaliny, ale ogólnie trzymał się nie najgorzej. Pomyślał, że kiedyś zmarłby na kość po takiej nocy na rzece, a teraz jakoś mu to nie przeszkadzało.

Nina też jakby drzemała.

Pod koniec krótkiego lotu poprosił stewardesę o lunch, skoro już tyle zapłacił mógł zjeść chyba najdroższy posiłek w życiu. Bo czarter średniego Learjeta kosztował go prawie 15 tysięcy funtów; akurat nie było żadnego chętnego „malucha” na kierunku „Brytania” a nie miał zamiaru czekać na lotnisku, na rejsowy samolot albo na zawalenie się Rzymu, czy ryzykować normalne kontrole z Niną w takim stanie.

W prywatnych dyspozycyjnych samolotach i ich odprawach nie zadawano głupich pytań o lekko naćpanych pasażerów, a kontrola była symboliczna.

Jedząc pyszny lunch rozbudził się, oglądał na monitorze najnowsze wieści z Rzymu, o niewytłumaczalnym trzęsieniu

ziemi. Seria doszła do 6.8 Richtera, uszkodziła wiele budynków i instalacji, ale wstrząsy były bardzo lokalne, najgorzej oberwał Watykan i okolica...

Podziękował za posiłek i poprosił załogę o zamówienie na Heathrow wozu z szoferem, ale niekoniecznie limuzyny.

Wylądowali koło południa i przeszli kontrolę bez najmniejszego problemu, dyskretny mercedes zaraz wywiózł ich tylko kawałek za lotnisko, w środek małej strefy przemysłowej. Hinduski szofer może i dziwił się, że dystygowana para latająca prywatnymi samolotami wysiada w takim miejscu, ale nie płacono mu za okazywanie zdziwienia. Grzecznie pożegnał się i odjechał.

Paul poczekał aż wóz zniknął, rozglądał się po okolicy pełnej małych firm i magazynów logistycznych. Wyglądało to wszystko jak zwykle, pustawo i ponuro, pod lekko zachmurzonym angielskim niebem. Ale nie padało, pełnia lata! Byli na osi pasa lotniska, samoloty przelatywały nad nimi z hukiem, co parę minut.

Zaholował Ninę paręset metrów dalej na skraj strefy przemysłowej, między warsztat tłumikarsko – mechaniczny a przetwórnictwo odpadów; trochę tu śmierdziało. Widziało ich ze dwu ludzi, nie zwracali większej uwagi na parę, troszkę nie pasującą do przemysłu odpadków i odpadków przemysłu.

W rzędzie sporych garaży Paul wynajmował od lat „dziupłę”, bo przeważnie latał z Heathrow i zostawiał tu wóz, na tygodnie albo i miesiące, jak obecnie.

Gdy tylko zamknął drzwi garażu, posadził Ninę na podłodze, opartą o ścianę, i rozejrzał się ostrożnie. Prawie wszystko

wyglądało jak przed podróżą do Meksyku, zabezpieczenia i „wskaźniki”, czy w międzyczasie ktoś nie zwiedzał mu garażu, były nienaruszone, wóz był pod zakurzoną folią. Ale samochód nie był czarny, tylko w ciemnoszarym metaliku.

Zgarnął nieco folię, odłączył ładowarkę od BMW i sprawdził najważniejsze, czy zapali. Trochę musiał kręcić, ale V8 zaskoczyła bez większego problemu, normalnie jak po długim postoju.

Przy okazji obejrzał wóz, wewnątrz było takie jak poprzednio, jasna skóra. Sądząc po wyposażeniu i brzmieniu, nadal była to 540i, a sądząc po szybach, nadal była to wersja Protection, nieco kuloodporna. Tylko kolor lakieru był inny.

Sprawdził, czy „cywilna” komórka, która leżała w schowku podłączona do samochodu, jest naładowana i działa. Wszystko wyglądało dobrze, poza tym, że teraz był to model telefonu podobny do tego, który miał w kieszeni, tylko mniejszy, a nie jego druga nokia.

Uchylił nieco drzwi garażu, żeby nie truli się spalinami, odwinął resztę folii i zapakował Ninę na miejsce pasażera, na wygodny, nieco rozłożony fotel. Miał wrażenie, że uśmiechnęła się do niego i ułożyła wygodniej, kiedy ją zapinał i ustawiał klimatronik, ale może mu się wydawało.

Cały czas zastanawiał się, dokąd mają jechać.

Ściągnął wóz z podstawek, miał nadzieję, że nie będzie potrzebował znowu kompletu opon; deformacje kółek zdarzały się po długim postoju, nawet jeśli samochód był uniesiony.

Sprzątnął ładowarkę i folię, wrzucił torbę do wozu i sprawdził małą kanciapę na zapleczu, pełną narzędzi, gratów, zapasów oleju i paliwa, i temu podobnych. Wszystko było

zakurzone, zastanawiał się nad otwarciem, a raczej – rozbiciem skrytki w podłodze, ale tak naprawdę nie potrzebował nic stamtąd.

Odsunął 25 litrową beczułkę oleju od drzwi kanciapy, żeby je szerzej otworzyć i ze skrytki w drzwiach, dostępnej po wyjęciu listwy od strony zawiasów i futryny, wyjąć tylko to co zwykle: zwitek banknotów, pistolet i dwa magazynki. Sprawdził walthera, złożył drzwi i zastawił je z powrotem, otwarł na oścież wrota wyjazdowe z garażu. Angielskie niebo troszkę się przejaśniło, być może pokazało się coś na kształt słońca.

Wsiadł za kierownicę, sprawdził czy automat zmienia biegi, czy nie ma żadnych błędów na desce, czy silnik normalnie się nagrzewa. Wszystko wyglądało doskonale.

Dokąd mieli jechać, Szkocja, Portsmouth, czy w zupełnie obcą siną dal...

Zastanawiał się, jednocześnie wspominając skąd mu się wzięła ta 540i Protection, i Kirył, który podawał się za byłego majora KGB, i może nawet nim był. Kiedyś Paul woził go przez parę miesięcy po Londynie i okolicy, jako szofer i ochroniarz, właśnie tą beemwicą... Którą tylko ruskie diabli wiedzą skąd Kirył Władimirowicz wytrzasnął, wóz był legalny, ale nie był zupełnie nowy, był używany i egzotyczny jak cholera.

W międzyczasie Kirył obracał coraz większymi pieniędzmi i coraz droższe dziwki, zhardział, w końcu stwierdził, że ani Paul, ani ta BMW nie pasują do jego nowego image i zwolnił Frasera, wmuszając mu w rozliczeniu wóz (prawdę mówiąc, w nie najgorszej cenie), bo sam przesiadł się w nowiutkiego mercedesa S-klasse.

Kiryła Władimirowicza znaleziono jakieś dwa tygodnie później, z dwoma kulami w głowie, nikt nigdy nie znalazł jego mercedesa.

Paul miał sprzedać BMW od razu, ale że w międzyczasie przyzwyczaił się do niej i nijak nie trafiłby drugi raz tak fajnej egzotycznej wersji, zostawił sobie auto; służyło mu od lat, pewnie połowę czasu spędzając w tym garażu.

Przyjrzał się Ninie, wodziła za nim półprzytomnym wzrokiem. Poruszyła ustami, czyżby coś mówiła? Nachylił się do niej, nasłuchiwał w cichym pomruku V8.

– Szkocja... – wyszeptała.

35

Jechali i jechali, jak zwykle było cholernie daleko, ta wyspa była dłuższa niż się wydawało. Ale przynajmniej nigdzie nie lało, pogoda była znośna, jak na brytyjskie lato.

Zatankował zaraz na początku drogi, żeby zamieszać stare paliwo w baku, i kupił jakieś picie i przekąski; myślał, że może da radę dociągnąć do domu tylko tankując raz czy dwa, ale nie udało mu się.

Jak zwykle zaczął padać na nos gdzieś koło granicy Szkocji, pod Gretna, tyle że w jego ulepszonym stanie nie przysypiał, za to zaczął mieć zwidy i halucynacje na drodze, widział rzeczy, których nie było, i nie zauważał rzeczy, które jak najbardziej były.

Zatrzymał się, też jak zwykle, na MOPie Lockerby i jak zwykle miał dylemat, czy wziąć pokój w hoteliku sieci

Travelodge do rana, czy przespać się w wozie i jechać dalej. Zostało tylko jakieś sześć godzin jazdy, był wczesny wieczór.

Ale teraz już nie potrafił zasnąć.

Zaparkował na wielkim pustawym parkingu, dalej od innych wozów i ludzi, ale nie bardzo daleko, żeby nie wyróżniać się za bardzo. Sprawdził Ninę, nadal wyglądała na półprzytomną, chociaż kiedy trzymał jej dłoń, wydawało mu się, że oddała uścisk.

Leżał na fotelu i dumał, na przemian próbując drzemać, ćwiczeń oddechowych, i gapiąc się na drzewa poza parkingiem, musiał jakoś odpocząć. Dyskretnie przejrzał jeszcze raz pistolet.

Jednak lubił ten wóz, był wygodny i nie rzucał się w oczy, w razie czego – bezpieczniejszy, niż inne których używał. I prowadził się nieźle.

Dyskretność, tak, to było najlepsze w BMW 5 bez znaczków, w fabrycznej wersji, bez tuningu czy głupot, a teraz jeszcze szarej, a nie bandyckiej – czarnej. Nikt nie zwracał na nich uwagi, byli niewidzialni dla spotterów, innych kierowców, patroli policji.

Przed tą beemwicą Paul używał przez jakiś czas Camaro, które bardzo lubił, pomimo kierownicy z niewłaściwej strony; był to wóz, który wydawał mu się całkiem dyskretny, zwykle niebieskie Camaro. Ale wydawał się taki tylko jemu. Normalnym ludziom i brytyjskiej policji niebieskie Camaro rzucało się w oczy jak cholera, w dzisiejszym przejeździe przez całą wyspę już byliby z 10 razy sfotografowani, obgadani na stacjach paliw, i zaliczyliby ze dwie kontrole policji, nie z powodu wykroczeń, ale ludzkiej ciekawości.

W szarej BMW na londyńskiej rejestracji byli anonimowi prawie jak w szarym mondeo.

Był w połowie ruchu kiedy zamarł: znowu wyciągał walthera z kabury, żeby go obejrzyć – nagle zorientował się, że wyczerpał się. Jego myśli od paru godzin natrętnie krążyły wkoło samochodów, wkoło broni, zapętlął się z nerwów, prowadził na autopilocie.

Musiał wyrwać się z leja stresu, dojechać do domu zanim zacznie robić poważniejsze błędy.

Przyjrzał się Ninie, nadal jakby drzemała, pogłodził ją po policzku. Wydało mu się, że uśmiechnęła się pod jego dotykiem, serce mu drgnęło, ale stłumił w sobie wszelkie emocje, odpalił wóz i pojechali przez Szkocję, na północ.

Do Dufftown dotarli po drugiej w nocy, trochę opóźnił ich korek po wypadku na autostradzie po jednej stronie Glasgow i roboty drogowe po drugiej, nic specjalnego.

Przejechali wolno koło nigdy nie zasypiającej wielkiej gorzelni Glenfiddich, omijając śpiące miasteczko; wyjechali na drugą stronę jaru i gór, za rzeczkę Fiddich.

Po paru minutach i paru zakrętach w ciemnych lasach i górkach, gdzie tak łatwo gubili się obcy, dotarli pod wielki ciemny dom, jego dom.

Rozbroił system alarmowo–ochronny pilotem, zgasła mrugająca lampka nad drzwiami garażu.

Wysiadł z wozu, rozejrzał się w ciemnej nocy, nic i nikogo, tylko lasy trochę szumiały. Przykucnął niby przy bramie, ale sięgnął za słupek, i „zagrał” na ukrytym przycisku serię

impulsów. Dom odpowiedział dwukrotnym mrugnięciem światła w kuchni, potwierdzając rozbrownienie znacznie groźniejszych „alarmów”.

Dobrze.

Otworzył bramę i garaż, nie był tu prawie rok, ale wszystko wyglądało normalnie. Schował BMW do garażu, pozamykał drzwi i bramę. Sprawdził, czy może zostawić Ninę w wozie, wyglądała tak jak przedtem.

W pośpiechu doprowadzał dom do porządku i minimum „sprawności”, i tak zajęło mu to prawie godzinę. Wszystkie okna i drzwi były całe, woda i prąd były, piec działał, przez te miesiące stare ogrzewanie pociekło w dwu miejscach; mniejsza z kotłownią, ale nieco zniszczyło parkiet w pokoju. Sprawdzał czy i co spleśniało, nie było bardzo źle. Przez lata nauczył się jak przechowywać pościel, jak ustawić ogrzewanie i wentylację, żeby szkocka pleśń bojowa nie zjadła opuszczonej chałupy i wyposażenia.

W końcu wyprowadził Ninę ostrożnie z wozu i garażu, zaprowadził do sypialni. Rozebrał ją tylko z płaszcza i bucików, położył na świeżo zasłanym łóżku i nieco przykrył suchym ciepłym kocem, choć w domu nie było bardzo zimno i pewnie nie robiło jej to różnicy.

Kiedy klęczał przy niej, zaglądając jej w twarz i poprawiając koc, nagle jakby się ocknęła, wyciągnęła do niego ramiona. Natychmiast ją przytulił, też uścisnęła go tak mocno, czuł jej piersi, wbijała mu palce w plecy, przyciskała policzek do jego policzka. Czy przestała pachnieć kwiatami??

– Paul... – wyszeptała.

Nagle zaczęła rozluźniać się, zapadać się w sobie, nie dał

radę jej utrzymać, opadła na pościel prawie bezwładnie, jakby ten uścisk kosztował ją resztki energii.

Serce mu się zatrzymywało kiedy sprawdzał ją myśląc o najgorszym, ale oddychała, miała tętno, nadal żyła.

Jeśli to można było nazwać życiem.

Ale czy jej poprzedni, normalny stan, można było nazwać życiem??

Pocałował ją w policzek, nie reagowała, znowu jakby drzemała ćwierćprzytomna, z półprzymkniętymi powiekami.

Pogasił światła i poszedł do kuchni, siadł nad notesem i zaczął robić listę zakupów. Zapas trwałej żywności miał na jakieś dwa tygodnie, zakładając, że Nina jej nie potrzebuje; ale przydałoby się coś świeżego, a nie tylko konserwy i wojskowe MRE. Potrzebował też jakichś ciuchów na zmianę dla niej, różnych drobiazgów toaletowych.

Nagle przerwał metodyczne pisanie, odłożył długopis i wziął solidny notes w twarde dłonie, i zaczął rwać z niego kartki, rwał je na coraz drobniejsze kawałki. Tarmosząc papier płakał bardzo cicho, prawie bezgłośnie, w nocy rozpaczy znacznie ciemniejszej niż bezgwiezdna noc szkockich lasów wkoło ciemnego domu.

Nie przeżyje bez niej, czuł to każdym atomem ciała, każdym kawałeczkiem umysłu. Od wczoraj, przedwczoraj, od jej upadku w Rzymie, skowyczał i wył wewnątrz, w poczuciu opuszczenia i samotności w tym zasranym świecie, z żalu że odeszła, że nie potrafił jej ochronić. Tylko lata treningu i najtwardszej zaprawy, a może też podkręcenie przez Sinnę, utrzymały go na chodzie.

Zawsze kiedy już pomału oswajał żal, otchłań żalu która go trafiała, jak wtedy gdy zdał sobie sprawę, że Peter już nie wypłynie na powierzchnię... kiedy okazało się, że rozstrzelali własnych przyjaciół pod Dwoma Siostrami, w chaosie pierdolonej nocy pierdolonych Falklandów... kiedy rozwalił śliczną śniadą dziewczynkę, która ledwo utrzymała UZI... i wydawało mu się, że już zapomniał, że czas leczy rany, że będzie dobrze, perfidny los wrzucał go do kolejnej studni żalu.

Wyczerpał się.

„Nieprawda” coś powiedziało w jego umyśle, „przestań się mazać, skup się, TO WCALE NIE KONIEC”.

(Heraklion 2024–2025)

(posłowie poniżej)

Postowie

„Wymyśliłem sobie na to sposób: będę udawał i wmawiał postronnym, że to techno–fantasy” rzeknę, parafrazując słynny cytat z „Buszującego w zbożu”. Gdyż, jak można zauważyć, wyszła mi książeczka fantasy – techno – historia alternatywna – sensacyjna – historyczna. Dla znających [„Labirynt”](#) to może nic specjalnego i może już się przyzwyczaili do mojego mieszania gatunków jak w betoniarce, ale jeśli ktoś lubi dobrze sprecyzowane nisze i gatunki, i ładnie odrysowane kalki, to chyba się rozczaruje. Bo ciąg dalszy (obecny plan jest na trzy tomy) nie będzie „prostszy”, oraz nie przewiduję prostych i łatwych odpowiedzi na proste i łatwe pytania, na przykład „O czym to jest??”.

Ponieważ świat przedstawiony to pewien rodzaj pęku historii alternatywnych a nie powieść historyczna, nie należy szukać w nim 100% odniesień do realnej historii, topografii, sprzętu czy wyposażenia.

Ale ponieważ jestem fanem konsekwencji w fantastyce (w duchu dawnego eseju Jacka Dukaja „Filozofia fantasy”) oraz lubię badania i dociekania, stąd odniesienia do realnej historii, topografii, sprzętu czy wyposażenia są bardzo znaczne.

Zabawę w rozróżnienie gdzie w „Uroczej” jest prawdziwa historia naszej rzeczywistości, gdzie zmyślona–alternatywna, a gdzie autorowi po prostu coś się pomyliło, pozostawiam czytelnikom.